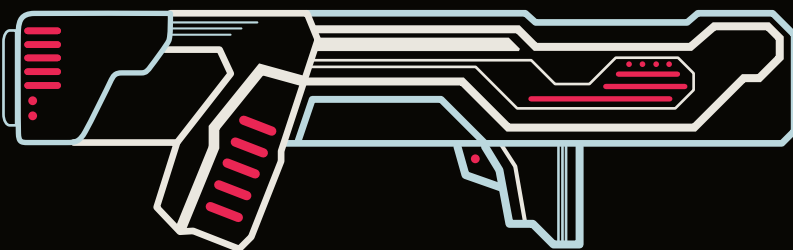
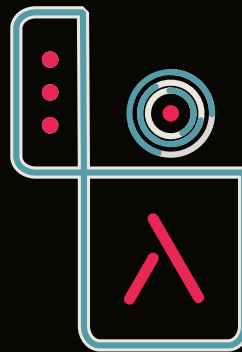
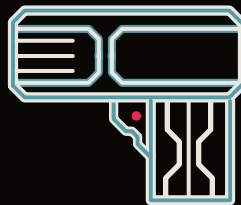
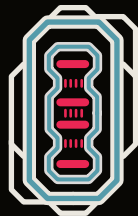
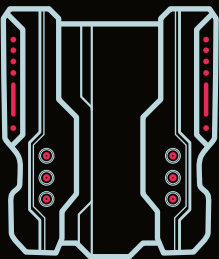
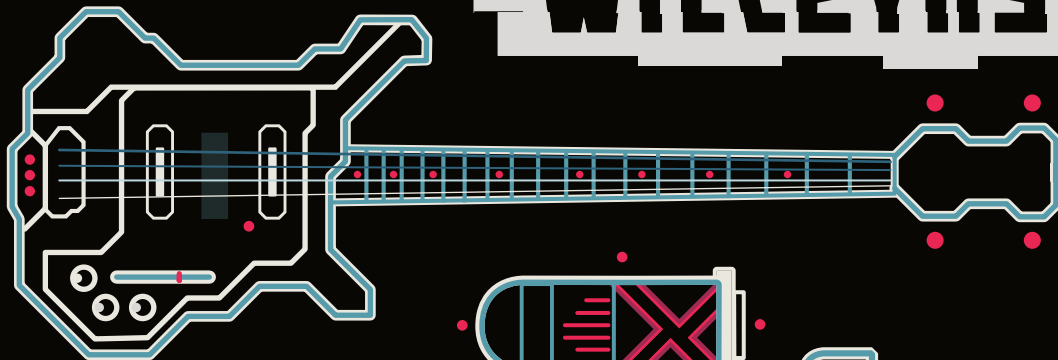




SKELETON

BLAŻEJ

WILCZYŃSKI



SKELETON

tekst i okładka: **Błażej Wilczyński**

Ilość słów: **83 036**

www.instagram.com/blazej_wilczynski

www.behance.net/blazejwilczynski

www.blazejwilczynski.pl

Kontakt: **blazej.wilczynski@gmail.com**

663 – 636 – 056

Rozdział 1

„Elvis, człowieku! W dzisiejszych czasach żyłbyś wiecznie.
I nie byłaby to ***** metafora”.

1 stycznia 2143, 6:30

Otworzyłem oczy i natychmiast zorientowałem się, że to błąd. 15 minut snu po sylwestrowej imprezie to stanowczo zbyt mało. Nawet z wbudowanym systemem regeneracji. Spojrzałem na holograficzny ekran znajdujący się nad moim lewym przedramieniem. Informował, że stężenie alkoholu we krwi wynosi 1,7 promila. Dziwne. Powinienem być jeszcze pijany, a czułem się, jakbym właśnie zaczynał pierwszorzędnego kaca w Nowym Roku.

Krótko mówiąc, rok 2143 zaczynał się dokładnie tak, jak podejrzewałem. Przez chwilę zacząłem się nawet zastanawiać, czy przesąd „jaki Sylwester, taki cały rok” jest w jakimś stopniu prawdziwy. Niemal od razu w to zwątpiłem. Byłem pewny, że będzie dużo gorszy niż to uroczę 1,7 promila rano.

Nazywam się Gustav Drag, a 6 godzin i 30 minut temu skończyłem 63 lata. Nie urodziłem się 1 stycznia, jednak taka data wydaje się być dużo bardziej praktyczna. Całe miasto imprezuje w dzień twoich urodzin, więc nie trzeba organizować pseudo snobistycznych bankietów, na których jako prezent dostaje się alkohol lub masę niepotrzebnych rzeczy. Później bardzo ciężko to sprzedać, by i tak później kupić za to alkohol. Muszę zaznaczyć, że znacznie lepszy od tego, który się otrzymało.

Oczywiście nikt z uczestników dzisiejszej imprezy sylwestrowej nie wiedział, że mam urodziny. Całe szczęście. Musiałbym wypić jeszcze większą ilość niechcianych kolorowych drinków z osobami, które nie mają pojęcia, jak to się robi.

Rozejrzałem się po apartamencie, który zarezerwowałem równo pół roku temu z myślą o tej krótkiej, noworocznej drzemce. Okno rozpościerało się niemal na całą ścianę. Było przez nie widać powoli budzące się do życia Shadow Villens. Zazwyczaj rozżarzone jaskrawym światłem neony były teraz przygaszone, zupełnie jakby też chciały odreagować tę noc.

Wiem. Mogłem teraz uruchomić program zainstalowany w jednym z kilku moich wszczepów, a po chwili idealnie skomponowana mieszanka mikroelementów zostałaby zaaplikowana dożylnie do mojego krwioobiegu, niemal całkowicie niwelując kaca.

Mimowolnie się uśmiechnąłem. W przeciwieństwie do tych wszystkich tanich pozerów, których było pełno w Shadow Villens, lubiłem mieć kaca. Pozwalał mi się skupić, a w dodatku trochę rozmyślał codzienny widok serwowany mi przez to miasto.

Zaciągnąłem się papierosem. Kolejny holograficzny ekran, który tym razem pojawił się nad moją lewą dłonią, poinformował mnie o zagrożeniach związanych z papierosami starego typu.

Westchnąłem. Krakuję ten program chyba od piętnastu lat, a i tak co roku moduł wraca do ustawień fabrycznych. Naprawdę nie mogłem się doczekać napisu „Cracked by Gustav Drag”, który na pewno pojawi się tutaj dzisiejszego wieczora.

– Lecz najpierw musi się skończyć ten „urodzinowo – noworoczny” dzień – powiedziałem cicho do siebie, kierując się w stronę wyjścia i narzucając na siebie ulubiony, granatowy płaszcz.

– Czas powitać Shadow Villens w 2143 roku. Na razie za dnia – zupełnie jakby był to łatwy samouczek w grze wideo. Tym razem powiedziałem to o wiele za głośno, po czym zatrzasnąłem drzwi.

Po wyjściu z budynku natychmiast uderzyła we mnie fala zimna, a powoli pojawiające się płatki śniegu zaczęły tworzyć bardzo nietypowy krajobraz. Miasto skąpane w wyblakłych promieniach słonecznych, bez sztucznych świateł i w dodatku pokryte białym puchem. Walka z efektem cieplarnianym sprawiła, że śnieg był nieodłącznym elementem zimowej scenerii.

Zazwyczaj zatłoczone ulice wydawały się być teraz całkowicie bez życia, mimo że w zasięgu mojego wzroku znajdowało się kilkanaście osób. Sprawiali jednak wrażenie całkowicie zagubionych, zupełnie jakby nie mogli się pogodzić z faktem, że sylwestrowa noc dobiegła końca. Mała poprawka. Czteroosobowa grupka pijanych kolesi zdawała się dopiero rozgrzewać i znajdowała się w tak zwanym „punkcie limbo” znanym bardziej jako „do jakiego klubu idziemy teraz?”.

Uśmiechnąłem się z rozrzewnieniem, tęskniąc za takimi problemami. Następnie skręciłem w Black Scarlet Lane, kierując się w stronę metra. Nie do końca wiem dlaczego, ale nadal lubię poruszać się po mieście publicznymi środkami transportu. Może to moje staroświeckie podejście, ale w czasach gdzie proporcje przebywania w wirtualnym świecie zaczynają mieć niebezpieczną przewagę, lubię poczuć przysłowiowe „krew, pot i łzy”. Czy cokolwiek nadaje się do tego lepiej niż metro?

Ogromne hologramy nad ruchomymi schodami, które prowadziły do podziemnej stacji, obwieszczały różnorodną paletą barw, że rok 2143 może być najlepszym w twoim życiu. Niestety o siódmej rano było to naprawdę mało przekonujące. Bardziej wzruszył mnie mniejszy hologram informujący, że do odjazdu wagonu 93 zmierzającego w stronę Suburbii zostało 90 sekund. Przyspieszyłem kroku i po przejściu przez magnetyczną bramkę, która skanowała moje DNA, by sprawdzić, czy nie jestem poszukiwany przez sławetne „Shadow Villens Police”. Na szczęście włamałem się do ich systemu kilkanaście lat temu i folder „Gustav Drag” był

kolorowy i pełen marzeń. Zupełnie jak neonowy park rozrywki, który otwarto jakiś miesiąc temu w centrum miasta z okazji nadchodzących Świąt.

Usiadłem obok młodej kobiety z wysoko postawionym irokezem. Miała na sobie skórzaną kurtkę z iluminującymi ćwiekami. Mój system obronny wyświetlił mi na siatkówce informację o tytanowym wszczepie zastępującym jej lewe przedramię, jednak zignorowałem ten fakt. Nie wydawała się niebezpieczna, jeśli coś takiego można powiedzieć o jakimkolwiek mieszkańcu tego radosnego przybytku. Dla pewności przeskanowałem drobinki jej potu nowymi receptorami wbudowanymi w palce (nowy nabytek od mojego prywatnego biomechanika Sigmunda). Wynik badania nie zaskoczył mnie jakoś specjalnie. Mieszanina alkoholu i kilku rodzajów narkotyków. Impreza sylwestrowa musiała być naprawdę udana.

Mogłem się teraz wygodnie rozsiąść, nie zastanawiając się, czy jej tytanowe przedramię nie zechce sprawdzić wytrzymałości mojej tchawicy. Tak, wiem. Witamy w Shadow Villens.

Wagon ruszył, a ja mogłem się zająć przeskanowaniem reszty podróżnych. Było ich dzisiaj dużo mniej niż zazwyczaj, co można łatwo wytłumaczyć post – sylwestrowym dniem wolnym. Mój wzrok niemal natychmiast przykuł łysy mężczyzna ubrany w pstrokatą marynarkę. Jednak to nie ona spowodowała moje zainteresowanie. Jego tętno stale przyspieszało i co jakiś czas wykazywało addytywne skurcze.

Włączyłem skaner skalibrowany przez Sigmunda, który wykrywał uzbrojenie. Nawet te odpowiednio zakamuflowane, to znaczy przechowywane w futerałach z odpowiednio skomponowanej mieszaniny stopów. Była to ostatnio prawdziwa plaga, przez co nie radził sobie z tym mój skaner pracujący w trybie czasu rzeczywistego. Musiałem wybrać konkretną osobę i przez kilka sekund naświetlać ją niewidzialną wiązką promieni UVX (Sigmund wymyślił tę nazwę, a w dodatku uważał to za strasznie zabawną grę słów. Krótko mówiąc, nie podzielam tej opinii). Wynik skanowania tylko potwierdził moje przypuszczenia. Mężczyzna miał przy sobie Krawlera kaliber 23 mm. To jest jednak ta mało zaskakująca informacja.

Właśnie w tym punkcie pojawia się wspomniany chwilę wcześniej problem. Pistolet był ukryty wewnątrz wszczepu zastępującego jego lewą nogę, a mój podstawowy system obronny nie miał o tym pojęcia. Nie natknąłem się jeszcze na wszczepy zbudowane ze stopów, które były niewykrywalne z poziomu podstawowego skanowania. Dwie myśli natychmiast przeszły mi głowę. Pierwsza. Muszę jeszcze dzisiaj powiedzieć o tym Sigmundowi. Druga, znacznie ważniejsza.

Muszę się dowiedzieć, kto to zbudował.

To powodowało kolejny problem. Ściągnięcie go w wagonie metra nie wchodziło w grę. Za dużo świadków, za dużo kamer plus gorąca linia policyjna, do której podpięty był każdy pociąg. System bezpieczeństwa metra został zmodernizowany kilkanaście lat temu po ogromnej liczbie incydentów, których afterparty przenosiło się zazwyczaj do kostnicy. A tam naprawdę słabo się tańczy.

Tętno mężczyzny przestało wzrastać, bo osiągnęło poziom mogący już reklamować stany przedzawałowe, co znaczyło, że może on w każdej chwili opuścić

pociąg. I dokładnie wiedziałem, co chce zrobić. Każda firma zajmująca się handlem mało legalnymi produktami, takimi jak ten niewykrywalny wszczep, zanim wprowadzi je na rynek, robi sprawdzenie wykonywane przez tak zwanych stesserów. Były to kryminalne płotki, którym obiecano spłatę długów, żądając w zamian wykonania bardzo ryzykownych zadań sprawdzających nowy produkt. „Nielegalne beta testy” jak lubił je nazywać Sigmund, nie narzekały na brak chętnych. Waluta w tym mieście jakoś nigdy za bardzo nie śmierdziała. Albo przynajmniej ja nie czułem.

Mężczyzna w pstrokatej marynarce idealnie pasował na stessera, bo nawet ktoś słabo zorientowany w temacie broni wiedział, że w mieście trudno o większy szmelc od tego Krawlera. A sam wszczep był warty kilka naprawdę solidnych walizek waluty.

Zlecenie zapewne polegało na sprawdzeniu zabezpieczeń w konkretnych budynkach oraz „czy”, lub „po jakim czasie” broń znajdująca się w jego wszczepie zostanie wykryta. Nie mogłem na to pozwolić, ale zdawałem sobie sprawę, że nie będzie to takie proste. Stesserzy mają zazwyczaj blisko siebie „niewidzialną” ochronę. Zawodowców, którzy w przypadku zdemaskowania mają za zadanie ewakuować go z miejsca zdarzenia. Oczywiście nie zależy im na samym stessersie, ale na produkcie, którą testuje. W dodatku stesserzy prawie nigdy nie śpią swoich mocodawców. Jak już wspominałem, to płotki, na które można znaleźć bardzo dużo haków, a ich użycie było by znacznie bardziej dotkliwe, niż odsiadka w przytulnym więzieniu.

Ktoś mógłby teraz spytać, skąd tyle wiem o stesserach. Odpowiedź jest bardzo prosta. Sam ich zatrudniam. Teraz powinno paść kolejne pytanie – „dlaczego”? W tym przypadku odpowiedź też nie jest zbyt skomplikowana. Zajmuję się handlem. A co jest najbardziej potrzebnym towarem w Shadow Villens?

Tak, jestem handlarzem broni.

Przymknąłem oczy, żeby sprawdzić, jakie ważne budynki (tym samym posiadające najbardziej zaawansowane zabezpieczenia) są na naszej trasie przejazdu. Skupiłem się na bankach, komisariatach, budynkach rządowych i siedzibach firm, które zatrudniają powyżej 1000 pracowników. Po chwili ta informacja wyświetliła mi się na elastycznych matrycach wbudowanych po wewnętrznej stronie powiek jako interaktywna mapa.

Najbliżej znajdował się południowy komisariat policji oraz siedziba firmy Marsh Investments. Zgodnie z rozkładem przystanków powinniśmy się tam znaleźć za około trzy minuty, czyli nie pozostało dużo czasu, aby zająć się stesserem. W dodatku doskonale wiedziałem, że gdzieś w pobliżu znajdują się jego ochroniarze. Jeśli tylko zorientują się, że coś grozi ich podopiecznemu, będą starali się mnie zneutralizować.

Oczywiście źle by się to dla nich skończyło, ale publiczność w wagonie plus system monitoringu nie byłiby wtedy moimi najlepszymi przyjaciółmi.

Wbrew pozorom wagon metra mógł okazać się jednak całkiem pomocny, bo każdy wyposażono w elektromagnetyczne kajdanki. Zostało to wprowadzone, ponieważ wielu osobom udawało się oszukać bramki kontrolne na stacji. Jednak szyfrowanie przez dłuższy czas własnego sygnału, będąc poszukiwanym, było niesamowicie wyczerpujące, a do centralnej kartoteki naprawdę niewielu osobom udało się włamać. Nie żebym się chwalił.

Wystarczyło teraz zhakować ID stessera i dodać tam informację, że jest rozchwytywany przez policję za poważne oszustwa finansowe, a system bezpieczeństwa niemal natychmiast to wykryje i zrobi użytek ze wspomnianych wcześniej kajdanek. Na kolejnym przystanku będzie czekać komitet powitalny, który zabierze go na przemiłe przesłuchanie pełne pytań i zagadek.

Tylko na chwilę tworzyłem oczy, żeby ostatni raz sprawdzić, czy nic mi nie zagraża, zanim wejdę do Sieci. Musiałem się śpieszyć z dwóch powodów. Stesser mógł wysiąść już na najbliższym przystanku, ale co ważniejsze, będąc w Sieci, mój system obronny nie działa w pełni możliwości.

Zaszyfrowałem sygnał i po chwili byłem już w jego systemie plików. To dziwne uczucie. Gdybym miał je do czegoś porównać, byłby to świadomy sen bardzo rozciągnięty w czasie. Pełen kolorów i kształtów, które bez odpowiedniego przeszkolenia wydają się nie mieć sensu. Z czasem zaczyna się dostrzegać strzępy informacji, by później poruszać się tu lepiej niż w rzeczywistości. Tak. Wielu ludzi całkowicie się tutaj zgubiło, zupełnie jak na pierwszej imprezie z alkoholem. Jednak taki sposób jest znacznie szybszy i bardziej efektywny, niż standardowe wpisywanie komend przy pomocy terminala. Po kilku sekundach wiedziałem, że mężczyzna nazywa się Öscar Scout i aktualnie przebywa na warunkowym zwolnieniu. Wystarczyło teraz tylko trochę nagiąć te warunki.

Uśmiechnąłem się i przez ułamek sekundy zastanawiałem się, czy ten uśmiech był tylko wirtualnym impulsem, czy moja twarz również na niego zareagowała. Równie szybko skarciłem się za takie marnowanie czasu. Dopisanie linijek kodu, które zawierały informacje o przestępstwie, zajęło kilka sekund. Zdecydowanie za długo, jednak nie mogłem popełnić błędu. Zmienne musiały idealnie się zgadzać z tymi używanymi przez policję. Inaczej niemal natychmiast zorientowałiby się, że to włam. Na koniec napisałem prosty program, który połączył się z kodem systemu Öscara i zaczął tworzyć nieskończoną pętlę backdoorów. To akurat było zabezpieczenie przeciwko mocodawcom stessera. Nie będą w stanie określić, skąd nastąpiło włamanie. To zupełnie jak sprawdzanie jednej możliwości, podczas której zdąży się stworzyć pięć kolejnych.

Otworzyłem oczy i głębiej wciągnąłem powietrze, które było dokładnie takie, jak się spodziewałem. Gorzkie i rozplýwało się w ustach. Powroty do rzeczywistości były coraz trudniejsze dla mojego organizmu. Przełknąłem ślinę i wystarczyło teraz odczekać kilka sekund, zanim policyjna baza danych zsynchronizuje się z systemem zabezpieczeń metra. Nigdy nie trwa to dłużej niż...

Już nieważne.

Światła wagonu zaczęły nagle migotać w jaskrawych odcieniach czerwieni, a z głośników wydobywał się syntetyczny głos nakazujący zachować spokój, ponieważ w wagonie znajduje się poszukiwany przestępca. Oczywiście po chwili dodano, że na najbliższym przystanku zajmie się nim policja. Szczerze mówiąc, dawno nikt mnie bardziej nie uspokoił, zwłaszcza w sylwestrowy poranek.

Czekałem teraz na prawdziwego bohatera wieczoru. Kajdanki. Ich pojawienie zazwyczaj rozpoczyna się spokojnie. Ot, po prostu kolejne źródło światła, które zbytnio nikogo nie interesuje, ponieważ zlewa się z pozostałymi. Jednak taki stan rzeczy trwa tylko przez chwilę. Kilka sekund później mkną one przez pół wagonu, z gracją omijając resztę podróżnych, by w końcu zakleszczyć się na ciele podejrzanego.

Kajdanki znalazły się obok stessera tak szybko, że jego ręce, nogi i szyja niemal natychmiast zostały objęte stalowymi obręczami. Co więcej, kajdanki wytwarzały własne pole grawitacyjne, nie pozwalając na żadne ruchy. Nie mogłem czekać, aż Öscar otrząśnie się z szoku i dotrze do niego, co się właśnie stało. Miałem jeszcze jedno ważne zadanie do wykonania. Namierzyć jego ochroniarzy. Zazwyczaj to oni „zawierają” najwięcej informacji.

Znowu zamknąłem oczy, jednocześnie włamując się do systemu monitoringu metra i zacząłem ripować stream ze wszystkich sześciu kamer znajdujących się w wagonie. Obraz pojawił się znowu na wewnętrznej stronie powiek, dzięki czemu mogłem się wszystkim dokładnie przyjrzeć, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Wiedziałem, że ochroniarze są w wagonie, nie wiedziałem tylko ilu. Zazwyczaj jest ich dwóch, ale ten testowany wszczep wydawał się być na tyle wartościowy, że nie zdziwiłbym się zbytnio, gdyby ich liczba była większa.

Zsynchronizowałem obraz z kamer ze specjalnym algorytmem, który skanował twarze, a następnie rozpoznawał ich emocje i znajdował powiązania między nimi.

Czekałem aż algorytm wykluczy podróżnych, którzy są zaniepokojeni całą tą sytuacją. Ta grupa stanowiła większość, a wiedziałem, że ochroniarze są tak zaprojektowani, by nie odczuwać strachu. Odfiltrowanie grupy „przestraszonych” nie rozwiązywało jednak całkowicie sprawy. Dużo osób po sylwestrowej nocy było w takim stanie, że wagon zalany migotającym światłem oraz informacja o poszukiwanym przestępcy nie robiła na nich najmniejszego wrażenia. Dzisiejszej nocy widzieli znacznie gorsze rzeczy. Lub je robili.

Wciąż obserwowałem wszystkie sześć streamów i pojawiające się symbole na twarzach, które były efektem działania programu. Zostało mi niewiele czasu, żeby namierzyć ochroniarzy. Na szczęście po kilkunastu sekundach aplikacja ich znalazła, ponieważ trzy osoby spoglądały co jakiś czas na siebie, by później kierować swój wzrok na Öscara i na system monitoringu. To trochę dziwne, ale miałem nieodpartą ochotę pomachać im z kamery. Uśmiechnąłem się, jednak tylko na kilka milisekund, bo znowu musiałem wejść do Sieci.

Pierwszy cel. Mężczyzna ze splecionymi w finezyjny sposób włosami. Stał na samym końcu wagonu. Przez głowę przeleciała mi głupia myśl, że jego fryzjer musi

za nim tęsknić każdego wieczoru. W dodatku razem z krawcem, bo noszony przez niego płaszcz był pokryty ogromną ilością iluminujących świateł, które mogły przybierać dowolny kolor. Może trzeba się później zastanowić nad zmianą zawodu, skoro ochroniarze mogą sobie pozwolić na takie rzeczy.

Drugi cel. Kobieta o azjatyckich rysach, której ciało w niemal dziewięćdziesięciu procentach było pokryte tatuażami, a przezroczysta kurtka narzucona na dopasowany gorset zapewne aż nadto przykuwała uwagę. Mogłoby się wydawać, że krzykliwy ubiór nie pasował do profesji ochroniarza, jednak w tym mieście tak dużo osób próbuje zwrócić na siebie uwagę, że tak naprawdę nikogo to nie obchodzi.

Trzeci cel. Wysoki i muskularny Latynos w idealnie skrojonym białym garniturze. Uwypuklał on godziny spędzone na siłowni lub nielegalne odżywki. Zapewne jedno i drugie.

Wiedziałem, jak wyglądają w rzeczywistości, przez co byłem niemal pewny jakie kształty i barwy będą reprezentować w Sieci. Potrzebowałem tylko kilku sekund, żeby u każdego z nich dopisać niewielki program, który pozwoli mi ich później zlokalizować, bo zapewne wysiądą na najbliższym przystanku razem ze stesserem. Z tą różnicą, że on robi to w policyjnej eskorcie.

Pociąg zaczął zwalniać i zanim zatrzymał się na stacji „Temper Street”, spojrzałem na Öscara. Był tak przerażony, że nie starał się nawet złapać kontaktu wzrokowego z ochroniarzami. Nie zdziwiłoby mnie to zbytnio, że nie ruszyliby się stąd, nie mając na sobie stalowych kajdanek. Naprawdę nie miałem pojęcia, kto zlecił mu sprawdzenie tego wszczepu, ale musiał być dużo bardziej przerażający od policji.

Mimowolnie się uśmiechnąłem. To w sumie nic trudnego.

Trójka ochroniarzy powoli przemieszczała się w stronę Öscara, ale chyba tylko po to, żeby dodać mu fałszywego poczucia otuchy. Nie mogli mu pomóc. Świadkowie, monitoring i jednostka policji czekająca na najbliższym przystanku. Zbyt duże ryzyko.

Tak naprawdę próbowali znaleźć mnie.

Musieli się domyślić, że ktoś włamał się do systemu stessera i dopisał do jego kodu informacje o byciu poszukiwanym, przez co ich wynagrodzenie stało pod wielkim i neonowym znakiem zapytania.

Gustav Drag jednak nie zostawia w Sieci zbyt wielu śladów moi drodzy, a jeśli już, prowadzą one do uroczej i jakże urokliwej miejscówki o nazwie „Ślepa Uliczka”.

Wagon zatrzymał się, lekko szarpiąc, a jaskrawe światło zamieniło swój odcień na szpitalno – mleczny. Wszyscy pasażerowie wagonu wpatrywali się w stessera, niektórzy rozpoczęli transmisję wideo poprzez wbudowane w żenicach obiektywy, co próbowała blokować Azjatka z zespołu ochroniarzy. Z całej trójki to ona była najlepszym hakerem. Transmisji było jednak zbyt dużo, więc po chwili zrezygnowała, wypowiadając kilka japońskich przekleństw.

Nagle z głośników rozległ się ten sam irytujący głos zachęcający do zachowania spokoju i odsunięcia się od poszukiwanego. Tłum zrobił to z wyraźną niechęcią, bo jak to mówią: „jeśli komuś przytrafi się wypadek, ciesz się, że ciebie to nie dotyczy,

ale jednocześnie bij się łokciami o najlepsze miejsca. W końcu twój stream musi być jak najlepszej jakości".

Dobra. Może nie ma takiego przysłowia, ale mogę zagwarantować, że ma stuprocentową skuteczność.

Drzwi wagonu powoli się otworzyły, a powietrze zostało przecięte przez fioletowe wiązki laserów pochodzące z karabinów szturmowych policjantów. Znam ten model aż za dobrze, mam nawet kilka egzemplarzy ukrytych w kuchni. Uśmiechnąłem się. Raczej nie nadaję się do zabawy – „Pokaż mi swoją kulinarną talenty, a powiem ci, kim jesteś”.

Czterech policjantów powtórzyło tę samą formułkę, co syntetyczny głos kilkanaście sekund wcześniej. Poprosili o zachowanie spokoju i odsunięcie się od poszukiwanego. Oczywiście zadziałało to w jedyny możliwy sposób. Ludzie zrobili jeden, symboliczny krok do tyłu, a liczba streamów zaczęła lawinowo wzrastać, co dobitnie potwierdził mój system monitorujący podstawowy ruch w Sieci.

Jeden z funkcjonariuszy opuścił nagle broń, a ze swojego przedramienia, które niewątpliwie było wszczepem, wyciągnął dwa stalowe cylindry. Kiedy oddalił je od siebie, pomiędzy nimi pojawiła się delikatna, niebieska poświata.

– Przecież to nosze – pomyślałem i w ułamku sekundy uświadomiłem sobie, co będzie dalej. Już nie musieli go skuwać.

Policjant przyłożył dłoń obok ucha zupełnie bladego Öscara, a ten niemal natychmiast stracił przytomność. Jego mięśnie całkowicie zwiotczały, zachowując się jak model ragdoll w grze wideo. Było to łatwe do przewidzenia. Impuls paralizujący to jedna z ulubionych zabawek policjantów z Shadow Villens.

Gliniarz umownym ruchem ręki przywołał do siebie dwóch funkcjonariuszy, którzy w błyskawicznym tempie pomogli mu ułożyć stessera na noszach.

Skierowałem z powrotem wzrok na trójkę ochroniarzy. Starali się nie okazywać żadnych emocji, jednak mój system monitorujący nie kłamał. Ich tętna przekroczyły wartość normatywną o jakieś pięć procent. W ich przypadku oznaczało to naprawdę spore zdenerwowanie.

Skupiłem się znowu na policjantach opuszczających wagon. Öscar bezwładnie spoczywał na noszach, nie będąc świadomym, że od kilkunastu minut był przeze mnie obserwowany. Nie wiedział także, że u każdego z jego ochroniarzy zostawiłem niewielki program, który co kilkanaście sekund będzie przysyłał mi zaszyfrowaną informację o ich położeniu. Byłem niemal pewny, że będą go „eskortować” razem z policjantami, a dzięki temu dowiem w którym komisariacie zostanie umieszczony. Mogę się założyć, że prezent gwiazdkowy przyjdzie do mnie tydzień po czasie. Albo niemal o rok za wcześniej.

Wiele osób wysiadło z wagonu razem z nimi. Część zapewne nie chciała urywać swojej wideorelacji w najciekawszym momencie, część naprawdę musiała tutaj wysiąść, a mężczyzna z dziwnie splecionymi włosami, wytatuowana Azjatka w przezroczystej sukience oraz Latynos w białym garniturze mieli mi nieświadomie pomóc w rozwiązaniu tajemnicy niewykrywalnego wszczepu.

Syntetyczny głos kazał odsunąć się od drzwi, które powoli się zamknęły. Pociąg ruszył, a ja mogłem wrócić do skanowania reszty współpasażerów. W końcu do Suburbii zostały jeszcze 3 przystanki.

Naprawdę nie rozumiem ludzi, którzy nie lubią jeździć metrem.

Suburbia, czyli dzielnica w której mieszkałem, była całkowitym zaprzeczeniem Shadow Villens. Neony ograniczały się tutaj do kilkunastu latarni, które rzucały delikatną poświatę, przez co w nocy panował tu permanentny półmrok. Co więcej, natężenie światła latarni było tak słabe, że były one włączone nawet teraz, w godzinach porannych.

Stacja metra także nie przypominała tej z centrum. Była utrzymana w sterylnej bieli, a w kilku miejscach została poprzecinana starymi, betonowymi przyporami. Na próżno można było tu szukać holograficznych ekranów i jaskrawych reklam, które były standardowym widokiem w centrum miasta. Tak... Ostatnia stacja na trasie prezentowała się dokładnie tak, jak powinna to robić przysłowiowa „ostatnia stacja na trasie”. Wysiadało tu niedużo osób, co oczywiście nie było spowodowane tym, że mieszkało tu niewielu osób. Po prostu mało kto dojeżdżał tutaj metrem. Obywatele Shadow Villens zwykli nazywać tę dzielnicę „Strefą Najbogatszych” i lubili dodawać sporą garść niecenzuralnych słów w środku tego opisu. Szczerze mówiąc, zgadzałem się z nimi w obydwu kwestiach.

Suburbia była niczym schronienie dla zamożnej części społeczeństwa, a z tego co mi wiadomo, nikt w tym mieście nie znalazł swojej metaforycznej walizki wypełnionej walutą w legalny sposób. W końcu sam jestem tego najlepszym i najgorszym przykładem jednocześnie.

Po minięciu kilkunastu budynków, które w drastyczny sposób różniły się od siebie stylem architektonicznym – począwszy od zupełnego minimalizmu, a kończąc na neo – baroku, znalazłem się obok swojego domu. Był on zaprojektowany w duchu japońskiej architektury (albo chociaż lubilem tak o tym myśleć), gdzie dominowały cztery materiały. Beton, szkło, stal i drewno. Oraz dwie przeciwstawne barwy – czerń i biel.

Zanim dotknąłem stalowej bramy, system bezpieczeństwa zaprojektowany przez Sigmunda zdążył przeskanować moje DNA. Pozwoliło mi to uniknąć przykrych niespodzianek takich jak wiązka promieni czasowo paraliżujących układ nerwowy. Tak, moja córka nie ma łatwego życia, zapraszając chłopaków do domu.

Po znalezieniu się w ogrodzie stwierdziłem, że zima całkiem mu służy. Gruba warstwa śniegu pokrywająca wszystkie rośliny tworzyła naprawdę magiczny klimat, czego na pewno nie można było tutaj powiedzieć w okresie letnim. Matowe plamy światła, których spora ilość była wbudowana w ziemię, podświetlały mój każdy krok,

co wraz z zalegającym na ich powierzchni białym puchem nawet na tak zgorzkniałym 63 – latku robiło niemałe wrażenie.

Dotknąłem otwartą dłońią płytki z czarnego szkła, która zrobiła szybki skan linii papilarnych. Drzwi powoli się otworzyły, a ja znalazłem się w przestronnym holu, gdzie wszystkie powierzchnie były wykończone starannie oszlifowanym betonem. Oprócz ogromnej szafy znajdował się tutaj jedynie czerwono – fioletowy neon układający się w napis „Shadow Villens Born Loserz” kupiony lata temu na pchlim targu. Mimo wszystko jego sens był tak bardzo aktualny, że nie mogłem się powstrzymać od mimowolnego uśmiechu.

Zdjąłem płaszcz i buty, później umieszczając je w odpowiednich przegrodach w szafie, a następnie przeszedłem do salonu zintegrowanego z kuchnią. Przy stole w jadalni siedziała moja córka Lena i aktualnie była zajęta przygotowywaniem swojej receptury płatków śniadaniowych. Polegało to na dostosowaniu takich zmiennych jak smak, chrupkość oraz zawartość cukru, a następnie wprowadzenie ich do interfejsu znajdującym się na szklanym opakowaniu. Później wbudowany mechanizm przygotowywał wybraną przez nas recepturę. Nie powiem, bywa to całkiem przydatne. Jednak mając kaca, jakiegokolwiek płatki śniadaniowe nie podnosiły mojego poziomu dopaminy. Może gdyby chociaż zhakować to urządzenie, aby przygotowywało kurczaka w czerwonym curry? Przepraszam. Rozmarzyłem się.

– Cześć tato – rzuciła Lena, cały czas wpatrując się w ekran na opakowaniu płatków, dostosowując już chyba ostatnią opcję. W końcu ile można się zastanawiać nad zupą mleczną w noworoczny poranek?

– Hej – odpowiedziałem, wygodnie rozsiadając się na krześle.

– Jak impreza? – spytała, tym razem unosząc wzrok. Znaczyło to mniej więcej tyle, że płatki właśnie zaczęły się przygotowywać.

– Na pewno lepiej niż twoja – uśmiechnąłem się, jednocześnie wskazując na płatki. – Jeśli jesteś w stanie teraz to jeść, nie mogło być za dobrze.

Lena wybuchnęła śmiechem, o mało nie rozlewając mleka.

– Nie piłam dużo. Chcemy dzisiaj z Prältn pojechać do Shadow Villens namalować kilka szablonów.

– A czy my przypadkiem teraz nie jesteśmy w Shadow Villens? – spytałem, pomijając oklepany żart, czy Prältn to na pewno prawdziwe imię i czy jej mama nie jest zbytnią fanką czekoladowych pralinek. Tak, wiem. Gustav Drag – ojciec żartowniś, to właśnie ja.

– Tato – przeciągnęła Lena. – Nazwa naszej dzielnicy naprawdę nie jest przypadkowa. To są przedmieścia. Przed – mieścia – powtórzyła.

– Faktycznie. Zapomniałem, że dla ludzi w wieku 17 lat dzielnica z nazwą chociaż trochę różniącą się od „Centrum” brzmi jak zaginiona wioska na Antarktydzie.

Lena szeroko się uśmiechnęła, w międzyczasie pochłaniając kolejne łyżki płatków.

– Po pierwsze tato, naprawdę się cieszę, że tak dobrze rozumiesz rozterki moich rówieśników. Po drugie, rocznikowo mam już 18 lat. Po trzecie – w tym momencie

Lena podeszła do piekarnika. – Wszystkiego najlepszego z okazji twoich urodzin – dodała, wyciągając pizzę, która na pierwszy rzut oka zawierała kilka rodzajów sera, szynki i warzyw. Podsumowując, wyglądało to jak jedno z najlepszych lekarstw na kaca. Zdążyłem nawet zapomnieć o tym kurczaku w curry. Żartuję. Nigdy o nim nie zapominam.

– Naprawdę wiesz, jak pocieszyć staruszka – powiedziałem, odrywając pierwszy kawałek i kładąc go na talerzu. W międzyczasie Lena nalala mi do szklanki syntetycznej Coli, która w odróżnieniu od tej standardowej zawierała zestaw witamin i była ogólnie zdrowa. Nie muszę chyba tłumaczyć, że z dużo większą chęcią napiłbym się tej standardowej, jednak minęły już lata, odkąd skończyli jej produkcję, a w Shadow Villens istnieją dużo bardziej opłacalne specyfiki do nielegalnego wytwarzania, przez co jest ona niedostępna nawet na czarnym rynku.

– To ile chcecie namalować tych szablonów? – spytałem pomiędzy jednym, a drugim kawałkiem pizzy.

– Nie wiem, pięć? – Lena wzruszyła ramionami. – Dzisiaj powinno być łatwiej niż zwykle. W końcu policja też obchodziła Nowy Rok.

Jednocześnie się uśmiechnęliśmy. Nie powiem, żebym jakoś specjalnie pochwalał pasję Leny do tworzenia graffiti, lecz z drugiej strony jakoś zbytnio mi to nie przeszkadzało. W Shadow Villens istnieją znacznie gorsze rzeczy, którymi mogą zajmować się osiemnastoletnie dziewczyny. W porównaniu z nimi graffiti wydawało się być wymarzoną zajęciem dla własnej córki. W dodatku w tym mieście każdego ojca czeka rozmowa nie o pierwszym tatuażu, tylko o pierwszym wszczepie. Tak... Bycie rodzicem w Shadow Villens. Szanuję, ale nie zachęcam. Myślę, że 98% moich siwych włosów zawdzięcza swój niepowtarzalny kolor właśnie Lenie. Pozostałe 2% podążyło po prostu za tłumem. Zdaję sobie sprawę, że jestem w mniejszości mężczyzn po sześćdziesiątce, którzy nie farbują w tym mieście włosów, jednak moje zamiłowanie do retro odnosiło się także do mojej fryzury.

– Wyślij mi jakieś zdjęcia, jak skończycie – powiedziałem jak typowy ojciec, który jest ciekawy pracy swojego dziecka niezależnie od końcowego efektu. Na szczęście Lena miała spory talent i oglądanie jej prac za każdym razem powodowało u mnie sporą dumę.

– Jak zawsze tato. Nie musisz mi przypominać – odparła Lena, wstając od stołu i wkładając naczynia do zmywarki.

– Ale pamiętasz jeszcze, że w tym roku piszesz egzamin maturalny? – powiedziałem jak jeszcze bardziej typowy ojciec, który chce poruszyć ważny temat na sam koniec rozmowy. Tak... Już dawno zapomniałem o czymś takim, jak rodzicielska godność.

– Jak zawsze tato. Nie musisz mi przypominać – powtórzyła Lena, robiąc przy tym gest naśladujący przewijaną taśmę. Ktoś mógłby zwrócić uwagę, że Lena nie może wiedzieć o istnieniu takiego nośnika, jak taśma magnetofonowa. Być może. Jednak podobnie jak ja jest fanką rzeczy, które typowi ludzie zwykli nazywać antykami. Ostatnio zakupiła w „Retro Dinosaur” 8-bitową konsolę do gier. Oczywiście w „mint condition” jak zaznaczyła wielokrotnie, zapewne żeby

usprawiedliwić wysoką cenę. Mimo wszystko jest to wciąż mocno zastanawiające, biorąc pod uwagę fakt, że dzisiejsze konsole do gier oferują grafikę na poziomie fotorealizmu, a tryb VR może być wyświetlany w trybie rzeczywistym w kilku pomieszczeniach jednocześnie. 8-bitowa grafika wygląda przy tym... To w ogóle grafika?

– To jeszcze raz wszystkiego najlepszego – powiedziała Lena, całując mnie w policzek. – Drugi prezent jest u ciebie w pokoju – dodała z uśmiechem, zmierzając w stronę piwnicy, gdzie znajdowała się stara wycinarka CNC. To właśnie na niej tworzy swoje szablony. Lubię dogryzać Lenie, pytając, czy jest świadoma, że sto lat temu grafficiarze wycinali swoje szablony nożykiem. Otrzymuję wtedy szybką ripostę, że sto lat temu mój Cadillac również by nie latał. Szach – mat ojcowie, którzy myślicie, że jesteście sprytni.

Zjadłem ostatni kawałek pizzy i popiłem go resztką syntetycznej coli, będąc niemal pewny, że mój system monitorujący za kilkanaście minut wyświetli informację, że zawartość alkoholu we krwi wynosi 0 promili. Tak, pizza z colą jako lekarstwo na kaca działa już od stuleci. W końcu miliony testerów nie mogły się mylić.

Powoli wstałem i ruszyłem ku betonowym schodom, które prowadziły na pierwsze piętro. Znajdowały się tutaj jedynie dwie sypialnie oddzielone od siebie szerokim holem, na zakończeniu którego znajdowała się przestronna łazienka. Cały korytarz był utrzymany w surowym stylu – białe ściany kontrastowały z widoczną konstrukcją żelbetową.

Temu wszystkiemu przeczył wystrój mojej sypialni. Przypominała ona trochę salkę prób początkującego zespołu rockowego z dostawionym łóżkiem. Oczywiście jeden z członków tego zespołu (czytaj ja) miał bogatych rodziców (metaforycznie też ja), dlatego mieściło się tutaj kilka naprawdę dobrych wzmacniaczy, w rogu stała neonowo – podświetlana perkusja, a na jednej ze ścian wisiało kilkanaście gitar. W dodatku na biurku stał odrestaurowany adapter płyt winylowych, których ogromna kolekcja mieściła się w szafie robionej na specjalne zamówienie. Oczywiście nie mogę nie wspomnieć o sporej garderobie ukrytej za cienką ścianą działową.

Skierowałem wzrok na łóżko. Po wejściu do sypialni było niemal niewidoczne, zupełnie jakby miało świadomość, że nie pasuje do muzycznego otoczenia. Wtedy momentalnie przypomniałem sobie o słowach Leny dotyczących prezentu numer dwa. Na środku znajdował się skórzany futerał pokryty różnorodnymi naklejkami pamiętającymi zapewne odległe czasy. Powoli go otworzyłem i zdałem sobie sprawę, że została mi sprezentowana niemal dwustuletnia gitara basowa, czyli została wyprodukowana w okresie świetności moich ulubionych zespołów. Delikatnie wyjąłem instrument, uważając żeby nie zrobić przy tym żadnych dodatkowych rys, a następnie zagrałem prosty riff, który ćwiczyłem stanowczo za dużo, będąc nastolatkiem. Co więcej nastolatkiem marzącym o karierze muzycznej. Uśmiechnąłem się sarkastycznie na samo wspomnienie. Kariera muzyczna w Shadow Villens? Witamy w klubie dla naiwniaków.

Gitara była nastrojona do tak zwanego drop C, czyli dosyć nisko. Pamiętam, że niemal 40 lat temu gdy jeszcze graliśmy, używaliśmy właśnie tego stroju. Żartowaliśmy wtedy, że równamy do poziomemu tego miasta – czyli nisko. Ach te słabe żarciki początkujących kapel garażowych. Niemal się rozczuliłem.

Po zagraneniu kilku muzycznych motywów odłożyłem gitarę do futerału, ale byłem pewien, że do niej wrócę. I że będzie to jeszcze w tym tygodniu. Najpierw jednak prysznic i interesy.

Woda o idealnie ustawionej temperaturze i o mocno rozdrobnionej strukturze kropeł powoli obmywała moje ciało. Znajdował się w niej specjalny roztwór, który konserwował moje wszczepy, przez co miała ona dosyć nieprzyjemny, gorzki smak. Byłem jednak do niego już tak przyzwyczajony, że prawie zaczynałem go lubić. Uśmiechnąłem się. Podobnie miałem z tym miastem.

Dotknąłem interfejsu umieszczonego obok matowej armatury i wybrałem szyfrowane połączenie do Røbusta – funkcjonariusza policji, który był moim ulubionym współpracownikiem działającym w organach ścigania. Zanim Røbust odezwał się po trzech sygnałach, aktywowałem funkcję usuwania dźwiękowej tekstury lecącej wody z naszego połączenia.

– Witam w Nowym Roku Gustav – usłyszałem jego donośny i aż nazbyt optymistyczny głos.

– Cześć Røbust – powiedziałem, zastanawiając się, czy policjanci dlatego tak lubią Nowy Rok, bo mają wyzerowane konto na statystyki. Kiedyś się dowiem, jednak na pewno nie będzie to w noworoczny poranek. – Będę się streszczać, bo mam jeszcze dzisiaj trochę pracy – oznajmiłem, odganiając wcześniejsze myśli.

– Jasne, nie ma problemu. W takim razie pominę część z pytaniami o sylwestrową imprezę.

– To dobrze. Niestety pamiętam o wiele za dużo, niż trzeba – odparłem, po czym wybuchnęliśmy śmiechem na kilka sekund.

– Potrzebuję wszystkich danych o jednym stesserze – zacząłem. – Został zgarnięty dzisiaj w metrze na trasie Black Scarlet Lane – Suburbia o 7:01 – w międzyczasie patrzyłem na hologram, który pojawił się przede mną i wskazywał dokładną pozycję stessera i jego trzech ochroniarzy. – O 7:20 przewieziono go na posterunek w pobliżu Columbia Street. W systemie powinien widnieć jako Öscar Scout. Potrzebuję wszystkiego, co wyciągnie z niego policja, najlepiej plik źródłowy z przesłuchania i wszystkie skany biochemiczne.

– Widzę Gustav, że nie próżnujesz nawet w sylwestrowy poranek – roześmiał się Røbust. – Ja dopiero zdążyłem wypić trzecią kawę i powoli szykuję się na czwartą.

– Znasz mnie nie od dzisiaj. Zaczynam wcześnie, kończę późno.

– Albo wcale.

– Albo wcale – powtórzyłem bardziej do siebie, mimowolnie zwiększając temperaturę wody.

– Dobra, zajmę się tym stesserem – ziewnął Røbust. – Ale pliki będą pewnie dopiero jutro nad ranem. A nasza „druga sprawa”? – zapytał, a ja niemal widziałem ten wirtualny apostrof rozpościerający się nad słowami „druga sprawa”.

– Wieczorem i osobiście – odpowiedziałem niemal natychmiast.

– Wieczorem gram mały koncert w klubie „Credits to Doughnuts”. Może tam?

– Nadal marzysz o zostaniu gwiazdą rocka? – uśmiechnąłem się ironicznie.

– A powiedz mi Gustav, co nam pozostało w tym mieście oprócz marzeń?

– Głębokie – niemal czułem, jak robię wirtualny błąd ortograficzny.

Røbust westchnął.

– To będziesz? Jakby co zaczynam o 20:00.

– Będę, będę. Nawet zapłacę potrójnie za wejściówkę, ale żądam za to wejścia na backstage i zniżki na barze.

– Wejście jest za darmo, a na wtorkowych koncertach zawsze jest taniej na barze.

– Widzę, że zapowiada się niesamowity koncert – zaśmiałem się. – Wtorek, darmowy wjazd i tanio na barze. Chyba mogę się spodziewać samych miejscowych elit.

– Bardzo zabawne – rzekł poważnie Røbust – Na szczęście już dawno uodporniłem się na twoje docinki.

Obaj się roześmialiśmy.

– W takim razie czekam jutro rano na pliki o stesserze, a my widzimy się wieczorem na koncercie. Trzymaj się Røbust.

– Do zobaczenia Gustav – długi, piskliwy sygnał był znakiem oznaczającym koniec szyfrowanej rozmowy. Na krótką chwilę zwiększyłem siłę strumienia wody z deszczownicy i ucieszyłem się z faktu, że Røbust nie wie, że moja sypialnia wygląda jak salka prób dla bogaczy. Ripostom nie byłoby końca. Czasem przeleci mi jeszcze przez głowę pomysł, by wrócić do muzyki, ale na szczęście jest to tylko nadal niegroźnie mignięcie.

Nie będę kłamał, że nie bez bólu wyłączyłem dopływ wody do prysznica. Zanim wyszedłem z przeszklonej kabiny na podgrzewane kafelki, ustawiłem na interfejsie program szybkiego suszenia wraz z podstawową regeneracją wszczepów. Moje odbicie w lustrze kazało mi poprawić włosy, które zaczesalem do tyłu i potraktowałem je jakimś kosmetykiem, którego etykieta obiecywała nieskazitelny połysk i zwiększoną objętość. Zabawne. Jedynym marzeniem 63 – letnich, nieprzeszczepianych siwych włosów jest po prostu trzymać się głowy. Naprawdę nie mam większych problemów ze starzeniem się, zupełnie odwrotnie niż większość w Shadow Villens. Farbowane włosy, odmłodzona skóra, powiększone to i owo moim zdaniem wcale nie sprawiały, że wyglądało się młodziej. Raczej dziwniej. Zupełnie jak stary budynek z elewacją pomalowaną na bezgustowny kolor. Krótko mówiąc, jeśli wszczep lub operacja nie polepszały statystyk obronnych lub bojowych, wydawały mi się całkowicie zbędne.

Po nudnych obowiązkach higienicznych takich jak mycie zębów czy zakropienie oczu, przeszedłem do sypialni, gdzie przez chwilę wpatrywałem się w ogromne okno, które było skierowane w stronę lasu. Nie wspominałem o tym wcześniej, ale Suburbia jest chyba jedyną dzielnicą, która znajduje się nieopodal zalesionych terenów. Oczywiście nie jest to tanie. Co roku ja oraz reszta mieszkańców Suburbii musi się złożyć na niemały przelew dla burmistrza, by niezliczone ilości drzew nie znalazły się nagle w strefie działek budowlanych. Później pięknie tłumaczy to Radzie Miasta względami ekologicznymi, mając pewnie w wyobraźni nadchodzący przelew. Masa pieniędzy za ładny widoczek za oknem. Naprawdę nie polecam, ale nadal twierdzę, że warto.

Ostatni raz spojrzałem na wysokie świerki pokryte śniegiem i po tej niedługiej chwili obcowania z przyrodą otworzyłem drzwi do garderoby i szybko ubrałem się w świeże rzeczy. W przeciwieństwie do sylwestrowej nocy w moim dzisiejszym stroju dominowała czerń z lekką domieszką fioletu. Idealnie skrojona marynarka nie była tania, ale leżała na mnie jak milion na koncie – to znaczy nie miałem żadnych obiekcji. Całość dopełniłem muszką w pikselowy wzór i butami z neonowymi czubami.

– W takim stroju można rozpocząć pracę w nowym roku – pomyślałem, a następnie wyszedłem z pokoju, zmierzając w stronę piwnicy, gdzie oprócz pracowni Leny znajdował się także garaż mieszczący kilka samochodów. Zamykając drzwi, rzuciłem jeszcze okiem na swoją kolekcję instrumentów z nową gitarą basową. Zawsze tak robię „na szczęście”, chociaż szczerze wątpię, że to działa.

Czarny Cadillac Eldorado Brougham z 1957 – ego zamrugał światłami, kiedy zbliżyłem się na odległość jednego metra. Był to jeden z wielu posiadanych przeze mnie samochodów wiekowo zbliżających się do dwustu lat. Sprawiało to, że ich charakterystyczne wzornictwo przykuwało uwagę na ulicach, a szczypta pozerstwa jeszcze nikomu tutaj nie zaszkodziła. Oczywiście strona techniczna tych samochodów została całkowicie przerobiona, na przykład dodano funkcję latania, ale mimo wszystko udawało się zachować oryginalny design.

Rozsiadając się za kierownicą, niemal czułem, jak cofam się do czasów, kiedy wszystko wydawało się prostsze. Nie było wszczepów, tylu korporacji, tyle silikonu i mężczyzn farbujących włosy. Tak, zwłaszcza tych ostatnich. Uśmiechnąłem się. Może dlatego tak lubię stare przedmioty?

– Witam panie Gustavie. Gdzie jedziemy dzisiaj? – odezwał się Creep, kiedy uruchomiłem silnik. Była to sztuczna inteligencja obsługująca mój system operacyjny, procedury obronne oraz oczywiście samochody. Nawet go lubiłem, w końcu sam go napisałem, wzorując go na swojej osobowości, dodając

staroświeckie maniery i lepsze poczucie humoru. Uruchomiłem go dosłownie przed chwilą, bo całą noc się aktualizował oraz defragmentował pamięć.

– Tam gdzie zawsze w Nowy Rok – odparłem, wrzucając wsteczny bieg.

– Rozumiem, że ma pan na myśli dżentelmena Sigmunda i przegląd pańskich wszczepów w jego laboratorium.

– Tak Creep. To właśnie nasza noworoczna tradycja i wiem, że nie brzmi to zbyt spektakularnie.

– Brzmi bardzo tradycyjnie – zaśmiał się Creep. – Czy mam wyznaczyć trasę naziemną czy powietrzną? Życzy pan sobie sterowanie ręczne czy automatyczne?

– Pół na pół. Nie czuję się dzisiaj najlepiej, więc raczej nie wytrzymam całej drogi w powietrzu. Co do sterowania – to ręczne. Muszę czymś zająć głowę.

– Odczyt pańskich funkcji życiowych wyraźnie wskazuje, że jest pan odwodniony i brakuje w pańskim organizmie mikroelementów oraz elektrolitów.

– Daj spokój ze wskaźnikami Creep. One nie rozumieją mojego dzisiejszego stanu – uśmiechnąłem się, po czym wyleciałem przez bramę garażową znajdującą się kilka metrów nad moją głową.

Zdanie „naprawdę nie rozumiem ludzi, którzy nie lubią jeździć metrem” należałoby rozszerzyć o stwierdzenie „jeszcze bardziej nie rozumiem ludzi, którzy nie lubią latać samochodem”. Widok Shadow Villens z wysokości kilkudziesięciu metrów wciąż robił na mnie ogromne wrażenie. Nawet w świetle dziennym i z budynkami pokrytymi grubą warstwą śniegu. Oczywiście nie muszę dodawać, że w nocy było tu jeszcze ciekawiej. Z wielu względów.

Przelatując nad kilkoma dzielnicami, zdałem sobie sprawę, jak to miasto zmieniło się od mojego urodzenia. Stopień urbanizacji zwiększył się tak bardzo, że ówczesne przedmieścia zaczynały przypominać bardziej centrum miasta. Wysokie budynki w których znajdowała się niezliczona ilość małych mieszkań, niezmiennie mnie przerażały.

Aktualnie, czyli około 9:00, ulice nie były zbyt mocno zapełnione ludźmi i wbrew pozorom nie było to spowodowane zbyt intensywnym świętowaniem Nowego Roku. Bardziej coś w stylu: „żaden wniosek urlopowy nie został pozytywnie rozpatrzony”. Jeśli w ogóle był rozpatrywany, bo minęły już lata, odkąd 1 stycznia był ustawowo wolny od pracy.

Uśmiechnąłem się. Ludzie w moim wieku pamiętają takie magiczne chwile.

– Creep, znajdź jakieś dogodne miejsce do lądowania. Dalej pojedziemy ulicą – powiedziałem, kiedy znaleźliśmy się nad Dzielnicą Szubrawców. Oczywiście nie była to oficjalna nazwa, jednak przyjęła się na tyle dobrze, że mało kto pamiętał poprzednią. W przeciwieństwie do tych mijanych wcześniej była zdecydowanie

bardziej zaludniona w godzinach porannych – czyt. nie wszyscy mieszkańcy marzyli tutaj o firmowym etacie.

– Na pewno chce pan tu lądować? Proponowałbym Centrum. Według statystyk policyjnych Dzielnica Szubrawców to jedna z najniebezpieczniejszych dzielnic Shadow Villens.

Kolejny raz się uśmiechnąłem.

– Właśnie dlatego chcę tutaj wylądować – Creep nic nie odpowiedział, a po chwili po prawej stronie pojawił się transparentny hologram, który ukazywał uproszczoną mapę z punktem lądowania. Był on oddalony o około 300 metrów. Znacznie zmniejszyłem prędkość oraz wysokość, i po kilkunastu sekundach znalazłem się w samym środku dzielnicy, co tak bardzo nie spodobało się Creepowi. Wiedziałem jednak, że dobrze mi to robi, bo jedynie poruszanie się w takich miejscach może mnie czegośkolwiek nauczyć. W Centrum mógłbym się co najwyżej napić rozwodnionej latte w towarzystwie mentalnie rozwodnionych pseudo biznesmenów.

Po dość ekwilibrystycznym lądowaniu powoli ruszyłem do przodu, nie mając żadnych szans na większą prędkość. Było to spowodowane ogromną liczbą przechodniów, dla których droga była naturalnym rozszerzeniem chodnika. Ta przypadłość aż za bardzo doskwierała grupce młodych przemytników, którzy sprawiali wrażenie, jakby naoglądali się za dużo mafijnych filmów ostatniego stulecia. Sporo tanich tatuaży, mało włosów na głowie, dużo łańcuchów z podrabianego złota i praktycznie brak uzbrojenia dobrej jakości.

Uruchomiłem zapis informacji pochodzących z mojego skanera, dzięki czemu mogłem później dostosować swoją ofertę broni, nie musząc płacić za to słabemu informatorowi. Bezcenne informacje handlowe dla tych, którzy chcą trochę pobrudzić ręce.

– Creep, włącz czytanie z ruchu warg, a później przepuść to przez jakiś syntezytor – powiedziałem, wpatrując się wciąż w tę samą grupkę mężczyzn, którzy nie pozwalali mi przejechać dalej.

– Panie Gustavie, jeśli miałbym ocenzurować obelgi kierowane w pańską stronę, sens zdania mógłby być niezrozumiały.

– Uroczo – pomyślałem, a następnie wcisnąłem jeden z kilkunastu przycisków znajdujących się po wewnętrznej stronie kierownicy. Niemal natychmiast z dwóch stron mojego Cadillaca wysunęły się dwa działka bojowe, które bardzo pomogły mężczyznom w podjęciu decyzji. Rozeszli się natychmiast. Kiedy przejeżdżałem obok nich, nie mogłem się powstrzymać, by nie przesłać im gorącego buziaczka. Sądząc po ich reakcji, nie byłaby to łatwa miłość.

Pół kilometra w tej dzielnicy zupełnie wystarczyło, aby mój bank informacji o uzbrojeniu w mieście powiększył się na tyle, że mogłem już spokojnie udać się do Sigmunda.

– Creep, przywróć mnie do ruchu powietrznego – poleciłem, jednocześnie poprawiając się w fotelu.

– Do miejsca docelowego pozostało 7 kilometrów i 334 metry – odparł ze zbytnią dokładnością Creep. – Czy powiadomić pana Sigmunda o zbliżającej się wizycie?

– Bardziej jego lodówkę z piwem – roześmiałem się, ale nie dlatego, że Creep jako sztuczna inteligencja naprawdę mógł powiadomić tę lodówkę. Po prostu już widziałem w wyobraźni neonową, schłodzoną butelkę idealnie leżącą w mojej dłoni.

– Włączysz jeszcze autopilota? Muszę na chwilę przymknąć oczy.

– Oczywiście – odpowiedział, a z głośników popłynął długi fragment muzyki klasycznej.

Specjalnie użyłem stwierdzenia „przymknąć oczy”, a nie na przykład „uciąć sobie drzemkę”, ponieważ podczas pozostałej drogi do Sigmunda postanowiłem wysłać zaszyfrowaną wiadomość do mojego najlepszego człowieka od transportu broni – Bleescha. A plastyczne ekrany wszczepione w wewnętrzną stronę powiek nadawały się do tego idealnie. Kilka minut zajęło mi napisanie oraz potrójne zaszyfrowanie wiadomości, która mówiła o popołudniowym spotkaniu w lokalu „Retro Dinosaur”. Dokładnie dwie godziny przed koncertem Røbusta. Interesy – impreza – interesy. Oraz oczywiście afterparty w razie sił i możliwości. Moja ulubiona kolejność.

– Szykuje się naprawdę ciekawy wieczór – pomyślałem, jednocześnie otwierając oczy. Zrobiłem to w idealnym momencie. Przede mną rozpościerał się widok, którego głównym elementem była gotycka katedra. Oczywiście była to jej idealna kopia, bo taka nigdy oryginalnie nie powstała w Shadow Villens. Jestem przekonany, że specjaliści od marketingu zapewniali potencjalnych najemców o sprowadzeniu wielu elementów budowlanych z Francji, ale każdy może się domyślić, jak bardzo im wierzę. Mała podpowiedź. Nie bardzo.

Wylądowałem na miejscu parkingowym zarezerwowanym dla klientów, skąd katedra robiła jeszcze większe wrażenie. Wszystkie nowoczesne budynki znajdujące się w pobliżu sprawiały wrażenie, jakby nie zostały jeszcze odblokowane w grze wideo.

– Creep, włącz uzbrojenie obronne w trybie czuwania – powiedziałem, wychodząc z samochodu. Jaskrawe i migające światło wewnątrz zapewniało, że mój Cadillac jest nie do ruszenia nawet dla najbardziej wytrawnych złodziei w mieście. A trzeba pamiętać, że Centrum oprócz najlepszych samochodów, przyciągało także najlepszych fachowców w dziedzinie handlu ze stuprocentową zniżką. Uśmiechnąłem się. Tania, ale trafna metafora.

Po przebyciu kilkunastu metrów przeszedłem przez ogromne drzwi, które przez znawców architektury (czyt. Sigmunda) zostałyby nazwane portalem. Sigmund tłumaczył mi kiedyś, że katedra jest wzorowana na najwybitniejszych dziełach

francuskiego gotyku klasycznego i kazał zwrócić uwagę na ogromną rozetę znajdująca się w fasadzie. Nie ukrywam, czasem na nią zerknąłem. Jednak zwroty takie jak arkady, emporie i triforia przypominały mi o bardzo długiej drodze w zakresie edukacji architektonicznej.

Wnętrze katedry było rozświetlone przez promienie wpadające przez ogromne okna, jednak pomimo dużej ilości światła i tak panował tutaj ponury klimat. Nie było żadnych przedmiotów powiązanych z konkretną religią, elementy wyposażenia były całkowicie świeckie, co miało bardzo proste uzasadnienie. W Shadow Villens istniał taki konglomerat narodowości i kultur, że nie pomyliłbym się bardzo, gdybym powiedział, że każdy wierzy tutaj w coś innego. A najbardziej w pieniądze.

Szybko minąłem recepcję, za którą stała sztuczna inteligencja w postaci hologramu. Miała na imię Rava, znała mnie dosyć dobrze, jak i moje zamiłowanie do prywatności, dlatego pozdrowiliśmy się tylko dystygnowanym skinieniem głowy. Oczywiście na ile dystygnowane może być skinienie głowy hologramu i zgorzkniałego mężczyzny po sześćdziesiątce. Po chwili byłem już w zachodniej części katedry, gdzie znajdowały się szklane ruchome schody prowadzące w dół. Właśnie tam mieściły się wszystkie wynajmowane biura, pracownie i laboratoria. Pod ziemią. Miało to wiele zalet. Zaczynając od względów bezpieczeństwa i prywatności, a kończąc na ogromnej, gotyckiej przestrzeni (w której właśnie się znajdowałem) przeznaczonej do medytacji lub modlitwy.

Po wejściu na pierwszy stopień schodów, te powoli ruszyły, a po kilkunastu sekundach znalazłem się na poziomie „minus 5’’. Natychmiast natrafiłem na trzech roślących strażników z zasłoniętymi twarzami, których oczywiście dokładnie przeskanowałem. Oni odwdzieczyli się tym samym, z tą różnicą, że tylko ja o tym wiedziałem. Nie trwało to długo, po czym „wielbiciele nienaturalnie wielkich bicepsów i kaszek białkowych” pozwolili mi przejść dalej. Krótki korytarz z kilkoma przegrodami doprowadził mnie do przestronnego holu utrzymanego w ascetycznym stylu. Tu pozostało mi już tylko dotknąć interfejsu przy drzwiach, które dzieliły mnie od pracowni Sigmunda. Oczywiście zanim drzwi się otworzyły, kolejny raz zostałem przeskanowany. Naprawdę już zaczynałem się gubić, ile części mojego ciała zostało dzisiaj sprawdzonych. I które dokładnie.

W pracowni Sigmunda panował idealny porządek, ale w żadnym wypadku nie można było nazwać tej przestrzeni minimalistyczną. Krótko mówiąc, było tu wszystko. Ogromne ilości elementów i części zamiennych do wszczepów, prototypy broni, amunicji i osłon. Wszystkie były równo rozmieszczone na ścianach i stalowych półkach. W dodatku co chwilę można było się tutaj natknąć na wszelkiego rodzaju przyrządy potrzebne do operacji na żywym organizmie. Bądź do testów na martwym. I mimo że wnętrze liczyło około 300 metrów kwadratowych, to raczej nie dało się tutaj zorganizować piątkowej imprezy dla znajomych z butelką wina w pakiecie. W tym miejscu każdy skrawek powierzchni miał ściśle określoną funkcję.

Przyśpieszyłem kroku i po ominięciu wszystkich przeszkód, zobaczyłem w końcu Sigmunda. Siedział pochylony w swoim ergonomicznym fotelu. Jak zawsze

miał na sobie czarny, matowy kombinezon i z niezwykle skupioną miną próbował poskładać coś, co miało znacznie za dużą liczbę elementów. Wiedziałem, że obróci się w moją stronę dopiero wtedy, gdy zbliżę się na odległość około półtora metra. Nie lubił marnować czasu, zwłaszcza na powitanie skacowanego Gustava Draga.

– Witam gwiazdę w Nowym Roku – powiedział w momencie, gdy mechanizm fotela skierował go naprzeciwko mnie. Następnie zeskoczył z niego, zdjął ciemne, lateksowe rękawiczki i mocno uściśnął mi dłoń. – Myślałem, że będziesz później – uśmiechnął się i do uścisku dłoni dodał noworoczne poklepanie po plecach. Chociaż wątpię, że cokolwiek różniło się od standardowego.

– Mam za dużo spraw na wczoraj, żeby pozwolić wylegiwać się swoim promilom w łóżku – odparłem, kierując wzrok na przedmiot, który jeszcze przed chwilą był rozpracowywany przez zwinne palce Sigmunda. Nie przypominał żadnego wszczepu, który widziałbym wcześniej, co oczywiście zbytnio mnie nie zmartwiło. Może to sylwestrowy prezent?

– W tym mieście każdy ma za dużo spraw, i to nie na wczoraj, a na trzy lata do tyłu – roześmiał się Sigmund, jednocześnie zakładając nową parę rękawiczek. – Jesteś gotowy na noworoczny przegląd? – spytał i po chwili wpisał coś na dotykowym interfejsie wbudowanym w fotel. Ten natychmiast bezgłośnie przesunął się w głąb pracowni, a na jego miejscu pojawił kolejny, z tą różnicą, że był prawie dwa razy większy i zawierał gniazda, do których można było podłączyć sporą liczbę przyrządów. Tak, to był właśnie fotel przystosowany do operacji wszczepów. Montażu, usuwania, konserwacji i naprawy. Uczucie podobne do oddania samochodu do mechanika. Tyle że w tym przypadku to ty jesteś samochodem. Prawda, że urocze?

– W tym roku nigdy nie byłem bardziej gotowy – odpowiedziałem słabym żartem, wygodnie się rozsiadając. Nie musiałem nawet rozluźniać mięśni, bo po chwili Sigmund zaaplikował mi środek znieczulający i zwiotczający większość z nich. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się jeszcze w jeden z monitorów, na których wyświetlonych było kilka wykresów.

– Wiesz, że twoje żyły i mięśnie z każdym rokiem są w coraz gorszym stanie? – rzekł, podając mi zawartość dwóch kolejnych strzykawek. – Musiałem zwiększyć stężenie materiału odbudowującego, ale nie pozostanie to bez wpływu na twój metabolizm.

– Po prostu trochę się starzeję – odparłem.

– Zbyt szybko się starzejesz – westchnął Sigmund z zatroskaną miną. – W dodatku masz za dużo wszczepów. Wiesz ile punktów procentowych dzieli cię od przedawkowania?

– Sam mi je przecież montowałeś – próbowałem się roześmiać, ale nie wyszło to zbyt naturalnie.

– Już od trzech lat staram się na to nie zgadzać. I w tym roku naprawdę musimy zrobić przerwę. Przynajmniej na dwa lata.

Przewróciłem oczami.

– To mówiłeś, że ile punktów brakuje mi do przedawkowania?

– Około trzech punktów procentowych.

– To dużo czy mało?

Sigmund głośno się roześmiał.

– Gdybym przed wieczornym wyjściem do baru powiedział ci, że masz trzy procent szans na poderwanie dziewczyny to naprawdę chłodziłbyś szampana?

Uśmiechnąłem się.

– Zależy jaki to szampan. Wbrew pozorom nie jestem aż tak wielkim przeciwnikiem picia w pojedynkę.

Sigmund tylko wzruszył ramionami i dał mi znak, żebyśmy już dłużej nie kontynuowali tego tematu. Przystąpiłem na to i przez kilka kolejnych godzin tylko obserwowałem, jak jego dokładne palce z pomocą dziwnie wyglądających przyrządów rozkręcają moje wszczepy, by później znowu złożyć je do pierwotnej postaci. W przeciwieństwie do typowych biomechaników z Shadow Villens, dłonie Sigmunda nie zawierały żadnych wszczepów. Lubił często powtarzać, że „moje ręce to moje ręce” i wydawać by się mogło, że brzmi to nielogicznie, jednak było całkiem odwrótnie. Jego wyczucie, wręcz na granicy intuicji pozwalało przeprowadzać zabiegi nieosiągalne dla innych przedstawicieli tego fachu. Dlatego od kilkunastu lat nikt inny nie dotykał moich wszczepów, a ja miałem pewność, że nigdy mnie nie zawiodą.

Dotychczas tak właśnie było.

Zanim poruszyłem temat stessera z metra, przez głowę przeleciało mi kilka nieprzyjemnych myśli na temat przedawkowania, które w większości przypadków kończy się śmiercią. Przy odrobinie szczęścia groziła mi „jedynie” śpiączka. Stwierdziłem jednak, że wolę nie wdawać się w kolejną dyskusję z procentów i prawdopodobieństwa, dlatego powróciłem do porannych wydarzeń.

– Pojawiło się coś dziwnego w mieście – zacząłem sprawę niewykrywalnego wszczepu, na co Sigmund tylko się uśmiechnął, nie przerywając wymiany kilku elementów obronnych okalających moje zebra.

– Słyszę takie słowa każdego roku. W tym mieście co chwilę pojawia się coś dziwnego.

– Tym razem to coś innego, coś poważniejszego – kontynuowałem.

– Akurat dokładnie takie słowa słyszy co druga kobieta w barze. – Uśmiech Sigmunda zamienił się na chwilę w pełnoprawny i donośny śmiech. Tak. Miał on jeszcze gorsze poczucie humoru ode mnie.

Westchnąłem, a następnie streściłem poranną historię z metra, starając się nie pominąć żadnego istotnego wątku. Było to niezmiernie ważne, bo na pierwszy rzut oka ta sytuacja nie wydaje się być bardzo niepokojąca. Na szczęście Sigmund doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli mój skaner uzbrojenia działający w trybie rzeczywistym nie może wykryć wszczepu, dodatkowo w którym ukryta jest broń, to zdecydowanie mamy poważny problem.

– I naprawdę ten wszczep był niewykrywalny przez system podstawowego skanowania? – Od razu dało się zauważyć jego zdenerwowanie. Wiedział, że istnieją specjalne pokrowce na broń, które są trudne do wykrycia, ale cały wszczep? I jeszcze

z ukrytą bronią. Sigmund po krótkiej chwili oderwał swoje dłonie od przyrządów i dokładnie przypatrywał się mojej twarzy, jakbym miał zaraz krzyknąć, że to noworoczny żart i moja petycja o nagrodę filmową czeka już tylko na ostatni podpis.

– Tak, wszystko sprawdziłem kilka razy. Rejestry i historię skanowania. Nie może być mowy o jakimkolwiek błędzie.

– A kiedy Røbust wyśle ci dokumenty z przesłuchania tego Öscara?

– Jutro rano.

– To dobrze. A czy Røbust jest w stanie... – zaczął nieśmiało Sigmund.

– ... wynieść jakiś element tego wszczepu na zewnątrz – dokończyłem. – Też o tym pomyślałem i mam zamiar spytać go o to dzisiaj wieczorem.

– Widzicie się dzisiaj?

– Tak, idę na jego koncert. – Gdyby większość moich mięśni nie była zwiotczała, zapewne udałbym, że gram na wirtualnej gitarze solówkę życia.

– Przekaż mu moje pozdrowienia. Dawno go nie widziałem. – Twarz Sigmunda rozpoznała się, jednak nie trwało to zbyt długo. Tylko na chwilę zapomniał o sprawie stessera. – Skoro widzisz się z Røbustem, nasze jutrzejsze spotkanie odnośnie nowej amunicji jest wciąż aktualne?

Westchnąłem.

– Mam nadzieję. To zależy, jak potoczy się dalsza część wieczoru.

Sigmund wbrew pozorom wcale się nie roześmiał, bo doskonale wiedział, że nie mam w planach pić neonowych drinków do 5 rano.

– Czasami mam wrażenie, że zlecenia od niego są twoim ulubionym zajęciem w tym mieście. – Dłonie Sigmunda znowu wróciły do moich wszczepów, ale na szczęście była to już końcowa faza przeglądu. – I w sumie nawet mnie to cieszy – dodał, dokręcając przysłowiową „ostatnia śrubkę”, jeśli śrubką można nazwać biochemiczną płytkę imitującą ludzką skórę.

– Zawsze mi mówisz, że nie pochwalasz tych zleceń – odparłem, lekko się uśmiechając, jednocześnie czując, jak mój system nerwowy powoli wraca do życia.

– To że ich nie pochwalam, wcale nie znaczy, że ich nie lubię – Sigmund odsunął się na fotelu i zaczął wprowadzać dane do raportu przeglądu, a ja wiedziałem jakiego tekstu użyję, mówiąc Lenie, co sędzę o jej działalności na scenie graffiti. „To że tego nie pochwalam, wcale nie znaczy, że tego nie lubię”. Gustav Drag, najdziwniejszy ojciec w całym mieście. Proszę ustawiać się w kolejce po autografy. Tak, tak. Panie, które uważają mnie za przystojnego oczywiście przodem. Można rozpychać się łokciami. I nie tylko.

Zaciskając rytmicznie dłoń, by zwiększyć w niej obieg krwi, zacząłem zastanawiać się nad słowami, które powiedział Sigmund.

– „Zbyt szybko się starzejesz” – pobrzmiwało to w mojej głowie i bardzo niechętnie chciało ją opuścić. Już od jakiegoś czasu czułem, że z moim organizmem jest coś nie tak. Powroty z Sieci były coraz cięższe. Nie wytrzymywałem tam tak długo jak kiedyś, kiedy całodobowe sesje były dla mnie zupełnie naturalne. Również reakcje podczas walki straciły swoją szybkość. Na szczęście udawało mi się jeszcze

maskować to doświadczeniem, jednak to tylko kwestia czasu, zanim jakiś młodziak pokaże mi pięścią neonowy napis zatytułowany „Emerytura”.

– To jakieś noworoczne piwo? – zapytałem, czując, że moje mięśnie powróciły do względnej użyteczności.

– Już się bałem, że nie zapytasz – Sigmund uśmiechnął się szeroko, jednocześnie zdejmując rękawiczki. Następnie podszedł do sprytnie ukrytej lodówki i wyjął stamtąd dwie butelki. Zamiast etykietek miały holograficzny interfejs, który pozwalał na dostosowanie temperatury, zawartości alkoholu oraz kilku opcji, które były zrozumiałe jedynie dla wprawnych piwowarów. Mi wystarczyła jedynie temperatura 11 stopni Celsjusza, 20 gram alkoholu oraz gorzki posmak chmielu.

Przez kilka minut sączyliśmy piwa w milczeniu, jak przystało na starych znajomych, którzy znają się już tak dobrze, że nie muszą przeszkadzać sobie w początkowych łykach złotego trunku. Kiedy dotarliśmy do połowy zawartości, Sigmund zaproponował papierosa. Była to jednak tylko namiastka będąca parą wodną ze sporą zawartością nikotyny. Oczywiście odmówiłem. Sam nie mogłem wyjąć papierosów starego typu, bo kilkanaście czujek rozsianych po całym laboratorium byłoby przekonane, że rozpętałem tutaj pożar stulecia.

– A co u Bleescha? Widzisz się z nim w tym tym tygodniu? – zapytał Sigmund, zerując kilka sekund wcześniej swoją butelkę.

– Nie dalej jak dzisiaj. Przed koncertem Røbusta – uśmiechnąłem się.

– Pozdrów ich. To znaczy tylko naszego rockmana. Do Bleescha sam muszę w końcu zadzwonić i umówić na testy nowej wersji hologramu.

– Pomoże nam lepiej ukrywać cargo podczas przemytu?

– Powiem ci jak inżynier w korporacji – „taką mam cholera nadzieję, bo od tego zależy moja premia”.

– A ja powinienem teraz powiedzieć jak stereotypowy szef tej samej korporacji – „przecież chyba płacę ci wystarczająco”. Ale już wiem, co mi odpowiesz.

– W Shadow Villens nikt nikomu nie płaci wystarczająco – niemal krzyknęliśmy jednocześnie.

– Dlatego zrobimy te testy w najbliższym czasie. Bleesch będzie musiał się tutaj pofatygować – podsumował Sigmund. – Ku chwale premii i większych ładunków.

Po tych słowach Sigmund wyjął kolejne dwie butelki. Wypiliśmy je w całkowitej ciszy, słuchając przerywanych odgłosów przyrządów znajdujących się w laboratorium. Sprawiały wrażenie idealnie połączonego ekosystemu, którego celem było trzymanie mnie przy życiu oraz tworzenie najlepszego uzbrojenia. Tak. Sigmund był moim lekarzem pierwszego kontaktu, a w dodatku zapewniał najlepsze zabawki w mieście. Chyba mogłem go też nazwać swoim przyjacielem, bo nikt nie wiedział o mnie tyle, co on. I nadal mnie lubił. Albo dobrze udawał.

– Muszę już iść – powiedziałem, powoli wstając. Moje nogi mimo że przypominały już sobie o czymś takim jak mięśnie, sprawiały wrażenie zbudowanych z waty. Na pełne pozbycie się środka zwiotczającego z organizmu potrzebowałem około godziny. Jednak dzisiaj nie miałem tyle czasu.

- Nie chcesz zregenerować się w komorze tlenowej? – Zdziwił się Sigmund.
- Mam kilka nowych albumów lokalnych kapel.
- Widzę, że lubisz tam torturować ludzi – roześmiałem się. – „Lokalne zespoły rockowe”. Brzmi jak tytuł jakiegoś horroru.
- Ja tam niektóre lubię. Zwłaszcza gdy mają dziewczynę na basie.
- Widzę, że najważniejsza zawsze jest muzyka – niemal przeliterowałem ostatnie słowo.
- Niektórzy tak mówią. Ja uważam, że najważniejszy jest marketing. – Sigmund głośno się roześmiał.
- Jak wszędzie – westchnąłem. – Dziękuję za propozycję dodatkowej regeneracji, ale zanim spotkam się z Bleeschem, muszę jeszcze załatwić jedną sprawę z Kamperem.
- Pracowity 1 stycznia. Jesteś jak nadgorliwy urzędnik.
- Uśmiechnąłem się.
- Jestem znacznie gorszy.
- W takim razie zapraszam jutro – Sigmund wstał i zaczął odprowadzać mnie w stronę wyjścia. – Jeśli oczywiście będziesz w stanie – dodał, otwierając drzwi.
- Nic nie odpowiedziałem, tylko skwitowałem to szerokim uśmiechem.

Holograficzna Rava znowu się do mnie nie odezwała, tylko odprowadziła mnie wzrokiem, kiedy przechodziłem przez główną nawę katedry. Tym razem było już tu kilka osób. Nie wyglądali zbyt dobrze i wydawali się dziękować sile wyższej, że po ostatniej nocy ich wątroby nie potrzebują wymiany. Dobrze, że moja była syntetyczna i sprawowała się całkiem nieźle od trzech lat. Tak, to mój najbardziej trafiony prezent na sześćdziesiątkę.

Kiedy znalazłem się na zewnątrz, zdałem sobie sprawę, że ilość śniegu potroiła się od mojego przyjazdu. Cadillac – czytaj Creep – był pokryty taką ilością białego puchu, że rozpoznałem go tylko po czerwonym oświetleniu, które poruszało się niczym radar wokół nadwozia. Miało to na celu odstraszenie złodziei, ale jak widać, przydawało się też w lokalizacji.

Przetarłem szybę, a następnie przyłożyłem do niej swoją dłoń, co spowodowało rozbrojenie systemu bojowego. Tak. W Shadow Villens nawet wsiadanie do własnego samochodu wiąże się z niemałymi emocjami.

– Witam panie Gustavie – rzekł Creep, po tym jak znalazłem się w środku. – Wykrywam stężenie alkoholu na poziomie 0,64 promila. Zalecam jazdę wyłącznie przy użyciu autopilota.

– Oczywiście – odparłem. – Gdzież bym śmiał narażać swoje życie. Już mi wystarczy nielegalny handel bronią.

– Bardzo się cieszę. W takim razie gdzie pana teraz dostarczyć? – Creep chyba nie załapał mojego żartu.

– Do „Retro Dinosaur”.

– W takim razie proszę zapiąć pasy i delektować się widokami – zakomunikował, po czym wzbiliśmy się w powietrze.

– Gustav, staruszk. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – krzyknął do mnie mężczyzna o wyglądzie przerośniętego Świętego Mikołaja, kiedy przekroczyłem próg lokalu „Retro Dinosaur”. Nazywał się Kamper i był tutaj właścicielem, barmanem i sprzedawcą. Typowa jednoosobowa działalność gospodarcza. Nie licząc pozostałych barmanów i kelnerów zatrudnionych na czarno.

– Z tej okazji kolejka dla wszystkich. Za zdrowie Gustava – dodał po chwili, ściągając z półki sporą butelkę whisky.

– Też mi poświęcenie – mruknąłem do siebie. W lokalu znajdowały się może trzy osoby. Muszę jednak przyznać, że komunikat Kampera wzbudził na ich twarzach najszczerzą radość. Przedłużenie sylwestrowej imprezy wydawało się być dokładnie tym, czego teraz potrzebowali.

Rozejrzałem się po wnętrzu. Był to loft urządzone w surowym, niemal ascetycznym stylu. Dominował tutaj niewykończony beton oraz solidne, mahoniowe drewno. We wszystko było wkomponowane oświetlenie, które miało możliwość zmiany barwy na dowolną, co często było wykorzystywane podczas całonocnych imprez. Wszystko zaprojektowano w myśl zasady: „im prostsze, tym trudniej to zniszczyć”. W nocnych lokalach ciężko o lepszą filozofię architektury wnętrz, gdzie bójka jest na porządku dziennym. To znaczy nocnym.

Na samym środku sporej sali znajdował się bar, do którego można było podejść z czterech stron. To chyba opus magnum barowej filozofii projektowania. Aktualnie zasiadał tam Kamper i jego pracownica Cara.

– Dzisiaj tylko piwo – powiedziałem, opierając się o blat, który obsługiwał Kamper. – W dodatku dobre, a nie złote szczyzny z dna zbiornika.

– Co ty taki naburmuszony Gustav? Jakie piwo? Nikt tutaj jeszcze nie umarł od lufy pierwszoligowej łychy. A uwierz mi – Kamper pomachał butelką kilka centymetrów od mojej twarzy. – Jest to pierwszoligowy towar. Pierwszoligowy...

– Nadużywasz tego słowa – roześmiałem się. – A ta butelka nie łapie się nawet do okrągówki – dodałem, odsuwając szklankę, wcześniej skanując jej zawartość. Natychmiast przejął ją jeden z zaginionych uczestników sylwestrowej imprezy, pochłaniając ją jednym haustem. Przez chwilę oczekiwał na magiczną dolewkę, jednak Kamper kazał mu odejść niewyszukanym, ale bardzo zrozumiałym ruchem ręki.

– Zawsze zapominam, że w ciągu dnia przesiadują tutaj ludzie, którzy nie mają już żadnych pieniędzy – westchnął, nalewając po kolejce dwóm pozostałym biesiadnikom.

– Zaczynam żałować, że pamiętasz, kiedy mam urodziny – roześmiałem się.
– Ale ty chyba też nie jesteś zadowolony – dodałem, patrząc na mocno opróżnioną butelkę whisky.

– A niech mają – prychnął Kamper, a następnie rzucił flaszkę w stronę stolika. Nie wiem jakim cudem, ale jeden z gości złapał ją kilka milisekund przed roztrzaskaniem. Uśmiechnąłem się. Ludzie z kilkoma promilami we krwi naprawdę mają ukryte supermoce.

– To co cię Gustav sprowadza już na samym początku Nowego Roku?

– Postanowienie noworoczne. „Codziennie uczęszczaj do miejsc, w których właściciel uwielbia fast foody i staraj się namówić go na siłownię”.

Kamper głośno zarechotał, chwytając się za swój wydatny brzuch.

– Mięsień piwny ćwiczony siedem dni w tygodniu. Nigdy nie opuszczam treningów.

– Nie uwierzysz, ale ci... wierzę.

– Dobra, dobra – Kamper machnął ręką, a następnie wyjął spod lady niedojedzonego cheeseburgera – Kto nigdy nie zagubił się w burgerowni, niech pierwszy rzuci okruczem – oznajmił, biorąc sporego kęsa.

– Zapiszę to w pamiętniczku.

– Zapisz, zapisz – Kamper mówił niewyraźnie, pochłaniając kolejne części niedopieczonej bułki z równie niedosmażonym kotлетem. Okruszki o których wcześniej wspominał, lądowały na jego brodzie i pewnie zadamawiały się tam na przyszły tydzień.

– W ogóle może odgrzać ci jednego burgerka? Mam kilka na zapleczu.

– Obędzie się.

– Jak wolisz – wymamrotał ze zdziwioną miną. – Ale dobra Gustav, powiedz mi lepiej, co cię tak naprawdę sprowadza. Nie przychodziłbyś tutaj bez jakiegoś większego powodu. Znam cię nie od dzisiaj.

– Umówiłem się tutaj z Bleeschem za 30 minut, ale wcześniej chciałbym kupić od ciebie kilka rzeczy.

Kamper zmarszczył czoło.

– Kupić dzisiaj? Dopiero dwie godziny temu przyszła dostawa. Jest jeszcze ciepła, czyli stara i zakurzona.

– Właśnie dlatego chcę obejrzeć towar wcześniej, żeby nie przepychać się z innymi. Chyba mógłbyś zorganizować małą prezentację dla stałego klienta.

Kamper przeklął coś pod nosem, ale w końcu machnął ręką na znak, że się zgadza.

– Dobra, już dobra. Ale dzisiaj tylko rezerwacje. Żadnego dowożenia paczek na drugi koniec miasta, czyli tego twojego fensi szmensi domku na przedmieściach.

– Ma się rozumieć – odparłem, idąc już za właścicielem „Retro Dinosaur”, który zmierzał w stronę zaplecza. Kilka sekund wcześniej poprosił Carę, by sama stanęła

za barem. Wiedział, że na razie nie będzie miała dużo pracy, bo dopiero za kilka godzin zaczną się tu schodzić ludzie, a lokal będzie wtedy pękać w szwach i oparach alkoholu.

Wspominałem też wcześniej o pracownikach zatrudnionych tutaj na czarno. Nie chciałem, żeby zostało to źle zrozumiane, ale Kamper tak naprawdę ratował tych ludzi. Nikt inny by ich nie zatrudnił, bo wszyscy byli po wyrokach, często w stanie recydywy. Kamper dzielił się z nimi niepłaconym podatkiem, dzięki czemu zarabiali więcej, a co roku musiał tylko odpalić łapówkę jakiemuś ważniakowi z urzędu skarbowego. Dzięki temu jego pracownicy byli niesłychanie lojalni, bo tylko on wyciągnął do nich pomocną dłoń, a za połowę nieopłaconego podatku mogli wykupić sobie podstawową opiekę zdrowotną. Jeszcze ten wygląd na Świętego Mikołaja z mnóstwem nałogów sprawiał, że chyba nikt w dwunastoletniej historii istnienia „Retro Dinosaur” go nie oszukał. Przykładowo Cara była wychowanką domu dziecka, chociaż było to spore nadużycie. Przebywała tam jedynie półtora roku, zanim uciekła. Później jej kartoteka zapełniała się w tempie wykładowym. Napady z bronią w ręku, kradzieże oraz pobicia. Kiedy sięgnęła już dna, które w Shadow Villens jest naprawdę dosyć nieprzyjemne i mało tam widać, Kamper zaproponował jej pracę. Trudno mi w to uwierzyć, ale od pięciu lat jej policyjny profil nie odnotował żadnego, nowego wykroczenia. Mogę się założyć, że większość policjantów jest przekonana, że Cara już dawno nie żyje.

– Pamiętasz, że płatność z góry? – wyrwał mnie z zamyślenia Kamper, kiedy schodziliśmy na dolny poziom. Była to esencja „Retro Dinosaur”, a mianowicie ekskluzywny sklep ze starymi przedmiotami, których średnia wieku wynosiła 100 – 150 lat. Oczywiście zdarzały się tu także znacznie starsze eksponaty. Ale też odpowiednio droższe.

– Zawsze płacę z góry – odparłem.

– Twój błąd – roześmiał się Kamper, kiedy znaleźliśmy się w głównej sali wystawowej. Nie była jeszcze przygotowana na przyjęcie klientów. Większość towaru była na podłodze, przykryta szarymi pokrowcami, czekając na odpowiednie ustawienie ich na półkach i stołach. Visual merchandising wciąż wypatrywał tutaj swoich lepszych dni.

– Mam kilka rzeczy, które mogą cię zainteresować – rzekł Kamper, zatrzymując się przy dużej skrzyni. Następnie podał mi kartę pamięci, którą umieściłem pod lewym nadgarstkiem. Zawierała szczegółowe informacje na temat sprzedawanych towarów. – Wszystkie konsole do gier, które wyszły w latach 1994 – 2020 – dodał.

Zmarszczyłem czoło.

– Jest tego trochę w Shadow Villens.

Mężczyzna szeroko się uśmiechnął.

– Wątpię, że są to zafoliowane egzemplarze.

Tym razem ja się uśmiechnąłem.

– Lepsze niż mint condition. Gratuluję i zazdroszczę.

– Dasz wiarę Gustav? Ktoś trzymał to nierozpakowane gdzieś na strychu przez 155 lat.

– Wiem, co to znaczy zafoliowane.

– Bierzesz?

– Oczywiście. Tylko się zastanawiam, czy potraktować to jako inwestycję, czy trochę na tym nie pograć.

– Kochasz retro jeszcze bardziej niż ja.

Uśmiechnąłem się.

– Jest pomiędzy nami taka drobna różnica. Ty robisz na tym pieniądze, a ja je wydaję.

– Oj nie przesadzaj – westchnął Kamper. – Po prostu inwestujesz. Zazwyczaj i tak wychodzisz na swoje.

– Zazwyczaj – powtórzyłem cicho pod nosem.

– Ale to też może cię zainteresować. – Kamper podszedł do kolejnej skrzyni, po czym przejechał palcem po wbudowanym na jej powierzchni dotykowym ekranie.

– Cała baryłka whisky z 1983 roku. Wiem – westchnął. – Kosztuje fortunę.

– Mam nadzieję, że podobnie smakuje – odparłem, czytając informacje o kraju pochodzenia, składzie oraz sposobie dojrzewania.

– Na spokojnie się zastanów. Nie nalegam. Ale naprawdę polecam.

Cały Kamper. Mistrz handlu i podjadania w nocy.

– Dobra, zdecydowane. To whisky również chętnie kupię – zakomunikowałem po chwili namysłu. – Ale chciałbym cię spytać o jeszcze jedną rzecz – dodałem nieśmiało.

– Byleby nie była to prośba o prywatny taniec w piwnicy. – Właściciel lokalu zarechotał, ostentacyjnie łapiąc się za swój brzuch.

– Jestem majętny, ale nie na tyle – powiedziałem, jednocześnie wyjmując z wewnętrznej kieszeni kurtki kawałek folii. Był to ekran, ale żeby coś na nim zobaczyć, trzeba było posiadać zaszyfrowany klucz. Zapobiegało to przechwyceniu informacji przez osoby postronne albo rejestracji przez miejski monitoring. Podałem Kamperowi folię, a następnie przesłałem mu kod dekryptujący, który natychmiast zainstalował się w module jego siatkówki.

– Dostałem te zdjęcia dokładnie trzy dni temu – oznajmiłem, cały czas patrząc na Kampera i starając się się wy badać jego reakcję.

– Kto ci to wysłał? – spytał wyraźnie poddenerwowany.

– Nie wiem.

– Ty nie wiesz?

– Naprawdę. Nie jestem w stanie nic namierzyć. Spędziłem pół nocy, śledząc pochodzenie tej wiadomości, aż w końcu trafiłem do pirackiej sieci na Tajwanie.

– Ktoś naprawdę zna się na robocie.

– Ale rozpoznajesz ten przedmiot na zdjęciach?

– Słyszałem o tym.

– Myślisz, że to fejk? Podobno nie istnieje żaden egzemplarz od jakichś 50 lat.

– Podobno – powiedział cicho Kamper, gładząc się po brodzie. – Mówią, że stworzono trzy, ale wszystkie zostały zniszczone. Krążą miejskie legendy, że jeden

przetrwiał. To znaczy inaczej. – Zrobił krótką pauzę. – Nie ma dowodów, że jeden został zniszczony.

– Jakich dowodów?

– Też nie wiem do końca. Powtarzam ci, co mówią przy barze w godzinach porannych. Chyba nie jesteś świadomy, jakie bzdury wygadują kolesie, którzy dobijają do górnej granicy promili. Naprawdę trochę się tego nasłuchiłem.

Przewróciłem oczami.

– Nie ty jeden – roześmiałem się. – Czyli chcesz powiedzieć, że urządzenie, które pozwala wymazać czyjaś świadomość z ciała, by później przenieść do niego własną, istnieje naprawdę?

Kamper znowu głęboko westchnął.

– To właśnie chcę powiedzieć. – Zrobił krótką pauzę, by wyjąć papierosa. Po chwili się rozmyślił i schował go z powrotem do paczki. – A nadawca załączył jakąś wiadomość?

– Tak. Chce się spotkać.

– Kiedy?

– Za trzy dni – odparłem. – Mam być sam i nieuzbrojony.

– Wspaniale – rzekł Kamper, dodając na końcu kilka mocnych przekleństw.

– Chcesz się tam wybrać?

– Zastanawiam się.

– Boisz się, że to pułapka?

– Zakładam, że to pułapka – roześmiałem się.

– A pokazywałeś to ustrojstwo Sigmundowi?

– Na razie nie. Ma masę innych rzeczy do roboty. Pogadam z nim o tym dopiero po spotkaniu z nadawcą wiadomości.

– Potrzebujesz obstawy? – Głos właściciela „Retro Dinosaur” był poważny i stanowczy. Mimo że jego wygląd temu przeczył, w bezpośrednich starciach był naprawdę trudnym przeciwnikiem. I doskonale znał się na hakowaniu systemów.

– Dam radę sam.

– Nawet jak będą mieli przewagę liczebną?

– Umiem dobrze rozplýwać się w powietrzu.

Kamper głośno się roześmiał.

– To akurat najlepiej wychodzi ci na imprezach.

Uśmiechnąłem się, a następnie jeszcze raz spojrzałem na zdjęcie wyświetlane na kawałku folii. Słowo „urządzenie”, którego użyliśmy, było dużym niedopowiedzeniem. Całość składała się z wielu modułów zajmujących spory pokój. Dwa fotele z ogromną ilością przewodów, złącz oraz wtyczek, które były zsynchronizowane z ogromnym interfejsem sterującym. Nawet nie chciałem wiedzieć, ile ludzi jest w stanie zapłacić za to nieskończoną ilość pieniędzy. W dzisiejszych czasach, kiedy można znacznie przedłużać długość swojego życia, dobijając do 120 lat w całkiem niezłej formie, nadal nie udało się nikomu stworzyć tak dobrej kopii ludzkiego ciała, żeby przenieść tam ludzki umysł. Mogliśmy polegać tylko na wszczepach i implantach, które były bardzo obciążające dla organizmu.

Dlatego urządzenie ze zdjęcia, jeśli naprawdę istniało, było cholernie sporo warte. Nie tylko przeniesienie swojej świadomości do młodego ciała brzmiało kusząco, ale równie ważna była możliwość zerwania ze swoją przeszłością. Jeśli masz ponad 100 lat na karku, dawne czasy lubią o sobie przypominać. Zwłaszcza kiedy ściga cię policja lub jakaś mafijna organizacja. Albo oni wszyscy jednocześnie.

– To czego ode mnie oczekujesz Gustav? – spytał wyraźnie poirytowany Kamper. – Rozumiem, że nie chcesz mojej pomocy, ale też nie mogę ci na 100 procent potwierdzić, że to cholerstwo istnieje. Znam je tylko z plotek.

– Jeśli całkowicie nie wykluczyłeś jego istnienia, to już mi wystarczy, żeby zainteresować się tematem.

– Jak w coś się wpakujesz Gustav, będę ostatnim, który będzie ratować twoją starą dupę.

– Skończy się jak zawsze. Ostatni będą pierwszymi. – Poklepałem Kampera po plecach. Ten pokręcił tylko głową i wzruszył ramionami.

– Jak wolisz. Ale zanim pójdziesz na to spotkanie, chociaż wyślij mi i Røbustowi kody dostępu, żebyśmy mogli śledzić twoje położenie.

– Nie jestem siedemnastolatką, która wraca z pierwszej imprezy na mieście.

– Po pierwsze. Jesteś znacznie gorszy. Po drugie. Nie wkurzaj mnie. Po trzecie. Jeszcze nie dostałem przelewu za konsole i whisky.

– Spokojnie. Zaraz będziesz mieć pieniądze na koncie – odparłem, a w tym samym momencie dostałem wiadomość od Bleescha, że czeka na górze od pięciu minut.

Bleesch miał czarno – żółte włosy zaczesane do tyłu, nienaturalnie niebieskie oczy, wszystkie zęby zastąpione neonowymi implantami, a całość dopełniał śniadą karnacją. Jego dzisiejszy ubiór to znoszona, skórzana kurtka z ogromną liczbą iluminujących światełek oraz koszulka piłkarska miejscowego klubu Shadow Villens Crabs. Podobno posiada ich ogromną kolekcję.

– Masz papierosa? – spytałem, dosiadając się do stolika. Bleesch sączył piwo, w którym proporcje płyn – pianka zdecydowanie wypadały na korzyść pianki.

– Jasne – odparł bez zastanowienia, podając mi matowy kawałek plastiku odpowiadający wymiarom papierosowi.

– Nie masz zwykłych? To znaczy retro – westchnąłem i obróciłem plastik pomiędzy palcami, zupełnie jakby była to miniaturowa pałka od perkusji.

– Ostatnio nie. Stary, wiesz ile to kosztuje? Ci kolekcjonerzy całkowicie oszaleli. Masakra stary.

– Nadużywasz słowa „stary” – roześmiałem się. – Wiem, że mam dzisiaj urodziny, ale nie musisz mi o tym przypominać.

– Stary, przepraszam i wszystkiego najlepszego. – Bleesch potrząsnął głową, jakby chciał zrobić szybki reset własnego umysłu. – To znaczy Gustav. Naprawdę cię przepraszam. Nic nie spałem. Całą noc byłem na imprezie. Ktoś mnie poczęstował jakimiś prochami w kiblu, aż się dziwię, że dałem radę tu trafić.

– Mogłeś dać mi znać, przełożylibyśmy spotkanie na jutro – odparłem z nieudawanym zrozumieniem.

– Spoko Gustav, nie ma co się nade mną rozczulać. Jak mam być, to zawsze jestem. Przecież jeszcze nigdy cię nie zawiodłem. Zgadza się?

– Zgadza się – potwierdziłem, po czym wyciągnąłem z marynarki zafoliowaną paczkę tytoniowych papierosów i położyłem obok ręki zaskoczonego Bleescha.

– Prezent od firmy z okazji Nowego Roku.

– Stary, nie trzeba. Przecież to ja powinienem ci coś sprezentować.

– W twoim aktualnym stanie trochę się boję twoich prezentów.

Bleesch przez chwilę zastanawiał się, czy na pewno przyjąć podarunek, jednak teraz był bardzo słabym przeciwnikiem dla swoich nałogów. Głęboko westchnął i po chwili schował papierosy do kieszeni, wcześniej wyjmując 2 sztuki. Jednego papierosa włożył sobie za ucho, a drugiego przesunął w moją stronę.

– Podatek od wzbogacenia – roześmiał się.

– Urząd skarbowy przyjmuje wpłatę – powiedziałem, również wsuwając fajkę za małżowinę.

– Ej kopciuchy – krzyknął nagle zza baru Kamper. – Tu się nie pali. Bo będzie wyjazd z imprezy.

– Dobrze tato – zakomunikował Bleesch, unosząc rękę. Warto zaznaczyć, że nie byli spokrewnieni w najmniejszym stopniu. Przemytnik rozejrzał się jeszcze dookoła, natrafiając tylko na trzy osoby, które nadal sączyły whisky od Kampera. – Faktycznie niezła tutaj impreza – zadrwił.

– To jak wygląda sytuacja z Lizboną? – spytałem, włączając moduł szyfrujący naszą rozmowę.

– Jak zawsze. Same problemy ze szczyptą kłopotów – uśmiechnął się Bleesch, eksponując swoje neonowe uzębienie. – Ciągłe zastanawiam się, jak przetransportować ładunek przez ocean. Droga wodna czy powietrzna. Każda ma swoje plusy, ale...

– Również dużo minusów – wtrąciłem.

– Właśnie. Wodna na pierwszy rzut oka wydaje się bezpieczniejsza, bo straż przybrzeżna to nie takie bystrzaki jak ci szaleńcy z myśliwców. W dodatku można ich łatwiej przekupić w razie wpadki.

– Po twoim tonie głosu wnioskuję, że będziesz chciał mnie i tak przekonać na drogę powietrzną.

Bleesch przymknął jedno oko i skrzywił usta.

– Znasz mnie. Wolę latać, niż pływać.

– Powinni ten tekst oprawić i powiesić nad każdym wejściem do szkoły. Brzmi jak pierwszorzędny coaching – powiedziałem z uśmiechem, ale wiedziałem, że Bleesch miał rację. Był doskonałym pilotem. W końcu kilka lat służył w wojsku

i latał największymi szrotami, zanim jego dowódcy zauważyli, że naprawdę ma talent. Naturalnie umiał pokierować też statkiem, ale nauczył się tego fachu – jakby to powiedzieć, żeby ładnie brzmiało – w czasie wolnym.

– Oczywiście Gustav, żeby było jasne... – Bleesch zrobił krótką pauzę, żeby wyzerować swój kufel ze złotą zawartością. – Decyzja należy do ciebie. Nie będę ci się wpieprzać.

– Ten tekst też powinni dać w ramkę... W każdej firmie – odparłem, a następnie to ja na chwilę zamilkłem. – Możesz to zrobić samolotem. Tym razem niech ktoś inny dostanie choroby morskiej.

Przemysłnik próbował ukryć swoją radość, ale nie wyszło to za dobrze, bo niemal natychmiast zamówił kolejne piwo.

– Pozostała jeszcze kwestia zespołu – zaczął, jednocześnie obserwując Carę, która była już zajęta napełnianiem sporego kufła. Tak. W „Retro Dinosaur” procedury działały jak w pierwszorzędnej korporacji. Zwłaszcza te dotyczące imprezowego nastroju swoich klientów.

– Pewnie potrzebujesz więcej ludzi niż zwykle.

– Niestety. Po pierwsze nie robiłem nigdy przerzutu z Portugalii. Rozmawiałem wczoraj ze swoim starym znajomym, do niedawna jeszcze robił w branży, teraz weźmie jakąś fuchę od wielkiego dzwonu i najbardziej narzekał właśnie na Portugalię. Celnicy, wojsko i psy podobno nie pieszczą się tam zbytnio z tematem. Kulkę można wyłapać za darmo, a jak dobrze wiesz, ja tam będę na bardzo dużym kredycie zaufania dla legalnego pobytu.

– W porządku. Jak zorganizujesz ludzi, wyślij mi tylko wiadomość o wysokości przelewu.

Bleesch znowu mrugnął jednym okiem lub wydawało mi się, że to zrobił. Albo to tiki po prochach z Sylwestra.

– Wszyscy są już zorganizowani i czekają tylko znak, że zaczynamy.

– Moja poprzednia odpowiedź nadal pasuje.

– Dobra. Dzisiaj wyślę info, ile dokładnie kasy tam wyszło.

– Świetnie. To samo odnosi się do sprzętu i samolotu. Podlicz koszty z lekką nadwyżką, jeszcze dzisiaj to ureguluję.

Bleesch wyciągnął papierosa zza ucha i na kilka sekund włożył go do ust, jednak zakaz palenia sponsorowany przez Kampera skutecznie odebrał mu chęć użycia zapalniczki. Zdjęcie właściciela „Retro Dinosaur” powinno wisieć w ośrodkach terapeutycznych. Bałbym się nawet spojrzeć na paczkę fajek.

– Info o miejscu załadunku jak zawsze dopiero kiedy wyląduję? – Bleesch włożył z powrotem papierosa za ucho.

– Tak. Jedyne co teraz potrzebujesz wiedzieć, to dwie rzeczy. Lizbona oraz 23 stycznia. Tak jak wspominałem tydzień temu, ładunek będzie ważyć około 20 ton. Model 3d rozłożenia towaru na paletach masz już wgrany do chmury, więc dobierz tylko odpowiednią maszynę.

– Nielegalna wypożyczalnia samolotów to naprawdę nie jest supermarket.

– Bleesch zmarszczył czoło. – Ale dobra. Myślę, że coś znajdę.

– A kiedy planujesz być w Portugalii?

– Wylatuję wieczorem 8 stycznia. Prawie 2 tygodnie na miejscu powinny wystarczyć, żeby wszystko dograć.

Uśmiechnąłem się. Wiedziałem, że Bleesch mnie nie zawiedzie. Zrobiłem z nim już kilkanaście przerzutów i nigdy nie stracił zimnej krwi, mimo że niektóre sytuacje były gorące jak wódka w tanich barach Shadow Villens. Klasycznie nie spytał o rodzaj przemycanego towaru. Uważał, że to przynosi pecha, a w razie zatrzymania przez celników naprawdę nie miał pojęcia, co przewozi.

Miałem już wypowiedzieć ostatnie sławne słowa w stylu „będziemy w kontakcie”, kiedy dosiadł się do nas Kamper, trzymając w rękach trzy duże kufle piwa.

– Nie mogę już na was patrzeć, jak się tu męczycie – powiedział, podsuwając nam szkło pod same nosy. – Szczególnie na ciebie Gustav. Dręczysz tu chłopaka, ja w jego wieku byłbym jeszcze w środku sylwestrowej imprezy. A ty jak zwykle jedno: „Biznes, biznes i pieniądze”.

– Zdrowia, zdrowia i jeszcze raz pieniędzy – odparłem, cytując swoje ulubione życzenia urodzinowe, które jak widać, musiałem złożyć sobie sam. – Ktoś musi napędzać gospodarkę tego miasta – mruknąłem.

Kamper zachnął i machnął ręką w ostentacyjny sposób, jednocześnie stukając swoim kuflem o dwa pozostałe.

– Na koszt firmy – krzyknął tak głośno, że usłyszał go pewnie sąsiedni budynek. Typowe zachowanie każdej działalności gospodarczej. Jeśli coś sponsorujesz, niech dowie się o tym jak największa liczba osób. Nawet jeśli fundowanym towarem byłyby to tylko długopisy z firmowym logo.

– To chyba mój szczęśliwy dzień – powiedział trochę ironicznie Bleesch, upijając trochę pianki. – Wszyscy stawiają.

– Jednak opłacało się trochę popracować w pierwszy dzień roku – roześmiałem się, co było trochę paradoksalne, bo przez resztę naszego spotkania w ogóle nie rozmawialiśmy o pracy. Bleesch i Kamper prześcigali się w coraz śmieszniejszych sylwestrowych opowieściach. Prym wiódł oczywiście Kamper, bo nie tylko wyglądał jak rubaszny wujek z wesela, posiadał też gawędziarki talent, który średnią historię przemieniał w scenariusz do najlepszej komedii. Jedyne niechęć do papierosów odróżniała go od klasycznego wujaszka. Takiego, który przerwy pomiędzy kolejnymi kuflami, lubił wypełniać gęstym, tytoniowym dymem.

Nie mam pojęcia kiedy, ale czas zleciał strasznie szybko. Creep aż musiał przesłać mi wiadomość, że jest już 19:30 i jeśli nie chcę spóźnić się na koncert i spotkanie z Røbustem, muszę wyjść w ciągu pięciu minut. Miał rację. Klub „Credits to Doughnuts” znajdował się po drugiej stronie miasta. Pośpiesznie pożegnałem się z Bleeschem i Kamperem, wiedząc, że nasze ścieżki przetną się jeszcze wiele razy w tym roku. Biznesowo oraz prywatnie. Nie byłem tylko pewny w jakich proporcjach.

Rozdział 2

„*** \$ \$ \$ *** ”

Zatrzymałem samochód kilka metrów od wejścia do klubu. Niestety w promieniu kilkuset metrów nie było możliwości, aby zaparkować, więc poleciłem Creepowi, aby po moim wyjściu sam znalazł najbliższe miejsce spełniające dwa warunki. Miało być w jak najmniejszym zasięgu miejskiego monitoringu. W końcu im mniej kamer do zhakowania, tym lepiej. Powinno mieć też wymiary większe niż standardowe 2,5 x 5 metrów. Nie chciałem, żeby ktoś zarysował mi auto, bo mogło to się skończyć niezbyt dobrze dla obydwu stron. Ja musiałbym wydać fortunę na lakiernika, a samochód był ustawiony w trybie czuwania połączonym z bojowym. Naprawdę byłoby szkoda, gdyby niewytrwany kierowca wylądował w szpitalu przez kilka rys na moim Cadillacu. Żartuję. Oddział Intensywnej Opieki Medycznej to adekwatna kara nawet za jedną ryskę.

Oczywiście mógłbym poprosić Creepa o unoszenie się kilka metrów nad ziemią w pobliżu klubu, ale było to niewygodne z dwóch powodów. Zbyt to zwracało uwagę oraz paliwo kosztowało fortunę.

Neon nad wejściem układający się w napis „Credits to Doughnuts” zdecydowanie pamiętał lepsze czasy. Podobnie jak sam lokal. Mimo to przed wejściem zebrała się spora grupka ludzi, którzy chcieli zobaczyć lokalną scenę muzyczną w Nowym Roku. Uśmiechnąłem się. Bardzo możliwe, że wyszli oni na zewnątrz na przysłowiowego papierosa, a ich sylwestrowa impreza trwa już od 24 godzin.

System monitorujący szybko ich sprawdził, potwierdzając moje przypuszczenia. Praktycznie nie byli uzbrojeni, nie licząc krwiobiegu zawierającego sporą dawkę alkoholu i tanich narkotyków. Ich przeciwnieństwem był bramkarz, który brak uzbrojenia zamienił na dwa pistolety z tłumikiem ukryte pod koszulą, a używki również na... używki, tyle że zawierające nadprogramową ilość białka. W końcu duże mięśnie nie biorą się z owsianki. Jak to czasami próbują wmówić wnuczkom wszystkie babcie w mieście.

Zanim podszedłem do ochroniarza, mój wzrok przykuł holograficzny plakat informujący o dzisiejszym koncercie. Oprócz kolorowej grafiki przedstawiającej banknoty o dużych nominałach rozrzucone na stosie donatów, poniżej znajdowała się nazwa koncertu brzmiąca równie tandetnie, co nieprawdziwie – „Początek najlepszego roku z najlepszymi zespołami w Shadow Villens”. Ani ten rok, ani te zespoły nie były w zasięgu słowa „najlepszy”. Może tylko Røbust prezentował jakiegokolwiek poziom, jednak dopiero zaczynał, więc według rozpiski grał pierwszy. Całe szczęście.

– Na koncert? – spytał bramkarz, kiedy zbliżyłem do wejścia.

– Patrząc na zespoły, bardziej do baru – odparłem, szeroko rozkładając ręce oraz kwitując to szerokim uśmiechem.

Ochroniarz raczej nie podzielał mojego entuzjazmu, więc istniały dwie możliwości. Albo jego poczucie humoru zrobiło miejsce na mięśnie i wyprowadziło się dawno temu, albo wiedział, że poziom baru oraz zespołów jest podobnej jakości. Dlatego tylko pobieżnie mnie przeskanował i ostrzegł, żebym nie próbował wszczynać żadnych bójek. Na moje zapewnienie, że brzydzę się przemocą, stwierdził, że takie dziadki jak ja zawsze robią największe problemy. No tak. Tylko babcie dają czekoladę z nadzieniem w postaci dwóch stów. A takie dziadki jak ja często kłamią, że tak bardzo boją się, przestawić komuś szczękę.

Wnętrze klubu wyglądało tak, jak się spodziewałem. Każdy zespół, który zaczynałby tutaj karierę, w późniejszych wywiadach wspominałby ze łzami w oczach, w jakich trudnych warunkach musieli startować. Strop znajdował się kilkanaście centymetrów nad moją głową, scena była wąska i ustawiona niemal na tym samym poziomie co publiczność. Ta też nie miała wcale łatwiej. Wystarczyło wyżej podskoczyć, by przebić się głową do sąsiedniego lokalu. Zaciekało mnie, jak tutaj wygląda taniec pogo, bo mogę się założyć, że nie obywa się bez ofiar w ludziach.

Podszedłem do baru będącym chyba jedynym pozytywnym akcentem tego klubu. Nie było to dużą niespodzianką. Założę się, że każdy właściciel takiego lokalu, gdyby tylko mógł, zostawiłby jedynie bar, wyrzucając całą muzyczną otoczkę. Z muzykami i ich fanami zawsze są największe problemy. W końcu jestem ojcem osiemnastoletniej córki, wiem, że muzycy to największe zagrożenie. Zwłaszcza ci lokalni, ledwo wiążący koniec z końcem.

Zanim zamówiłem małe piwo, przeskanowałem zgromadzoną już całkiem tłumnie publiczność. Sensory wykazały dużą zawartość potu, feromonów oraz alkoholu. Pozwalało to przypuszczać, że wiele z tych osób straci dzisiejszej nocy resztki godności. Tak, wiem. Jeśli mają jeszcze cokolwiek do stracenia.

Za barem stał dzisiaj Vampir, co oczywiście było tylko jego pseudonimem. Kojarzyłem go z innych lokali, bo jak widać, nie gardził żadnym zleceniem. Od razu dostał za to dodatkowe punkty w prywatnym rankingu Gustava Draga. Zła wiadomość dla wszystkich zainteresowanych. Żadne nagrody nie są przewidziane.

– Cześć Gustav. Wszystkiego dobrego w Nowym Roku – rzekł Vampir z typową dla siebie mimiką. Czytaj: żadną. Ubrany był w czarny kombinezon z delikatnie iluminującymi wstawkami, a jego blada skóra jak zawsze mocno z tym kontrastowała. Nie było wielką tajemnicą, że uwielbiał wszczepy, bo wszystkie jego kończyny – obie ręce i nogi były implantami. Musze też wspomnieć, że były nieskazitelnie białe, chociaż bez problemu mógł wybrać powłokę ze sztucznej skóry. Ksywa Vampir jednak zobowiązuje. Chociaż dla mnie bardziej pasowałaby „Mr. Contrast”. Tak, wiem. Jestem niezbyt dobry w wymyślaniu pseudonimów.

– Cześć Vamp. Tobie też wszystkiego dobrego. – Nie wiem, czy Vampir lubił skracanie swojej ksywki, ale jak widać w tym fachu również nie zarobiłbym milionów. – Dla mnie dzisiaj tylko sok „banan – porzeczką”. – Złożyłem

bezalkoholowe zamówienie, bo miałem już dosyć procentów dzisiejszego dnia. W dodatku bardzo możliwe, że dzisiaj w nocy czekała na mnie robota. To jednak zależało od Røbusta, który właśnie wyszedł na scenę, by rozpocząć rozstawianie swojego sprzętu. Nie było to jednak aż tak skomplikowane, bo w przeciwieństwie do większości zespołów w Shadow Villens, grał on sam, jedynie w akompaniamencie gitary akustycznej. Wystarczyły tylko dwie ścieżki w mikserze, bardzo podobnie do tandetnych zespołów disco. Wokal plus podkład, jednak nawet głuchy zauważyłby różnicę. Gitara grana na żywo kontra wcześniej zaprogramowana muzyczka z październikowym klawiszem na czele. Moje ręce prawie pokryły się gęsią skórą na samo wspomnienie brzmienia tego keyboardu.

– Jasne. Dla ciebie na koszt firmy – mruknął Vampir, rozlewając dwa soki w idealnych proporcjach, czytaj – pół na pół. Niektórzy tak samo mieszają wódkę z colą. Przepraszam. Często to alkohol miewa przewagę.

– Nie trzeba. Zapłacę – odparłem. – Wszyscy muzycy dzisiaj dojechali? – zagadnąłem, żeby podtrzymać rozmowę, chociaż naprawdę chciałem poznać odpowiedź na to pytanie. Noc z 31 grudnia na 1 stycznia mogła wyrządzić naprawdę poważne szkody w ich planach na dzisiejszy dzień. Oczywiście liczyłem, że tak się stało. Na plakacie doliczyłem się sześciu wykonawców, a Røbust pewnie będzie musiał wysłuchać występy wszystkich do końca, żeby okazać respekt lokalnej scenie. Sam kiedyś grałem, więc wiem, jak to wygląda.

– Muzycy? – zdziwił się Vamp, niemal rozlewając sok porzeczkowy. – Jacy muzycy Gustav. Ten, co się teraz rozstawia, jest z policji. Rozumiesz? Pies rozpoczyna mi koncert w Nowy Rok. To miasto już mnie niczym nie zaskoczy – dodał trochę podniesionym głosem, co w przypadku Vampira było sporym osiągnięciem.

– Znam go. Jest w porządku.

– Tak mówi twoja dziewczyna, kiedy przychodzi na imprezę z nowym chłopakiem.

Roześmiałem się, a Vampir kontynuował.

– Nie chcę wnikać w twoje preferencje, ale po nim wchodzi jakieś błązny z korporacji grający po godzinach, a później to nawet nie chce mi się sprawdzać.

– Jego bezosobowy ton wydawał się być nawet zabawny.

– Czyli twój nowy rok rozpoczyna się z całkiem niezłą ścieżką dźwiękową.

– A twój z całkiem niezłym drinkiem. – Vamp przesunął szklankę z sokiem w moją stronę, a mnie jak zwykle zachwyciła mieszanina odcieni żółtego i fioletowego.

– Dzisiaj sprowadzają mnie tu interesy, a nie garażowe melodie. – Wziąłem dużego łyka i spojrzałem w prawo, gdzie całkiem spora grupka osób chciała mnie zamordować za blokowanie barmana. Vampir w swoim stylu nic sobie z tego nie robił.

– Układasz się z tym psem? – spytał.

Uśmiechnąłem się.

– Mam strasznie dużo punktów karnych i jeszcze więcej mandatów za złe parkowanie.

– Rozumiem. Nie mój interes – rzekł Vampir, po czym pierwszy raz od początku rozmowy szeroko się uśmiechnął, to znaczy lekko uniósł kąciki ust. – Dam ci radę od starego barmana. Od układów z policją nikt nie zrobił się ani bogatszy, ani mądrzejszy.

– Wzruszające. Zastanawiam się teraz, czy sobie to wytatuować, czy może tylko zapisać w pamiętniczku.

– Wystarczy zapamiętać.

– Zapamiętam. – Wyzerowałem szklankę soku, a następnie zostawiłem duży napiwek, dziękując za piękny cytat do Złotych Myśli. Barman tylko wzruszył swoimi cybernetycznymi ramionami, a ja ruszyłem w stronę wydzielonej przestrzeni, która w „Credits to Doughnuts” przekornie była nazywana sceną.

Røbust wreszcie mnie zauważył, ale było widać po nim lekką treść, więc tylko nerwowo mi pomachał. Jednocześnie ustalał ostatnie szczegóły z akustykiem. Nie znałem go, ale można było uznać to za plus. Nigdy nie miałem zbyt dobrych doświadczeń z klubowymi dźwiękowcami, dla których prośby typu „odsluchy trochę głośniejsze” brzmiały jak czarna magia pomieszana z najtrudniejszym dialektem chińskiego. Miałem jednak nadzieję, że tym razem będzie inaczej. W końcu dobre nagłośnienie dwóch ścieżek w miksie – wokalu i akustycznej gitary, nie wydawało się być nauką o rakietach. Oczywiście każdy akustyk w Shadow Villens powie wam, że jest to znacznie trudniejsze.

– Cześć wszystkim. Witam w kolejnym roku w tym pięknym mieście – zaczął ironicznie Røbust, ale publiczności nawet się to spodobało. Rozległy się krzyki w geście radości, zamiast ostrych przedmiotów lecących w stronę sceny. Potraktowałem to jako dobry znak. Røbust chyba również, bo przełożył przez ramię pasek od swojej gitary, po czym usiadł na podwyższonym stołku.

– Pierwszy utwór chciałem zadedykować wszystkim osobom, które mają ogromnego kaca po ostatniej nocy. Pochodzi on z mojej debiutanckiej płyty... – przerwał na chwilę, biorąc duży łyk piwa. – Oczywiście nie kac, tylko utwór. Chociaż wspominając czas w studiu, musiałbym się trochę zastanowić, czy aby na pewno. – Skurczybyk umiał radzić sobie z widownią, która wybuchnęła głośnym śmiechem. Na chwilę się odwróciłem i spojrzałem w stronę Vampira, który z politowaniem kręcił głową. Najwidoczniej bardzo nie lubił policjantów, a tym bardziej tych rozśmieszających publikę.

– To zaczynamy. Kawalek nazywa się „Przeklęty”. – Tym razem Røbust krzyknął i zaczął grać szybki riff, a ktoś z publiczności wrzasnął, że tytuł pasuje do kaca. Nie będę kłamać, nawet trochę się uśmiechnąłem.

Koncert trwał około 30 minut i musiałem przyznać, że było nieźle. Utwory były proste, ale nie prostackie, wokal i melodie na swoim miejscu, a sama prezencja Røbusta znacznie się poprawiła, odkąd ostatni raz widziałem jego występ. Kobiety wśród publiczności chyba podzielały to zdanie, bo poziom damskich feromonów w powietrzu znacznie przekraczał skalę. Naprawdę zacząłem się trochę obawiać

o Røbusta. Jeśli dzisiejszej nocy zechce wykorzystać swoją chwilową popularność, odwodnienie ma gwarantowane. Plus kilka chorób gratis.

Po tym jak wybrzmiały ostatnie dźwięki jego gitary, zszedł ze sceny i skierował się w stronę zaplecza. Dał mi znać na migi, że musi wziąć szybki prysznic, co przyjąłem z nieskrywaną ulgą. Spocony policjant z gitarą brzmiał jak synonim słowa kłopoty. Zamówiłem u Vampira szybką dolewkę soku bananowo – porzeczkowego i usiadłem przy wolnym stoliku znajdującym się w punkcie najbardziej oddalonym od sceny. Nie musiałem długo czekać, bo po kilku minutach zauważyłem, jak Røbust idzie w moją stronę. Zdążył się już przebrać. Flanelową koszulę zamienił na czarną bluzę z kapturem, a przetarte džinsy na... trochę mniej przetarte džinsy.

Podczas mijania kolejnych osób nietrudno było nie zauważyć śledzących go spojrzeń. Nie było to tylko spowodowane zagraniem pół godziny temu koncertem. Prawda była zatrważająco prosta. Røbust wyglądał naprawdę dobrze, a większość kobiet z miejsca przypięłaby mu łatkę „przystojny”, „ciacho” lub „przygoda na jedną noc pomnożona przez 365”. Miał lekko kręcone, długie blond włosy, szczękę z dobrze zarysowanymi kośćmi policzkowymi i uśmiech, który skłoniłby twoją babcię, aby przekazała mu wszystkie pieniądze odkładane dla prawdziwego wnuczka. Czyli na ciebie.

– Dobrze było? – spytał, dosiadając się do stolika. Był jak każdy muzyk. Nieważne czy amatorski, czy profesjonalny wypełniający wielkie stadiony. Po każdym koncercie zapyta swojego rozmówcę, czy mu się podobało, czy dobrze brzmiał, czy jego muzyka zmieni świat.

– Nie umiem odpowiedzieć. Nie wiem, jak było pod prysznicem. – Roześmiałem się, za co otrzymałem lekki cios w przedramię.

– Garderoba w tych klubach to rock’n’roll w wersji demo. Prysznic jest brudny, woda zimna, a jedyną kobietą, którą tam znajdziesz, jest owłosiony właściciel lokalu żądający kasy za pożyczanie mikrofonu.

– Nie da nawet dyszki na kebaba?

– Zapomnij.

– Przez chwilę chciałem wrócić do grania, ale na szczęście przypomniałeś mi, jak to wygląda. Szkoda, że nie znałem cię w liceum.

Røbust pokręcił głową, jednocześnie się uśmiechając.

– Jak ty byłeś w liceum, moi rodzice nawet się nie znali.

– Wzruszające – uciałem, chcąc już zmienić temat naszej rozmowy i przejść do głównego powodu spotkania. – To kto jest szczęśliwcem w tym tygodniu?

Mój skaner wykrył, że Røbust lekko napiął mięśnie.

– Przeskanowałeś ten klub? Na pewno możemy tutaj bezpiecznie pogadać?

– Sam chciałeś się tu spotkać. Chyba że wolisz romantyczny nocny spacer w zaspach śniegu – zażartowałem. – Nie martw się. – Zamknąłem oczy na kilka sekund, aby wejść do Sieci. – Sprawdziłem właśnie to miejsce i nic, ani nikt nas tutaj nie nagra. Nasza rozmowa jest od teraz szyfrowana na kilkanaście sposobów. Naprawdę nie chciałbym być na miejscu nieszczęśnika, któremu kazaliby łamać ten plik.

Røbust pokiwał głową z wyraźną aprobatą. Odwrócił się jeszcze na chwilę w stronę sceny, gdzie swój sprzęt rozkładali kolejni muzycy. Byli to chyba grający po godzinach pracownicy korporacji, o których wspominał Vampir. Każdy z nich miał normalną pracę na etacie, by utrzymać swoje drogie hobby. Było to dość typowe wśród lokalnych grajków. Porządny sprzęt muzyczny od zawsze kosztował krocie.

– Podziwiam cię, że jeszcze się tam nie zgubiłeś – wyrwał mnie z zamyślenia Røbust.

– Gdzie? W Sieci?

– Tak. Znam wiele osób, którzy się tam całkowicie zatracili. Mówię ci. Totalne warzywa. Widziałem nawet kilka farm. Ludzie leżą na obszczanych materacach, oczy wywinięte na drugą stronę, z bezzębnym uśmiechem i wagą w okolicach 40 kilo. Nawet już nie wychodzą do rzeczywistości, żeby coś wszamać, tylko kropiółka dożylnie i byle do przodu.

– Raczej do tyłu – westchnąłem. Wiedziałem, o czym mówi. Sieć odkąd powstała, zawsze zawierała 90 procent gówna i naprawdę potrzeba było ogromnego wysiłku, żeby tam nie przepaść. Dopamina serwowana szybciej niż w najtańszym fast – foodzie. Nie chciałem teraz wspominać, że ostatnio sam zacząłem mieć problemy po wylogowaniu. Neuropzekaźniki w moim mózgu pewnie były w opłakanym stanie i nie mogły przerobić tyle informacji naraz. Bałem się, że za kilka lat będzie to miało destrukcyjny wpływ na moje ciało, które już teraz, jak to powiedział Sigmund, zbyt szybko się starzeje. Z drugiej strony skończyłem właśnie cholerne 63 lata. Witamy w klubie seniora. Z fanfarami, dmuchanymi balonami i wieloma jednostkami chorobowymi.

– Dobra. Ponawiam pytanie – oznajmiłem zdecydowanym głosem. – Powiesz mi, kto dzisiaj wygrał spotkanie ze mną?

Røbust zawahał się, zupełnie jakby robił to pierwszy raz, chociaż prawda była zgoła inna. W głębi duszy był policjantem, a zdawał sobie sprawę, że teraz łamie prawo. Co prawda w dobrej wierze, ale czy nie każdy bandyta w tym mieście mówi tak o swoich przestępstwach? Nie od dzisiaj wiadomo, że ludzie w więzieniach siedzą jedynie za niewinność.

W końcu przesunął małą kartę pamięci w moja stronę, a ja włożyłem ją do gniazda znajdującego się powyżej lewego nadgarstka. Wystarczyło kilka sekund, bym miał dostęp do wszystkich danych mężczyzny o imieniu Kanto Quam. Według dokumentacji zdjęciowej był on Azjatą mierzącym prawie 2 metry i muskulaturze, która mogła go wywindować na baner reklamowy każdej siłowni w mieście. Jego konto w banku nieskromnie mówiło potencjalnej dziewczynie, że pieniądze nie będą żadnym problemem w najbliższy wieczór. Mała poprawka. W najbliższym życiu.

– Co to za nadziany koleżka? – spytałem, bo nie miałem teraz czasu przebijać się przez jego biografię.

– Siostrzeniec burmistrza.

Zmarszczyłem czoło.

– Shadow Villens?

Røbust twierdząco skinął głową.

– Niestety.

– Czyli cokolwiek zrobił, nie poznał jeszcze słowa konsekwencji.

– Niestety – powtórzył Røbust, znowu się odwracając. Udał, że patrzy na zespół, który właśnie się przedstawił się jako „Candy Scorpions”. Dawno nie słyszałem głupszej nazwy. Ich muzyka zapowiadała się równie obiecująco.

– Co takiego zrobił?

– Koleś jest totalnym psycholem. – Røbust niemal krzyknął, dodatkowo energicznie gestykulując.

– Domyślam się. Tylko takich mi przedstawiasz. Mam tylko nadzieję, że trochę inne dziewczyny przyprowadzasz na niedzielne obiady do rodziców.

Røbust mimo że nie chciał, szeroko się uśmiechnął. Po chwili jednak spowaźniał, a ja szybko zrozumiałem dlaczego.

– Ten frajer maltretuje zwierzęta.

– Rozumiem, że nie chodzi tylko o bicie własnego psa, chociaż wtedy też chętnie bym z nim porozmawiał.

Røbust głęboko wciągnął powietrze, co zapowiadało średniej długości monolog.

– Kojarzysz underNet? – spytał, a ja skinąłem twierdząco. Oczywiście, że kojarzyłem. Wie o nim nawet średnio rozgarnięty nastolatek. Tak zwana ukryta Sieć, która służy do nielegalnych rzeczy, a wszystkim wydaje się, że są tam niewidzialni. Prawda jest taka, że są jedynie trochę bardziej przezroczyści. – I ten psychopata – Røbust kontynuował. – Zabija na streamach zwierzęta, a inni psychole po drugiej stronie ekranu podniecają się i robią sobie do tego dobrze. Przy okazji zgarnia z tego całkiem przyzwoitą kasę. Na pewno lepszą niż ja w policji.

– Rozumiem, że nie możecie nic z tym zdziałać, bo siostrzeniec burmistrza może liczyć na duży margines błędów życiowych.

Røbust przeklął w jednym ze skandynawskich języków, a ja poczułem, że moje dłonie mimowolnie uformowały się w pięści.

– Gównu możemy zrobić. Kiedy zgłosiłem to komendantowi, podsumował, żebym lepiej zaczął się przejmować swoją posadą, niż zwierzątkami.

Głęboko wciągnąłem powietrze.

– Zajmę się tym, ale potrzebuję jakiegoś dowodu.

Røbust szeroko rozłożył ręce.

– Na karcie masz tego pełno. Sprawdź katalog „_movies”.

Zamknąłem oczy i po chwili znalazłem się w przestronnym pokoju, w którym przed komputerem siedział Kanto. Był to zapis streama sprzed dwóch tygodni. Mogłem przełączać się pomiędzy kilkoma kamerami umieszczonymi w różnych częściach pomieszczenia. Azjata miał na sobie jedynie bokserki, a obok niego na podłodze leżał czarny, foliowy worek. Takie przedmioty na filmach zawsze oznaczają coś złego. Nie pomyliłem się. Kanto szeroko się uśmiechnął w stronę frontowej kamery, a następnie wyciągnął z szuflady czarne, odbłaskowe pudełko na buty. Wyjął z niego parę ekskluzywnych szpilek i powoli je założył. Wyglądał dosyć komicznie. Jego nienaturalna muskulatura w połączeniu z tym obuwiem naprawdę nie gwarantowała mu tytułu królowej balu. Przez chwilę wdzięczył się do widzów,

starając się tańczyć, jednak wyglądało to jak pokraczne wygibasy pijanego nauczyciela na studniówce. Po dwóch piosenkach zainteresował się foliowym workiem. Gdy go dotknął, coś w środku się poruszyło. Dopiero teraz zauważyłem, że był to mały, rudy kotek. Maksymalnie mógł mieć kilka tygodni, bo mieścił się w dłoni. Mężczyzna delikatnie go pogłaskał, a później znowu próbował tańczyć, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że bardzo źle wybrał swoje hobby. Po skończonej choreografii, położył kotka na podłodze i zrobił rzecz, której niestety się spodziewałem. Zaczął go przydeptywać, używając do tego tylnej części szpilek. Wynik tej walki mógł być tylko jeden. Nie trzeba było długo czekać, by na niedawnym parkiecie została tylko bezkształtna masa w różnych odcieniach czerwieni.

Po kilku sekundach Kanto znowu usiadł na krześle i wyciągnął papierosa z paczki leżącej na biurku. Były to jedne z najdroższych fajek tytoniowych dostępnych na rynku. Niemal poczułem małe ukłucie zazdrości. Mężczyzna odpalił papierosa zapalniczką wbudowaną w lewą dłoń i ostentacyjnie się zaciągnął. Byłem w stanie postawić sporą sumę pieniędzy, że jego kwaśny uśmiech będzie mi się śnił przez kilka najbliższych nocy.

Otworzyłem oczy, tym samym wyłączając nagranie.

– Czas trochę odwrócić role – powiedziałem do Røbusta, który tak jak Kanto szeroko się uśmiechnął.

Wszedłem do Sieci, chociaż wiedziałem, że to odchoruję. Jednak buzująca w żyłach adrenalina sprawiała, że nie chciałem tracić czasu i odkładać tej sprawy na później.

– Masz go? – usłyszałem zniecierpliwiony głos Røbusta, który wydawał się dobiegać z oddali. Wysłałem impuls elektryczny do swojej ręki, która wykonała ruch oznaczający, żeby poczekał. Wytropienie większości ludzi w Shadow Villens nie sprawiało mi problemu, jednak Kanto nie był zwykłym obywatelem. Miał powiązania polityczne, więc jego położenie było dobrze szyfrowane. Potrzebowałbym kilku godzin, żeby go odszukać, a na to nie mogłem sobie teraz pozwolić. Musiałem znaleźć coś innego. Jakiegoś śladu, który zostawił niedawno w systemie bez rządowych zabezpieczeń. Szczęście najwyraźniej mi sprzyjało, bo po kilku minutach natrafiłem na rezerwację do kina dla dwóch osób wystawioną na jego nazwisko. Seans miał rozpocząć się ponad godzinę temu, ale wliczając to niekończące się reklamy, miałem szansę być pod multipleksem kilkanaście minut przed końcem filmu.

– Chyba wiem, gdzie jest – powiedziałem, otwierając oczy i próbując powstrzymać wymioty. – Powinien być na seanse w kinie. Jeśli mam rację, dzisiaj długo nie zaśnie po swoim kółku filmowym – mówiłem, jednocześnie przelatykając

ślinę. Była kwaśna i gorzka, jednak i tak było to lepsze od zawartości mojego żołądka. Coś czułem, że wyprawy do Sieci w tym roku będą jak poranki po imprezach w liceum. Pełne niespodzianek, których wcale nie chciałem. Tak, wiem. Zabrzmiało to jak refren taniej, rapowej piosenki.

Dobrze się czujesz? – spytał Røbust, który chyba się zorientował, że nie jest ze mną najlepiej.

– Już w porządku – odparłem, biorąc dużego łyka piwa z kufła stojącego przed nim.

– Możesz już dopić – stwierdził, bacznie mi się przyglądając. Nie oponowałem. Oczywiście w kontekście wyzerowania resztek ciemnego portera, a nie wpatrywania się we mnie.

Powoli wstałem, czując, że mój stan się poprawia. Nie miałem zbyt wiele czasu do końca seansu, więc wysłałem wiadomość do Creepa, aby zaraz podstawił samochód przed wejściem do klubu. Odwróciłem się jeszcze w stronę Røbusta i pozdrowiłem go skinieniem głowy.

– Daj znać, jak poszło – powiedział.

– Nie mów do mnie jak rodzice przed maturą.

– Wal się Gustav.

Uśmiechnąłem się.

– O! Tak już lepiej.

Mój Cadillac stał już przed „Credits to Doughnuts”, a znad silnika unosiła się biała para. Wygodnie rozsiadłem się na fotelu i poprosiłem Creepa, żeby dostarczył mnie jak najszybciej pod budynek, w którym zapewne Kanto obmacywał jakąś dziewczynę pod fotelem. W końcu miałem nadzieję, że na ten drugi bilet nie zabrał jakiegoś zwierzaka.

Kiedy byliśmy w połowie drogi, otworzyłem jeden ze schowków i wyciągnąłem przezroczysty aplikator. Prezent od Sigmunda. Wewnątrz znajdowała się bladoczerwona ciecz, która poprawiała moją wytrzymałość w walce. Oczywiście miałem nadzieję, że tylko ja będę stroną zadającą ciosy. Jednak przezorność nigdy mnie nie zawiodła, więc szybko włożyłem go do gniazda w lewym przedramieniu. Może to śmieszne, ale od razu poczułem się bezpieczniej. Było to całkiem miłe uczucie, bo dzisiejszej nocy chciałem sprawić, żeby siostrzeniec burmistrza na jakiś czas zapomniał, jak się nazywa. Albo nawet na chwilę stracił zdolność rozpoznawania literek i kształtów. Głęboko wciągnąłem powietrze, bo niemal czułem, jak ten pomysł splata się z wielkim, neonowym słowem „kłopoty”. Jednak drzwi z napisem „odwrot” zamknęły się już dawno temu. Røbust co jakiś czas dostarczał mi dane różnych skurczysynów, którzy byli chronieni przez pieniądze, koneksje, władzę albo to wszystko naraz. Robili chore rzeczy, a żaden policjant nie

mógł ich nawet dotknąć, bo w najlepszym wypadku wiązało się to z wydaleniem ze służby. Na szczęście na mnie nikt nie miał haka, a nawet jeśli, żaden z tych przyjemniaczków nie miał pojęcia, na kogo miałby naskarżyć. Witamy w dorosłej wersji piaskownicy, w której to ja najlepiej obsługuję łopatkę i wiaderko. Oraz tanie porównania.

Multipleks znajdował się w bogatej dzielnicy Shadow Villens na ostatnich kilku piętrach ekskluzywnego wieżowca. Oczami wyobraźni widziałem, jak Kanto po skończonym seansie zaprasza swoją partnerkę do samochodu, który znajdował się na dachu budynku. Tym razem dziewczyna będzie musiała pofatygować się autobusem. I to do swojego domu.

– Creep – zacząłem, po tym jak samochód zatrzymał się blisko wejścia do budynku. – Włącz skrypt zmieniający moją twarz we wszelkich monitoringach, które będę mijać i nie zapomnij też o sobie. Wybierz na przykład jakiegoś szarego pickupa z najbardziej wieśniackim spojlerem, jaki uda ci się wygenerować.

– Już się robi panie Gustavie – odparł, a ja niemal natychmiast poczułem w palcach przepływ Sieci pochodzący z mojego Cadillaca. Nie musiałem teraz sam logować do Sieci, bo już kiedyś złamałem wszystkie kody dostępu do miejskich kamer, więc wszystkim mógł teraz zająć się Creep. Pozostał jeszcze system kamer wewnątrz budynku, ale z tym też powinien sobie poradzić. Zapewne kilka lat temu nie musiałbym go o to prosić, ale w aktualnej formie wolałem uniknąć resztek jedzenia na desce rozdzielczej. Westchnąłem, jednocześnie otwierając drzwi, bo wiedziałem, że za kilka minut i tak będę musiał sam włamać się do systemu Kanto. Miałem jednak nadzieję, że w razie czego będą w pobliżu jakieś śmietniki. I paczka miętówek.

Kolejny raz zdziwiłem się, że na zewnątrz przybyło śniegu. Najwidoczniej walka z ociepleniem klimatu zaczęła przynosić świąteczne efekty. Szybko ruszyłem w stronę wieżowca, po chwili znajdując się w przestronnym holu. Nie czekałem długo na windę. Na dotykowym panelu wybrałem przedostatnie piętro, które było oznaczone logotypem sieci kin „Galaxy Movies 47”. Nazwa odnosiła się do piętra, na którym mieścił się multipleks. Osoba odpowiedzialna za ten copywriting już dawno wzięła rozwód ze słowem „kreatywność”.

Kiedy dotarłem na miejsce, pojawiłem się w pomieszczeniu z trzema dużymi ekranami holograficznymi, dzięki którym można było opłacić bilet na seans. Nie zastanawiając się długo, scrakowałem to urządzenie, kupując bilet na film „Wampiry i Wilkołaki 14”. Nie od dziś wiadomo, że ta tematyka dobrze się sprzedaje. Może bardziej wśród rozemocjonowanych nastolatków, ale mogłem chociaż poudawać kryzys wieku średniego w wersji pro.

Przystanąłem obok stoiska z popcornem i udawałem, że zastanawiam się nad wyborem rodzaju prażonej kukurydzy. Na szczęście kasjerem nie był człowiek, tylko android, więc gdy tylko obsłużył trzy osoby stojące przede mną, nie miałem żadnych wyrzutów sumienia, że nie reaguję na niemoralne propozycje w stylu: „Czy próbował pan popcornu o smaku toffi?”. Cholera. Jasne, że próbowałem, ale mój dietetyk poluje na mnie od tamtego czasu.

Sprawdziłem godzinę. Zostało kilka minut do końca seansu, więc musiałem przystąpić do dalszej części planu. Wszedłem do systemu monitoringu kina i sprawdziłem, z kim przyszedł tutaj Kanto. Po kilku sekundach ustaliłem, że kobieta nazywa się Jahoda Milic. Kolejne kilka sekund zajęło mi się włamanie do jej systemu, a dalszą robotą musiał zająć się Creep. W końcu chciałem uniknąć różnobarwnych wymiocin na białych kafelkach kina.

– Creep – poleciłem mu w myślach. – Sprawdź wszystkie rozmowy Jahody z ostatnich kilku miesięcy. Szukaj czegokolwiek, co mógłby potrzebować ktoś z jej rodziny i co można dostać w tym budynku. Jedzenie, leki, rozrywka.

Odezwał się po niecałej sekundzie.

– Jej matka choruje na serce. Lek, którego używa jest dostępny w całodobowej aptece trzy piętra niżej.

– Dobra – niemal krzyknąłem we własnej głowie. – Sprawdź wszystkie możliwe nagrania jej głosu. Będziesz musiał za niedługo odegrać szkolny teatrzyk.

Creep nic nie odpowiedział, ale wiedziałem, że jest teraz zajęty tworzeniem wirtualnej osobowości Egidy Milic – matki Jahody. Przeczesał całą Sieć w poszukiwaniu wszystkich możliwych nagrań, na których została utrwalona. Wcielenie się w nią nie powinno sprawić mu teraz zbytniego problemu.

– Co teraz? – spytał.

– Czekaj – wycedziłem przez zęby, jednocześnie obserwując wyjście z sali numer 4. Widzowie powoli zaczęli się wyłaniać z przyciemnionego korytarza, a ja wiedziałem, że muszę uderzyć teraz. Ludzie tacy jak Kanto to straszni tchórze, wszędzie ciągną za sobą ochronę. Jednak nie na wyjście z dziewczyną. Chcą pokazać, jacy to są dorośli. Zapewne kilka goryli i tak znajdowało się w pobliżu, jednak nie głaskało go po plecach tak jak zazwyczaj.

– Mam ich – znowu prawie wrzasnąłem w myślach, wpatrując się w roześmianą parę trzymającą się za ręce. Przełknąłem ślinę. Jahoda zapewne nie miała pojęcia o wirtualnych pasjach swojego wybranka. Przez ułamek sekundy przyjrzałem się jej. Była ładna i prawie nie miała implantów. To już dużo w Shadow Villens. O Kanto wolałem się nie wypowiadać, bo zrobił na mnie nie najlepsze pierwsze wrażenie. Bardzo delikatnie mówiąc.

– Teraz – poleciłem Creepowi, żeby rozpoczął naszą wspólną operację przeciwko siostrzeńcowi burmistrza. Wątpię, że mogliśmy liczyć później na pomnik przed urzędem miasta.

Jahoda nagle się zatrzymała, co było równoznaczne z telefonem od swojej matki, którą aktualnie była sztuczna inteligencja z mojego samochodu. Nie rozmawiali długo, bo pseudo Egida Milic prosiła właśnie swoją córkę o kupno kilku opakowań leku, który właśnie się skończył. Oczywiście mogło to brzmieć, jak naciągana historia, ale kto dokładnie wie, kiedy ich rodzicom kończą się leki. Optymistycznie zakładałem, że prawie nikt i tym razem się nie pomyliłem. Jahoda szybko wytłumaczyła coś Kanto i ruszyła w stronę windy, niemal uderzając mnie barkiem. Mimowolnie się uśmiechnąłem. Mężczyzna znowu mnie nie zawiódł. Wiedziałem, że

pali papierosy, a co każdy palacz robi po wyjściu z kina? Różnie, ale na pewno nie odmówi sobie przysłowiowej fajki na parkingu.

Podążyłem za nim, starając się jeszcze trzymać dystans. Przeszedł przez szklane drzwi, a ja przystanąłem kilka metrów przed nimi. Nie miało to jednak trwać zbyt długo. Poczekalem, aż odpali papierosa, jednocześnie znowu włamując się do jego systemu i tak zmodyfikowałem implant na jego siatkówce, aby moja twarz była zastępowana tą samą, co na monitoringu. Dzięki temu Kanto potwierdzi policji lub swoim ochroniarzom tożsamość z nagrań, więc wszyscy będą szukać osoby, która nie istnieje. Dla mnie brzmiało uroczo.

Musiałem teraz go tylko wkurzyć, jednocześnie usypiając czujność. Wydawało się niewykonalne, ale na szczęście wiedziałem, jak to zrobić. Również wyszedłem na parking, który znajdował się na części dachu wieżowca. Nie było tutaj zbyt wielu ludzi ani samochodów, co jak kilkakrotnie dzisiaj powtarzałem, było spowodowane ogólnokrajowym kacem z okazji Nowego Roku. Kanto zaciągał się gęstym dymem tytoniowego papierosa, zapewne obracając w myślach kształty Jahody. Albo wyobrażał sobie tortury kolejnego kotka. W obu przypadkach wywoływało to u mnie ogromne współczucie dla obu podmiotów lirycznych.

Mój plan był prosty. Jakiego pytania boi się mężczyzna stojący samotnie na stacji metra o 3 w nocy, czekając na poimprezowy pociąg do domu? „Podoba ci się moja dziewczyna?”. Takie pytanie rzucone od niechcenia przez miastowego opryszka może zmrozić krew w żyłach zmieszaną z alkoholem. Nie istnieje na nie jakakolwiek poprawna odpowiedź. Odpowiesz, że ci się nie podoba? Możesz już liczyć swoje zęby na chodniku i omawiać ze stomatologiem zniżki na implanty. Odpowiesz, że ci się jednak podoba? Lepiej przygotuj wannę wypełnioną kostkami lodu, bo siniaki będą zmieniać kolor niczym tęcza stulecia.

W przypadku Kanto postanowiłem trochę odwrócić kolejność.

– Podoba mi się twoja dziewczyna – zacząłem, starając się by mój głos brzmiał na jak najbardziej zmęczony. Zapomniałem wspomnieć, że projekcja twarzy serwowana wprost na siatkówkę mężczyzny wcale mnie nie odmłodziła. Byłem dla niego ponad sześćdziesięcioletnim dziadkiem. Czy już coś mówiłem o wkurzeniu i jednocześnie uspieniu czujności?

– Ząbki swędzą staruszkowi? – spytał Kanto, po tym jak wypuścił z ust chmurę gęstego dymu.

– Jeszcze się trzymają. – Uśmiechnąłem się jak najszerzej, eksponując uzębienie. Miałem nadzieję, że w awatarze, który znajdował się w jego głowie, moje zęby są nieziemsko żółte oraz kilku brakuje.

– Masz jakiś problem? – Mężczyzna wyraźnie się usztywnił, wcześniej wyrzucając niedopalonego papierosa za barierkę.

– A kto dzisiaj nie ma problemu? – zarechotałem w najgorszy możliwy sposób, lekko się krztusząc, jednocześnie spluwając kilka centymetrów od jego buta. Idealna celność od czasów podstawówki.

– Zaraz pożegnasz się z resztą zębów dziadku, a widzę, że dużo ci nie zostało – zakpił Kanto, co było jego dużym błędem. Potwierdził, że wytrąciłem go

z równowagi, a jednocześnie nie uważał mnie za godnego przeciwnika. Kątem oka spojrzałem w lewo, żeby sprawdzić, czy Creep zaparkował już w pobliżu. Na szczęście znajdował się kilka metrów ode mnie.

– Dobra – westchnąłem. – Przepraszam za zawracanie głowy. Twoja dziewczyna jednak mi się nie podoba. Straszna z niej pasztecziara – dodałem po chwili, tym samym odwracając drugie pytanie miejscowego opryszka. Historia nocnych powrotów do domu zatoczyła koło.

Czas jakby zwolnił i tym razem ja usztywniłem wszystkie mięśnie, czekając na cios. Wiedziałem, że zaraz nadejdzie. Moje skanery zaczęły alarmować, że ciśnienie i puls Kanto niebezpiecznie wzrosły. Jednak tak jak wspominałem, miał mnie za bezzębnego dziadka, jego uderzenie nie powinno mnie zaskoczyć. Nie pomyliłem się. Cios był nagły, ale najprostszy z możliwych. Prawy sierpowy na wysokości mojej twarzy. Wystarczył prosty unik trenowany setki razy, by pięść przeszła powietrze, wytrącając go z równowagi. Lekko się zatoczył, próbując oprzeć się na moim ramieniu, niestety w tym przypadku nie byłem dziadkiem, który daje czekoladę z finansowym nadzieniem. Z prawej pięści wysunąłem siedem małych igieł zawierających środek zwiotczający mięśnie, a moje uderzenie idealnie trafiło w żołądek, powodując głuchy odgłos. Niemal czekałem na wypadający popcorn. Naprawdę.

Chwyciłem Kanto, bo zaczął się bezwładnie osuwać i byłem pewny, że nie mam zbyt dużo czasu, żeby stąd uciec, zanim zjawią się jego ochroniarze. Jahodą się nie martwiłem, bo cały czas znałem jej położenie. Aktualnie czekała w kolejce po lek dla matki.

– Teraz – krzyknąłem w myślach i niemal natychmiast mój Cadillac wyjechał z miejsca parkingowego oddalonego o kilkanaście metrów i po kilku sekundach zatrzymał się za moimi plecami. Szybko wrzuciłem bezwładnego Kanto na siedzenie pasażera, po czym sam zameldowałem się za kierownicą.

– Creep, autopilot do hangaru. Jakkolwiek i byle szybko – tym razem wrzasnąłem nie ograniczając się do własnych myśli. Nasz pasażer i tak nie miał szans się obudzić przez kilka najbliższych godzin. Oczywiście jeśli ja sam nie będę chciał, żeby to zrobił.

Musiałem jeszcze raz włamać się do jego systemu, aby tak zmodyfikować nadajnik GPS, by jego ochroniarze i policja udali się w nieprawidłowe miejsce zbiórki na kolonie. Oczywiście takie, gdzie jedyną atrakcją miało być znalezienie siostrzeńca burmistrza, jednak w tym przypadku kierownik obozu udał się do innego ośrodka. Szeroko uśmiechnąłem się z powodu słabego żartu, ale po chwili mina trochę mi zrzedła, bo znowu musiałem powstrzymać wymioty. Na szczęście nie planowałem już dzisiaj włamywać się do tak dobrze zabezpieczonych fragmentów Sieci. Gdyby mój żołądek umiał się porozumiewać, zapewne dostałbym nieskończenie długą wiadomość z podziękowaniami. I z listą rzeczy, których mam nie jeść przez najbliższy tydzień.

– Panie Gustavie – odezwał się nagle Creep. – Melduję, że aktualnie nie wyczuwam aktywności żadnych obiektów oraz pojazdów śledzących. Oczywiście cały czas monitoruję sytuację.

– Dzięki – odparłem, kilkakrotnie przelękając ślinę. – Nie zdejmuj jeszcze podmiany naszej powłoki z urządzeń nagrywających. Włamuj się do nich na bieżąco – dodałem po chwili, wiedząc, że jest to duża nadgorliwość z mojej strony. Wolałem jednak dmuchać na zimne, a Creep jak na sztuczną inteligencję był całkiem niezłym hakerem i w większości monitoringów powinniśmy występować jako latający szary pickup. Tak, z tym niesamowicie wieśniackim spojlerem.

Spojrzałem na Kanto. Jego klatka piersiowa unosiła się niemiarkowo, a na środku białej koszuli było widocznych siedem czerwonych kropek, które były pamiątką po aplikacji środka zwiotczającego. Przez ułamek sekundy miałem ochotę wyrzucić go z samochodu, ale musiałem zmienić zdanie. Po pierwsze znajdowaliśmy się kilkadziesiąt metrów nad ziemią, więc raczej miał nieduże szanse na przeżycie, a potrzebowałem go żywego. Po drugie umarłby wtedy bezboleśnie podczas snu, a na to też nie mogłem pozwolić. Za to co zrobił, musi się trochę pomęczyć.

Wyjrzałem za okno, gdzie Shadow Villens powoli budziło się do nocnego życia po noworocznych imprezach. Neony odzyskały swój jaskrawy blask, co oznaczało, że w elektrowni pracowano o kilka zmian za dużo, a zimowy smog był już tylko kwestią czasu.

Lecieliśmy z dużo większą prędkością, niż ta dozwolona w poradnikach młodego skauta, i minęło może kilka minut, po tym jak opuściliśmy miasto, a krajobraz zmienił się na górskie pustkowia poprzecinane siatką dziurawych, lokalnych dróg. Wewnątrz samochodu było niemal całkowicie cicho, jedynie pracujący silnik oraz ciężki oddech Kanto przypominały o istnieniu jakichkolwiek dźwięków. Oparłem plecy mocniej na fotelu. Robiłem to zawsze, kiedy z niebezpiecznie dużą szybkością mój Cadillac zbliżał się wprost na pionową powierzchnię skalnego urwiska. Kilka sekund przed zderzeniem, kiedy resztkami woli powstrzymywałem oczy przed zamknięciem, fragment skały będący hologramem zniknął, a ja znajdowałem się w jednej z wielu schronów rozsianych po całym kontynencie.

Ze względów budżetowych nie była to duża kryjówka, całość składała się jedynie z dwóch pomieszczeń. Jedno z nich było oczywiście parkingiem, do którego mój Cadillac mieścił się niemal na styk, a drugie, odrobinę większe, to salon z kuchnią. Naturalnie jeśli użylibyśmy nomenklatury deweloperów. Na samym środku znajdował się duży, przypominający nieco chirurgiczny, fotel. Specjalna rezerwacja dla naszego przyjemniaczka.

Wyjąłem go z samochodu, co nie było proste z dwóch powodów. Garaż był naprawdę ciasny i pomiędzy ścianą a drzwiami było niecałe 50 centymetrów szerokości. W dodatku sam Kanto znajdował się aktualnie w całkowitym stanie bezwładności. Głęboko westchnąłem i przełożyłem go przez ramię, a po krótkim spacerze do drugiego pomieszczenia zrzuciłem odrętwiałe ciało na sam środek fotela. Elektryczne kajdanki uaktywniły się niemal natychmiast, blokując mężczyznę

w dziesięciu najbardziej newralgicznych punktach. Był tak usztywniony, że potwory zombie mogłyby się uczyć. Szanse na zostanie mistrzem tańca na weselu również mocno spadły.

– No to zaraz zaczniemy mój milusiński – powiedziałem do siebie, wyjmując z metalowej szafki kuchennej przezroczysty pojemnik z brązową zawartością. Była to kawa z podwyższoną zawartością kofeiny, która była w stanie utrzymać mnie na nogach kilka dodatkowych godzin. Wypiłem połowę zawartości, czując jak ciśnienie mojej krwi podwyższa się o kilkadziesiąt jednostek. Sigmund oczywiście tego nie pochwalał, ale czy zawsze musimy słuchać rad swojego lekarza pierwszego kontaktu?

Z mojej prawej dłoni kolejny raz wysunęło się siedem małych igieł. Przejechałem po nich palcem, jakbym chciał sprawdzić jakość wykonania. Nie zawiodłem się. Były aż nazbyt ostre. Przyłożyłem zaciśniętą pięść do brzucha Kanto, bo tym razem nie musiałem poprzedzać tego uderzeniem. Igły zachowały się praktycznie tak samo jak pijany student wracający z imprezy. Trafiły w poprzednie miejsca niemal na autopilocie. Roztwór, który znalazł się w organizmie mężczyzny tym razem zadziałał odwrotnie niż ostatnio. Kanto otworzył oczy i zaczął krzyczeć, jednak nie zrobiło to na mnie zbytniego wrażenia. Znajdowaliśmy się pośrodku niczego, a ściany tego bunkra miały kilka metrów grubości. W pokoju obok mogłaby się odbywać próba zespołu death - metalowego, a w tym pomieszczeniu moja ciocia mogłaby piec pierniczki w kształcie serduszek.

– Kim jesteś? – krzyknął mężczyzna, siłując się elektrycznymi blokadami.

– Kolegów z sieci nie poznajesz? – zakpiłem. – Jak widzisz, nigdy nie można być pewnym z kim się randkuje.

– Kim kurwa jesteś? – powtórzył pytanie, dokładając pośrodku magiczne słowo. Nieładnie. Bardzo nieładnie.

Wciągnąłem głęboko powietrze, a następnie nachyliłem się nad nim, tak że nasze twarze prawie się stykały. Zhakowana siatkówka Kanto cały czas zastępowała wygląd mojej facjaty wirtualnym awatarem, więc nie musiałem się obawiać, że ją zapamięta, a później naskarzy na mnie wujkowi z ratusza.

– Załóżmy, że dorabiam w schronisku dla zwierząt i bardzo nie lubię, jak ktoś rozdeptuje szpilkami moich podopiecznych – odpowiedziałem specjalnie obniżonym głosem.

– Co ty pierdolisz? I mów, kim kurwa jesteś.

Ostentacyjnie przewróciłem oczami.

– Widzę, że bez filmiku zapoznawczego raczej się nie dogadamy – oznajmiłem, a po chwili za moimi plecami pojawił się hologram, na którym rozpoczął się krótki seans będący zlepkiem kilkunastu scen z filmu, który dostałem od Røbusta. Nie chciałem kolejny raz go oglądać, więc w milczeniu przyglądałem się twarzy Kanto. Rozsiane po pomieszczeniu detektory cały czas monitorowały stan jego organizmu, po chwili obwieszczając mój mały sukces. Ten gnojek zaczynał się bać. Ale nie wiedział, że to dopiero wieczorynka.

– Czego chcesz? – rzekł Kanto już bez swojego buńczucznego tonu, kiedy nagranie dobiegło końca. – Mam dużo kasy, mogę ci zapłacić.

Roześmiałem się.

– Znam wszystkie twoje konta i uwierz mi, mam więcej pieniędzy niż ty.

Detektory oznajmiły mi, że siostrzeniec burmistrza zaczął się bać jeszcze bardziej. Zrozumiał, że nie potrzebuję jego kasy, a wiedział o swoim braku innych talentów.

– To czego kurwa chcesz? – Taktyka krzyku i wulgaryzmów powróciła wraz z postępującym przerażeniem. Miód na moje czarne serduszko.

Skrzyżowałem dłonie i odpowiedziałem spokojnym głosem.

– Tu nie chodzi o to, czego ja chcę, ale czego chcą znajomi tego kotka.

– Co ty pierdolisz?

Pokręciłem głową z dezaprobatą.

– Przypuśćmy, że koty z miasta zrobiły zrzutkę, żeby mnie wynająć. A uwierz mi, jestem profesjonalistą i jeśli ktoś płaci z góry, zawsze kończę swoje zlecenia.

– Koleś, ci naprawdę odjechało.

Kolejny raz przewróciłem oczami.

– Po pierwsze oducz się tego bluzgania, bo przeklinać trzeba umieć, a ty reprezentujesz poziom najgorszej okęgówki. Po drugie skończ też z tym kolesiowaniem, bo kolegami to my raczej nigdy nie zostaniemy.

– Kurwa kol... – zaczął Kanto, ale nie był w stanie dokończyć tego elokwentnego zdania, bo jego ciało przeszył ładunek elektryczny o wysokim napięciu. Przez kilka najbliższych minut nie był w stanie wydać z siebie nawet najcichszego jęknięcia.

– Widzisz, mówiłem, żebyś przestał z tym przeklinaniem. I kolesiowaniem. Nie posłuchałeś, ale chyba trochę prądu lepiej ci to wytłumaczyło. – Nachyliłem się nad twarzą swojego zakładnika, dostrzegając wyraźnie zarysowany grymas bólu. Biedak nie wiedział, że to dopiero rozgrzewka. Przystawka. Wersja demo.

– Powiedz mi proszę – zacząłem spokojnym głosem. – Naprawdę myślałeś, że nikt się nie dowie, co streamujesz w Sieci? I że nikogo to nie zdenerwuje? – Zrobiłem krótką pauzę. – Żeby oczywiście nie powiedzieć dosadniej – dodałem po chwili.

– Odpierdol się. Nie wiesz, z kim zadarłeś, masz już przejebane stary capie – wychrypiał Kanto, nadal nadużywając wulgaryzmów. Wyraźnie się bał. To dobrze. Nawet bardzo. A to że nazwał mnie starym capem, na pewno zapamiętam i użyję przeciwko niemu. Mała tajemnica. Bywam pamiętliwym skurczysynem. Jak każdy sześćdziesięciolatek, kiedy jakiś gnojek wypomni mu jego wiek.

– Creep – powiedziałem w myślach. – Uruchom naszemu pensjonariuszowi mały przedsmak tego, co czeka go dzisiejszej nocy. – Niemal natychmiast mała wtyczka wysunęła się z lewego oparcia fotela i przyłgnęła do nadgarstka Kanto, tym samym włamując się do jego systemu operacyjnego. Od razu został zainstalowany w jego rejestrze praktycznie niewidoczny program, który przy próbie usunięcia go przez niedoświadczzonego hakera, mógł mocno nadszarpnąć pamięć długotrwałą nosiciela.

– Panie Gustavie – odezwał się Creep. – Wszystko gotowe. Rekomenduję poziom drugi.

Lekko się uśmiechnąłem.

– Zaczynij od trzeciego.

– Oczywiście. Jak pan sobie życzy.

Gdy ostatnie słowo Creepa rozbrzmiało w mojej głowie, całe pomieszczenie wypełniło się głośnym krzykiem Kanto. Chociaż chyba źle to nazwałem. Nie był to krzyk, bardziej skowyt lub jazgot. Szybko wyłączyłem w sterowniku mojego słuchu ten zakres dźwięków, jednocześnie mając na uwadze, że „Skowyt i Jazgot” brzmi jak dobra nazwa dla rockowego klubu muzycznego. Albo określenie prób garażowych zespołów z liceum.

Odczekałem kilkanaście sekund, wpatrując się w nienaturalnie wykrzywioną twarz, po czym poprosiłem Creepa, by na jakiś czas przerwał działanie programu.

Tym razem mężczyzna nie był już tak wyszczekany, bo wyglądał jak po wizycie u sadystycznego dentysty. Jego facjata nie wyglądała na zbyt synchronizowaną z umysłem. Tak, wiem. Dentysta nie musi być wcale sadystą, żeby pacjent tak prezentował się po odwiedzinach w gabinecie.

– Dlaczego? – wychrypiął Kanto, a jego głos był ledwie słyszalny.

– Czy kogoś ominęła prezentacja filmowa? – odparłem, nawet nie siląc się na ironiczny ton.

Przez kolejne kilkanaście minut mężczyzna błagał mnie, żebym nie włączał już tego programu, ale wiedziałem jednak, że potrzebne są jeszcze przynajmniej dwie sesje. Nie chciałbym nazywać tego autorskim pomysłem, bo mogę się założyć, że podobne metody są stosowane na całym świecie. Tak zwane wirtualne tortury, które nie pozostawiają na ciele żadnych śladów. Boli jak diabli, a umysł doskonale wszystko pamięta. Dodatkowo czas wydaje się być nienaturalnie rozciągnięty, przez co piętnaście minut w prawdziwym świecie równa się pełnej godzinie w wirtualnym. Tak, wiem. Gdy gra się w gry wideo, to równanie ma całkowicie odwrotne proporcje.

Usiadłem na metalowym krześle, a zanim Creep włączył kolejne dwie sesje, wyciszyłem już wszystkie dźwięki i zamknąłem oczy, chcąc pomedytować.

– Creep, teraz – oznajmiłem, po czym przez dwie następne godziny nic nie widziałem. Ani tym bardziej niczego nie słyszałem.

Otworzyłem powoli oczy i spojrzałem na Kanto. Skłamałbym, gdybym stwierdził, że spodziewałem się innego widoku. Mężczyzna ciężko oddychał i był niemal cały mokry. Nic dziwnego. Jego mózg wydzielił tyle hormonów stresowych, że mógłby spokojnie nimi obdarować cały poprzedni rok. Stare porzekadło mówi, że Święty Mikołaj czasem bardzo dziwnie rozdaje prezenty.

Nachyliłem się nad nim, tak że prawie stykaliśmy się policzkami, a moje usta znalazły się na wysokości jego lewego ucha.

– Słuchaj gnoju. Wiem, że jesteś siostrzeńcem burmistrza, ale dla mnie możesz być nawet synem samego prezydenta, i tak bym cię znalazł, albo ty byś się przede mną nie ukrył. Wybierz wersję, która ci się bardziej podoba. Dlatego możesz się odgrażać, ile chcesz. Nie poznasz nawet pierwszej litery mojego imienia. A ja cię znajdę w kilka minut, jeśli najdzie mnie taka ochota. I uwierz, że najdzie, jeśli nie będziesz postępować zgodnie z poleceniami.

– Jakimi poleceniami? – Wychrypiał ze zrezygnowaniem Kanto, wciąż nie otwierając oczu.

Uśmiechnąłem się. Obawiałem się, że przez świeże wspomnienie bólu nie jest w stanie słuchać ze zrozumieniem.

– Sprzedasz wszystko, co masz wartościowego oprócz mieszkania i samochodu. – dyktowałem spokojnie, cyzelując praktycznie każde słowo. – I nie próbuj oszukiwać, bo jeszcze dzisiaj będę mieć listę rzeczy należących do ciebie. Później dziewięćdziesiąt pięć procent swoich pieniędzy przelejesz na fundację pomocy zwierzętom w Shadow Villens. Tak samo będziesz robić z każdą wypłatą albo z tym, co dostaniesz od rodziny. Masz też codziennie meldować się w schronisku na minimum dwie godziny i prosić o najgorszą robotę, której nikt nie chce robić. Zwierząki mają uważać cię za swojego najlepszego wujka i przezywać „shitmaster”.

Przełknąłem ślinę, tym samym robiąc krótką pauzę.

– Jeśli jednak przyjdzie ci do głowy, żeby nie zrobić, o co teraz proszę, znowu cię tu przywiozę. I możesz mi wierzyć. Dzisiejsze spotkanie będziesz wspominać jako radosne wczasy nad jeziorem. Z piwkiem, grillem i prażonymi orzeszkami.

Mężczyzna powoli otworzył oczy, ale nie miał siły mówić, skinął tylko nieznacznie głową. Uznałem to za zgodę, bo zdawałem sobie sprawę, że do odzyskania pełnej sprawności potrzebuje minimum 24 godzin.

Dotknąłem interfejsu fotela, a elektryczne kajdanki natychmiast zniknęły. Chwyciłem Kanto i przełożyłem go sobie przez ramię. Ważył więcej niż się spodziewałem. Był jak wielki worek ziemniaków z wbudowanym kręgosłupem i mało zsynchronizowanymi odruchami. Tak, wiem. Wiele studentów na juwenaliach prezentuje się dokładnie tak samo.

Zaniósłem go do małego pomieszczenia będącego dodatkowym garażem, znajdował się tutaj jednorazowy pojazd transportowy, który miał zazwyczaj tylko jedno zadanie. Odstawić mojego gościa pod sam dom, a później ulec samozniszczeniu. W końcu płonący samochód w centrum Shadow Villens już dawno przestał kogokolwiek dziwić.

Otworzyłem drzwi i wepchnąłem Kanto do środka. Jego ruchy nadal były mocno ograniczone, więc nie było to takie proste. Przypiąłem go pasami, a wokół jego nadgarstków i kostek aktywowałem kajdanki. Uśmiechnąłem się. Chyba jestem słabym randkowiczem.

– Creep – wywołałem go kolejny raz dzisiejszego wieczoru. – Podrzucić naszego przyjemniaczka pod sam dom. Adres przed chwilą wgrałem do nawigacji. I pamiętaj. Lądowanie wcale nie musi być miękkie.

Wiem, że to niemożliwe, ale byłem przekonany, że Creep tajemniczo się uśmiechnął.

Drzwi windy otworzyły się niemal bezszelestnie. Przyłożyłem dłoń do szklanego panelu, który zeskanował linie papilarne, a po ich rozpoznaniu dźwig szarpnął i ruszyliśmy ku górze. Wyjście na powierzchnię po kilku godzinach spędzonych w schronie ukrytym w skalnym urwisku zawsze poprawiało mi humor. Zgodnie z tradycją wyciągnąłem tytoniowego, retro papierosa i mocno zaciągnąłem się gryzącym dymem. Miałem już czwarte syntetyczne płuca, więc nie do końca przejmowałem się zdjęciami na paczce, które przedstawiały najgorsze choroby wywoływane przez szluga. Gdyby nie te sztuczne organy, zapewne już dawno bym nie żył.

Przez dłuższą chwilę podziwiałem górskie krajobrazy, ubijając butami świeży, noworoczny śnieg. Następnie przymknąłem oczy i wziąłem głęboki oddech, pozwalając by rześkie i zmrożone powietrze pozwoliło zapomnieć płucom o dymie, który znajdował się tam przed chwilą.

– Witaj Gustavie – usłyszałem nagle. Było to zaskakujące z kilku powodów. Po pierwsze w obrębie kilkunastu kilometrów nie powinien znajdować się nikt żywy. Szczerze mówiąc, to martwych też nie powinno być zbyt dużo. Po drugie teren w promieniu pięciu kilometrów roił się od wszelkiego rodzaju czujników i zabezpieczeń i nie istniało zbyt dużo hakerów, którzy umieliby to dezaktywować. I tutaj przechodzimy do punktu trzeciego. Rozpoznałem ten głos i wiedziałem, do kogo należy. Do matki Leny, czyli mojej byłej żony, która zniknęła dziesięć lat temu.

Powoli się odwróciłem, próbując wywołać Creepa, jednak w tym miejscu pewnie i jego sygnał był teraz zagłuszany.

– Cześć Rozalio – odpowiedziałem, sprawdzając szybko, jakie systemy obronne nadal działają. Pracował jedynie system badający, jakie mam szanse w bezpośredniej walce. Ocenił prawdopodobieństwo na 2 do 98 na korzyść mojej byłej żony. Cholera. Przez te dziesięć lat musiała zrobić niewiarygodny postęp.

Uśmiechnąłem się gorzko. Nie wyłączyła tego specjalnie, żeby pokazać mi miejsce w szeregu. Przez chwilę starałem się dostrzec nowe wszczepy, jednak czarny, matowy kombinezon niemal wszystko zakrywał.

– Miła miejscówka na odpoczynek poza miastem – zadrwiła, nieśpiesznie robiąc kolejne kroki w moją stronę. Miałem nadzieję, że nie chce mnie zaatakować, bo zgodnie z filozofią szowinistycznych żartów, kiedy była żona zjawia się po tyłu

latach, nie powinienesz czuć się bezpiecznie. Na szczęście daleko mi od takiego poczucia humoru.

– Czego potrzebujesz? – spytałem, kiedy Rozalia znajdowała się niecałe dwa metry od mnie.

– Pomocy.

Uniosłem brwi. Nie miałem pojęcia, co musiało się stać, by moja była żona zdecydowała się wytropić mnie na tym pustkowiu i prosić o pomoc.

– Ktoś porwał naszą córkę. – Lekko zdenerwowany, ale jednocześnie zdecydowany ton głosu pozwalał przypuszczać, że Rozalia nie kłamie. W dodatku nie miała żadnego powodu, żeby to robić. Mogła mnie pokonać w kilkanaście sekund, a ja nie nawet nie zorientowałbym się, że coś się stało, więc takie tanie zagrywki nie były jej potrzebne.

– Jesteś pewna? – spytałem, jednocześnie uruchamiając program wskazujący aktualne położenie Leny. Nie lubiłem go używać, włączałem go tylko w nagłych przypadkach. Tak, wiem. Każdy rodzic tak mówi i te nagłe przypadki występują aż nazbyt często. Aplikacja nie wykazywała jednak żadnych nieprawidłowości i według niej Lena powinna znajdować się w domu. Naprawdę nie było w tym nic podejrzanego.

Rozalia pokręciła głową z dezaprobatą.

– Ten twój nędzny programik śledzący został dzisiaj scrakowany, więc najlepiej by było, gdybyś mi zaufała. – Jej ton głosu był tak stanowczy, że gdyby nie moja wrodzona podejrzliwość, zapewne bym w to uwierzył. Postanowiłem jednak użyć najprostszego sposobu, by potwierdzić swoją wersję. Wybrałem numer do Leny, ale zamiast sygnału, odezwał się syntetyczny głos mówiący o niedostępnym abonencie. Odruchowo wybrałem numer do Prähl i w tym momencie jej imię w ogóle nie wydawało mi się śmieszne.

– Ta dziewczyna nie żyje. – Rozalia chwyciła mnie za ramię, a jej głos tym razem brzmiał wręcz metalicznie. Nawet nie chciałem się zastanawiać, jakim cudem w czasie rzeczywistym przetwarza wszystkie moje działania w Sieci. Przez ostatnie dziesięć lat jej umiejętności hakowania musiały wejść na nieosiągalny dla innych poziom. Albo umiała to już wcześniej i teraz wyszło na jaw, skąd wiedziała, że nie wyrzuciłem śmieci. Tak, wiem. Słaby żart. I równie słaby moment.

– Kiedy to się stało? – odrzekłem, uznając, że naprawdę nie ma powodów, aby wciąż zaprzeczać tej sytuacji. Oddaliłem też w myślach całą masę pytań. Zdałem sobie sprawę, że przez te wszystkie lata Rozalia musiała mieć oko na Lenę i nie było to niewinne sprawdzenie, co słychać u córki, tylko monitoring jak na przydrożnej stacji benzynowej. Dwadzieścia cztery na dobę.

– Lena zniknęła około 12 godzin temu – zaczęła udawanym, spokojnym głosem, jednak i tak dało się wyczuć delikatne drżenie. – Wtedy odebrałam sygnał o nieprawidłowym działaniu znacznika lokalizacji. Został zhakowany i wciąż wysyła nieprawdziwe dane. Ktoś naprawdę zna się na robocie, bo sam wiesz, jak dobre oprogramowanie systemowe miała Lena.

Zakląłem w myślach. Złamanie aplikacji monitorującej jej położenie wymagało nie lada umiejętności. Całość pisałem chyba przez pół roku, starając się uwzględnić każdą, nawet najmniejszą lukę. Jak jednak widać, na kimś nie zrobiło to żadnego wrażenia. Nie licząc w tym oczywiście mojej byłej żony, która podpisała się do całego systemu i rozgościła się tam aż za dobrze. Zakląłem w myślach po raz drugi, dodając sporo nowych przekleństw. Cały dzień byłem przekonany, że Lena po malowaniu w Centrum, wróciła do domu. W dodatku przez dwa dni miała nocować u nas Präln. Jej rodzice dopiero pojutrze wracali z imprezy sylwestrowej. Z tego powodu brak jakichkolwiek wiadomości od córki w ogóle mnie nie zdziwił. Kiedy masz osiemnaście lat i nocuje u ciebie przyjaciółka, to twój staruszek raczej nie jest „very important person”.

– Masz jakiś plan? – spytałem, odkładając wszystkie inne pytania na później. Dlaczego Rozalia zniknęła dziesięć lat temu. Czemu nie kontaktowała się z Leną. Bo jeszcze umiem zrozumieć, dlaczego unikała styczności ze mną. Zdaję sobie sprawę, że jestem bardzo zgryźliwym człowiekiem. Murowanym faworytem na przewodniczącego klubu wiecznie niezadowolonych seniorów.

– Plan jest bardzo prosty – oznajmiła. – Musimy ją znaleźć. Nawet jeśli będziemy musieli przeszukać to miasto metr po metrze.

– Brzmisz jak słabo napisana bohaterka z gry wideo.

Rozalia szeroko się uśmiechnęła.

– Witam w klubie. Myślę, że bez problemu dostaniesz kartę członkowską. I to złotą.

Na kilka chwil wszystkie sprawy z tego roku przestały mieć jakiekolwiek znaczenie. Stesser z metra. Mój pogarszający się stan zdrowia. Przemyt broni z Lizbony. Rzekome urządzenie pozwalające kasować świadomość z dowolnego ciała i instalowanie w nim własnej. Kanto i inni psychopaci podsyłani mi przez Røbusta.

Liczyło się tylko odnalezienie mojej córki.

Cholera. Faktycznie to ja zabrzmiałem jak słabo napisana postać z gry wideo.

Rozdział 3

„Znajdź ją, jeśli potrafisz”

Chwilowy szok nie trwał długo. Mam już tyle lat, że od momentu, kiedy urodziła się Lena byłem niemal pewny, że w pewnym momencie jej życia to miasto sprowadzi na nią kłopoty. Oczywiście bardziej liczyłem na popapranego chłopaka w stylu badboya, który namówi ją wspólny wypad w góry, zbytnio nie konsultując tego ze mną. Przez moment zastanawiałem się nawet, czy to nie jest najbardziej prawdopodobna możliwość. Moja córka wychodzi z przyjaciółką namalować kilka graffiti, a tak naprawdę ucieka gdzieś z jakimś gogusiem poznanym w Sylwestra. Ta teoria miała jednak jedną, wielką wadę. Śmierć Präln. Jeśli Rozalia się nie myliła i ta dziewczyna naprawdę nie żyje, teoria z chłopakiem praktycznie odpadała. Zdaję sobie sprawę, że kiedy ma się osiemnaście lat, można bardzo chcieć wyjechać z góry z jakimś przystojniakiem, ale mordowanie z tego powodu własnej przyjaciółki nie wydaje się być zbyt mądrym pomysłem. W końcu trzeba czasem ściemnić ojcu, że nocuje się u najlepszej koleżanki.

– Wiem, że to głupie pytanie – nagle przerwała moje przemyślenia Rozalia. – Masz jakichś wrogów? – Na chwilę się uśmiechnęła, jakbym opowiedział bardzo śmieszny dowcip. Niestety z moich żartów często śmieję się tylko ja. Wewnętrznie. – To znaczy wiem, że masz ich mnóstwo – kontynuowała. – Ale czy któryś z nich mógłby być na tyle zdeterminowany i mieć możliwości, żeby to zrobić?

Wciągnąłem powoli powietrze. Mogłoby się wydawać, że handlarz broni w Shadow Villens słowo „wróg” odmienia przez wszystkie możliwe przypadki. Jednak w interesach starałem się być zawsze w porządku. Na ile to oczywiście możliwe w tej branży. Zostawała jednak spora grupa psychopatów, których co jakiś czas dostarczał mi Røbust. Mimo że zawsze starałem się zachować największe środki ostrożności, zemsta w tym mieście niejedno widziała. I wielu potraktowała niezbyt przyjemnie, dlatego nie mogłem tego całkowicie wykluczyć.

– Prześlę ci za zaraz listę osób do sprawdzenia – powiedziałem, jednocześnie ustawiając archiwizację potrzebnych danych do jednego pliku.

Rozalia odpowiedziała nieznacznym skinieniem głowy.

– To teraz działamy razem czy się rozdzielamy? – spytałem, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to jak ostatnie słowa przed rozwodem.

– Ja teraz nie mogę za bardzo pokazywać się w Shadow Villens – odpowiedziała i niemal natychmiast napotkała mój zdziwiony wzrok. – Później ci wytłumaczę. To długa historia.

Tym razem to ja skinąłem głową. W tym mieście nietrudno o łatkę poszukiwanego. Oczywiście nie przez policję, tylko przez nieuczciwych kontrahentów. Czytaj: najgorszych oprychów, jakich można sobie wyobrazić. W dodatku nie miałem zbyt dużo czasu, bo czerpiąc wiedzę z tanich filmów

kryminalnych wiedziałem, że przy porwaniu najważniejsze jest pierwsze 48 godzin. A będąc całkowicie szczerym, tak naprawdę pierwsza doba.

– Dlatego to ty musisz pojechać do tego miejsca, w którym zamordowano koleżankę Leny – kontynuowała Rozalia. – Co ciekawe wykryłam tam również sygnał wskazujący na włamanie do jej systemu, więc jeśli porywacz zostawił jakieś ślady, to chyba jedyne miejsce, gdzie możesz coś znaleźć. Wyślę ci zaraz wszystkie współrzędne.

Niemal natychmiast poczułem odebranie paczki plików z zaznaczonym miejscem w Shadow Villens. Po chwili zdałem sobie sprawę, że na moim ciele pojawia się gęsia skórka. Chyba nie pamiętałem, kiedy ktoś włamywał się do mnie z taką łatwością. Lepsze zabezpieczenia wydawał się mieć głośnik bluetooth sprzed 130 lat. Pokręciłem ze zrezygnowaniem głową i sprawdziłem lokalizację. Plik wskazywał boczną uliczkę w pobliżu przystanku metra w samym Centrum. Głęboko wciągnąłem mroźne powietrze i przymknąłem jedno oko.

– No tak... – rzekłem do siebie. – Typowe miejsce do malowania graffiti. Niby centrum miasta, żeby dostać trochę reputacji w środowisku, a w rzeczywistości plugawy zaułek. Później i tak życie tej pracy będzie się toczyć tylko wirtualnie. Oczywiście jeśli twoi znajomi udostępnią to w mediach społecznościowych.

– Muszę się teraz zbierać, bo tu na nic więcej się już nie przydam – oznajmiła Rozalia. – Przepustowość Sieci jest tutaj do kitu, a muszę przebić się przez terabajty materiału z monitoringu miasta plus przejrzyć listę twoich podejrzanych. Zajmie mi to przynajmniej kilkanaście godzin.

– Ros... – zacząłem nieśmiało, mimowolnie chcąc zadać niewygodne pytania, które wciąż plątały się w powietrzu.

– Później Gustav – ucięła szybko, zapewne słysząc zdrobnienie swojego imienia.

– Jak to się skończy, usiądziemy na spokojnie w jakimś barze i wszystko ci wyjaśnię.

– Zapraszam na dobrą whisky w „Retro Dinosaur” – zaproponowałem.

– Ten lokal Kampera? Cholera, nie widziałam go ze sto lat. To znaczy chodzi mi o Kampera.

– Dokładnie dziesięć – poprawiłem. – Zniknęłaś kilka dni po jego urodzinach...

Rozalia zmroziła mnie wzrokiem.

– Później – warknęła. – Nie mamy teraz czasu na rozpamiętywanie. Naszej córce to nie pomoże. – Te słowa były niczym szybkie i mocne uderzenie prosto w brzuch. Dokładniej w wątrobę bolącą mnie od sylwestrowej nocy. Endorfiny, które zdążyły się wytworzyć na widok bezbłędnej figury mojej byłej żony, zniknęły w jednej chwili. Oprzytomniałem i jednocześnie pojawił się za ten najgorszy rodzaj strachu wywołujący trwałe ucisk w żołądku. Lena była w niebezpieczeństwie i to najprawdopodobniej przeze mnie. Musiałem gdzieś popełnić błąd. Nie wiedziałem, czy było to spowodowane jakimś interesem czy w moją nocną zabawą w straż osiedlową. Tak, wiem. Rozciągniętą na całe miasto.

– Przesłałam ci właśnie kilka jednorazowych kodów, dzięki którym skontaktujesz się ze mną – oznajmiła Rozalia, a ja znowu poczułem niemal

niewidoczny transfer plików. – Daj mi znać, dopiero jak coś ustalisz. Jeśli dowiem się czegoś szybciej, wiem, jak cię znaleźć. Powodzenia Gustav.

Chciałem odpowiedzieć coś więcej niż „dzięki Ros”, ale moja była żona szybkim krokiem ruszyła w kierunku stromego obniżenia terenu i po kilkunastu sekundach zniknęła z zasięgu mojego wzroku. Nie minęło dużo więcej czasu, a na niebie pojawił się zarys pojazdu będącego połączeniem samochodu i niewielkiego samolotu. Był niemal bezgłośny i niewidoczny, więc nie mogłem mieć do siebie zbyt wielu pretensji, że go nie wykryłem. Zwłaszcza z nieaktywnymi systemami obronnymi.

– Właśnie... – pomyślałem. – Systemy obronne powinny już działać. Creep, jesteś tam? – wywołałem sztuczną inteligencję.

– Najmocniej przepraszam panie Gustavie. Cały nasz system stał się ofiarą ataku – zaczął się tłumaczyć. – Nie mam pojęcia, jak to możliwe. Pobieram teraz raporty z całego sprzętu, może uda mi się coś ustalić, jednak nie mam w zasobach pamięci aż tak brutalnego włamania.

– Odsuść – westchnąłem. – To była Rozalia.

– Pani Rozalia? Czy ona żyje?

Mimo że Creep został napisany dwa lata po jej zniknięciu, miał dostęp do moich wspomnień. Bazując na nich, był przekonany, że jej zaginięcie z dużym prawdopodobieństwem było równoznaczne ze śmiercią.

– Jak widać, tylko nieznacznie się pomyliłem – mruknąłem sarkastycznie. – Ale oprócz tego że żyje, na razie dużo więcej się nie dowiedziałem. Mamy za to dużo poważniejszy problem. Najprawdopodobniej Lena została porwana.

– Lena? – krzyknął Creep, mocno zniekształcając barwę syntezy. – To niemożliwe. Cały czas monitoruję jej sygnał i aktualnie znajduje się w domu.

– Nie ty jeden – skwitowałem pod nosem. – Ale twoje zdolności hakerskie ograniczają się do moich, więc też nie zdajesz sobie sprawy, że jej system operacyjny ktoś scrakował kilka godzin temu. Istnieje też cholernie duża szansa, że jej przyjaciółka Präln nie żyje.

– Niech to – warknął Creep, a muszę podkreślić, że było to najcięższe przekleństwo, na jakie sobie pozwalał. – To gdzie zaczynamy poszukiwania? Mamy jakąś przybliżoną lokalizację?

– Tak. Miejsce, w którym zginęła Präln, a Rozalia wykryła włamanie do systemu Leny. To tam zapętlili się sygnały – odparłem.

– A czy pani Rozalia jest w to zamieszana?

– Nie – powiedziałem niemal natychmiast. – Nie wiem – poprawiłem się po kilku sekundach. Pytanie Creepa było zasadne, w końcu był on wygaszony podczas spotkania z Rozalią i nie miał pojęcia o naszej rozmowie. Może taki był jej plan? Oddalić podejrzenia od siebie, a jednocześnie znałaby każdy mój ruch. Z drugiej strony takie działanie wydawało się nielogiczne. Z jej umiejętnościami nie musiała się zbytnio przejmować, że ją wytropię i mogła porwać Lenę bez większych problemów. Na razie nie miałem lepszego punktu zaczepienia niż ten przekazany

przez moją byłą żonę. Tak, wiem. Nie brzmiało to zbyt dobrze. Ale jak to mówią: „jeśli wybrzydzasz na Wigilii u teściowej, raczej nie licz na prezenty”.

– Creep! Przygotuj samochód – krzyknąłem i ruszyłem w stronę wjazdu do windy. – Lecimy do Centrum.

Zdawałem sobie sprawę, że moje ostatnie słowa dużo lepiej brzmią w sobotni wieczór. Teraz szczerze wątpię, że to dobry znak.

Samochód zatrzymał się w małej uliczce chlubnie nazwanej „Aleją Świetlików”. Wydawała się nie zasługiwać na to miano, latarni było jak na lekarstwo, a i tak tylko kilka było sprawnych. Również neonowe szyldy reklamujące garść małych sklepików nie zmieniały sytuacji. O tej porze były już nieczynne i ich właściciele zdawali się oszczędzać drogą energię elektryczną, więc kolorowe litery ledwo się tliły. Musiałem przyznać, że najbardziej rozświetlającym elementem krajobrazu był wszędzie zalegający śnieg. W końcu drogowcy zdawali się omijać to miejsce szerokim łukiem. Albo pługiem. Tak, wiem. Słaby żart.

Po wyjściu z samochodu zorientowałem się, że oprócz mnie nikogo tutaj nie ma. Oczywiście nie było to specjalnie oblegane miejsce, ale kilka godzin temu sytuacja wyglądała pewnie całkowicie inaczej – zwłoki, policjanci i tłum gapiów. Takie zdarzenia od zawsze przyciągały niemałe zgromadzenia. Potrząsnąłem głową, żeby chociaż na chwilę oczyścić głowę i szybko skierowałem się ku szerokiej ścianie pokrytej graffiti. Było to jednak małe niedomówienie. Różnych warstw farby i sprayu było tu zapewne kilkadziesiąt i całość raczej nie zetknęła się z czymś takim jak kompozycja. Niektóre fragmenty prac były zamalowane, sprawiając wrażenie niedokończonych, a ponadto duża część była zwyczajnie słaba. Zupełnie jakby stworzona przez nastolatków, którzy zgubili się na pierwszych zajęciach z plastyki.

Szybko znalazłem szablon Leny znajdujący się w środkowo – górnej części ściany. Praca składała się z trzech podstawowych barw: czarnej, białej oraz czerwonej i przedstawiała funkcjonariusza policji z nałożoną na głowę papierową torebką używaną do pakowania pączków. Obok twarzy znajdował się komiksowy dymek z napisem „To miasto potrzebuje prawdziwych bohaterów: pączków i lukru”. Przez ułamek sekundy na mojej twarzy pojawił się ojcowski, błogi uśmiech, co było następstwem dumy z pracy własnej córki, która szczerze mnie rozśmieszyła. Niestety równie szybko musiałem wrócić na ziemię, gdy zobaczyłem fragmenty żółtej, policyjnej taśmy i wiedziałem, że użyto jej do zabezpieczenia miejsca znalezienia zwłok. Zapewne gdzieś tutaj zginęła Prältn, najlepsza przyjaciółka Leny.

Kucnąłem i roztarłem w dłoni trochę śniegu. Był świeży, co niespecjalnie mnie zdziwiło. Od kilku godzin wciąż padało i bardzo skutecznie zmieniło miejsce morderstwa w świąteczny krajobraz.

– Creep – powiedziałem cicho. – Przeskanuj cały teren. Musimy coś znaleźć. Ślady krwi albo jakiegoś pojazdu, strzępki ubrań, naprawdę cokolwiek. Sprawdź też, czy nie ma w pobliżu urządzeń nagrywających niepodłączonych do Sieci. Rozalia sprawdziła wszystkie kamery, ale tylko te zsynchronizowane. Sam wiesz, że trochę ludzi nagrywa rzeczy tylko w trybie offline.

– Oczywiście. Już się robi panie Gustavie – odparł i w tym samym momencie otworzył się bagażnik mojego samochodu, z którego wyleciało kilkanaście małych dronów wyposażonych we wszelkiego rodzaju urządzenia skanujące. Rozdzieliły się i skrupulatnie zaczęły sprawdzać każdy centymetr kwadratowy terenu. Wiedziałem, że część śladów została zabrana lub zniszczona przez policję, ale byłem również pewny, że funkcjonariusze Shadow Villens nie lubią przemęczać się w pracy, a ich sprzęt pozostawiał wiele do życzenia.

Mój żołądek nie miał się zbyt dobrze, ale i tak włamałem się do wewnętrznej sieci głównego komisariatu i sprawdziłem, czy w ich bazie danych figuruje Präln Krollen. Faktycznie kilka godzin temu został utworzony rekord z jej imieniem i nazwiskiem, jednak oprócz informacji, że jest domniemaną ofiarą morderstwa, nie pojawiło się tam nic więcej. Zakląłem w duchu. Mogłem sprawdzić to już wcześniej. W dodatku jeśli miałem szczęście, funkcjonariusz przydzielony do redagowania tej sprawy czekał na wyniki sekcji zwłok. Niestety dużo bardziej prawdopodobna była wersja, że jest przemęczony i znudzony, więc za jakąkolwiek aktualizację zabierze się za kilka dni. W tym mieście śmierć jednej osoby nie robiła na nikim specjalnego wrażenia. Dopiero od kilku ofiar wzwyż policja i media zaczynały wykazywać drobne zainteresowanie. Podkreślam – drobne.

– Panie Gustavie – wyrwał mnie z zamyślenia Creep. – Cztery metry od pana znalazłem ślady krwi, które pasują do kodu genetycznego Präln. Materiału porównawczego nie ma zbyt dużo, pewnie większość została zebrana przez policyjnych techników, ale wystarczyło, by definitywnie potwierdzić, że to jej krew.

– Niech żyje policja – mruknąłem z niezadowoleniem, intonując jednocześnie tanią i prostą melodię. – Wiedziałem, że dopóki któryś z techników nie wrzuci wyników na serwer, śmierć Präln nie przybliży mnie do odnalezienia mojej córki. Przez sekundę przeszła mnie myśl, czy nie zadzwonić do Røbusta, jednak aktualnie ten pomysł wydawał się mieć więcej wad, niż zalet.

– A ślady Leny? – spytałem. – Udało ci się coś znaleźć?

– Nie wykryłem nawet mililitra krwi, jeśli o to pan pyta. Jedynie kilka bardzo słabych śladów zapachowych, ale znaczących tylko tyle, że Lena tu była.

Głęboko wciągnąłem powietrze.

– To dobrze – powiedziałem cicho, natychmiast zdając sobie sprawę, jak bardzo było to nie na miejscu. Kojarzyłem rodziców Präln, przychodzili wymiennie na wywiadówki. Oboje byli wysoko postawionymi prawnikami dużej korporacji produkującej implanty. Praktycznie ich nie znałem, ale nigdy nie robili problemów ze znajomości Präln z moją córką. Nie wszyscy byli tacy mili, zwłaszcza w stosunku do mnie. Rzekomy handlarz bronią naprawdę nie cieszył się zbyt dużym uznaniem komitetu rodzicielskiego.

Próbowałem zatrzymać niepokojące myśli, jednak zdążyłem już w głowie odegrać nadchodzącą scenę, kiedy rodziców Prälń odwiedzają policjanci i informują o śmierci córki. Na to mój żołądek również niezbyt dobrze zareagował i naprawdę dużo wysiłku kosztowało mnie powstrzymanie wymiotów. Przełknąłem ślinę i przyrzekłem sobie, że odnajdę Lenę żywą. Chyba już coś wspominałem, że brzmię, jak słabo napisana postać w grze wideo?

– Panie Gustavie – zaczął znowu Creep.

– Tak?

– Widzi pan ten lombard ze starociami na szóstej?

Odwrociłem się. Faktycznie znajdowała się tam witryna, której wygląd wskazywał na brak remontu od kilkadziesiąt lat. Zardzewiałe litery przekrzywionego i niedziałającego neonu informowały, że sprzedam oraz kupię tam wszystko. Uśmiechnąłem się ironicznie. Prawdziwa firma renesansu.

Podszedłem bliżej i spojrzałem przez szybę. Niestety w środku panowała niemal całkowita ciemność, więc szybko przełączyłem widzenie na tryb noktowizyjny. Od razu poraziła mnie ogromna ilość rupieci. Zdziwiło mnie, że wszystkie były idealnie poukładane na półkach, co w takich miejscach praktycznie się nie zdarza.

– I co tutaj znalazłeś? – spytałem Creepa, jednocześnie omiatając wzrokiem archaiczne odtwarzacze DVD, magnetowidy i inne przedmioty, które wyszły z użytku ponad 100 lat temu.

– Widzi pan tę starą kamerę na trzeciej półce od góry? – odparł Creep, niepotrzebnie dodając przymiotnik „stary”. Każda rzecz w tym sklepie pamiętała jeszcze dinozaury.

– Tak – odpowiedziałem po kilku sekundach, skupiając wzrok na kanciastym przedmiocie z napisem HD po prawej stronie. Jakość obrazu musiała być naprawdę porażająca. Chociaż i tak znacznie lepsza niż na moich retro konsolach. – I co z nią? Raczej nie mam zamiaru nagrywać amatorskich filmików dzisiejszej nocy.

– Ta kamera działa jako monitoring tego lombardu i nie jest podłączona do wewnętrznej sieci, tylko do leciwego peceta znajdującego się pod ladą. Później wszystko jest zapisywane do zewnętrznego dysku.

– Rozumiem, że nie możesz się do niego włamać.

– Niestety. Widzę tylko przepływ danych, ale nie mam do nich dostępu. Tutaj będziemy potrzebować ręcznej roboty.

– Witamy w średniowieczu – westchnąłem, a następnie rozejrzałem się wokoło. Była już późna noc z pierwszego na drugiego stycznia, więc nadal nie było tutaj dużo ludzi. W oddali widziałem tylko grupę podrostków, którzy urwali się z domu, żeby wypić szybkie piwo ze znajomymi. Raczej nie powinni się przejąć mało legalnym wejściem do lombardu, bo przecież i tak nie zamierzałem nic ukraść.

Z mojej prawej dłoni na wysokości knykci wysunęła się cienka igła, by po chwili rozdzielić się na trzy części. Musiałem naprawdę uważać, żeby nie zahaczyć o palce, bo mogło się to skończyć przypadkową amputacją. Końce były tak ostre, że zdawały się być marzeniem kucharzy od steków z całego miasta.

Szybko wyciąłem niemal idealny okrąg w szklanej części drzwi i wsunąłem tam rękę, by po chwili drzwi stanęły przede mną otworem. Wiem, może trochę przesadziłem, tak naprawdę uchyliłem je na maksymalnie 30 stopni i przecisnąłem się do środka. Na szczęście nie działał tutaj żaden system alarmowy oprócz tego podłączonego do Sieci, więc wszystkie zabezpieczenia udało mi się złamać w kilkanaście sekund. Tryb noktowizyjny w moich oczach nadal pracował, dlatego bez większych problemów przeskoczyłem za ladę i podłączyłem się do sfatygowanego peceta. Po złamaniu banalnego hasła, szybko znalazłem ścieżkę do zewnętrznego dysku, na którym zapisywał się obraz pseudo monitoringu. Daty plików sięgały trzech dni wstecz, więc nie zastanawiając się długo, skopiowałem je wszystkie. Usunąłem jeszcze ostatnie piętnaście minut monitoringu, zastępując je innym nagraniem i wylogowałem się z systemu. Sprzęt wydawał się na tyle archaiczny, że wyłączając go, spodziewałem się zobaczyć napis „możesz teraz bezpiecznie wyłączyć komputer”. Przepraszam. Retro żart.

Kolejny raz zwinnie przeskoczyłem przez ladę, starając się niczego nie stracić. Nie chciałem, żeby właściciel lombardu natychmiast się zorientował, że ktoś przeszukiwał to miejsce. Wyszedłem na zewnątrz, znowu lekko uchylając drzwi i z chirurgiczną precyzją wpasowałem wycięty kawałek szyby. Oczywiście przy dokładniejszym przyjrzeniu się dało się zauważyć ślady po włamaniu, jednak szczerze wątpiłem, że nastąpi to od razu po jutrzejszym otwarciu.

Szybkim krokiem ruszyłem do samochodu, cały czas rozglądając się wokoło, żeby sprawdzić, czy nie wzbudziłem jakichś podejrzeń. Na szczęście grupa małolatów nadal była bardziej zajęta piwem i podkolorowanymi opowieściami z sylwestrowych imprez, więc nie zwróciłem ich większej uwagi.

Mój Cadillac zdążył pokryć się już kilkucentymetrową warstwą śniegu, dlatego poprosiłem Creepa, aby uaktywnił podgrzewanie karoserii. Zwrócił mi uwagę, że przecież sam mu kazałem ograniczyć używanie tej funkcji, jednak takie decyzje o oszczędzaniu akumulatora łatwo podejmuje się na przytulnej sofie. Kiedy trzeba użyć szufelki i skrobaczki, oszczędność energii nagle traci na sile przebicia. Nie pomyliłem się zbytnio, bo gdy tylko otworzyłem drzwi, duża ilość białego puchu wylądowała na samym środku fotela. Zakląłem w duchu, ale na pocieszenie przypomniałem sobie, że funkcja podgrzewanych siedzeń nigdy nie została dezaktywowana.

Rozsiadłem się wygodnie, a po chwili przednia szyba zamieniła się w szerokokątny ekran. Połączyłem się z nim, aby na spokojnie przejrzeć filmy z monitoringu, oczywiście nie miałem zamiaru sam ich sprawdzać. Dużo efektywniej było znów poprosić o pomoc sztuczną inteligencję.

– Creep, wyodrębnij mi fragmenty, na których widać Lenę i Präln.

Nic nie odpowiedział, a po kilku sekundach w prawym dolnym rogu pojawił się mały interfejs z listą siedmiu plików. Otworzyłem pierwszy, ale tak, jak się spodziewałem, na nagraniu nie znajdowało się nic szczególnego. Moja córka i jej przyjaciółka o czymś intensywnie dyskutowały, energicznie gestykulując. Każda z nich miała duży plecak, zapewne przeładowany szablonami i sprejami. Co ważne,

było jeszcze całkowicie jasno, więc musiało być jeszcze kilka godzin przed piątą popołudniu. Niestety kamera miała źle ustawioną datę, godzina zapisu pliku wskazywała na 4:12 w nocy 2016 roku. Zdziwiłem się, że ten sprzęt jeszcze nie został zakopany u kogoś w ogródku.

Obraz był też na tyle niewyraźny, że nie mogłem przeprowadzić analizy rozmowy z ruchu ust. Zmarszczyłem czoło. Na szczęście plik numer jeden potwierdził jednoznacznie, że Lena i Präln były tutaj. Wciąż miałem jednak gdzieś z tyłu głowy, że Rozalia mogła to wszystko sfabrykować. W końcu nie widziałem jej dziesięć lat, a z doświadczenia wiem, że takie nagłe powroty nigdy nie oznaczają niczego dobrego. Gdzieś musiał czaić się kruczek na haczyku. Jedynie nie mogłem dostrzec, w którym miejscu. Mimo wszystko jedna rzecz była pewna. Moja córka zniknęła i ostatni ślad znajdował się gdzieś w tym miejscu.

Nagrania oznaczone numerami od 2 do 6 nie wniosły nic nowego. Lena i Präln pojawiały się w nich na kilka sekund, ale nie dostrzegłem w nich czegokolwiek podejrzanego. Po prostu przechodziły. Wszystko zmienił plik numer 7 będący znacznie dłuższy niż poprzednie. Dziewczyny nie stały idealnie w polu widzenia kamery, znajdowały się w lewym dolnym rogu jej zasięgu. Musiałem zastosować algorytm sztucznie zwiększający jakość nagrania. Podobno obraz był teraz w 4K, ale osobiście nie byłbym aż tak optymistyczny. Niemniej jednak nie składały się już tylko z kilkudziesięciu pikseli, jak to było kilka chwil wcześniej.

Zmniejszyłem czterokrotnie prędkość odtwarzania, ale szybko tego pożałowałem. W dziewiątej sekundzie nagrania głowa Präln dorobiła się dwóch dodatkowych otworów – wlotowego i wylotowego, a ciało bezwładnie osunęło się na ziemię. Typowe zachowanie po ataku ze snajperki. Mimo że kamera praktycznie nie zbierała odgłosów z zewnątrz, wydawało mi się, że słyszę przerażony krzyk Leny. Przykucnęła obok zamordowanej przyjaciółki i trzęsącymi rękoma próbowała zatamować krwotok. Robiła to jednak na tyle nerwowo, że nawet gdyby Präln miała jakieś szanse na przeżycie, Lena by jej w tym nie pomogła. Miałem teraz niezbity dowód, że jej system operacyjny został całkowicie zhakowany, informacja o tak ogromnej reakcji stresowej natychmiast powinna zostać do mnie przesłana.

Zatrzymałem na chwilę nagranie i poprawiłem się w fotelu. Oglądanie tego wszystkiego w zwolnionym tempie spowodowało u mnie ogromny wzrost ciśnienia, prawie wszystkie mięśnie były napięte, a oczy kilkukrotnie zwiększyły swoją wilgotność. Potrząsnąłem nerwowo głową. Nie mogłem się teraz rozklejać, bo niczego to nie ułatwiało. Z powrotem dotknąłem obrócony trójkąt oznaczający „play”, tym samym wznawiając nagranie. Kolejne kilka sekund nie przyniosło żadnych elementów, które przybliżyłyby mnie do rozwiązania tajemnicy zniknięcia Leny. Nadal klęczała obok zamordowanej przyjaciółki i próbowała wzywać pomocy. Niestety z nikłym rezultatem. Było w miarę wcześniej, w dodatku Nowy Rok, a ludzie w takich sytuacjach wolą się wycofać, niż sprawdzać, czy dla nich też ktoś nie przewidział kulki w prezencie.

Nagle przeszedł mnie mimowolny dreszcz i do moich napiętych mięśni doszła gęsia skórka. W kadrze pojawił się mężczyzna w granatowym płaszczu. Nadbiegł

z prawej strony i na pełnej prędkości chwycił Lenę, by po chwili zarzucić ją sobie na plecy. Zanim oboje zniknęli, spojrzał za siebie, przez chwilę patrząc prosto w obiektyw kamery. Nie musiał nawet tego robić, bo rozpoznałem go po widocznej nadwadze i specyficznym sposobie poruszania się. Teraz wiedziałem, kto porwał moją córkę.

To był Kamper. Właściciel „Retro Dinosaur”.

Rozdział 4

„Kiedy celują do ciebie z pistoletu, przypomnij sobie lekcje dyplomacji u znienawidzonej cioci. Może ugrasz coś więcej, niż trzy dodatkowe cukierki.”

Wciągnąłem głośno powietrze, jednocześnie wygrzebując z kieszeni paczkę papierosów. Potrzebowałem nikotyny, żeby uspokoić ciśnienie krwi, które aktualnie przekroczyło wszelkie medyczne normy. Musiałem też wyjść z samochodu, bo pomimo stresu nigdy nie zapaliłbym w środku – staroświeckie zasady kolekcjonerów. Okryłem dłonią ogień zapalniczki, by ten nie zgasł za szybko i po chwili obok moich ust żarzył się jasny punkcik.

– Cholera – powiedziałem na głos, próbując uspokoić strumień przeciwnych myśli. Czy to naprawdę mógł być Kamper? Znałem go już tak długo i uważałem za swojego przyjaciela albo chociaż lubiłem tak o nim myśleć. I po co miałby porywać Lenę? Niemal natychmiast odrzuciłem wersję, która przychodzi do głowy ojcom, gdy obok jego osiemnastoletniej córki zaczyna kręcić się starszy facet. Kamper wbrew wygląadowi osoby, która zgubiła się w burgerowni, nie narzekał na swoje życie uczuciowe. Albo wręcz anty – uczuciowe. Randkował chyba z połową Shadow Villens, a druga połowa czekała na swój match w miłosnej aplikacji. Czasami aż nie mogłem uwierzyć, jak ładne kobiety decydują się na wyjście na kolację z tą bardziej mroczną wersją Świętego Mikołaja. Miał za to dwie niepodważalne zalety. Własny klub z dużym barem oraz smykałkę do opowiadania historii. Z takimi atrybutami robisz karierę i z dziewczynami, i w więzieniu.

Po odrzuceniu pierwszej, najprostszej wersji nie pozostało mi zbyt wiele opcji. Porwanie dla okupu? Bez sensu. Kamper raczej nie biedował, wręcz przeciwnie. Znał się na biznesie i jak mało kto odróżniał zysk netto od kosztów brutto. Dostał zlecenie? Również to wydawało się to mało prawdopodobne. Wiedział, że posiadam sporo umiejętności, które mogą skutecznie skrócić jego linię życia. A uprowadzenie Leny było najgłupszą rzeczą, jaką mógł zrobić, nawet gdyby stawka wynagrodzenia opiewała na nierealną sumę waluty. Czegoś tutaj nie dostrzegałem, a papierosowy dym wcale nie poprawiał widoczności.

– Cholera – zakląłem po raz drugi, uderzając otwartą dłonią w drzwi samochodu. Musiałem teraz namierzyć Kampera, a to też nie wydawało się takie proste. Jak każda osoba zajmująca się biznesem, mocno zainwestował w skrypty szyfrujące położenie. Mogłem je złamać, ale zajęłoby mi to pewnie kilka godzin, a powiedzieć, że nie miałem na to czasu, to naprawdę nic nie powiedzieć. Na szczęście znałem osobę, która mogła zrobić to odrobinę szybciej.

– Cześć – wychrypiałem po nawiązaniu połączenia. Mój głos brzmiał jak solowa płyta przysklepowego żulka. Byłem zestresowany, zziębnięty i potrzebowałem położyć się do łóżka. Niestety na razie nie zanosilo się na takie luksusy.

– Hej – odpowiedziała moja była żona. – Wszystko w porządku? Nie brzmisz za dobrze.

– Przyjmijmy, że jest średnio, ale stabilnie – odparłem wymijająco i od razu przeszedłem do konkretów. – Mogłabyś ustalić dla mnie położenie Kampera?

– Kampera? – zdziwiła się Rozalia. – On jest w to zamieszany?

– Nie wiem – skłamałem. – Muszę z nim chwilę porozmawiać.

– Nie możesz do niego po prostu zadzwonić?

Uśmiechnąłem się.

– To nie jest rozmowa na telefon.

– Gustav, nie mówisz mi wszystkiego.

– A kto mówi wszystko swojej byłej żonie? – zażartowałem w stylu najgorszego wujka na imprezie. – Tak naprawdę wszystko co wiem, to na razie plotki i domysły. Jak znajdę coś konkretnego, od razu dam ci znać.

Rozalia powoli wypuściła powietrze, a ja uruchomiłem w tle jedną z moich najlepszych aplikacji lokalizujących. Ta nie zdołała podać nawet jej przybliżonego położenia strefowego. Cholera. Dawno nie widziałem takich zabezpieczeń. Rozalia grała spokojnie trzy ligi wyżej ode mnie, a progres jaki zrobiła przez ostatnie dziesięć lat, był wręcz nierealny.

– Nadal ci ufam Gustav, ale naprawdę nie chcesz, żeby to się zmieniło. I jeszcze jedno.

– Tak? – mruknąłem.

– Nie próbuj mnie śledzić tymi swoim nędznymi programikami – warknęła, a ja poczułem się jak stalker z liceum.

– Przepraszam – odparłem. – To się nie powtórzy.

– Dziękuję. Tym razem o tym zapomnę. – Zrobiła dłuższą pauzę, a ja głośno przełknąłem ślinę. – Co do Kampera, to daj mi kilka minut, zobaczę, co da się zrobić.

Jasne – westchnąłem, jednocześnie zawieszając naszą rozmowę. Wyciągnąłem kolejnego papierosa i ze zdumieniem stwierdziłem, że szybko zbliżam się do końca paczki. Zmarszczyłem czoło. Wykończą mnie dwie rzeczy. Była żona i nałogi. Naprawdę sprawiałem wrażenie niezbyt ambitnej postaci z kreskówki.

Dźwięk nadchodzącego połączenia zastał mnie w połowie papierosa, więc zabezpieczenia Kampera nie zrobiły na Rozalii zbytniego wrażenia.

– Znajdziesz go w dokach – oznajmiła szorstkim głosem. – Przesłałam ci właśnie dokładną lokalizację, to chyba jakiś opuszczony magazyn. Należał do producenta jachtów, ale zbankrutowali kilka lat temu. Jak już znajdziesz Kampera, proszę zadzwoń do mnie. Nie chcę się powtarzać Gustav, ale czuję, że nie mówisz mi wszystkiego.

– Znajdę ją – oznajmiłem stanowczym głosem. – O to nie musisz się martwić – zapewniłem, chociaż naprawdę nie wiedziałem, czy jestem tego taki pewny.

– Dam znać – dodałem, po czym rozłączyłem się, wciskając wirtualną czerwoną słuchawkę. Na razie ta sytuacja wydawała mi się całkowicie nierealna. Śmierć Präln, Kamper porywający moją córkę. Ukrywanie się w dokach jak w tanim kryminale. Rok 2143 chyba nie mógł się zacząć z większym przytupem.

Z powrotem wsiadłem do samochodu, zbyt głośno trzaskając drzwiami. Sprawdziłem godzinę. Był środek nocy – 2:25. Podgłośniłem radio, bo dopiero o tej porze puszczają tam coś słuchalnego. Przesłałem Creepowi lokalizację podaną przez Rozalię i przymknąłem oczy, próbując się trochę zdrzemnąć.

Doki Shadow Villens na pewno pamiętały lepsze czasy. Moja norma snu również. Tak jak się spodziewałem, zamiast szybkiej, nocnej drzemki, było to jedynie podróżowanie z zamkniętymi oczami. Adrenalina i kortyzol, które urządzały sobie w moim krwiobiegu taneczną imprezę, aktualnie pozwalały zapomnieć o słowie „sen”.

Creep zatrzymał się przy tylnym wejściu do portu, bo główna brama była obstawiona przez kilku strażników. O tej porze zapewne i tak bardziej grali w karty albo butelkę. Oczywiście w tę wersję z alkoholem, a nie całowaniem, chociaż może mogliby mnie trochę zaskoczyć. Przepraszam. Głupi żart.

Zanim wysiadłem, uaktywniłem implant pozwalający przez dłuższy czas pozostać w ukryciu. Kilkaset mikroskopijnych kamer ściągało obraz otoczenia, jednocześnie tworząc hologram 3D i zastępując nim moją sylwetkę. Z bliska dosyć łatwo można było dostrzec mój zarys, jednak przy większych odległościach pozostawałem praktycznie niewidzialny. Miało to jednak sporą wadę. Zużywało olbrzymie ilości energii, więc dawałem sobie dosłownie kilkanaście minut, zanim mój żołądek założył związki zawodowe i ogłosił strajk generalny. Poleciałem jeszcze Creepowi, aby monitoring portu hakował ad hoc, dopiero gdy będę w jego zasięgu.

– Monitoring nie działa, żadna kamera aktualnie nie pracuje – oznajmiła po chwili sztuczna inteligencja.

Uśmiechnąłem się. Dział bezpieczeństwa pewnie zajmie się tym za tydzień. Oczywiście w sprzyjających okolicznościach, a ja dzięki temu zaoszczędzę trochę energii.

Szybko przemknąłem przez zagracony plac, wciąż mając wrażenie, że śniegu przybywa z każdą godziną. Delikatnie oparłem plecy o stalowe ogrodzenie otaczające teren portu i zwalczyłem chęć zapalenia kolejnego papierosa. Trochę żałowałem, że nie mogę po prostu zhakować systemu przepustek, ale mógł być monitorowany przez Kampera. Jeśli naprawdę miał tam swoją kryjówkę, nagle dopisanie nowego klienta o 2:45 w nocy mogło wzbudzić jego podejrzenia. Strażnicy zapewne zorientowaliby się dopiero w godzinach porannych, jednak nie właściciel „Retro Dinosaur”.

Wdrapałem się na ogrodzenie, odczekałem kilka sekund, zanim jeden ze strażników robiący obchód skierował się w przeciwną stronę i zeskoczyłem, praktycznie nie powodując żadnego dźwięku. Amortyzatory zamontowane w ścięgnach Achillesa działały bez zarzutu. Sprawdziłem lokalizację hangaru, w którym rzekomo znajdował się Kamper, dzieliło mnie od niego niecałe 400 metrów. Nie był to ogromny dystans, ale każdy błąd mógł mnie sporo kosztować. Nie chciałem zabrzmieć zbyt patetycznie, ale mogło to być nawet życie mojej córki.

Przełknąłem głośno ślinę i pochyłony podbiegłem do jednego z ogromnych dźwigów, które ze względu na swój kształt były przez mieszkańców Shadow Villens nazywane dźwigozaurami. Pokrywały je taśmy z neonowym oświetleniem i podczas ważniejszych imprez w mieście, starały się ubarwiać ponury, portowy krajobraz. Na szczęście noc z pierwszego na drugiego stycznia nie była zbyt świętowana, może oprócz narodowego obchodzenia kaca, więc dźwigozaury aktualnie zostały wygaszone.

Przykucnąłem na chwilę za stalową podporą, jednak nie mogłem zapominać, że nie mam zbyt wiele czasu. Hologram, który mnie ukrywał, mógł działać jeszcze maksymalnie piętnaście minut, zanim mój system operacyjny odmówi posłuszeństwa. Nawet nie chciałem sprawdzać, ile zostało mi czasu. Ruszyłem we wskazanym przez nawigację kierunku, tym samym wychodząc na otwarty teren doków. Po mojej prawej znajdował się spory kontenerowiec. Jaskrawy napis na jego burcie obwieszczał, że statek nazywa się „Aleander”. Nawet teraz na jego pokładzie znajdowało się kilkunastu robotników i co kilka sekund dało się dostrzec oślepiające błyski powstające w trakcie spawania. Na szczęście nikt z tych mężczyzn nawet nie spoglądał w moją stronę, a nawet jeśli by to zrobił, wątpię, że ich oczy były w stanie rozpoznać cokolwiek innego niż końcówka elektrody. Oraz oczywiście zimne piwko. To zapewne rozpoznawali z kilkudziesięciu metrów. Sam kiedyś pracowałem fizycznie i wiem, że nic tak nie rozjaśnia umysłu jak gazowany napój o smaku chmielu. Mała poprawka. Patrząc na moje zajęcia w czasie wolnym, nadal tak pracuję.

Niestety bez kufla w dłoni, ale za to średnim tempem udało mi się pokonać prawie trzy czwarte dystansu, ale będąc niecałe sto metrów od celu, zaskoczył mnie jeden ze strażników. Z powodu hologramu, a tym samym oszczędności zasilania mój skaner praktycznie nie pracował. Wyostrzenie słuchu również działało w okrojonym zakresie. Naprawdę nie chciałem przypominać, jak ten zmysł działa bez wspomagania w wieku 63 lat. I po trzech dekadach grania w garażowym zespole.

Ochroniarz wyłonił się w ostatniej chwili zza podpory kolejnego dźwigu. Zrobił to na tyle niespodziewanie, że praktycznie się z nim zderzyłem. Zdażyłem jeszcze podświadomie przeczytać plaketkę pracowniczą, z której wynikało, że nazywał się Ralv, a następnie odbiłem na prawo uderzając barkiem w stalowy element. Cholera. Koleś z imieniem jak z najgorszego sitcomu prawie zawałił mi cały plan. Może Sigmund miał rację. Zbyt szybko się starzeję.

Złapałem równowagę i spróbowałem uspokoić oddech, mimo że Ralv nie zwrócił dużej uwagi na dźwięk zetknięcia się metalu i mojego ciała. Oczywiście

rozejrzał się wokoło, ale skierował wiązkę światła z latarki kilka dobrych metrów ode mnie. Nie wiem, czy też nie grał w garażowej kapeli, ale jednego byłem pewien. Nagroda pracownika miesiąca raczej mu nie groziła.

Kiedy strażnik oddalił się na bezpieczną odległość, włączyłem na kilka sekund skaner zagrożeń, ale nie odnotował żadnych napastników w obrębie czterdziestu metrów. Zdawałem sobie sprawę, że straciłem przez to kilka cennych minut działania systemu kamuflującego, ale ryzyko nie było aktualnie moim najlepszym przyjacielem.

Powstrzymałem nadchodzącą falę kaszlu i powoli się podniosłem. Tak bardzo potrzebowałem snu, a tak bardzo nie mogłem sobie teraz na to pozwolić. Skarciłem się w myślach za to, że zaczynam brzmieć jak rozhisteryzowany nastolatek i ruszyłem w stronę hangarów, które ciągnęły się przez kilkadziesiąt metrów. Wszystkie wyglądały niemal tak samo. Pseudo trójkątny kształt z zaoblonymi kątami oraz tania, szara blacha. Całość sprawiała wrażenie, jakby miało zostać scenerią w budżetowym horrorze.

Zatrzymałem się przy magazynie oznaczonym numerem 19 i mimowolnie zacisnąłem pięści. W środku najprawdopodobniej znajdował się porywacz mojej córki, a jednocześnie wciąż jeden z moich najlepszych kumpli. Naprawdę ciężko o bardziej popapraną oksymoron.

We frontowej elewacji nie było żadnego okna, ale podejrzewałem, że dach może zawierać jakieś świetliki. Nie zastanawiałem się długo. Uaktywniłem na chwilę przyczepność do pionowych powierzchni i zbliżyłem się do ściany. Musiałem się spieszyć, żeby zostawić zapas energii na możliwą konfrontację.

Wejście na górę poszło całkiem sprawnie, wszczepy mnie nie zawiodły, bo byłem praktycznie bezszelestny. Kiedy dotarłem na dach, przykucnąłem w jednym z rogów stalowej powierzchni i lekko się uśmiechnąłem. Nie pomyliłem się. Przede mną znajdowało się przynajmniej dwadzieścia przeszklonych otworów. Kiedy rozejrzałem się dokładniej, przeszedł mnie mimowolny dreszcz. Jeden ze świetlików był niemal całkowicie rozbity, wokół ramy pozostały tylko małe fragmenty szkła. Szybko znalazłem się przy najbliższym przeszkleniu i spojrzałem w dół. Tym razem mimowolny dreszcz nie był wystarczający. Ręce zaczęły mi drżeć. Na dole hangaru leżał Kamper. Był skierowany twarzą w dół, a obok zdążyła się już utworzyć spora kałuża krwi. Najgorsze było jednak to, że nigdzie nie mogłem dostrzec Leny.

Natychmiast otworzyłem świetlik obok mnie, chociaż lepszym określeniem byłoby wyrwanie całej ramy, nie oszczędzając zawiasów. W jednej sekundzie pojawił się w mojej głowie neonowy promień nadziei. Lena musiała stąd uciec. W końcu od dziecka uczęszczała na zajęcia sztuk walki, miała wbudowanych kilka wszczepów obronnych, więc mogła zaskoczyć Kampera, a w sytuacjach, gdy stawką

jest twoje życie, zadajesz ciosy, by obok przeciwnika... stworzyć właśnie taką kałużę krwi.

Znowu użyłem implantów amortyzujących, skacząc z kilkunastu metrów, czego zapewne nie wybaczą mi moje kolana. Wyłączyłem kamuflaż holograficzny, jednocześnie aktywując systemy obronne. Przeskanowałem całe pomieszczenie i oprócz właściciela „Retro Dinosaur” nie było tutaj nikogo. Od razu wysłałem zaszyfrowaną wiadomość do Rozalii, aby spróbowała namierzyć Lenę, używając do tego wszelkich możliwych zasobów. Na razie nie miałem czasu na dokładniejsze tłumaczenia. Jeśli Lena uciekła, skontaktuje się ze mną w niedługim czasie. Gdyby sama ucierpiała, moje systemy wykryłyby ślady jej krwi, a szukanie jej w dokach bez działającego systemu monitoringu było jak kopanie kryptowaluty ze zintegrowaną kartą graficzną. Mało efektywne delikatnie mówiąc. Zakląłem w duchu. Może niedziałające kamery nie były dziełem przypadku.

Nie miałem jednak zbyt dużo czasu na narzekanie, musiałem się skupić i poszukać śladów, które dorzucą kilka dodatkowych zmiennych do moich niewiadomych. Z doświadczenia również wiem, że przy szukaniu zaginionej osoby, należy łapać się punktów znajdujących się najbliżej. A właśnie taki leżał kilka metrów ode mnie.

Lekko kuśtykając, podszedłem do ciała Kampera. Obróciłem go na drugą stronę, chociaż nie było to takie proste z racji jego gabarytów. Był nieprzytomny i nie wyglądał za dobrze, zapewne stał już jedną nogą na wieku trumny, ale wciąż żył. Niestety największy problem znajdował się po prawej stronie brzucha. Koszula była już mocno nasączona krwią. Jeśli miałem wyciągnąć od niego jakiegokolwiek informacje, nie mogłem pozwolić mu umrzeć. W dodatku skopanie tyłka trupowi też nie brzmiało dla mnie zachęcająco, a naprawdę miałem szczerą ochotę to zrobić.

– Creep, sprawdź jego funkcje życiowe i ile krwi stracił – powiedziałem, jednocześnie rozrywając materiał. – Cholera – dodałem po chwili, patrząc na kilkucentymetrową ranę. Kamper nie będzie zbyt zadowolony, jego wątroba wyraźnie oberwała. Aż dziwne, że nie leci stamtąd kraftowe piwo.

– Pan Kamper stracił 32 procent krwi. Według zaleceń medycznych będzie potrzebować krystaloidów oraz przetoczenia krwi – odezwał się w końcu Creep.

– Cholera – krzyknąłem. – Włącz program zszywania rany, przejmujesz kontrolę. Później musimy zawieźć go do Sigmunda.

Nie lubiłem, gdy sztuczna inteligencja sterowała moim ciałem, ale teraz nie miałem zbyt wiele wyboru. Jeśli nie zatamowałbym tej rany, a utrata krwi przekroczyłaby 40 procent, mógłbym zacząć ćwiczyć na gitarze solówkę do marszu pogrzebowego.

Wziąłem głęboki wdech i po chwili przestałem czuć obie ręce. Nie opadły bezwładnie, wręcz przeciwnie. Poruszały się niesamowicie szybko i z nierealną dokładnością. Na początku pokryły się płynem dezynfekującym, to samo stało się z dużą powierzchnią skóry tymczasowego pacjenta. Kamper miał szczęście, że był nieprzytomny. W przeciwnym razie jego krzyki załatwiłyby mu pewnie angaż w kapeli deathmetalowej.

Zanim zaczęła się główna część zabiegu, moje dłonie sterowane przez Creepa sprawdziły, czy wewnątrz ciała nie pozostały jakiegokolwiek ciała obce. Później z bocznej części palca wysunęła się igła z wbudowaną nicią chirurgiczną i kilkunastoma ruchami zszyła ranę. Nie był to może najlepiej wyglądający szew świata, program z którego korzystał Creep, był używany przez wojskowych medyków. Był za to szybki i skuteczny. Kamper i tak raczej nie miał dużych szans na zostanie Miss Universe.

Rana przestała krwawić, ale miałem kolejny problem. Musiałem teraz przetransportować nieprzytomnego pacjenta do laboratorium Sigmunda. Duże gabaryty i brak świadomości mocno to utrudniały.

Znowu odzyskałem czucie w dłoniach, co było poprzedzone nieprzyjemnym mrowieniem. Chyba już wspominałem, że się starzeję. Na szczęście po kilkunastu sekundach po podrażnieniu nerwów nie było już śladu. Ułożyłem Kampera w pozycji bocznej ustalonej albo w czymś, co miało ją przypominać. Następnie uruchomiłem dwa programy. Jeden miał za zadanie przeskanować całe pomieszczenie i zapisać je do dokładnego modelu 3d. Dzięki temu mogłem później przeszukać w wirtualnej rzeczywistości cały hangar. Piksel po pikselu. Poligon po poligonie. Druga aplikacja miała nas stąd wyciągnąć. W momencie jej uruchomienia z mojego samochodu została wystrzelona paczka, która znalazła się w hangarze po kilkunastu sekundach. Specjalny skrypt obliczał trajektorię lotu w czasie rzeczywistym, dzięki czemu wleciała przez rozbity świetlik, głucho uderzając w podłogę.

Otworzyłem torbę i wyjąłem z niej kilkanaście obręczy. Były zrobione z lekkiego stopu, a po założeniu ich na nogi oraz ręce tworzyły swoiste pole magnetyczne, które było przyciągane przez mój samochód. Oczywiście tę mającą przelecieć nad nami wersję.

Ze mną poszło całkiem sprawnie, ale kiedy próbowałem założyć obręcz na nogi Kampera, zrozumiałem, że nie bez powodu wszystkie ubrania ma szyte na wymiar. Na domiar złego w międzyczasie zadzwoniła do mnie Rozalia.

– Gustav – jej podwyższony ton głosu wprowadził tylko dodatkową porcję nerwów do i tak już mocno stresowej sytuacji. – Co się dzieje z Leną? Dlaczego mam ją teraz namierzać?

– Nie teraz – starałem się nie krzyczeć, ale raczej nie udało mi tego zrobić. – Później ci wszystko wytłumaczę. Spotkajmy się u Sigmunda za godzinę.

– Przecież już ci tłumaczyłam, że nie mogę się zbytnio pokazywać w Shadow Villens.

– To zbytnio się nie pokazuj. – Wzruszyłem ramionami, używając najgłupszej możliwej odpowiedzi. – Na pewno umiesz się dostać do jego laboratorium bez niechcianej obstawy.

– Gustav – warknęła Rozalia. – Właśnie sobie przypominałam, jak bardzo umiesz mnie wkurzyć. I lepiej, żebyś miał dobre wytłumaczenie, bo następnym razem nie będę już taka miła.

– Teraz jesteś miła? Dziękuję za przypomnienie. Zanotuję to w pamiętniczku – odparłem, jednocześnie kończąc połączenie. Pokręciłem głową ze zrezygnowaniem

i wróciłem do ćwiczeń z cyklu młodego majsterkowicza. Musiało minąć kilka minut, zanim Kamper miał już na sobie wszystkie obręcze. Jeszcze raz obejrzałem jego ranę na brzuchu, ale ta wydawała się trzymać całkiem nieźle. Gorzej z wyglądem. Nadal prezentowała dosyć paskudnie, opuchlizna tylko się powiększyła, ale przynajmniej całość nie przepuszczała krwi. Aktualnie to było najważniejsze.

Zanim przesunąłem nieprzytomnego byłego przyjaciela w miejsce, nad którym znajdował się rozbity świetlik, musiałem na chwilę usiąść, żeby nie zwymiotować. Sprawdziłem rezerwy energii swojego systemu. Migająca ikona czerwonej baterii nie nastrojała zbyt optymistycznie.

– 14 procent, jestem zupełnie jak sobotnie wino – powiedziałem cicho na głos i lekko się uśmiechnąłem ze słabego żartu. Wstałem z niemałym trudem, czując wszystkie mięśnie i kości oraz przymocowane do nich wszczepy. Kiedy miałem niedobór snu oraz nadprogramowe zużycie energii, wszystkie ulepszenia wydawały się być niewygodnym ciałem obcym. Musiałem to trochę zahamować, dlatego wyjąłem z prawego przedramienia fiolkę z jaskrawym, fioletowym płynem. Jej zawartość działała podobnie do leków immunosupresyjnych, jednak zamiast zapobiegać odrzuceniu przeszczepionych żywych organów, koncentrowała się na sztucznych ulepszeniach. A tych miałem naprawdę mnóstwo. Zresztą byłem świadomy, że mało brakuje mi do przedawkowania.

Kiedy poczułem się odrobinę lepiej, przesunąłem 130 nieprzytomnych kilogramów niemal na sam środek hangaru i poprosiłem Creepa, aby uruchomił program ewakuacji. Po chwili w prawym dolnym rogu mojego pola widzenia pojawiła się liczba 23, która zmniejszała się co sekundę. Oznaczało to nic innego, że za niecałą minutę mój samochód znajdzie się kilkanaście metrów nad naszymi głowami i wyciągnie nas stąd.

– Creep, włącz wszystkie opcje kamuflażu, naładuję się w samochodzie.

Sztuczna inteligencja nic nie odpowiedziała, ale nie mogłem teraz czekać na potwierdzenie, bo licznik sekund znajdował się na wartości „5”. Po chwili poczułem ostre szarpnięcie i razem z Kamperem znaleźliśmy się w powietrzu. Oczywiście nasz tor lotu był przeliczany w czasie rzeczywistym, więc nie musiałem się obawiać, że przykładowo moja głowa lub jedna z kończyn nie zmieści się w obrysie świetlika. Obręcze ustawiały nasze ciała w jak najbardziej optymalny sposób. Co ja bym dał za to urządzenie na lekcjach wuefu albo na balu maturalnym. Tak, zwłaszcza na tym drugim.

Gdy znaleźliśmy się w samochodzie, ja na miejscu kierowcy, a Kamper unieruchomiony na fotelu pasażera, podłączyłem do siebie trzy przewody. Powinny naładować mój system, zanim dotrzemy do Sigmunda. Byłoby najbardziej optymalnie, to znaczy bezpiecznie, gdyby ten proces odbywał się podczas standardowego, kilkugodzinnego snu. Niestety nie mogłem się teraz nawet zdrzemnąć, bo cały czas musiałem obserwować właściciela „Retro Dinosaur”. Wątpiłem, że odzyska przytomność. Nie wyglądał dobrze, był blady i oddychał gorzej niż wujek wypalający trzy paczki dziennie, ale na szczęście jego puls i ciśnienie trochę się ustabilizowały. Zwłaszcza jak na kogoś, kto stracił tak dużą

ilość krwi. Nie mogłem mieć jednak pewności, że nagle jego stan zdrowia nie ulegnie pogorszeniu, a cytując retro filmy, potrzebowiałem go żywego. Aktualnie był to najważniejszy element popapranej układanki, który mógł mi pomóc w rozwiązaniu zagadki zniknięcia mojej córki.

Spojrzałem za okno, opuściliśmy już teren doków. Znowu do krajobrazu powróciły jaskrawe neony i bary z tanim jedzeniem. Zastanawiałem się kiedy i czy w ogóle strażnicy z portu odkryją kałużę krwi w hangarze numer 19. Na szczęście wątpilem, że ktokolwiek powiąże mnie z tą sprawą. Każdy kto wynajmował tam magazyn, nie tylko płacił za przestrzeń obitą blachą, w dużej części wykładał pieniądze za dyskrecję. Gdyby jednak nie dotrzymano tych ostatnich warunków umowy, moje odciski palców i tak nie figurowały w żadnym systemie. W dodatku dzięki wszczepowi od Sigmunda linie papilarne zmieniały się co 24 godziny, więc karta daktyloskopijna Gustava Draga każdego dnia miała co innego w menu. I żeby dokończyć tę słabą metaforę, żaden z tych odcisków w rzeczywistości nie istniał.

Wysłałem jeszcze wiadomość do Sigmunda, że w ciągu pół godziny zjawimy się u niego. Wiem, że był kwadrans po 3:00 w nocy, ale najlepszy biomechanik z Shadow Villens nigdy mnie nie zawiódł i przyjmował mnie w bardziej nieludzkich godzinach. Na przykład podczas przerwy obiadowej. Wiem, słaby żart, ale środek nocy był w moim przypadku bardziej prawdopodobny na odwiedzinach.

Znowu zwróciłem wzrok na Kampera i przez moją głowę przeleciały trzy przeciwstawne myśli. Czy to on porwał moją córkę, a teraz po prostu nie dogadał się ze zleceniodawcą? Czy może Lena to go tak urządziła? Albo tak naprawdę Kamper próbował ją ratować?

Mocno wciągnąłem powietrze. Miałem duże wątpliwości, że Lenie udało się bezpiecznie uciec. Gdyby tak było, na pewno już by się ze mną skontaktowała. Plan był aktualnie bardzo prosty.

Żeby poznać odpowiedzi na te pytania, nie mogłem pozwolić umrzeć mojemu pasażerowi.

Katedra, w której mieściło się laboratorium Sigmunda, robiła chwilę przed 4:00 w nocy – nie lubię tego słowa – epickie wrażenie. Nawet świadomość, że była jedynie kopią najznakomitszych obiektów francuskich, nie psuła tego uczucia. Budowla zdecydowanie nie pasowała do Shadow Villens. Delikatne oświetlenie rozbijające się na nierównej fakturze kamiennych ścian i dbałość o najmniejszy detal przy rzeźbiarskim portalu lub gargulcach wciąż mnie zachwycaly. Może dlatego, że różniły się od wszechobecnego szkła, stali i neonów.

Tym razem nie zatrzymałem się na parkingu dla klientów, w końcu mógłbym wzbudzić podejrzenia postronnych osób, wlokąc za sobą 130 – kilogramowego, zakrwawionego mężczyznę. W sobotnią noc może byłoby więcej zrozumienia, ale

w środę wolałem nie ryzykować. W samym środku tygodnia ludzie bywają bardzo zazdrośni, jeśli twoja impreza okazała się zbyt – nadal nie lubię tego słowa – epicka.

Zatrzymałem się obok pierwszej podpory ściany bocznej. To tutaj był ukryty wjazd do parkingu podziemnego. Kiedy zbliżyłem się do oznaczonego miejsca, podleciał do nas mały dron i przeskanował nasze twarze. Na szczęście byłem wpisany na listę gości, a że stan zdrowia Kampera był daleki od ideału? Właśnie takich ludzi spodziewano się w tym miejscu o podobnej porze. Co więcej, nie byliśmy narażeni na spojrzenia ciekawskich. Dyskrecja. To cecha, którą od zawsze stawiam wysoko w swoim prywatnym rankingu. Zupełnie jak każda osoba robiący nielegalne rzeczy w tym mieście.

Parking, w przeciwieństwie do zewnętrznej części katedry, był jak najbardziej minimalistyczny. Utrzymany w dwóch barwach – białej oraz szarej z dominującym materiałem, którym był oczywiście żelbet. Dla ścisłości żelbet to żelazobeton, aby nikt nie pomyślał, że to beton wypełniony żelkami. Chociaż bez problemu mógłbym wymienić kilka osób, które byłyby zachwycone, gdyby mogły wybudować swój dom w takiej technologii. Tak, sam jestem podejrzany.

Zatrzymałem się obok ogromnego SUV-a, podziwiając sztuczną inteligencję, która ma za zadanie parkować ten czołg. W końcu nie było możliwe, by robił to normalny człowiek, nawet mając do dyspozycji kilkadziesiąt czujników.

Odłączyłem wtyczki z przedramienia i zanim wysiadłem z samochodu, uruchomiłem ponownie swój system operacyjny. Wciąż miałem nadzieję, że po ponownym rozruchu zobaczę wiadomość lub nieodebrane połączenie od Leny. Niestety nic się nie zmieniło, nie miałem żadnych nowych komunikatów. Rodzicielski program śledzący wciąż wskazywał mój dom, ale nie mogła to być prawda. Sprawdziłem zapisy z systemu obronnego i nikt nie pojawił się tam od kilkunastu godzin.

Nadal biłem się z myślami, czy dobrze zrobiłem, że nie zostałem w dokach, przeszukując tam każdy centymetr kwadratowy. Natychmiast przeszedł mnie mimowolny dreszcz, dlatego upewniłem, że była to dobra decyzja. W tym konkretnym przypadku musiałem wyłączyć wszelkie emocje, bo doprowadziłoby to jedynie do spirali błędów. Moja córka żyła, czułem to. Bałem się jednak pomyśleć, ilu rodziców mówiło te same słowa, gdy prawda była zgoła inna.

Zdjąłem obręcz i podeszedłem do drzwi od strony pasażera, po czym szybkim ruchem je otworzyłem. Twarz człowieka, który mógł mi pomóc w rozwiązaniu tej sprawy, była chyba jeszcze bardziej blada, niż kilka minut temu. Nie wróżyło to dobrze. Musiałem go szybko przetransportować do laboratorium Sigmunda. Na szczęście tym razem nie musiałem wybierać oficjalnego wejścia obstawionego przez strażników, ale z tego, które używał Sigmund. Oczywiście mogłem z niego korzystać tylko w wyjątkowych sytuacjach, ale lekką ręką postawiłbym kilka stów, że taka właśnie miała miejsce.

Kamper w przeciwieństwie do mnie nadal miał na sobie wszystkie obręcze, więc właśnie unikałem nadprogramowego treningu na siłowni. Mężczyzna samoistnie

wysunął się z samochodu, a następnie lewitował około półtora metra nad ziemią, przesuając się w moim tempie.

Pobiegłem w stronę przeszklonych drzwi, za którymi znajdowało się pomieszczenie z czterema windami. Przyłożyłem dłoń do panelu obok dźwigu oznaczonego literą „C”, a po przeskanowaniu moich linii papilarnych, które chwilowo ustawiłem na domyślny wzór, mogłem wejść do środka. Mały dron sprawdził jeszcze Kampera, zapewne dopisując go do listy gości. Nie byłem przesadnie szczęśliwy z tego powodu, ale miałem nadzieję, że nie wzbudzi to zbytniego zainteresowania. W końcu pracowało tu kilku innych biomechaników, a Kamper pomimo nie najlepszego stanu, przynajmniej się nie awantuował. Niestety różnie z tym bywa u mężczyzn w środku nocy. Słaby żart, wiem. Żałuję, że prawdziwy.

Po kilkunastosekundowej przejażdżce w dwóch kierunkach – wertykalnym oraz horyzontalnym, drzwi się rozstąpiły, a naprzeciwko nas stał Sigmund z założonymi rękami i miną, która jednocześnie wyrażała zatroskanie i wkurzenie. Zapewne wyglądał całkiem podobnie, kiedy wracam z wywiadówek Leny.

– Dawno nie wjeżdżałem tu windą, zapomniałem, że od razu znajduję się w paszczy lwa – starałem się rozładować atmosferę, jednocześnie komentując fakt, że trasa z parkingu podziemnego prowadziła bezpośrednio do laboratorium. W sumie wydawało się to logiczne. Z tego wejścia korzystał głównie Sigmund.

– Co się do cholery stało? – krzyknął z lekkim przerażeniem w głosie, doskakując natychmiast do Kampera. Wyjął ze swojego kombinezonu czarny okrąg, który natychmiast do niego przyłożył. Po chwili pojawił się obok nas hologram składający się z wielu cyfr oznaczających medyczne parametry. Nie musiałem kończyć studiów medycznych, aby stwierdzić, że nie były to normatywne wyniki. Większość migotała w jaskrawo czerwonych odcieniach, czasem zdarzyła się odosobniona liczba w pomarańczowym kolorze. Zorientowałem się, że na zielono mogłaby tutaj świecić tylko miłość do frytek i burgerów.

– Pomóż mi – warknął Sigmund, podając Kamperowi dożylnie ciemnozielony roztwór. Następnie wyjął z przeszklonej szafki dwie metalowe tuby, które dobrze kojarzyłem z akcji ze stesserem w metrze. Nosze. Mimo że było to niecałe 24 godziny temu, miałem wrażenie, jakby zdarzyło się w innym życiu.

– Zdejmij mu te bransoletki – krzyknął biomechanik, wciąż nie odstępując swojego nagłego pacjenta i podłączając do niego zbyt dużą ilość medycznych przyrządów. Po tym jak ściągnąłem stalowe obręcze, popchnął nosze, które bezgłośnie przemieściły się na drugi koniec laboratorium, gdzie znajdował się stół operacyjny. Nieraz miałem tutaj przyjemność bycia krojonym, stając się właścicielem nowego ulepszenia. Aktualnie dla Kampera sporą innowacją byłoby po prostu przeżyć.

– Przenosimy go na trzy – zakomunikował Sigmund, a ja przez chwilę ponarzekałem pod nosem, że niepotrzebnie zdejmowałem obręcze. Na szczęście mam zamontowane wszczepy zwiększające maksymalny udźwig, bo bez nich podniesienie bezwładnego Kampera mogłoby nie skończyć się zbyt dobrze. Po tym jak właściciel

„Retro Dinosaur” znalazł się na stole operacyjnym, biomechanik podłączył do niego kolejne przyrządy, a co ważniejsze wbił się w żyłę lewej ręki i założył wenflon, do którego zapewne miał być podłączony worek z krwią. Nie pomyliłem się. Sigmund przez kilka sekund wpatrywał się w ekran na którym pojawiły się parametry, a kilkanaście sekund później biegł już z dwoma jednostkami czerwonej cieczy. Były opisane jak „B Rh–,” i musiały na kilka minut znaleźć się w urządzeniu wyrównującym ich temperaturę. Nazywałem je mikrofalówką, choć bardzo wątpię, że to jego profesjonalna nazwa. Mimo wszystko działała podobnie, z tą różnicą, że temperaturę włożonego elementu można było ustalić z dokładnością do dziesiątej części stopnia. A wszyscy wiemy, jak radzą sobie z tym prawdziwe mikrofalówki. Kto nie poparzył sobie palców, wyciągając gorący talerz z zimną zupą, niech pierwszy rzuci pomidorówką.

Kiedy krew w końcu spełniała wymogi transfuzyjne i procedura jej podawania została rozpoczęta, Sigmund otworzył ranę zszytą roboczo przeze mnie i w kilkanaście minut przeprowadził prawdziwą operację. Kiedy skończył, zdezynfekował wszystko sporą ilością płynu o jasno brązowej barwie.

– Było blisko. Niemal go nie odratowałem, stracił cholernie dużo krwi – westchnął, ocierając pot z czoła. – Przyjechałbyś trochę później i moglibyśmy już razem wybierać trumnę.

– Patrząc na jego gabaryty, musiałyby być to wersja z custom shopu – zażartowałem, jednak nikt z nas się nie roześmiał. Biomechanik utkwiał tylko we mnie niezbyt optymistyczne spojrzenie.

– To może teraz mi wytłumaczysz, o co w tym wszystkim chodzi – powiedział, jednocześnie zdejmując jednorazowe, czarne rękawiczki, po czym ostentacyjnie wyrzucił je do kosza.

– To długa historia i tak naprawdę jeszcze nie wiem, co tu jest grane.

– Świetnie Gustav, naprawdę świetnie. Zrywasz mnie w środku nocy, żebym na wariata cerował naszego wspólnego znajomego, nie mówiąc nawet, co się stało. Czy ja mam neonowy napis na czole „Podstawowa opieka medyczna dla szaleńców z Shadow Villens”?

– Nie, ale całkiem nieźle by to wyglądało.

Znowu nikt się nie roześmiał.

– Dobra, jako że i tak nie położymy się dzisiaj spać – kontynuowałem, sprawdzając godzinę. Było pięć po czwartej. – To przygotuj się teraz na streszczenie jak za licealnych czasów na godzinie z lekturami.

– Średnio pamiętam, kiedy to było.

– Ja tak samo. Mogę powiedzieć zdanie „przygotujcie karteczki”? Zawsze o tym marzyłem.

Sigmund tylko pokręcił głową z zirytowaniem.

– Dlatego mam nadzieję, że będę opowiadał odrobinę ciekawiej – oznajmiłem.

Podjąłem decyzję. Musiałem opowiedzieć Sigmundowi wszystko. Moje słabe żarty były tylko reakcją obronną, nie chciałem go mieszać w tę sprawę. Ale

przywożąc tutaj Kampera, byłem mu to winny. Zresztą ogólnie byłem mu to winny, tylko jak zawsze chciałem wszystko rozwiązać sam.

W kilkanaście minut streściłem ostatnie kilka godzin, starając się nie pominąć żadnego szczegółu. Pojawienie się Rozalii, informacja o zniknięciu Leny, morderstwo Prältn, film ze starej kamery, na którym Kamper porywa moją córkę, aż po odnalezienie go rannego w hangarze w dokach.

– Dalsza część historii znajduje się właśnie w twoim laboratorium – powiedziałem, karcąc się w myślach za patetyczny ton.

– Świetnie Gustav, naprawdę kurwa świetnie – podniósł głos Sigmund. – Czego mi jeszcze nie powiedziałeś? Może się chwile teraz zastanowisz i opowiesz kilka dodatkowych rzeczy, o których też wolałeś mnie nie informować.

Nic nie odpowiedziałem, tylko wpatrywałem się w coraz bardziej wkurzoną twarz biomechanika.

– To że nie wspomniałeś mi o nagłym powrocie Rozalii, umiem zrozumieć – kontynuował. – Ale nie to, że Lena została porwana. Do jasnej cholery Gustav. Przecież wiesz, że mam kontakty i doki mogłoby teraz przeczesywać tuzin najemników. Załatwiłbym im przepustki w piętnaście minut.

– Jeśli Lena byłaby bezpieczna, skontaktowałaby się ze mną. A skoro tego nie zrobiła, nie ma jej teraz w porcie.

– Ale sam powiedziałeś, że to ona mogła zranić Kampera.

– Teoretycznie. Tak naprawdę wątpię, że to ona. Po pierwsze nie miałyby szansy w bezpośrednim starciu, a gdyby nawet udało się jej idealnie trafić z zaskoczenia, nie wierzę, że Kamper by się chociaż nie odwinął. Gdzieś musiałyby zostać ślady jej krwi.

– Nie rozumiem cię Gustav. – Tym razem Sigmund mówił już swoim zwyczajnym, spokojnym głosem. – Większość rodziców, gdy porwą ich dziecko, chwytą się nawet najmniejszej drobinki nadziei. Ty odrzucasz nawet całkiem spójną poszlakę.

– Większość rodziców nie zajmuje się bezpośrednio poszukiwaniami, tylko zleca to policji i jednocześnie udostępnia informacje o zaginięciu na portalach społecznościowych. A wieczorami rozkleja kartki ze zdjęciem na słupach i drzewach. Chcę ją odnaleźć, nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo, ale muszę opierać się na faktach. I jest to naprawdę cholernie trudne. – Przetarłem oczy, bo czułem, że wilgotnieją, ale nie trwało to długo. Musiałem się skupić.

– Za ile ocknie się Kamper? – spytałem, wpatrując się w jego ciężko oddychające ciało. Duża ilość podłączonej aparatury nie nastrajała zbyt optymistycznie.

– Nie wiem. – Sigmund wzruszył ramionami. – Stracił dużo krwi, na razie wprowadziłem go w stan śpiączki farmakologicznej. Jak poziom krwi będzie już prawidłowy, powinien odzyskać przytomność. – Zrobił krótką pauzę. – Poza tym gratuluję, całkiem nieźle zszyleś mu ranę. Oczywiście i tak musiałem ją otworzyć i poczyścić, ale jak to mówią, wjechałem na gotowe.

– Dzięki, ale to nie ja, tylko wojskowy skrypt. Sam mi go zainstalowałeś.

Sigmund tylko się uśmiechnął.

– To co teraz? – spytałem. – Mógłbyś jakoś obejść zabezpieczenia Kampera? Ma naprawdę dobry soft, nawet ja nie złamię tego tak szybko, a może czegoś się dowiemy. Jakies zapisane wiadomości, cokolwiek.

Wiedziałem, że Sigmund ma dużo większe pole działania w zakresie wejścia do szyfrowanych systemów. Większość zabezpieczeń skupiała się atakach bezprzewodowych lub tych z zewnątrz przy podpięciu się przewodem, a biomechanik mógł to zrobić, mówiąc kolokwialnie „od środka”. Kamper nie posiadał dużo wszczepów, ale i tak każdy z nich był zsynchronizowany z jego systemem operacyjnym. I to właśnie tutaj był ich słaby punkt.

– W jego aktualnym stanie to dość ryzykowne – zaczął. – Ale tutaj chodzi o twoją córkę, więc nie będę zbyt się przejmował procedurami. – Sigmund podszedł do stołu operacyjnego, następnie przez kilka minut studiował jeden z ekranów, na którym był wyświetlony dokładny model 3D ciała Kampera z wyszczególnionymi implantami.

– To nie będzie proste – powiedział bardziej do siebie, po czym założył nową parę rękawiczek. Później zrobił niewielkie nacięcie po prawej stronie uda i niemal natychmiast zrozumiałem, dlaczego ten zabieg był teraz niewskazany. Krew, której Kamper teraz tak potrzebował, pojawiła się niemal natychmiast. Każdy jej mililitr, który został właśnie odsączony, był na wagę złota. Sigmund starał się, aby strat było jak najmniej, jednak otworzenie nogi, aby dostać się do wszczepu zespolonego z kością udową, nie mogło odbyć się bez strat dla krwioobiegu.

Kiedy usłyszałem dźwięk przypominający wiertarkę, odwróciłem wzrok, a gdy znów spojrzałem w tamtą stronę, biomechanik obracał w dłoni czarny, matowy element. Nie odłączył go całkowicie od hosta, jeden z przewodów wciąż wystawał z ciała Kampera. Nagle spod stołu wysunęła się stalowa szuflada, z której Sigmund wyjął tak zwaną piracką przejściówkę. Zawierała praktycznie wszystkie możliwe zakończenia wtyczek i przy pomocy jednej z nich Sigmund był w stanie zrobić tak zwany hard reset. Przywracał wszczep do ustawień fabrycznych, a później łączył się z systemem operacyjnym właściciela, dołączając wirusa do pakietu danych. Oczywiście nie było to takie proste, ale Sigmund nie robił tego pierwszy raz. Przez kilka minut wpisywał szereg komend na klawiaturze, dostosowując kod do wersji oprogramowania implantu. Kiedy wydawało mi się, że jest już blisko końca, wyraźnie pobladł, a nerwowe uderzanie w klawisze tylko spotęgowało uczucie, że coś jest nie tak.

– Wszystko w porządku? – spytałem, dobrze wiedząc, że znajdujemy się bardzo daleko od takiego stanu.

– Czekaj – warknął Sigmund, unosząc lewą dłoń. Znaczyło to tyle, że nie miał zamiaru wysłuchiwać teraz zbędnych komentarzy Gustava Draga. Wbrew własnym upodobaniom, tym razem go posłuchałem.

– Cholera – biomechanik krzyknął, a ja niemal czekałem, aż zacznie układać palce na klawiszach Ctrl – Alt – Delete. – Teraz rozumiem, dlaczego nie mogłeś w dokach złamać jego zabezpieczeń.

Uniosłem wysoko brwi.

– Nie było czego hakować – oznajmił Sigmund. – Ktoś skasował jego cały system operacyjny. – Zrobił krótką pauzę. – I wiesz, co to oznacza?

Skinąłem głową.

– Tak – mruknąłem. – To nie mogła być Lena.

Rozdział 5

„{% placeholder_placeholder_placeholder %}”

Przez dłuższą chwilę nic nie mówiliśmy, ale szybko się to zmieniło, gdy usłyszeliśmy zbliżające się kroki za naszymi plecami.

– Cześć Sigmund – powiedziała Rozalia, wpatrując się w nogę Kampera, z której wystawał spory wszczep będący w dodatku połączony z komputerem. Musiało to wyglądać naprawdę ciekawie. Twoja była żona zastaje cię z twoim dobrym znajomym, a na stole leży inny półnagi kolega z wypatroszoną nogą. Powiedzieć, że impreza musiała być naprawdę intrygująca, to nic nie powiedzieć.

– Witaj Roz – odparł oficjalnym tonem biomechanik, mimo wszystko zdrobniając jej imię. Kiedyś bardzo lubił Rozalię, ale przez ostatnie dziesięć lat dużo się zmieniło. Chyba nigdy jej nie wybaczył, że zniknęła, nawet się nie żegnając lub zostawiając krótkiej wiadomości.

– Wyjdzie z tego? – spytała, wskazując wzrokiem na właściciela „Retro Dinosaur”.

– Nie mam pojęcia – odparł Sigmund, wzruszając ramionami.

– Udało ci się namierzyć Lenę? – wtrąciłem się w rozmowę.

– Gdyby tak było, już dawno byś o tym wiedział.

– Cholera – zakląłem. – Czyli nic nie mamy.

– A Kamper? – spytała Rozalia.

– Powiedz jej – skinąłem głową na Sigmunda.

– Ktoś skasował jego cały system operacyjny – rzekł biomechanik, wpisując jeszcze kilka komend w terminalu, jakby chciał się upewnić, że na pewno się nie pomylił.

– A wcześniej zostawił go jeszcze na pewną śmierć z rozbebeszoną centralą – dodałem.

– Jasna cholera. Czyli to nie mogła być Lena. Trzeba mieć lata doświadczenia i masę czasu w odpowiednich warunkach, żeby zrobić coś takiego.

– Tak. Razem z Sigmundem też doszliśmy do takiego wniosku. Zrobił to ktoś o ponadprzeciętnych umiejętnościach. Wątpię, że nawet ty umiałabyś tak po prostu skasować komuś cały system.

Rozalia pokiwała głową, że wcale nie byłaby tego taka pewna.

– A sprawdziłaś nagrania z kamer w dokach?

– Przejrzałam, ale nie miało to większego sensu – prychnęła. – W ciągu ostatniej doby monitoring był hakowany kilkanaście razy. Ser szwajcarski jest przy nim symbolem braku jakichkolwiek dziur. W dodatku sam mógłbyś lepiej zacierać ślady. – Zrobiła krótką pauzę. – Ty i Kamper. Wasze pseudo zaszyfrowane identyfikatory świecą na jaskrawo w historii zewnętrznych autoryzacji.

– Ile zajęło ci złamanie kodu mojego ID?

– Kilkanaście sekund.

Uśmiechnąłem się.

– To znaczy, że specjaliście od zabezpieczeń z doków zajmie to tydzień, a i tak zrezygnuje po pierwszym dniu pomiędzy poranną kawą, a pączkiem.

Rozalia ze zrezygnowaniem pokręciła głową, a ja poczułem niewygodne ukłucie zazdrości. Wyprzedzała mnie w umiejętnościach informatycznych o kilka dobrych lat świetlnych. Kiedy ta cała sytuacja się skończy, będę musiał ostro wziąć się do pracy. Na samą myśl natychmiast zabolał mnie żołądek. Racja. Albo zrezygnuję z jednej czwartej wszczepów, albo w niedługim czasie dorobię się wrzodów przełyku.

– Ale natknęłam się na coś ciekawego – oznajmiła, po czym zbliżyła się do mnie i Sigmunda. Po chwili obok nas pojawił się hologram, na którym znajdowała się lista z nazwiskami oraz imionami. – To wykaz osób, które włamały się do systemu monitoringu doków w ciągu ostatnich kilku godzin. Większość z nich to przemytnicy lub jakieś nieznaczące płotki. Wszystkie dane są w przeważającej części fałszywe, ale wystarczy trochę pogrzebać, żeby dokopać się do ich prawdziwej tożsamości. Inaczej jest z jednym rekordem w bazie. – W tym momencie nazwisko w środku listy zostało podświetlone. – Kiedy zaczęłam je sprawdzać, dane się zmieniły, ale nie na te autentyczne. Modyfikowały się za każdym razem od nowa, kiedy próbowałam je deszyfrować.

– Ktoś naprawdę zna się na rzeczy – stwierdził Sigmund. – Zmienne dynamiczne w zewnętrznej bazie danych.

– Ale to nie wszystko. Zobaczcie, co się dzieje, kiedy zdeszyfrujemy tą zmienną dziesiąty raz.

Rozalia uruchomiła skrypt oraz ustawiła wartość 'i' w pętli na 10 (pозdrowienia dla początkujących programistów). Kiedy aplikacja się wykonała, poczułem, jak oblewa mnie zimny dreszcz, dostaję gęsiejszą skórki, a palce robią się trochę zdrętwiałe. Imię i nazwisko, które wyświetliły się na hologramie były znane mi aż za dobrze.

Głęboko wciągnąłem powietrze.

Napis układał się w słowa „Gustav Drag”.

– And the things got personal – zaintonował Sigmund z przesadnie brytyjskim akcentem.

– To od początku była sprawa osobista – odpowiedziałem. – Ten, kto to zrobił, chciał porwać tylko Lenę, przecież zamordował Präln, jakby próbował wyeliminować wszystkich świadków. – W momencie gdy wypowiedziałem te słowa, poczułem silny ucisk w żołądku. Ciągle miałem poczucie winy z powodu śmierci przyjaciółki mojej córki. Zdawałem sobie sprawę, że zginęła przeze mnie. Cokolwiek ten psychol starał się udowodnić, było to ze mną jakoś połączone. Miałem teraz nawet niezbity dowód.

Wiedział, że znam się na hakowaniu i istniało duże prawdopodobieństwo, że jakoś dotrę do listy nieautoryzowanych połączeń monitoringu w dokach. Pokazał, że chce zacząć coś jakby grę, zostawiając wiadomość specjalnie dla mnie. Wyraźnie ze mną pogrywał, a jak na razie nie miałem nawet pojęcia, kogo zaprosić do tańca.

– Naprawdę nie wiesz, kto to mógł zrobić? – spytała Rozalia, krzyżując ręce na piersi.

– Rozmawialiśmy już o tym – westchnąłem. – Nie jestem specjalnie lubiany w tym mieście, ale nie mam pojęcia, kogo wkurzyłem tak bardzo, że porwał naszą córkę, a teraz wysyła mi ukryte liściki z moim imieniem. – Zrobiłem dłuższą pauzę, jakbym nie był pewny, czy chcę powiedzieć następnie zdanie. – Szczerze, to gdybyś nie pojawiła się dzisiaj w nocy, obstawiałbym ciebie.

– Brzmi nawet logicznie. – Moja była żona lekko się uśmiechnęła. – Ale gdybym to naprawdę była ja, wątpię, żebyśmy teraz dyskutowali na ten temat. Już raczej nigdy byś mnie nie zobaczył. Nie zostawiałabym ci też żadnych liścików. – Tym razem jej uśmiech był już w drugiej połowie skali.

– Gustav mówił, że zrobiłaś ogromny postęp cyfrowy – odezwał się nagle Sigmund. – Może ty byś spróbowała się połączyć z Kamperem. To aktualnie nasz najlepszy trop. Jeśli nie jedyny.

– Mogę zobaczyć, co da się zrobić – rzekła Rozalia, podchodząc do stołu operacyjnego. Nadal miała na sobie ten sam czarny, matowy kombinezon, w którym odwiedziła mnie w schronie za miastem. Mimo że z powodu braku snu jej twarz była blada, a oczy podkrążone, nadal wyglądała zjawiskowo. Była młodsza ode mnie o 8 lat, więc licząc na szybko w pamięci, znajdowała się w połowie mrocznej drogi pomiędzy pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Mogłem się jednak założyć, że postronna osoba na ulicy, dałaby jej przynajmniej dziesięć lat mniej. Co ważne, była to raczej zasługa dobrych genów i wyszukanych kosmetyków, a nie chirurga plastycznego. W dodatku tak jak ja nie farbowała włosów. Jej naturalny, siwy kolor robił znacznie lepsze wrażenie, niż jakakolwiek chemiczna barwa dostępna w lokalnych zakładach fryzjerskich.

Rozalia podwinęła lewy rękaw, a następnie odsunęła stalową płytkę znajdującą się odrobinę poniżej nadgarstka. Wyjęła stamtąd bezprzewodową wtyczkę i zanim podłączyła ją do Kampera, przesunęła dłoń po jego włosach, zupełnie jakby chciała go pogłaskać. Po chwili mimowolnie odsunęła rękę, w końcu nadal nie było jednoznacznych dowodów, że Kamper jest niewinny. Nadal nie wiedziałem, czy to on nie uprowadził Leny, a później jego zleceniodawca nie próbował pozbyć się jego, jednocześnie rezygnując z wypłacenia wynagrodzenia. Bardzo typowe działanie biznesowe w tym mieście.

Pozostawała ta bardziej optymistyczna wersja. Kamper chciał ochronić moją córkę przed prawdziwym porywaczem, prawie nie przypłacając tego życiem. Spoglądając na niego teraz, aktualnie był gdzieś pomiędzy niewygodną trumną, a swoim fotelem kierownika w „Retro Dinosaur”. Określenie „zawieszenie systemu” pasowało do niego teraz aż za dobrze.

Rozalia podłączyła się do wyjętego wszczepu, w tym samym momencie zamykając oczy. Praktycznie znieruchomiała, dało się tylko zauważyć szybko poruszające się pod powiekami gałki oczne. Wpatrywaliśmy się w to razem z Sigmundem z nieukrywaną fascynacją. Rzadko spotyka się hakerów, którzy posiadają tak zaawansowane poczucie własnego ciała. . Mieliśmy nawet wrażenie, że Rozalia praktycznie nie oddycha.

Kilka minut później otworzyła wreszcie oczy i musiała przez moment przytrzymać się stołu, nie wiedziałem tylko, czy było to spowodowane wyczerpaniem umysłu, czy usztywnionymi przez dłuższy czas mięśniami. Zapewne obie rzeczy odegrały tutaj swoją rolę.

– Cholera – powiedziała z trudem, zanosząc się atakami kaszlu. – Nie dość, że ktoś wyczyścił mu cały system, zostawił też dobrze ukrytego wirusa. Prawie mnie dopadł.

Gdy Sigmund to usłyszał, natychmiast podbiegł do komputera, którym wcześniej sprawdzał Kampera. Wyciągnął skrzynkę mieszczącą wszystkie podzespoły, następnie zdemontował jedną z płytek matowej obudowy i szybkim ruchem wyrwał dysk twardy.

– Na szczęście żaden komputer nie jest połączony z zewnętrzną siecią, tylko ma osobny localhost – oznajmił, jakby chciał sam się pocieszyć.

– Nie masz ich spiętych nawet w wewnętrznej sieci? – Rozalia wychrypiła to pytanie, ale obyło się już bez spazmatycznego kaszlenia.

– Gdyby tak było, już bym dawno zamknął interes – odparł, kierując się w stronę małej kuchni znajdującej się w rogu pomieszczenia. To tłumaczyło, dlaczego w środku nocy byliśmy w stanie go tutaj zastać. Biomechanik traktował to miejsce jak własny dom i nie lubił ruszać się stąd zbyt często. – Przyjmuję tu wielu klientów, a oni nie są świętoszkami – kontynuował. – Mają zapisane w systemie najnowsze wirusy w mieście. Jeśli komputer służący do zabiegów byłby połączony z czymś dalej... – Wziął głęboki wdech. – ... nawet nie chcę o tym myśleć. W większości przypadków radzi sobie z tym antywirus, ale w razie nietypowych sytuacji też mam na to sposób.

Odkręcił kran, wcześniej zamykając odpływ zlewu. Gdy ten się napełnił, wrzucił tam dysk, który natychmiast stał się bezużyteczny. Połączenie elektroniki i wody od zawsze działało tak samo.

– Czyli mam rozumieć, że gdybym to ja połączył się z Kamperem, miałbym aktualnie wirusa, z którym ledwo poradziła sobie Rozalia? – spytałem, patrząc jak Sigmund zajął się już montażem fabrycznie nowego dysku do swojego komputera.

– Mogło by tak być – odparła moja była żona. – Ktoś jest naprawdę dobry w te klocki, dawno nie spotkałam się z tak sprytnie napisanym wirusem. Udało mi się go usunąć, ale tylko dlatego, że miałam farta.

– To wirus skasował system Kampera?

– Nie wiem, być może. Ale wydaje mi się, że sam wirus został wgrany w innym celu.

Uniosłem brwi.

– Jako pułapka?

– Tak obstawiam. Ktoś chce, żebyś na niego polował, dlatego porwał Lenę, jednocześnie bawi się w kłusownika, zastawiając kolejne sidła. – Rozalia przetarła oczy, walcząc z biologiczną potrzebą snu. Kolejne środki zapewne przestawały już działać na jej system nerwowy. – Zanim skasowałam wirusa, udało mi się go skopiować na dysk kwarantannowy. Jak wrócę do siebie i trochę odeśpię, spróbuję się dowiedzieć coś więcej.

– Możesz położyć się tutaj – oznajmił Sigmund. – Mam dwa pokoje dla gości.

Rozalia uśmiechnęła się.

– Dziękuję Sig, ale potrzebuję też swojego sprzętu. Poza tym wytrzymam jeszcze kilka godzin bez snu. – Tym razem to ona zdrobniła jego imię.

– Jak wolisz – westchnął biomechanik. – W ogóle dawno nikt nie mówił na mnie Sig. – Zdobył się na szeroki uśmiech.

– Po prostu dawno się nie widzieliśmy.

Sigmund tylko skinął głową, a ja byłem tym, który przerwał tę krótką, sielankową atmosferę.

– Jakoś zamiast bufetu z winem, widzę tylko tutaj stół z nieprzytomnym Kamperem, więc niestety musimy skończyć tą wspominkową uroczystość – zakomunikowałam ironicznie. – Czy ma ktoś jakikolwiek pomysł, co dalej? Bo mi takowe się niestety wyczerpały. – Tak, byłem niemiły. Zmęczony. Wkurzony, że jakiś psychol porwał Lenę, a jeden z moich najlepszych znajomych w Shadow Villens leżał nieprzytomny z usuniętym systemem operacyjnym. I nie miałem pojęcia, co doprowadziło go do takiego stanu.

– Przepraszam – powiedziałem w końcu, zdając sobie sprawę, że przesadziłem.

– Gustav – zaczęła Rozalia. – Jesteśmy w tym razem i znajdziemy ją. Obiecuję ci to. – Zbliżyła się do mnie, a następnie mocno przytuliła. Wiem, że to cliwe, ale przez chwilę świat wydał się prostszy, miasto już nie takie brudne i pogmatwane, a ja zacząłem bardziej wierzyć, że ta sprawa będzie miała odrobinę pozytywne zakończenie. Odkąd zginęła Prältn, a Kamper prawie nie podzielił jej losu, o happy endzie już dawno nie mogło być mowy.

– Znam kogoś – powiedział nagle Sigmund, po czym ja i Rozalia odsunęliśmy się od siebie. Gdyby Kamper był przytomny pewnie zażartowałby, że nie powinienem zapominać o zdrowym dystansie społecznym od byłej żony. Tak, to niewątpliwie było jego poczucie humoru.

– Pracuje tutaj od niedawna pewna kobieta – kontynuował biomechanik. – Nazywa się Tarya i ludzie opisują ją jako wiedźmę, wiedzącą czy czarodziejkę. Wiecie, te wszystkie określenia z książek fantasy.

Już miałem powiedzieć, że nie jesteśmy teraz na comic conie, ale Sigmund nie pozwolił mi dojść do głosu.

– Słyszałem o niej dużo dobrego. Leczy ludzi, którzy mają problemy z technologią, cierpią na przedawkowanie wszczepów, zmagają się z depresją. Nawet ciebie Gustav chciałem z nią umówić, ale wiedziałem, jak zareagujesz.

Zmarszczyłem czoło.

– Jak będę chciał iść do wróżki, to naprawdę sam znajdę numer. A wcześniej wydrukuję sobie tarota i trochę potrenuję.

Sigmund pokręcił głową ze zrezygnowaniem.

– Bardzo śmieszne – westchnął. – Co nam szkodzi spróbować? Technologicznie nie jesteśmy w stanie wybudzić Kampera, może ona mogłaby mu pomóc. Spotkałem ją kilka razy podczas medytacji w głównej nawie katedry. Wypiliśmy razem kawę i ta kobieta ma jakiś dar. Nie do końca rozumiem jaki, ale wiem, że technologia i dusza nie są od siebie tak daleko, jak się nam czasami wydaje.

– Moja dusza już się dawno wyprowadziła, kiedy zobaczyła, co robię w samotności – znowu spróbowałem zażartować, ale w laboratorium momentalnie zapanowała niezręczna cisza.

– Spróbujmy – rzekła z nadzieją w głosie Rozalia, całkowicie ignorując moje sceptyczne nastawienie. Następnie sprawdziła godzinę na panelu wbudowanym w kombinezon. Była 4:34. – Od której ona pracuje?

Sigmund niemal niewidocznie się uśmiechnął.

– Zaczyna zawsze równo o 4:00 godziną medytacją, ale nie powinna się obrazić, jeśli przeszkodzi jej kolega z tego samego biurowca.

– Spróbujmy – powtórzyła moja była żona, a mi pozostało tylko wzruszyć ramionami.

Razem z Rozalią udało nam się przejrzeć sporą ilość nagrań monitoringu, ale nie natknęliśmy się na żaden ślad Leny. Oczywiście już od dłuższego czasu w tle pracował skrypt, który reagował na jej twarz, budowę ciała oraz ubiór. Gdyby tylko pojawiła się w zasięgu kamery, program by to wykrył i wyeksportował plik, podbijając maksymalnie jakość nagrania. Niestety dotychczas zbytnio nam to nie pomogło. Powodów mogło być kilka. W drodze pomiędzy stacją, a dokami monitoring był hakowany przez Kampera, więc ich sylwetki były zastępowane generowanymi losowo placeholderami – tj. dokładnymi modelami 3D nieistniejących ludzi.

Sytuacja zmieniała się w samym porcie. Lena ze względów rodzicielskich nie posiadała wbudowanej aplikacji do włamywania się do kamer. Oczywiście miała prawie osiemnaście lat, więc mogła sama wgrać sobie coś takiego do systemu. Jako ojciec chciałem w to wątpić, twierdząc, że moje zabezpieczenia z serii tych kidprotect są nie do złamania, ale czy nie byłbym wtedy kolejnym rodzicem zatytułowanym w statystykach „Staruszkowie wymanewrowani w pole przez nastolatków. Odcinek zylliard pięćdziesiąty siódmy”. Ta sytuacja była możliwa, tylko gdyby Lena oddaliła się stamtąd sama. Istniała taka szansa, ale była moim zdaniem zbyt znikoma, żeby brać ją pod uwagę. Ktoś musiał ją przejąć. I tak jak Kamper mógł hakować monitoring, co znowu wymagało od nas żmudnego przeszukiwania

plik po pliku. W dodatku odpadł sposób, który pomógł mi wpaść na początkowy trop. Znalezienie kamery niepodłączonej do Sieci. Nie znaleźliśmy kierunku, w którym porywacz lub porywacze, bo też nie było powiedziane, że nie było ich więcej, mogli się oddalić.

Wpatrywałem się właśnie we wszystkie samochody zatrzymujące się przy stacji benzynowej obok doków, ale odgłos kroków oderwał mnie od nagrania. Otworzyłem oczy i musiało minąć kilka sekund, zanim moje źrenice przyzwyczyły się do mlecznego światła w laboratorium.

– To Gustav i Rozalia – zaczął Sigmund, przedstawiając nam wysoką Latynoskę z domieszką azjatyckich genów. – A to Tarya, o której wam opowiadałem – dodał niedługo później. Kobieta wyciągnęła dłoń w stronę Rozalii, a następnie uściśnęła ją, delikatnie się uśmiechając. Zaskoczył mnie fakt, że miała tak dużą liczbę wszczepów. Wyobrażałem ją sobie jako wielką przeciwniczkę implantów żyjącą tylko w zgodzie z duchową energią. Oczywiście miała na sobie spore ilości kolczyków i bransoletek, a jej ciało pokrywały symboliczne tatuaże o szerokich, ciemnych konturach. Także mimo wszystko spełniała stereotypy o metafizycznych wróżbitkach.

– Miło was poznać – rzekła Tarya, po czym uściśnęła także moją dłoń. – Sigmund mówił, że nie jesteś wielkim fanem mojej działalności – zwróciła się w moją stronę, nie rozluźniając uchwytu. Jej dotyk był bardzo ciepły, ale raczej nie wyczułem specjalnej duchowej energii. Dłonie o zbliżonej temperaturze miewam nawet ja w sobotnie wieczory po kilku piwach. Racja. Moje bywają dużo bardziej spocone.

Wróżbitka przymknęła oczy, wciąż nie puszczając mojej dłoni. – To ciekawe – zaczęła, a jej głos wyraźnie się obniżył.

– Jeśli wyczytałaś, że nie całkiem uczciwie rozliczyłem się z urzędem skarbowym, przyznaję się. Nie do końca legalna optymalizacja podatkowa to mój najlepszy przyjaciel.

Tarya całkowicie mnie zignorowała, przez chwilę szepcząc do siebie niezrozumiałe słowa.

– Nie jesteś tym, za kogo się podajesz Gustavie – rzekła w końcu, powoli zwiększając siłę uścisku. – Tak naprawdę nawet ty siebie nie znasz. Niedługo zderzysz się z prawdą. Czarna chmura pędzi w twoją stronę. Widzę to bardzo wyraźnie.

Przewróciłem oczami.

– Nie chcę być niemiły, ale takie słowa pasują do niemal każdego w tym mieście. Zwłaszcza w poniedziałki rano.

Wróżbitka puściła moją rękę, jakby ta zaczęła parzyć, a następnie się uśmiechnęła.

– To naprawdę nieważne, czy wierzysz w to, co powiedziałam. Nic i tak się nie zmieni, wszystko wydarzy się tak, jak jest już zapisane – zrobiła krótką pauzę. – Nie chcesz jeszcze zrozumieć całości, ale to się niedługo zmieni.

– Nadal nie chcę być niemiły, ale w jednym zdaniu nic się nie zmieni, a w drugim niebawem się zmieni. To jaka jest ostateczna wersja?

– Za jakiś czas wszystko zrozumiesz i zmiana będzie niezmienna, a brak zmiany zacznie się zmieniać.

Kolejny raz przewróciłem oczami.

– Randkowanie z tobą musi być udręką.

Nagle Sigmund uderzył mnie w ramię.

– Mógłbyś być chociaż odrobinę miły, a nie odstawiać tutaj noc kabaretową – mruknął. – Tarya chce nam pomóc, a ty zachowujesz się jak przedszkolak. To że czegoś nie rozumiesz, nie znaczy, że musisz od razu z tego śmieszkować.

Poszukałem wzrokiem pomocy u Rozalii, ale z ruchu jest ust odczytałem tylko słowa – „ma rację”.

– Przepraszam – odparłem. Jednocześnie powstrzymałem się od uwagi, że porównanie mnie do kabaretu bolało. Miałem nadzieję, że łapię się przynajmniej do lokalnej ligi stand – upu.

– Nic nie szkodzi – rzekła wróżbitka z serdecznym uśmiechem.

– Przyzwyczaiłam się, że ludzie różnie na mnie reagują. – Chwyciła mnie delikatnie za ramię. – W końcu i tak odnajdziesz swoją drogę. Po ciemnej chmurze zawsze wychodzi słońce.

Tym razem pozostało mi tylko niewinnie się uśmiechnąć i nie komentować metafor niczym z poradnika młodego pisarza.

Wszyscy podeszliśmy do stołu, gdzie leżał Kamper. Nie wyglądał za dobrze, mimo że leżenie zawsze wydawało się być jego ulubioną pozycją. Wydatne policzki ukryte pod gęstą brodą były teraz zapadnięte. Tak naprawdę cała twarz nie dawała zbyt wielu oznak życia. Tarya ujęła jego dłoń i zamknęła oczy.

– Muszę dostać się do jego podświadomości. Nie będziecie mieli nic przeciwko, jeśli się do niego podłączę? – spytała po chwili, wciąż mając zaciśnięte powieki.

Wszyscy przecząco pokiwaliśmy głowami.

– Rób, co uważasz za stosowne – oznajmiłem, starając się zatrzeć słabe pierwsze wrażenie.

Wróżbitka zwinnymi ruchami znalazła kilka mniejszych gniazd w ciele Kampera. Jedno znajdowało za uchem, kolejne dwie odpowiednio powyżej nadgarstka i kostki. Następnie umieściła w nich bezprzewodowe wtyczki, które wcześniej wyjęła ze schowka ukrytego w swoim prawym ramieniu. Powstrzymałem się od kąśliwej uwagi, że wróżki najwidoczniej zawsze są na czasie z technologią. Zamiast tego spytałem:

– Nie wolisz podłączyć się bezpośrednio przez wszczep? Ominiesz dzięki temu kilka zapór firewall – zasugerowałem, mimo że widok wystającego żelastwa z nogi Kampera cały czas nie nastrajał mnie zbyt optymistycznie. Na szczęście Sigmund założył w tym miejscu opatrunek z przezroczystego materiału, dzięki czemu nie mieliśmy tutaj kolejnej fontanny w kolorze czerwieni.

– Nie muszę schodzić aż tak głęboko do jego systemu – oznajmiła spokojnym głosem Tarya. – Podświadomość jest na zewnątrz, choć często nie chcemy tego przyznać.

– Kolejne nowości – pomyślałem, ale znowu zatrzymałem to dla siebie. Jeszcze kilka minut w tym towarzystwie i z takimi hasłami będę mógł zakładać własną sektę. „Podświadomość jest na zewnątrz, choć często nie chcemy tego przyznać”. Grzmiałbym ze środka kamiennego kręgu, a później czekał na spore przelewy waluty.

Na szczęście wróżbitka nie była tak dobra, aby czytać w myślach, więc pracowała dalej, a ja stałem nieruchomy z udawaną miną pełną aprobaty.

Przymknęła oczy i chyba starała się wprowadzić w coś rodzaju transu, jej usta poruszały się szybko, ale ledwie mogłem dosłyszeć wypowiedane słowa. Rozalia i Sigmund wydawali się być równie skonsternowani, jednak podobnie do mnie woleli się nie wtrącać. Zupełnie jakby mogło to tylko pogorszyć sytuację, chociaż o to było akurat dosyć trudno.

Nagle w zachowaniu Taryi coś się zmieniło. Jej ciałem wstrząsnęły drgawki, ale wbrew moim przewidywaniom, wciąż utrzymywała się na nogach. Rozalia ruszyła z pomocą, jednak Sigmund powstrzymał ją, gwałtownie chwytając za ramię.

– Powiedziała mi, żeby jej nie przerywać – oznajmił. – Nawet jeśli będzie wyglądało niezbyt przyjemnie.

Rozalia skinęła głową, jednak znałem ją na tyle, by wiedzieć, że nie do końca zgadza się z tą decyzją. Jej matka była uzależniona od wszczepów, przez co rozwinął się u niej swoisty rodzaj padaczki. Miewała częste ataki, a gdy Rozalia miała 11 lat, jeden z nich skończył się tragicznie. Marla, czyli moja była teściowa, której nigdy nie poznałem, udusiła się we własnym łóżku. Znalazła ją właśnie Rozalia, co musiało zostawić trwałe ślady w psychice tak młodej osoby. Od tamtej pory gdy była świadkiem napadu drgawek u postronnych ludzi, co wcale nie było takie rzadkie na ulicach Shadow Villens, natychmiast rzucała się do pomocy. Nie odstraszało jej, że często byli to narkomani lub ludzie z szerokim spektrum uzależnień, przez co ignorowanie ich przez resztę społeczeństwa było raczej smutną normą. Dlatego wciąż nie mogłem zrozumieć, dlaczego Rozalia zniknęła dziesięć lat temu. I nie chodziło tutaj wcale o mnie, a właśnie o Lenę. Życie ma jednak bardzo przewrotne poczucie humoru. Gdy Rozalia wróciła, nasza córka zniknęła. Zupełnie jakbym dekadę temu stracił szansę, być w pobliżu ich obojgu w tym samym momencie.

Potrząsnąłem głową, żeby odgonić niewygodne myśli, w czym pomogła mi wróżbitka. Drgawki ustały, ale zamiast tego zaczęła wydawać z siebie nieludzkie dźwięki. Przypominały klikanie połączone z tarciami dwóch betonowych bloków o siebie. Brzmiało to jak podkład muzyczny ze słabego horroru i w dodatku zdziwiło mnie, że ludzkie struny głosowe są w stanie wydawać dźwięki o takiej barwie i częstotliwości. Chociaż, cholera. Kto wie, co takie wróżki pijają na śniadanie? Może wywar z wampirów z domieszką sproszkowanych zębów wilkołaków? I ma to właśnie taki wpływ na gardło. Muszę później sprzedać ten patent Røbastowi albo lokalnej kapeli deathmetalowej.

Nagle niezrozumiały jazgot zamienił się w słowa. Początkowo nieczytelne, jakby słyszane zza ściany. Z każdą sekundą stawały się jednak coraz bardziej wyraźne

i w pewnej chwili przeszedł mnie mimowolny dreszcz. Tarya operowała dwoma głosami na zmianę. Jeden należał do Kampera, a drugi do do mojej córki.

– Nie możesz się rozklejać, musisz się teraz skupić. – Kamper brzmiał na przerażonego, a w tle dało się słyszeć rozhisteryzowany szloch Leny.

– Co się stało? Kto zabił Prähn? – Głos Leny załamywał się praktycznie przy każdym słowie.

– Nie mam teraz czasu, żeby ci to wyjaśnić. – Właściciel „Retro Dinosaur” próbował udawać opanowanego, ale nie wychodziło mu to zbyt dobrze. – On może pojawić się tu w każdej chwili.

– Kto się może pojawić? W ogóle nie mogę skontaktować się z tatą. – W tym momencie poczułem ukłucie w najczulszym miejscu serca.

– Zostałaś zhakowana. Ja też działałem w bardzo ograniczonym zakresie, dlatego skup się na chwilę. Spróbuję go zatrzymać, ale musisz przekazać wiadomość Gustawowi.

W tym momencie z ust Taryi wydobył się odgłos tłuczonego szkła, a ja doskonale wiedziałem, co to było. Światełko dachowe.

– Cholera – krzyknął Kamper. – To jest ojciec... – urwał nagle, a ja znowu wiedziałem, co było tego przyczyną. Cios ostrym narzędziem w brzuch, czego następstwem była zoperowana przeze mnie rana. Kilka sekund później dało się słyszeć przeraźliwy krzyk Leny, po czym wróżbitka zemdlą.

– Wszystko w porządku? – spytał chyba już dziesiąty raz Sigmund, delikatnie potrząsając Taryę Usadowił ją w jednym ze swoich foteli, na których przeprowadzał operacje konserwacji wszczepów. Sam na nim siedziałem niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Oczywiście podłączył ją systemu monitorującego stan organizmu, ale na szczęście ten nie wykazał żadnych nieprawidłowości. Jedynie do żyły w lewym ramieniu spływała kroplówka mająca pomóc w odzyskaniu przytomności.

– Już mi lepiej – odpowiedziała w końcu wróżbitka, powoli otwierając oczy. – Tak się czasami zdarza, urwał mi się film podczas transu. Czy udało mi się jakoś pomóc?

– Cholera. Dobrze, że nic ci nie jest. – Sigmund wyraźnie odetchnął z ulgą.

– Mówiłaś głosami Kampera i mojej córki – oznajmiłem. – Czy to była ich prawdziwa rozmowa?

Tarya uniosła plecy z oparcia, ale nagle się zatrzymała, jakby czuła, że nie jest to jeszcze najlepszy pomysł. Zapewne wirowało jej w głowie jak podczas imprezy na wynajętej barce. I to jeszcze w czasie sztormu.

– Tak myślę. To najsilniej zapisało się w jego umyśle w ostatnim czasie. Jedynie sceny z ogromnym ładunkiem emocjonalnym są przekazywane dalej. Nie mam nad tym kontroli.

– To dużo tłumaczy – wtrąciła się Rozalia. – Kamper był cholernie przerażony Podobnie jak Lena. A widziałaś może, co tam się stało? – Zrobiła krótką pauzę, jakby szukała odpowiedniego słowa. – Miałaś tak zwaną wizję?

Wróżbitka z trudem wciągnęła powietrze.

– Nawet jeśli, to i tak nic nie pamiętam. Wszystko działo się poza mną.

Rozalia skinęła głową.

– Czyli mamy kolejną zagadkę – westchnęła ze zrezygnowaniem. – Gustav, wiesz co mogą oznaczać ostatnie słowa Kampera?

Zmarszczyłem czoło. „To jest ojciec...” niewygodnie brzęczały mi w głowie. Najgorzej, że nie miałem pojęcia, co mogły oznaczać. O jakiego ojca chodziło Kamperowi? Raczej nie mojego. W końcu Egil Drag razem z moją mamą Nissą od kilku lat mieszkali w małym miasteczku Lundtown na zachodnim wybrzeżu. Oboje kończyli w tym roku 93 lata, więc łatwo policzyć, że byłem ich prezentem na trzydzieste urodziny. Nawet nie chciałem wnikać, czy trafionym. Dzwoniliśmy do siebie przynajmniej raz w tygodniu i często im wypominałem, że niepotrzebnie wyprowadzili się z Shadow Villens do domu starców. Zawsze się oburzali na te słowa, twierdząc, że ośrodek dla seniorów „Kaszirowa Jesień” to jedna z najlepszych rzeczy, która mogła im się przytrafić. Mieli tam wszystko, co można sobie wymarzyć na udanych wakacjach. Opłacone posiłki ze zmieniającym codziennie menu, bazę rekreacyjną z basenem, spa i kortami tenisowymi. Dodatkowo potańcówki do rana co trzeci dzień z dwoma lekarzami na sali. Oraz chyba najważniejsze. Masę rówieśników z równie imprezowym nastawieniem.

Tak jak wspominałem, wątpiłem, że Kamperowi mogło chodzić o mojego ojca. Dla pewności i tak chciałem do niego zadzwonić, jednak zrobienie tego chwilę przed 5:00 rano nie było najlepszym pomysłem. Razem z mamą odsypiali jeszcze pewnie Sylwestra.

Ale jeśli nie miał na myśli Egila Draga to kogo? Czyj ojciec mógł chcieć porwać moją córkę, wcześniej zabijając jej najlepszą przyjaciółkę. I skąd wziął się w tym wszystkim Kamper. Z rozmowy, którą przetransponowała Tarya, łatwo można było wywnioskować, że wiedział dużo o tej sprawie. Wciąż mnie zastanawiało, jak się w to wplątał. Logicznym wyjaśnieniem wydawał się fakt, że sam był w to zamieszany. Ale w takim razie dlaczego prawie został zamordowany w dokach? Moja teoria lub tak naprawdę jej brak, miała ogromną liczbę luk, których jak na razie nie umiałem wypełnić.

Przez ułamek sekundy przeleciał mi przez głowę ojciec Präln, ale szybko odrzuciłem tę myśl. Po co miałby zabijać własną córkę i porywać moją?

Zorientowałem się tylko, że i tak w niedługim czasie odbędziemy bardzo nieprzyjemną rozmowę. Nie wiem, na ile byłem odpowiedzialny za opiekę nad Präln, która zostawała u Leny po Sylwestrze. Kontrola dwóch nastolatków kończących w tym roku 18 lat jest zazwyczaj iluzją, ale moje tłumaczenie i tak nie miało to większego znaczenia. Jego żal, smutek i złość skupią się na mnie, bo będę jedyną osobą, którą można za to obwinić. A rodzice to lubią. Ile razy widziałem to w wieczornych wiadomościach. Po wakacyjnym obozie na którym zdarzył się wypadek, ojciec

i matka ze wściekłością w głosie chcą niemal kary śmierci dla obozowego opiekuna. Z perspektywy bycia rodzicem całkowicie ich rozumiem, ale mam również świadomość, że najczęściej nie mają racji. Nastolatki sami hakują wszystkie zabezpieczenia i także sami sięgają po tani alkohol oraz gównianej jakości narkotyki. Pewnie każdy kojarzy powiedzenie, że w życiu pewne są tylko śmierć i podatki. Te dwa elementy ciągle chciałem oszukać, ale jestem pewny, że nocnej imprezy na letnim obozie nie byłbym w stanie powstrzymać.

Fakt, że Tremont Krollen – ojciec Präln jeszcze do mnie nie zadzwonił, mógł być tylko jeden. Nie miał pojęcia, że jego córka nie żyje. Spędził razem z żoną Sylwestra w luksusowym ośrodku narciarskim i dorzucił przy rezerwacji jeden dodatkowy dzień na leczenie kaca. Zdecydował się przy okazji na pozostanie offline. Bogaci ludzie mający legalną pracę są w stanie odłączyć się od Sieci, ja jako handlarz broni, niestety nie mogę sobie na to pozwolić.

Ktoś mógłby jeszcze zapytać, czemu Präln nie pojechała z nimi? Naprawdę? Ciezko mi wskazać nastolatkę, który chciałaby spędzić Nowy Rok z rodzicami.

Potrząsnąłem głową, jakby miało to pomóc w powpadaniu wszystkich elementów układanki w odpowiednie miejsca. Tak jak się spodziewałem, nic nie pomogło.

– Gustav? Wszystko w porządku? – spytała Rozalia.

– Przepraszam. Trochę zaczyna mnie to przerastać – odparłem.

Przymknąłem na chwilę oczy. Nikomu o tym nie wspominałem, ale odkąd zniknęła Lena, zażyłem chyba dwanaście tabletek Hintrolu, silnego leku uspokajającego zakazanego przez rząd kilka lat temu. Świat dorosłych jest bardzo podobny do świata nastolatków. Jeśli coś staje się nielegalne, istnieje duże prawdopodobieństwo, że ci pomoże, gdy twój świat wali się na tysiące kawałków. Oczywiście tylko na chwilę i z wieloma skutkami ubocznymi.

Sprawdziłem, ile czasu zostało mi do możliwości zażycia kolejnej pigułki, aby uniknąć całkowitego wyniszczenia wątroby. Trzy godziny. Westchnąłem. O trzy godziny za długo.

– Nie tylko ciebie to przerasta – powiedział Sigmund, podając Taryi jasnozielony roztwór. – Jesteśmy w tym razem.

Już miałem odpowiedzieć, że nie musi mówić do mnie dialogami z filmów rodzinnych, kiedy w prawym rogu mojego pola widzenia ukazała się informacja o nadchodzącym połączeniu od Røbusta.

Odebrałem.

– Cześć Gustav – zaczął policjant, a z tonu jego głosu wyczułem, że nie ma dobrych wieści.

– To musi być coś ważnego, skoro dzwonisz o tej porze. Powinieneś odsypiać albo imprezować jeszcze na afterparty.

Røbust sztucznie, ale równie głośno się roześmiał.

– Gustav, ja już w robocie od godziny. Komendant nie jest zbytnim fanem mojej działalności muzycznej – przeciągnął ostatnie dwa słowa.

– Myślę, że nie jest w tym osamotniony.

– Spokojnie mógłby założyć mój anty fanklub, ale tyle informatorów, ile zgarnąłem po koncertach przy barze, to nie widział w całym swoim życiu. Dobra, nieważne. Musimy się spotkać.

– Teraz?

– Teraz.

Zmarszczyłem brwi. Røbust nie wiedział jeszcze o zaginięciu Leny.

– Chodzi o tego stessera z metra?

– Nie, chciałem pogadać o swoich nowych utworach – zaśmiał się. – Kurwa wiadomo, że o stessera. A o kogo innego miałoby chodzić?

Rozejrzałem się po laboratorium i przez chwilę próbowałem objąć wzrokiem Rozalię, Sigmunda, Taryę i leżącego na stole półnagiego Kampera z wystającym wszczepem z rozprutej nogi.

– Naprawdę musimy się spotykać osobiście? Nie możesz powiedzieć mi tego przez telefon? – zrobiłem krótką pauzę. – Mam aktualnie trochę na głowie.

Byłem pewny, że pomoc Røbusta jeszcze mi się przyda w poszukiwaniach Leny, ale akurat teraz potrzebowałem się trochę zdrzemnąć i zregenerować. Stesser, który testował nowy typ wszczepu i walka o wpływy handlarzy broni z Shadow Villens obecnie mało mnie obchodziły.

– Wolałbym obgadać to na mieście. Pewnie cały komisariat usiany jest podsłuchami, a to naprawdę dziwna sprawa.

– Niech będzie – westchnąłem. – To gdzie ci pasuje?

– Za trzydzieści minut u Chińczyka?

Bar „Chino Dreams”, który skrótowo nazywaliśmy Chińczykiem mieścił się niecałe 200 metrów od komisariatu. Wbrew nazwie nie serwował tylko chińszczyzny, tak naprawdę można było znaleźć tam wszystko. Zaczynając od rozgotowanych sajgonek, przez pizzę z karczochami na cieście, która nadawała się na podeszwę od buta, aż po pierogi z mięsem z niewiadomego pochodzenia. Na samą myśl, że będę musiał tam coś zamówić, przełknąłem ślinę, czując lekki strach.

Jedynym plusem tego miejsca był fakt, że działał 24 godziny na dobę i zawsze znajdowało się tam pełno ludzi. Nikt na nikogo nie zwracał uwagi, monitoring był nieaktywny, więc było to częste miejsce spotkań szemranych typków, policjantów i zwykłych ludzi, którzy chcieli zjeść coś przed dwunastogodzinną zmianą w korporacji i jednocześnie ponarzekać na swoich szefów.

Sprawdziłem godzinę, była 5:05. Nawet nie chciałem się zastanawiać, czy to jakiś szczęśliwy znak.

– Będę około 5:30, ale daj mi jakiś dziesięciominutowy margines.

– Jasne. Zamówić ci coś?

– Jakieś śniadanie. Może jajecznicę na tłustym boczku ze szczypiorkiem, ale powiedz obsłudze, że sprawdzę skład tego żarcia. I w razie potrzeby napiszę zgłoszenie do komisji kontroli żywności.

Røbust głośno się roześmiał.

– Oni już od dawna boją się tu przyjeżdżać.

– Kocham takie miejscówki – tym razem ja zarechotałem. – Do zobaczenia.

– Do zobaczenia Gustav.

Rozłączyłem się i znowu rozejrzałem się po laboratorium. Nic się nie zmieniło, wszyscy znajdowali się w tych samych miejscach, zupełnie jakby czekali na mój kolejny ruch.

– Jedziesz spotkać się z Røbustem? – spytał Sigmund.

– Muszę – westchnąłem. – Ma dla mnie jakieś informacje na temat tego stessera z metra.

– Kogo? – wtrąciła z wyrzutem Rozalia.

– Nieważne. Stesser to sprawy zawodowe. Długa historia.

– I to jest teraz ważniejsze od znalezienia Leny?

Przewróciłem oczami.

– Nie jest. Røbust może nam pomóc, raport z sekcji zwłok Präln nie został jeszcze wprowadzony do systemu, a on ma dostęp do wewnętrznej sieci policyjnej.

– Może nikt wcale nie zamierza przeprowadzać tej sekcji? Stwierdzą, że to przypadkowa ofiara porachunków jakichś gówniarskich pseudo gangów.

– Zrobią sekcję – zapewniłem. – Rodzice Präln są nadzianymi waźniakami z korporacji. Gdyby nawet spadła z roweru i zginęła, uderzając głową bez kasku o krawężnik i tak by zlecili przeprowadzenie sekcji. Gwarantuję ci to.

– Naprawdę Ros – do rozmowy znowu włączył się Sigmund. – Na razie i tak nie wiemy, co dalej. Musisz trochę odpocząć, zanim...

– Zanim co? Zanim znajdziemy ją zaszlachtowaną w jakiejś norze? Albo zanim wyłowią ją z rzeki zawiniętą w foliowy worek?

Głośno wypuściłem powietrze.

– Sigmund ma rację – oznajmiłem najmielszym głosem, jakie moje sfatygowane gardło mogło z siebie wydobyć. – Powinnaś odpocząć.

– A ty nie? – spytała z wyrzutem.

– Ja spróbuję wyciągnąć coś od Røbusta, a później też się zregeneruję – skłamałem. Wiedziałem, że produkt o nazwie sen aktualnie leżał gdzieś na półce towarów zakazanych i jeszcze przez długi czas nie będę mógł tam sięgnąć. Nie chciałem też się przyznać, że od kilku godzin działałem na nielegalnych lekach. Oczywiście szybko znalazłem usprawiedliwienie. Kto w tym mieście nie próbuje przeżyć na proszkach do pierwszego kolejnego miesiąca?

Podszedłem do fotela, na którym siedziała Tarya. Worek z kroplówką był już w połowie pusty, więc zapewne odzyskała trochę siły.

– Dziękuję za wszystko – powiedziałem, wyciągając rękę w jej stronę. Przez chwilę wpatrywała się we mnie, mrużąc oczy. Następnie delikatnie się uśmiechnęła i równie lekko ucisnęła moją dłoń.

– Nie musisz mi dziękować – odpowiedziała. – Tak się musiało...

– Wydarzyć – dokończyłem, szeroko się uśmiechając.

Skinęła głową.

– Widzę, że już nie muszę ci nic przepowiadać.

– W końcu i tak nic się nie zmieni, bo przecież nie miało się nic zmienić. Czy coś w tym stylu.

– Szybko się uczysz. – Tarya pokręciła głową, po czym się roześmiała. – Idź już.
Bez tego spotkania nie zbliżysz się do odnalezienia córki.

Uniosłem brwi.

– To wróżba?

Znowu się uśmiechnęła.

– Jedynie dobra rada.

Rozdział 6

„Miłość składa się tylko z zer i jedynek. Niestety przeważają zera”

Zanim wyruszyłem do „Chino Dreams”, kolejny raz spróbowałem namówić Rozalię, żeby trochę odpoczęła. Z pomocą przyszła mi Tarya, która zaproponowała jej odprężającą sesję jogi u siebie w gabinecie. W dodatku gratis. Staralem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś zaproponował mi coś za darmo. Nie mogłem. Nawet za obicie swojej facjaty w barze, musiałbym sporo dopłacić.

Sigmund na pożegnanie obiecał mi też, że również zaopiekuje się Rozalią, szykując dla niej komorę regeneracyjną. Miło z jego strony, ale wątpiłem, że skorzysta. Zwłaszcza po godzinie wyginania stawów z szaloną wróżbitką. Pewnie zajmie się przeszukiwaniem Sieci, starając się znaleźć jakiś drobny ślad, który przeoczyliśmy. Albo będzie próbować rozwiązać enigmatyczne znaczenie słów Kampera – „To jest ojciec”. Niestety nie wierzyłem, że uda się jej rozwikłać którąkolwiek z tych zagadek.

Zazgrzytałem zębami.

Dotarliśmy do ściany i jeśli nie znajdę kolejnych elementów, których będę mógł się zaczepić, to odnalezienie Leny bardzo się oddalało.

– Creep, przygotuj transport – powiedziałem w myślach, tym samym uaktywniając sztuczną inteligencję.

– Panie Gustavie, samochód czeka na parkingu podziemnym, 47 metrów od pana.

Powoli zaczynało mnie denerwować to „paniowanie”, ale wołałem teraz nie robić rewolucji w psychice sztucznej inteligencji. Jeszcze zapragnąłby zostać raperem. I to słabym.

Ilość zajętych miejsc znacząco wzrosła i oprócz ogromnego SUV-a, obok mnie zaparkował przerobiony pick-up z dodanymi wszędzie spojlerami. Naprawdę bałbym się sprawdzić, jaka muzyka leci w środku najczęściej. I kto jeździ na pace.

Mój Cadillac zamrugał światłami, jednocześnie przygrywając krótką 8 – bitową melodyjkę. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu i przez chwilę wpatrywałem się w puste miejsce obok. Na tapicerce znajdowały się jeszcze świeże ślady krwi Kampera. Uśmiechnąłem się gorzko. Zupełnie jakbym odwoził go do domu po zbyt dobrej imprezie.

Zacisnąłem dłonie na kierownicy, jednocześnie powstrzymując się od próby zamienienia jej w pył. Nie pamiętałem, kiedy moje życie rozsypało się na tyle kawałków, które były tak ostro zakończone, że każdy kolejny ruch jeszcze pogarszał sytuację.

– Creep, włącz nawigację. Jedziemy do „Chino Dreams”.

– Aktywować autopilota?

– Nie. Sam poprowadzę.

Zacisnąłem dłonie na kierownicy jeszcze mocniej i ruszyłem z piskiem opon, zostawiając na parkingu czarne ślady. Tak, już dawno powinienem wybrać się do psychologa z karteczką „Kryzys egzystencyjny emeryta i rencisty”.

Zaparkowałem obok „Chino Dreams” dokładnie o 5:35. Na szczęście było wcześniej, więc mogłem znaleźć jeszcze jakieś miejsce. Za niecałą godzinę nie byłoby to takie proste.

Wysiadłem z samochodu, wpadając natychmiast w grubą warstwę śniegu. W końcu tajemnicą poliszynela jest fakt, że drogowcy rozpoczynają pracę dopiero po tym, jak wszyscy dotrą do pracy.

Było jeszcze ciemno, więc ogromny, jaskrawy neon informował mnie, że knajpa jest otwarta 24 godziny na dobę, nawet w święta i dni ustawowo wolne od pracy. Zmarszczyłem czoło. Takie podejście do biznesu jednocześnie mi imponowało i trochę przerażało.

Kiedy przeszedłem przez automatycznie otwierane drzwi, natychmiast uderzył mnie zapach starego oleju i dymu z tanich, elektronicznych papierosów. Większość miejsc była zajęta, co jak zawsze niezmiennie mnie dziwiło. Nie zaprosiłbym tutaj nawet swojego największego wroga, bojąc się i o własny żołądek, i jego późniejszą zemstę. Najwidoczniej Røbust nie miał takich zahamowań.

Dostrzegłem go niemal natychmiast. Siedział przy dwuosobowym stoliku w rogu sali i studiował zafoliowaną kartkę papieru nazywaną podobno menu. Jego ubiór całkowicie różnił się od tego sprzed dziewięciu godzin. Teraz nosił mundur policji Shadow Villens, który był ciemnoniebieski z wszytym złotym emblematem na lewym ramieniu. Kątem oka dostrzegłem też kilku innych policjantów zajmujących jeden spory stół. Nie zwrócili na mnie żadnej uwagi. Aktualnie ich umysły były wypełnione słowem „kebab”, więc na obserwację środowiskową nie było już czasu.

– Spotkanie prodziekanów – pomyślałem ironicznie, przedzierając się w stronę Røbusta. Szybkim ruchem odsunąłem krzesło i ciężko na nim usiadłem.

– Gdzie mogę znaleźć formularz na gwiazdkę Michelin? – spytałem, biorąc do ręki drugi egzemplarz menu. Na szczęście nie było takie brudne i lepkie, jak się spodziewałem.

Røbust głośno się roześmiał, po czym uderzył mnie w ramię. Jak na maksymalnie trzy godziny snu i zdarte gardło, prezentował się nad wyraz dobrze.

– Cześć Gustav. Dobrze, że jesteś. Właśnie miałem zamawiać szamę. Dla ciebie klasyczny zestaw śniadaniowy?

– Trochę się boję pytać, co tutaj jest klasycznym zestawem śniadaniowym – przeliterowałem trzy ostatnie słowa.

– No jak to co? – zdziwił się. – Jajecznica na tłustym boczku ze szczypiorem zieleńszym niż ja przed pierwszym koncertem.

Mała odpowiedź. Widziałem nagranie z pierwszego koncertu Røbusta. Wyglądał jak brokuł z gitarą.

– Jajka syntetyczne? – dopytałem.

– Mówią, że naturalne z wolnych wybiegów.

Przełknąłem ślinę, ale zgodziłem się. Oczywiście wątpiłem, że jakikolwiek składnik w kuchni „Chino Dreams” stał kiedykolwiek obok słów „naturalny” i „wolny”. Poszukiwania gwiazdki Michelin musiałem przełożyć na później.

Røbust zawołał kelnerkę, a po uśmiechu jakim go obdarowywała podczas składania zamówienia, wywnioskowałem, że nie było to ich pierwsze spotkanie. Policjant oprócz mojej jajecznicy, zamówił pierogi z jagodami i dwie mocne kawy.

– To co jest takie ważne, że musieliśmy spotkać się w aż tak wyszukanym miejscu – zacząłem.

– Stesser.

– Öscar Scout – przypomniałem na głos jego imię. – Co z nim?

– Pamiętasz, jak mnie prosiłeś, żebym sprawdził wszystko, co pojawi się w systemie?

Skinąłem głową.

– Koleś idealnie nadaje się na stessera. Totalna płotka, jakieś proste włamanie do systemów, dużo działał z ransomware, wyludzając małe okupy za odszyfrowanie danych, trochę handlował narkotykami. Ogólnie straszliwy planktoniarz, szoruje brzuchem dno półświatka Shadow Villens. – Røbust tym samym potwierdził wszystkie moje przypuszczenia.

– No dobra. – Oparłem łokcie na blacie stołu. Lepił się. – Nie powiedziałeś jeszcze nic, czego nie wiem.

Policjant uśmiechnął, ale w taki sposób, który nie do końca mi się spodobał.

– Jak go sprawdzałem, to ciągle myślałem, po co Gustav każe mi studiować takiego nikogo. Faktycznie ten jego pokrowiec na broń to niezła nowinka, była o nim notatka, że wchodzi na rynek od tego roku. I że mamy uważać, bo zanim nie zrobią aktualizacji systemów bezpieczeństwa, ktoś będzie mógł wejść na przykład do kantoru i wyjąć klamkę przy samym okienku. Ale temat podobno do ogarnięcia i to kwestia tygodnia lub dwóch.

– Chociaż jedna dobra wiadomość w tym wszystkim.

– Powiedzmy. – Røbust pokiwał głową na boki. – Kazałeś mi sprawdzić wszystko, więc trochę pogrzebałem w plikach z raportu. Öscar oczywiście się do niczego nie przyznał, podobno informacja o byciu poszukiwanym to włam, czyli zapewne twoja robota.

Uśmiechnąłem się twierdząco, a policjant kontynuował.

– Chłopaki długo go nie maglowali, zarekwirowali ten pokrowiec, ale uprzedzając twoje pytanie, nie dam rady go wyciągnąć. Poleciał od razu do policyjnego laboratorium.

– Szybko wracamy do złych wiadomości.

– Niestety jestem jeszcze przed gwoździem imprezy. Podczas przeglądania kolejnych plików natknąłem się na listę miejsc, które ten stesser miał sprawdzić pod

kątem zabezpieczeń. Większość to same klasyki. Kilka banków, stadion, nawet mały komisariat policji na obrzeżach miasta. Zwróciłem uwagę na jeden adres, który innym policjantom nic nie mówił albo mieli go w dupie. – Røbust przysunął się bliżej, jakby opowiadał banalną tajemnicę obozowej koleżance. – Domyślasz się jaki?

Skinąłem głową.

– Mój – odparłem.

Czas w „Chino Dreams” na chwilę się zatrzymał, a wszechobecny zapach starego oleju jakby trochę zelżał. Albo przestałem zwracać na niego uwagę.

Wpatrywałem się w emblemat policji przez kilkanaście sekund i dopiero pierogi z jagodami, które z hukiem wylądowały przede mną, pozwoliły mi się ocknąć.

– Zamawialiśmy na odwrót i u innej kelnerki – zaprotestował Røbust.

– Zamienicie sobie – odparła kobieta z uśmiechem pozbawionym kilku zębów. Miała tłuste włosy, małe, wredne oczy i najlepsze lata za sobą. Zapewne zobaczyła maślane oczy młodszej i ładniejszej koleżanki w kierunku do przystojnego policjanta i postanowiła włożyć kij między szprychy. Koleżanki i koledzy z pracy. Nigdy nie może być za łatwo.

– Płatne teraz – dodała, wbijając wzrok we mnie.

– Ja zapłacę – oznajmił Røbust i dokonał szybkiego transferu starym zegarkiem. Kojarzyłem go. Podobno ma go po pradziadku.

– Mam nadzieję, że nie dałeś jej napiwku – powiedziałem, kiedy kelnerka zniknęła w części sali zamglonej od papierosów. Røbust tylko pokręcił przecząco głową, udając przerażoną minę, a następnie zamienił miejscami nasze talerze.

– Wiesz, czemu stesser chciał sprawdzić twój dom? – spytał, mając już w ustach polski przysmak.

– Domyślam się.

– Rozumiem, że to nie przypadek.

Zaprzeczyłem. Musiałem odkryć karty, bo nie było sensu dalej ukrywać informacji o porwaniu Leny.

– To długa historia. Ktoś od wczoraj próbuje mi wysyłać ukryte wiadomości. Najprawdopodobniej ta sama osoba porwała Lenę – oznajmiłem, zdając sobie sprawę, że od momentu wejścia do metra musiałem być śledzony. Porywacz bardzo dobrze znał moje zwyczaje, w tym skanowanie współpasażerów.

– Co? – Røbust niemal udławił się jednym z pierogów. – Co ty pierdolisz? – Dodał po chwili, starając się nie podnosić głosu.

– Niestety to prawda.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj około 14:00.

– I nic mi wcześniej nie powiedziałeś?

– Sam dowiedziałem się dopiero dzisiaj o 1:00 w nocy.

Głośno wciągnąłem powietrze, a później przez kilkanaście minut starałem się streścić Røbustowi ostatnie kilka godzin. Pojawienie się Rozalii, film ze starej kamery z lombardu na którym widać śmierć Präln. Uprowadzenie Leny przez Kampera. Późniejszą sytuację w dokach, przewiezienie Kampera do Sigmunda, wizja wróżbitki i urwane słowa „To jest ojciec”.

Røbust nie odzywał się dłuższą chwilę, zapewne starając się poskładać to wszystko w głowie. Było to niemożliwe, więc w końcu musiał się poddać.

– Cholera Gustav – zaklął policjant. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Co się stało z Öscarem?

Wzruszył ramionami.

– Nic szczególnego. Na razie siedzi w areszcie, załapał się na przyspieszony proces, więc pewnie dzisiaj, maksymalnie jutro zostanie skazany na trzy miesiące. Nic więcej raczej nie wyłapie.

– Jest jeszcze u was na dołku?

Røbust mimowolnie się uśmiechnął.

– Tak, u nas w „hotelu” – odparł, robiąc palcami znak cudzysłowu.

– Prawdopodobnie jutro go przewiozą. Niestety ciężko powiedzieć do którego więzienia.

– Załatwisz mi z nim widzenie?

Policjant zamilkł na kilka sekund.

– Kurwa, nie będzie to takie proste – odparł. – Ale postaram się podziałać.

Lekko się uśmiechnąłem. Jeśli Røbust mówił, że postara się podziałać, zazwyczaj znaczyło to, że załatwi sprawę.

– I jeszcze jedna rzecz. Będę potrzebować plików z sekcji Präln.

– Tej zamordowanej dziewczyny?

Skinąłem głową, a Røbust już otwierał usta, by coś powiedzieć.

– Sprawdzalem – przerwałem mu. – Nie ma nic na waszych serwerach. Utworzono tylko rekord w bazie danych.

– Faktycznie. Może tak być – westchnął. – Już cała policja wie, że nasze zabezpieczenia są równie pewne co noworoczne postanowienia. Od niedawna duża część infrastruktury jest spięta lokalną siecią bez możliwości zewnętrznego dostępu. Większość danych można pobrać jedynie na miejscu. Chyba ci nawet o tym wspominałem kilka tygodni temu.

Wzruszyłem ramionami.

– Sieć policyjna nie jest centrum moich zainteresowań, odkąd lata temu wymazałem stamtąd swoje nocne historie.

Røbust mimowolnie się roześmiał, ale równie szybko spoważniał.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Podziękowałem, a następnie wziąłem duży kęs jajecznicy. Syntetyczne jajka jak zawsze prezentowały się tak samo. Nie miały smaku. Na szczęście duże ilości

szczypiorku i cebuli bombardowały moje kubki smakowe z nawiązką. Tak, wiem. Jestem człowiekiem o prostych gustach.

– Kurwa, ale że porwali Lenę – powiedział Røbust, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Czy to może mieć związek...

– Z naszą pracą po godzinach? – Dokończyłem za niego, ubierając w kolejną metaforę nawracanie gwałcicieli, psychopatów, damskich bokserów na właściwą drogę. Zabawne. Chyba teraz też użyłem metafory. – Nie mogę tego wykluczyć – odparłem. – Chociaż szczerze wątpię. Wszyscy mieli wspólną cechę. Byli słabi i wyładowywali się na jeszcze słabszych. Zresztą Rozalia sprawdzała ich alibi i jak na razie nikt z nich nie wygrał spotkania jeden na jeden.

– To nie masz żadnych podejrzeń, kto to mógł zrobić? Może właśnie Rozalia? Dziwny zbieg okoliczności, że akurat teraz wróciła.

– Brałem ją pod uwagę, ale to nie miałoby sensu.

Røbust wypuścił powietrze.

– To kto?

Rozłożyłem szeroko ręce.

– Mieszkam w Shadow Villens 63 lata, więc na pewno zdążyłem narobić sobie trochę wrogów. Niestety nikt konkretny nie przychodzi mi do głowy. Ktoś jest naprawdę dobry i aktualnie bawi się ze mną w mało zabawny sposób.

– Cholera – przeklął Røbust, tak naprawdę wypowiadając dużo bardziej złożoną wiązanekę. – Myślisz, że coś wyciągniesz od Öscara?

– Nie wiem. Ale musi być z tym jakoś powiązany. Mój dom na liście budynków do sprawdzenia to nie przypadek.

Policjant przewrócił oczami.

– Pewnie i tak dostał zaszyfrowaną wiadomość i przelew kryptowalutą. Z raportu wynika, że ten koleś sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, z kim rozmawiał piętnaście minut wcześniej. Myślisz, że coś ci powie?

Uśmiechnąłem się.

– Zależy, jak bardzo będę przekonujący.

– Tylko spokojnie – Røbust chwycił mnie za ramię. – Tym razem to nie jest zlecenie ode mnie, nie chcę przemalowywać naszego pokoju zwierzeń na czerwony.

– Nie martw się. Użyję keczupu.

Policjant pokręcił głową ze zrezygnowaniem.

– Pamiętaj Gustav – zapewne użył mojego imienia, żeby podkreślić, jak ważne będą następne słowa. – Wpuszczenie cię na dołek na komisariacie to złamanie miliarda procedur. Naprawdę nie żartuję. Jak będziesz stamtąd wychodził, mam ci napisać na świadectwie zachowanie: „wzorowe”. I przyznać dodatkowe punkty za udział w szkolnym kółku teatralnym.

Zrobiłem poważną minę i skinąłem głową, żeby już go nie denerwować. Chociaż tak naprawdę miałem ochotę powiedzieć „Się wie panie dyrektorze. I proszę pozdrowić panią z biblioteki”.

– Dobra. Muszę się zbierać, bo komendant mnie dojedzie – rzucił Røbust, pakując pozostałe pierogi do tekturowego pudełka. Takie opakowania znajdowały się

na każdym stoliku. Niespecjalnie mnie to dziwiło. W końcu równie emocjonujące doznania smakowe zasługują na podział ratalny.

– Bądź online i gdzieś w pobliżu – polecił Røbust niemal szeptem. – Jak będę mógł cię wpuścić do celi, zadzwonię. Na pewno nie będziesz miał dużo czasu, więc przygotuj sobie tylko trzy pytania. Nie więcej.

Kolejny raz skinąłem głową i gorzko się uśmiechnąłem.

– Wystarczy mi jedno pytanie.

Røbust był wyraźnie spięty. Było to jednak usprawiedliwione. Wprowadzenie mnie do celi z więźniem było co najmniej ryzykowne i mogło się skończyć bardzo nieprzyjemnie dla obu stron. U mnie kilkumiesięcznym więzieniem, a u Røbusta wydaleniem ze służby. Dobra. Zawieszeniem w optymistycznej wersji. Wiedział jednak, że sprawy zaszły za daleko, a z powodu braku innych punktów zaczepienia, musieliśmy chwytać się wszystkiego, co mogło pomóc w odnalezieniu mojej córki. Nawet gdy ryzyko zdawało się być w górnej granicy skali.

Røbust jeszcze na chwilę obrócił się w moją stronę.

– Miałem jeszcze spytać o Kanto – rzucił – Tego siostrzeńca burmistrza.

– Ale?

– Jakoś gównie mnie teraz obchodzi ten planktoniarz. Mam tylko nadzieję, że dostał lekki wycisk.

Mimowolnie się uśmiechnąłem.

– Tylko nie lekki. Tylko nie lekki...

Røbust szeroko się uśmiechnął i szybkim krokiem ruszył w stronę wyjścia. Jego mundur zdążył w tym czasie przesiąknąć zapachem starego oleju i tanich elektronicznych papierosów. Nawet nie chciałem się zastanawiać, jak zapachowo prezentowała się moja marynarka.

Nagle w prawym dolnym rogu pojawiła się ikona nadchodzącego połączenia. Gdy zorientowałem się, kto dzwoni, przeszedł mnie mimowolny dreszcz. Tremont Krollen. Ojciec Prähn. Włączyłem podwójne szyfrowanie i zaakceptowałem połączenie.

– Tak, słucham – zacząłem w najprostszy możliwy sposób. Wiedziałem, że dla obu stron nie będzie to łatwa rozmowa.

– Witam panie Gustavie – odezwał się Tremont. Jego głos był spokojny, ale tak właśnie tak działały mocne środki uspokajające. Symulowały opanowanie. – Musimy się spotkać. Zapewne wie pan, w jakiej sprawie.

– Wiem – westchnąłem. – Najszersze kondolencje.

Tremont zignorował moje słowa.

– Czy Lena już się odnalazła?

Zmarszczyłem czoło. Informacja o porwaniu Leny nigdzie się nie ukazała.

– Skąd pan wie, że moja córka zaginęła?

– Właśnie w tej sprawie musimy się spotkać.

W mojej głowie nagle zaczęło kotłować się zdecydowanie za dużo myśli. Tremont Krollen coś wiedział. Czy był w to zamieszany? Nie, to bez sensu. Przecież to jego córka zginęła. Może rozmawiał z policją? Raczej na pewno, tylko oni jak na

razie nie wyszli w tej sprawie poza zwłoki. Nie mieli pojęcia, że Lena została porwana. Pokręciłem głową, odrzucając niewygodne myśli.

– Proszę podać miejsce i godzinę – zasugerowałem, nie tracąc czasu na sztuczne uprzejmości.

Po drugiej stronie usłyszałem krótkie chrząknięcie i przyciszony głos kobiety. Zapewne matki Präln.

– Będę w Shadow Villens dokładnie za dwie godziny. Wracamy właśnie z żoną z Austrii. Czy mógłby się pan zjawić o tej porze na lotnisku. Porozmawiamy w samochodzie.

– Dobrze. Będę na pana czekać.

Po krótkim i trochę sztywnym pożegnaniu, rozłączyłem się. Co takiego ojciec Präln chciał mi przekazać. Najbardziej zastanawiało mnie, że wydawał się nieporuszony tym, co się stało. Jasne. Środki uspokajające naprawdę potrafią zdziałać cuda z układem nerwowym, ale Tremontowi nawet przez ułamek sekundy nie zadrżał głos. Na rozwiązanie zagadki musiałem jednak trochę poczekać. Sprawdziłem godzinę. Była 6:07, czyli na lotnisku powinienem być około 8:00. Miałem sporo czasu.

Zapłaciłem w terminalu wbudowanym w stół. Nie zostawiłem jednak napiwku obok, bo bałem się, że przejmie go zgryźliwa kelnerka. Odszukałem wzrokiem tę ładną, która chyba wciąż wypatrywała Røbusta. Zbliżyłem się do kontuaru i podałem jej banknot z liczbą 100. Ze zdziwieniem uniosła brwi i podziękowała szerokim uśmiechem. Zapewne napiwek o takiej wysokości zdarzał się tutaj tylko pijanym i zagubionym. Żałowała pewnie tylko, że brakuje na nim numeru do Røbusta.

Wychodząc z „Chino Dreams” przypomniałem sobie debaty toczące się od jakichś stu lat o wycofaniu papierowych środków płatniczych. Od zawsze wiedziałem, że to bez sensu. Stawiam kolejną stół, że napiwki w restauracjach płacone elektroniczne byłyby wtedy konfiskowane przez nieuczciwego szefa. Albo niesprawiedliwie rozdzielane przez kelnerkę alfa.

Na zewnątrz wciąż było ciemno, a zalegający śnieg połączony z neonowymi reklamami tworzył groteskowy, świąteczny klimat. Mój Cadillac dopełniał całości, więc mogłem jeszcze tylko czekać na spóźnionego Świętego Mikołaja. Ciekawe, czym by przyjechał, bo chyba nikt nie wierzy, że koleś, który rzekomo rozdaje prezenty połowie świata jeździ po nocy rozklekotanymi saniami z drużyną imprezowych reniferów. Zresztą chyba pozostawałem ostatnią osobą na świecie, która w niego wierzyła. Gustav Drag – facet, który wciąż myśli, że darmowe prezenty przynosi mu podstarzały brodac z nadwagą. Kolejny raz witamy w klubie dla naiwniaków.

– Creep – zagadnąłem, jednocześnie otwierając bagażnik i wyjmując stamtąd urządzenie pochłaniające wszelkie zapachy z ubrań. Po wizycie w „Chino Dreams” było to bardziej niż konieczne. – Sprawdź mi wszystko na temat Tremonta Krollena.

– Sprawdziłem to dla pana dokładnie 3 lata i 270 dni temu.

– Naprawdę?

– Wpisy w mojej pamięci są niezaprzeczalne.

Zmarszczyłem brwi, ale po chwili aż pstryknąłem palcami.

– Jasne, już pamiętam. Sprawdzałem rodziców wszystkich dzieciaków z klasy Leny, chwilę przed rozpoczęciem nauki w liceum. Pewnie stąd kojarzyłem, że staruszkowie Präln pracują w dużej korporacji produkującej implanty.

– Czyli wychodzi na to, że jestem creepy stalkerem, a nie zagadnąłem ich na wywiadówce – westchnąłem ironicznie.

– Rozmawiał pan z Tremontem Krollenem trzykrotnie w budynku prywatnego liceum numer 32 oraz pięciokrotnie przez szyfrowane połączenie, nie licząc dzisiejszej rozmowy. Wszystkie konwersacje nie trwały dłużej niż minutę.

Natychmiast zrozumiałem, dlaczego Tremont był dla mnie obcą osobą. Trzy rozmowy w szkole, zapewne o niczym i pięć rozmów przez komunikator o tym, czy Lena może nocować u Präln lub vice versa, nie mogły zrobić z nas najlepszych przyjaciół. Zwłaszcza, że przynajmniej od dwóch lat Lena nie pytała, czy może nocować u przyjaciółki. Bardziej to obwieszczała. Witam w krainie odwiecznych problemów ojca nastolatki.

– Dzięki za bycie moją pamięcią podręczną Creep.

– Do usług. Czy czegoś pan jeszcze potrzebuje?

– Dostać się na lotnisko i trochę zdrzemnąć. W międzyczasie możesz mi wgrać do pamięci wszystko, co masz na temat Krollena. Oczywiście zrób aktualizację tych danych sprzed trzech lat.

– Zajmie mi to niecałe dziesięć minut, wykonam upload podczas pańskiej drzemki.

– Dobrze – odparłem, zamykając bagażnik. Mój garnitur nie pachniał już tak, jakbym wyprał go we frytkownicy, a później uwędził nad beczką z gryzącym dymem.

Wsiadłem do samochodu i niemal natychmiast po usadowieniu się w fotelu, zamknąłem oczy. Stawiam kilka grubych banknotów, że zasnąłem w mniej niż w sekundę.

Kiedy się obudziłem, odruchowo sprawdziłem godzinę na desce rozdzielczej. Była 7:45, więc do spotkania z ojcem Präln pozostało około piętnaście minut. Otworzyłem okno, by do środka wpadło trochę świeżego, lodowatego powietrza. Bolała mnie głowa. Zapewne z powodu przyjęcia danych o Tremencie Krollenie.

Chyba nie powinienem się już oszukiwać. Tak samo jak za szybko starzało się moje ciało, podobnie pogarszał się stan mojego umysłu. Abstrahując nawet od dużo trudniejszych powrotów z Sieci, moja pamięć w ciągu dziesięciu lat obniżyła swoje parametry o jakieś 20 procent. Sigmund od zawsze mi tłumaczył, że ludzie nie zostali stworzeni dla implantów, tylko na odwrót i muszę dbać o siebie dużo bardziej, bo

skończę jako 130 – letni dziadek z mózgiem przywróconym do ustawień fabrycznych.

Pomimo perspektywy demencji znałem teraz wyrywkowo informacje, które normalnie musiałbym wkuwać kilka godzin lub przeglądać w locie stopy pism i dokumentów.

Tremont był młodszy ode mnie o 10 lat i pracował jako szef działu prawnego w Killmond Inc. zajmującej się produkcją implantów. Głównie kończyn, jednak niedawno zaczęli zaawansowane testy kręgosłupów i ulepszeń takich jak skrzydła. Naprawdę już nie mogę się doczekać nowego rodzaju bandytów – latających aniołków z uzi wszczepionymi w przedramiona.

Wyciągi z kont bankowych mówiły, że Tremont nie narzeka na pieniądze. Mogłem się jednak założyć, że duża część dochodów pozostawała ukryta. Creep znalazł informacje o kilku nieruchomościach kupionych w drogich dzielnicach Shadow Villens, nie były jednak one ujęte w żadnym oficjalnym spisie. Prawie zechciałem przybić Tremontowi wirtualną piątkę. Znał się na rzeczy i wiedział, jak pokazać swoje dochody, żeby nikt nie chciał szukać dalej. Wszystkie oficjalne dokumenty były czyste i bielutkie. W przeciwieństwie do śniegu w mieście.

Wciąż jednak dręczyło mnie podstawowe pytanie. Dlaczego chciał się ze mną spotkać natychmiast po przylocie? Każdy normalny ojciec po tragicznej śmierci swojego dziecka chciałby... Sam nie wiem. Przeżyć żałobę? Zostać sam. Zobaczyć zwłoki. Porozmawiać z policją. Zorganizować pogrzeb. Cokolwiek.

Jedynym logicznym wytłumaczeniem był fakt, że Tremont Krollen miał dla mnie jakąś informację, która nie mogła czekać i której nie mógł przekazać nawet przez szyfrowane połączenie. Albo myślałem zbyt życzeniowo, licząc na coś, co przybliży mnie do odnalezienia Leny. Wciąż wierzyłem, że moja córka żyje, nawet nie dopuszczając do siebie innej możliwości.

Wyszedłem na zewnątrz i spaliłem trzy papierosy, co zajęło mi dwanaście długich minut.

– Cztery minuty na papierosa. Niezła średnia – pomyślałem. – I zabójcze zdolności z matematyki – dodałem.

Dopiero świtało, ale lotnisko i tak sprawiało wrażenie, jakby nie położyło się spać. Znajdowało się w słabo zurbanizowanej części Shadow Villens, co nie było dużą niespodzianką. Ktoś kiedyś wyliczył, że samoloty startują tutaj co minutę i dwadzieścia pięć sekund. Naprawdę ciężko mi sobie wyobrazić kogoś, oczywiście oprócz psychofana lotnictwa, kto chciałby mieszkać w pobliżu.

Sprawdziłem godzinę, jednocześnie patrząc na listę nieodebranych połączeń w komunikatorze. Była 7:59 i nikt nie próbował się ze mną skontaktować od dwóch godzin. Znaczyło to mniej więcej tyle, że Lena nadal nie dała znaku życia, a Kamper wciąż pozostawał w śpiączce. Gdyby któraś z tych rzeczy się wydarzyła, Rozalia i Sigmund na pewno zablokowaliby całą linię.

W momencie gdy kolejny samolot opuszczał lotnisko, kilka metrów ode mnie zatrzymał się czarny, matowy SUV. Zwróciłem uwagę na tablice rejestracyjne. Były zastrzeżone i tylko służby takie jak policja lub wojsko mogły je odczytać bez łamania

zabezpieczeń. Nie zdążyłem nawet uruchomić programu crackującego, gdy tylne drzwi się otworzyły. Miejsce po mojej stronie było puste, a na drugim siedział Tremont Krollen.

Rozpoznałem go natychmiast. Z wyglądu był kimś, kim nigdy nie chciałem się stać. Miała idealnie wydepilowaną twarz i nie użyłem tego określenie przypadkowo. Oprócz równo przyciętych brwi, na twarzy ojca Präln nie znajdował się nawet załazek brody lub wąsów.

Przeciwieństwem była fryzura. Półdługie włosy, pofarbowane na kasztanowy kolor i zaczesane do tyłu, sięgały niemal do ramion. Nosił stanowczo za drogi garnitur przykrywający większość wszczepów. Miał ich mnóstwo. Moje systemy obronne szalały. Ciężko było znaleźć element ciała, który nie był w jakiś sposób ulepszony. Zatem powiedzenie „szewc bez butów chodzi” nie sprawdzało się w jego przypadku. Ciekawe. Być może ma jakieś firmowe zniżki na implanty. Podsumowując, Tremont Krollen był uzbrojony jak choinka na Święta, ale starał się to ukryć. Naprawdę słaby z niego Święty Mikołaj.

Wszedłem do środka i usiadłem na miękkiej, skórzanej kanapie kojarzącej się z dwoma słowami. Vip oraz premium. Nagle drzwi samoistnie się zatrzasnęły, a wokół moich dłoni pojawiły się stalowe obręcze. Tym razem kojarzyły się tylko z jednym słowem. Kajdanki. Niemal natychmiast w mojej głowie zabrzmiały ostatnie słowa Kampera. „To jest ojciec...”. Czy to nie mógł być ojciec Präln?

Samochód ruszył z piskiem opon, a ja czułem, jak ciśnienie mojej krwi wzrasta w zastraszającym tempie.

Rozdział 7

„Życie nie polega na klikaniu myszką oraz stukocie klawiatury.”

– Proszę się nie denerwować. Nic panu nie grozi – rzekł Tremont Krollen bezosobowym głosem, nawet nie patrząc w moją stronę.

Rozejrzałem się po wnętrzu SUV-a. Z przodu na miejscu pasażera siedziała kobieta ubrana w czarny garnitur. Mimo że widziałem tylko zarys jej profilu, od razu rozpoznałem matkę Präln. Calinę Krollen. Miejsce kierowcy było puste, więc samochód prowadziła sztuczna inteligencja. Ciekawe czy Creep jest już zazdrosny?

– Te kajdanki są konieczne? – Próbowałem wybadać sytuację. Wolałem nie zaczynać od pytania, czy to on prawie zabił Kampera, bo moja układanka wciąż zawierała mnóstwo pustych pól. Sprawdziłem swoje szanse w bezpośredniej walce. Nie miałem przewagi, ale nie byłem też na straconej pozycji. Poleciałem Creepowi, aby śledził nas w odległości około 300 metrów i włączył systemy bojowe w trybie czuwania. Z doświadczenia wiem, że poprawia to wirtualną pozycję w negocjacjach.

– Procedury bezpieczeństwa. Nie mam na nie wpływu – odparł Tremont. Nie wiem, czy kłamał. Nadał używał tego bezosobowego tonu głosu.

– Możesz mi wytłumaczyć, jakie procedury nakazują, aby unieruchomić w samochodzie ojca przyjaciółki swojej zamordowanej córki? – Przeszedłem na „ty” bez obowiązkowego bruderszaftu. W tych okolicznościach było to nawet uzasadnione.

– Korporacja w której pracuję, ma bardzo wyśrubowane przepisy, jeśli chodzi o nieoficjalne spotkania z handlarzem broni.

Uniosłem brwi.

– Tak, Gustavie – kontynuował Krollen, również rezygnując z oficjalnego tonu.

– Ty wiesz o mnie sporo, nie mogę być dłużny. Wiem, czym się zajmujesz. Oczywiście nie wczytywałem się we wszystkie szczegóły, ale to nic nieznaczące detale. – Zrobił krótką pauzę. – Możesz też odwołać swój samochód, który za nami jedzie. – Kolejna przerwa z dodanym teatralnym westchnięciem. – Albo ja to zrobię.

Nie było sensu się kłócić. Poleciałem Creepowi, aby zaparkował w najbliższym, możliwym miejscu. Nie wspomniałem jednak nic o wyłączeniu trybu bojowego. Ważna zasada Gustava Draga. Nigdy nie spełniaj całkowicie zachcianek swoich przeciwników.

Spojrzałem za okno. Jechaliśmy w kierunku Dzielnicy Kwiatów Wiśni, tak zwanej Sakury. Mieszkali tam wysoko postawieni oficjele rządu oraz najbielsze kołnierzyki z korporacji. W tym rodzice Präln. Impreza naprawdę zaczynała się rozkręcać, wciąż jednak nie wiedziałem, czy na pewno jestem zaproszony.

– Czego chcesz? – spytałem, odwracając się w stronę Krollena. Jego twarz wciąż nie wykazywała jakichkolwiek emocji.

– Chcę ci pomóc.

Przesadnie poruszałem palcami u dłoni.

– Zauważyłem. Nie mogę się doczekać kolejnej apteczki, którą mi rzucisz.

– Mówiłem ci. Takie są procedury, nie ja je ustalam.

– To może mi jednak powiesz, kto to taki?

– Na pewno nie ty – zakpił Krollen, ale nikt w samochodzie się nie zaśmiał. – Ktoś, na kogo nawet ty jesteś za krótki Gustav.

– Jasne – oznajmiłem, wzruszając ramionami. Pewnie i tak chodziło o jakiegoś ważniaka z korporacji, a oni nigdy zbytnio mnie nie interesowali. – To w jaki sposób chcesz mi pomóc? – Wciąż nie wiedziałem, czy to nie zwykły blef ze strony Krollena. Niestety aktualnie nie miałem dostępnych zbyt wielu możliwości.

– Porozmawiamy u mnie w domu.

– Parapetówka? Żałuję, że nie wziąłem wina i zestawu nowych lampek na taras.

Kolejna grobowa cisza. Widocznie moje żarty nie działały w tym towarzystwie. Następne kilka minut jechaliśmy, nie odzywając się do siebie. Jedyne rodzice Prälń wymienili kilka krótkich zdań w języku, którego nie znałem. Bardzo możliwe, że byli jedynymi osobami, które go używały, a było to popularne wśród wysoko postawionych krawacıarzy. Sztucznie stworzony język wgrywany do pamięci ograniczonej liczby osób to naprawdę niezłe zabezpieczenie. Pozwalał na zaszyfrowane rozmowy i szybkie uwagi. Na przykład podczas spotkań biznesowych.

Nagle gwałtownie skręciliśmy, by po chwili znaleźć się w podziemnym garażu przynależącym do sporego domu. Podobnie jak u mnie stało tutaj kilka zbyt drogiech samochodów, zaczynając od masywnych jeepów, a kończąc na odrestaurowanych egzemplarzach kolekcjonerskich. Chciałem zażartować, że czuję się prawie jak w domu, ale tym razem się powstrzymałem.

Po kilku sekundach wszystkie drzwi SUV-a się otworzyły, oczywiście nie licząc tych po stronie wirtualnego kierowcy. Kojdanki odpięły się od fotela, ale działające pole siłowe nadal utrzymywało moje dłonie zbyt blisko siebie. Po wyjściu z samochodu, skierowaliśmy się do windy, gdzie Tremont na dotykowym panelu wybrał ostatnie, trzecie piętro budynku.

Tak jak podejrzewałem, po kilku sekundach znaleźliśmy się na strychu. Nie wyglądał on jednak jak typowe poddasze w domu jednorodzinnym. Zamiast wałających się wszędzie zakurzonych, starych przedmiotów, które czekają na nigdy nienadchodzące później, było tutaj krystalicznie czysto. W powietrzu unosił się zapach detergentów, a kafelki praktycznie odbijały światło, nie mając na sobie ani jednej smugi. Tym razem już nie mogłem zażartować, że czuję się tu jak w domu.

– Siadaj – powiedział Tremont Krollen, wskazując na jedno z krzeseł przy szklanym stole. Wciąż zadziwiał mnie jego bezosobowy ton głosu, ale z drugiej strony sam nie wiem, jakbym się zachowywał, gdyby to moja córka nie żyła. Ja jednak wciąż miałem namiastkę nadziei.

Tremont i jego żona usiedli naprzeciwko mnie. Przez sekundę wydawało mi się, że Calina Krollen uśmiechnęła się do mnie, ale nie byłem pewny, czy to nie złudzenie. Odkąd wsiałem do ich samochodu, ani razu się do mnie nie odezwała.

– Na wywiadówkach wydawaliście się trochę bardziej serdeczni – powiedziałem ze sztucznym uśmiechem, kolejny raz sprawdzając swoje szanse w bezpośredniej walce. Mimo że mieli przewagę liczebną i Calina, tak jak jej mąż, miała w swoim ciele sporą kolekcję implantów, wynik oscylował wokół 50 procent. Problemem były kajdanki, które jakościowo były sprzętem najwyższej klasy. Na oswobodzenie się z nich potrzebowałem przynajmniej 30 sekund. Ale w samotności, a nie z dwójką uzbrojonych po same łokcie pracowników korporacji.

Niemal roześmiałem się z własnego żartu, ponieważ 30 sekund w kajdankach i w samotności nie brzmiało zbyt dobrze.

– Skończ te wygłupy Gustav – tym razem odezwała się Calina. Miała na sobie czarny, damski garnitur z delikatnym, granatowym wzorem. Włosy spięte w kucyk podkreślały jej pociągłą i bladą twarz, a w przeciwieństwie do Tremonta posiadała wszczepy również na policzkach oraz szyi. Jednak w żadnym razie nie spełniały funkcji upiększającej. Służyły do obrony. – Chcemy ci pomóc – kontynuowała. – A ty ciągle szukasz w nas wrogów.

– Ciekawe czemu – odparłem, unosząc dłonie, uroczyście eksponując kajdanki.

– Tremont przecież ci to tłumaczył. Takie są procedury. – Jej ton głos był równie bezosobowy, jak jej męża. – Nie pracowałeś nigdy w korporacji, prawda?

Pokręciłem przecząco głową.

– Jakoś zawsze wołałem jednoosobową działalność gospodarczą.

– Nie oceniam. Każdy wybiera własną ścieżkę zawodową. Niektórzy legalną, inni mniej.

Zmarszczyłem czoło.

– Teraz nie wiem, o kim mówisz. – Zrobiłem teatralną pauzę. – W przypadku tej legalnej.

Zgodnie z przewidywaniami, nikt się nie zaśmiał. Chyba powinienem zacząć coś obstawiać w kasynie. Miałbym stuprocentową pewność wygranej.

Calina wyciągnęła elektronicznego papierosa, a zanim zaciągnęła się syntetycznym dymem, założyła nogę na nogę.

– Wiem, że ludzie nie przepadają za korporacjami, ale w przeciwieństwie do wielu, mamy chociaż jakieś zasady.

Znowu uniosłem dłonie, zwracając uwagę na stalowe obręcze wokół dłoni.

– Widzę.

Nagle Tremont ruszył w moją stronę i ze swoją kamienną miną wziął zamach, jakby chciał mi przyłożyć z prawego sierpowego. Calina powstrzymała go w ostatniej chwili.

– Przestań. Gustav nie jest taki jak my. To normalne, że inaczej reaguje na tę sytuację.

Ojciec Präln posłuchał, machinalnie przywracając rękę do poprzedniej pozycji. Niemal słyszałem, jak elementy z włókien węglowych wracają na swoje miejsce.

– Pewnie się zastanawiasz, dlaczego sprawiamy wrażenie, jakby śmierć naszej córki zbytnio nas nie obeszła – kontynuowała Calina. – Nigdy nie pracowałeś w korporacji, prawda? Tak. Wiem, że już o to pytałam. Poziom stresu w takich

firmach jest niewyobrażalny i naprawdę w krótkim czasie możesz nabawić się nerwicy lub depresji. Dlatego poddaliśmy się zabiegowi „RevStress”. Słyszałeś coś o tym?

– Tylko plotki – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Calina nie uśmiechnęła się, ale miałem wrażenie, że chciała to zrobić.

– Tak, plotki – przeciągnęła. – Podobno z tego składa się to miasto. Ale wracając do tematu, RevStress to zabieg, który wycina fragment układu nerwowego. Nawet podczas najbardziej napiętej sytuacji, na przykład na spotkaniu z kimś zarządu nie czujesz się choćby lekko zestresowany. Kiedy inni się pocą, żeby w odpowiedni sposób powiedzieć „dzień dobry”, ty jesteś w trakcie przedstawiania rozwiązania kilku problemów jednocześnie. Jak widzisz po naszym domu, przynosi to sporo profitów.

– Czekam na magiczne „ale” – wtrąciłem.

– Życie prywatne. Nigdy nie będzie już takie samo. Zabieg oprócz wycięcia stresu, pozbawia cię też radości, szczęścia, smutku i gniewu. A z tego podobno składa się życie, prawda? Gdy bardzo się postaram, umiem udawać te emocje, ale robię to rzadko. Kosztuje to za dużo energii.

– Na przykład na wywiadówkach – powiedziałem z wymuszonym uśmiechem.

– Na przykład – potwierdziła Calina. – Dużo bardziej wołałam, gdy odbywały się w wirtualnej rzeczywistości, ale zaczęli od tego odchodzić. „Rodzice tak jak uczniowie, powinni się integrować”.

– Wiem, że powtarzam wciąż ten sam żart – powiedziałem, unosząc dłonie z kajdankami. – Ale całkiem nieźle się tu integrujemy.

Calina pierwszy raz się uśmiechnęła, ale teraz chociaż wiedziałem, że udaje.

– Zaraz skończymy, nie musisz się martwić. Po prostu chcieliśmy, żebyś zrozumiał nasze zachowanie. Naprawdę chcemy ci pomóc, bo wiemy, że nasza córka bardzo lubiła Lenę. Jak się pewnie domyślasz, w naszym domu nie dostawała zbyt dużo ciepła. Mimo że się staraliśmy, udawanie na dłuższą metę nigdy nie wychodzi. Ciebie też lubiła, zapewne chciałaby, żeby jej rodzice zachowywali się tak jak ty.

– Sypali słabymi żarcikami i wkurzali się za nieposprzątany pokój?

– Mieli jakieś emocje – wtrącił milczący od dłuższej chwili Tremont.

– Nadal nie rozumiem, do czego prowadzi ta rozmowa.

Calina przełknęła ślinę, co też mogło być jedynie wyuczonym gestem.

– Myślę, że wiemy, kto zabił Präln i porwał twoją córkę.

Czas w jednej z najbogatszych dzielnic Shadow Villens dawno nie płynął tak szybko.

– Co takiego? – Tylko tyle byłem w stanie z siebie wydusić po bombie zrzuconej przez rodziców Präln. – Kto to jest? – Krzyknąłem, mając tylko nadzieję, że nie

powiedzą mi, że to Kamper. Wykluczyłem go już dawno i nie miałem już tyle czasu, żeby go teraz marnować.

Tremont usiadł obok Caliny i szeroko rozłożył dłonie.

– Jak pewnie wiesz, pracujemy w firmie produkującej implanty. Nie chcieliśmy, żeby Prälń miała ich zbyt dużo, ale kilka musieliśmy zainstalować. Nie wiedzieliśmy, jak nawiązać głębszą relację z naszą córką, ale mogliśmy chociaż wprowadzić poczucie bezpieczeństwa.

– Fałszywe, jak się okazało – wtrąciła Calina. – Nie były to niestety systemy bojowe, tylko wszechobecny monitoring otoczenia.

Poczułem ukłucie w żołądku. Słyszałem o instalacjach tego typu, jednak uważałem to za zbyt ingerujące w życie nastolatki. I tak czułem wstyd, że mogłem śledzić położenie Leny. Gdybym jeszcze mógł nagrywać, to co widzi moja córka, sam zgłosiłbym się po statuetkę „Najgorszy ojciec roku”. Nagroda w kategorii „Za całokształt twórczości”.

Tremont wyjął nagle z wewnętrznej części nadgarstka kartę pamięci i położył ją na stole.

– Tutaj jest część twoich odpowiedzi. Nie wiem, czy to wystarczy, ale więcej nie możemy dla ciebie zrobić. To jedyna istniejąca kopia. Pewnie policja zleciła już sekcję, ale nie znajdą żadnych plików w systemie operacyjnym Prälń. Usunąłem je zdalnie. – Tremont bezosobowo recytował każde słowo. – I tak wiemy, że gdyby nawet to znaleźli, to i tak nie obejdzie ich zamordowana maturzystka.

Uniosłem brwi.

– Nawet córka szyc z korporacji?

Calina roześmiała się w wyuczony sposób.

– Przeceniasz nas. Jesteśmy na wysokim szczeblu drabiny, ale do zarządu nam daleko. Jak to u nas mówią: „jest tylko góra i reszta”. Myślisz, że przewodniczący policji rozróżnia młodszego programistę na stażu od szefa całej dywizji? Dla niego to taka sama korpo masa. Możesz mieć najwyższą ocenę półroczną od kilku lat, ale ich to mało obchodzi.

Znowu wysoko uniosłem brwi.

– Ocena półroczna kogokolwiek obchodzi?

– Czekamy na nią jak na Święta. – Calina znowu zaniósła się wystudiowanym śmiechem, ale równie szybko zamilkła. – Widzisz. Wiem, że to powinno być zabawne, ale tego nie czuję. Egzystujemy tak od kilkunastu lat. Nawet śmierć naszej córki nie zrobiła na nas wrażenia. Ale tak jak zdaję sobie sprawę, że żart o rozmowie półrocznej powinien być śmieszny, tak samo wiem, że morderca naszej córki powinien ponieść karę.

– I wiesz, że policja tutaj nie pomoże.

– Właśnie. Dlatego zwróciliśmy się do ciebie, łamiąc wszelkie korporacyjne procedury.

Zmarszczyłem czoło, a Calina znowu sztucznie się roześmiała.

– Rozmowa z handlarzem broni we własnym domu. Nasi przełożeni nie byliby zadowoleni.

– Nawet w przypadku sporego rabaciku? – spytałem. Tak jak podejrzewałem, nikt nawet się nie uśmiechnął.

Tremont przesunął kartę pamięci w moją stronę, tak abym mógł ją dosięgnąć. Poźniej wstał, co zapewne obwieszczało koniec naszego spotkania.

– Myślałem, że obejrzymy to wspólnie – powiedziałem, trzymając kartę w zaciśniętej dłoni.

– Tłumaczyliśmy ci – oznajmiła Calina, również się podnosząc. – Nie chcemy mieć z tą sprawą nic wspólnego. To nie przywróci życia naszej córce, a zajmowanie się nią może nam tylko zaszkodzić. Widzieliśmy to nagranie, nie znamy osoby, która oddała strzał. Wiemy, że ty masz dużo więcej do stracenia, w dodatku masz możliwości, że popchnąć tę sprawę dalej.

– Zjedziesz teraz sam windą do garażu i wyjdiesz tylnym wyjściem – wtrącił się nagle Tremont. – Drzwi same się otworzą. Staraj się opuścić naszą posesję szybko, nie chcielibyśmy, żebyś zwrócił uwagę sąsiadów. Gdy będziesz w odległości dwustu metrów pole siłowe kajdanek dezaktywuje się, a obręcze otworzą.

– Powodzenia Gustavie. Mam jednak nadzieję, że już się nie spotkamy – dodała Calina, kiedy skierowałem się w stronę windy. Chciałem odburknąć, że zabrzmiała jak moja dziewczyna z liceum. Na szczęście się powstrzymałem. Zamiast tego niemal niezauważalnie skinąłem głową.

Drzwi od kabiny zamknęły się prawie natychmiast, nie musiałem używać panelu dotykowego. Zwłaszcza że z kajdankami byłoby to dosyć niewygodne. Nie mogłem się tylko doczekać, kiedy się ich pozbędę.

W garażu wciąż paliło się zimne, mlecze światło. Tym razem nie zwracałem uwagi na zaparkowane samochody, szybkim marszem przeszedłem w stronę drzwi wychodzących na ogród. Tutaj akurat zwróciłem uwagę na ośnieżone choinki i spory domek na drzewie. Cholera. Chyba się starzeję. Przepraszam, zupełnie zapomniałem. Już dawno jestem stary.

Nagle w ogrodzeniu dostrzegłem ruch. Była to zdalnie otwierana furtka do bocznej uliczki. Natychmiast zrozumiałem, dlaczego rodzice Prälń chcieli, abym wyszedł tą drogą. Była całkowicie nieoświetlona, a sąsiedni dom nie posiadał od tej strony żadnego okna. Idealne miejsce, aby pozbyć się nieproszonego gościa. Albo tego zaproszonego z kajdankami na rękach.

Kiedy znalazłem się po drugiej stronie, od razu zatopiłem się po kolana w śniegu. Drogowcy często nie przygotowują na czas głównych ulic, więc takie wąskie uliczki pewnie dla nich nawet nie istnieją. Na szczęście udało mi się utrzymać równowagę i długami susami dotarłem do głównej drogi. Nadal znajdowałem się zbyt blisko domu Krollenów, aby kajdanki przestały działać. Spróbowałem złamać ich zabezpieczenia, ale nie było to takie proste. Znali się na robocie. Zapewne w kilkanaście minut by mi się udało, ale teraz liczyła się każda sekunda. Podobno najprostsze sposoby są najlepsze, dlatego szybkim krokiem ruszyłem w stronę, gdzie znajdowało się najmniej zabudowań. Byle jak najdalej od tego przekłętego domu.

Tak jak powiedział Tremont, wystarczyło 200 metrów. Kajdanki natychmiast puściły, a obręcze wokół dłoni otworzyły się, by po chwili bezszelestnie wylądować

w białym puchu. W tym samym momencie poczułem dłoń na swoich plecach. Nie zastanawiałem się długo. Nie chciałem zostać porwany kolejny raz. Wszystko działo się w ułamkach sekund. Zrobiłem wytrenowany obrót, jednocześnie wyjmując pistolet z wewnętrznej kieszeni płaszcza. Rękojeść broni w takich sytuacjach jest zawsze miła w dotyku.

Po chwili zorientowałem się, że celuję prosto w głowę mojej byłej żony – Rozalii.

– Uspokój się – powiedziała Rozalia, unikając gwałtownych ruchów. Stała wyprostowana, w ogóle nie zważając, że kilka centymetrów od jej czoła znajduje się lufa naładowanego pistoletu.

Opuściłem broń.

– Mój system obronny nadal cię nie wykrywa.

Rozalia szeroko się uśmiechnęła.

– Żaden system obronny mnie nie wykrywa. Nie musisz mówić mi takich oczywistości.

– Co tu robisz? – spytałem, doskonale wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

– Ochraniam cię.

– Jakoś nie odczułem wielkiej pomocy, siedząc zaobraczkowany na poddaszu u Krollenów.

– Nie było takiej potrzeby – mruknęła. – Słuchałam wszystkiego na bieżąco. – Zrobiła krótką pauzę. – Wierzysz im?

– Nie wiem. Są dziwni.

Rozalia głośno się roześmiała.

– Jak to ludzie w korporacjach. Ale to chyba nie jest równoznaczne z tym, że kłamią.

– Nie wiem – powtórzyłem. – Muszę obejrzeć to nagranie. – Nerwowo obracałem w dłoni kartę pamięci. – Te ich smutne historie, jak musieli pozbyć się systemu nerwowego, ich trudna relacja z Präln, wyraźna niechęć do zajmowania się tą sprawą. Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć.

– Nie pracowałeś nigdy w korporacji? – spytała Rozalia, a ja zorientowałem się, że dokładnie takie samo pytanie zadała mi Calina Krollen.

– Dobrze wiesz, że nie – tym razem odpowiedziałem inaczej, ale sens zdania pozostał taki sam.

– W ciągu ostatnich lat pracowałam w kilku i uwierz mi, nie wszyscy wytrzymują tam psychicznie. Dlatego nie oceniaj proszę Krollenów. Chcieli zapewnić Präln wszystko co najlepsze. Kosztem własnego życia.

Przewróciłem oczami. Chciałem powiedzieć, że przemyt kilku tysięcy sztuk broni przez cztery różne granice także bywa dosyć stresujący, ale w porę się powstrzymałem.

Nagle zatrzymał się obok nas czarny SUV, przez co dostałem gęsiej skórki. Zaczynałem mieć poważną awersję do samochodów tego typu.

– Wsiadaj – ponagliła mnie Rozalia, zajmując miejsce z tyłu po lewej stronie. Oczywiście samochód prowadziła sztuczna inteligencja, co znowu przyprawiło mnie o dreszcze. W moim prywatnym rankingu SUV bez kierowcy właśnie awansował na status miejskiej legendy. A zamiast dzieci, porywa mężczyzn z kółka seniorów. Naprawdę nie mogę czuć się bezpieczny.

Mimo wszystko posłuchałem byłej żony i usiadłem z tyłu. Samochód ruszył z piskiem opon, a ja stwierdziłem, że siedzi się całkiem wygodnie. Zwłaszcza bez kajdanek wokół dłoni.

Pasek kopiowania dotarł do stu procent. Bazując na rozmiarze pliku, jakość wideo była praktycznie bezstratna. W dodatku było to nagranie VR 360°, więc byłem pewny, że na jednym seansie się nie skończy. Rodzice Präln albo nie oszczędzali na implantach, albo mieli niezłe firmowe zniżki. Wszczep, który to nagrał, na pewno kosztował krocie. Umiałem sobie wyobrazić, że montuje go sobie zawodowy najemnik, ale nie nastolatka kilka miesięcy przed maturą.

Po krótkiej rozmowie z Rozalią utwierdziłem się w przekonaniu, że oprócz mojego spotkania z Krollenami żadna z spraw nawet nie drgnęła. Lena wciąż nie dała znaku życia, Kamper nadal był w śpiączce, a osoba wysyłająca mi ukryte wiadomości pozostawała nieuchwytna.

Rozalia postawiła prosty localhost, po czym oboje podłączyliśmy się do niego. Przestrzeń wokół nas zniknęła, a w zamian znaleźliśmy się w samym środku „Alei Świetlików”.

Poczułem ukłucie w żołądku, kiedy niemal znalazłem się w głowie Präln i jej oczami obserwowałem, jak moja córka się uśmiecha, robiąc ostatnie poprawki przy szablonie graffiti. Myśl, że nigdy więcej się nie zobaczymy, była wręcz paraliżująca. Na szczęście w porę przypomniałem sobie o irytująco migającym czerwonym neonie pod tytułem „nie mamy czasu”.

– Ty będziesz sterować nagraniem? – spytałem.

– Tak, zaczynamy. – Głos Rozalii również lekko się załamywał.

Nagranie przyspieszyło i byliśmy w stanie wyłapywać jedynie skrawki słów, które krążyły wokół graffiti, nauki do egzaminu dojrzałości, chłopakach z równoległej klasy i nadchodzących poprawinach imprezy sylwestrowej. Typowe tematy licealistek. Dużej części slangowych słów i tak nie rozumiałem.

Najgorsze było oczekiwanie na moment, który pamiętałem z nagrania starej kamery z lombardu. Śmierć Präln poprzez strzał w głowę i próby tamowania krwi przez Lenę. Tak jak się spodziewałem, na taki widok nie można się przygotować. Może rodzice Präln z odciętym systemem nerwowym byli w stanie to oglądać jak wieczorną kreskówkę, ja jednak musiałem walczyć, aby nie odwrócić wzroku. Zwłaszcza że tym razem jakoś obrazu była przerażająco ostra.

Naprawdę musiałem powstrzymać wymioty, gdy Lena przez kilkanaście sekund próbowała pomóc przyjaciółce. Zgodnie ze scenariuszem pojawił się wtedy Kamper i nawet nie spoglądając na zakrwawioną Präln, chwycił moją córkę i przerzucił ją sobie przez plecy niczym torbę z wieczornymi zakupami.

Obraz poruszał się w zwolnionym tempie, dlatego starałem się znaleźć jakiś szczegół, który wyjaśni zachowanie Kampera. Poruszał się naprawdę szybko, co było zasługą implantów w nogach, ale nawet z nimi nie mógł oszukać swojej nadwagi oraz diety opartej na hot – dogach i burgerach. Nie umiałem stwierdzić, czy na jego twarzy widać gniew, strach lub może widmo śmierci z wyczerpania. Całkiem możliwe, że te trzy emocje występowały jednocześnie. Piwny brzuch raczej nie pomaga w sprincie na 400 metrów.

Niestety nie wypatrzyłem nic, co pomogłoby zrozumieć pobudki właściciela „Retro Dinosaur”. Po kilku sekundach razem z Leną zniknęli za rogiem. Oczekaliśmy jeszcze kilka minut, ale nic specjalnego się nie wydarzyło. Dopiero po dłuższym czasie do zwłok podeszła starsza kobieta. Wezwała policję, a następnie oddaliła się w kierunku Centrum. Nadal mnie to nie dziwiło. W Shadow Villens lepiej unikać rozmowy z policjantami. W końcu zawsze mogą wprowadzić twój numer do systemu, a tam rzadko bywa rodzinie i kolorowo.

Rozalia cofnęła obraz do momentu, kiedy nabój znajdował się niecałe pół metra od głowy Präln. Cały czas w głowie dźwięczały mi słowa Caliny. „Nie znamy osoby, która oddała strzał”. Cholera. Ten ktoś musiał gdzieś tutaj być. W przypadku nagrania ze starej kamery znalezienie tej osoby było niemożliwe, ale teraz mieliśmy dużo większy zakres możliwości.

Nawet nie musiałem prosić Rozalii, by ustawiła pole widzenia w taki sposób, abyśmy mieli przed sobą teren, skąd najprawdopodobniej nadszedł pocisk. Wystarczyło teraz tylko znaleźć źródło. Nie okazało się to jednak wcale takie proste. Alejka była długa i wąska. W dodatku zaśmiecona oraz niepoukładana architektonicznie. Wystające elementy znacznie utrudniały widoczność na ulicę, zza której najprawdopodobniej padł strzał. Snajper był zawodowcem, bo całkiem sprytnie wybrał miejsce. Mimo że ciągle znajdowaliśmy się w Centrum, uliczka była objęta jakimś ekologicznym programem burmistrza, przez co znajdowało się tam sporo drzew. Oczywiście odpowiednio modyfikowanych genetycznie, więc w środku zimy miały taką ilość liści, jakby była pełnia lata. Nie wiem, jak radziły sobie ze śniegiem i szronem, ale wyglądały tak naturalnie, że Królowa Lasy mogłaby z nich zaplatać wianki na sobotniego grilla.

– Jak długo możesz śledzić tor pocisku, żebyśmy byli jeszcze w stanie coś zobaczyć? A nie piksele metr na metr? – spytałem, wyteżając wzrok, co w wirtualnej rzeczywistości średnio działało.

– Nie wiem – westchnęła Rozalia. – Ten implant ma znacznie lepszą jakość niż naturalne oko, ale nie wiem, czy będziemy w stanie dotrzeć za nim do samej lufy snajpera.

– Calinie i Tremontowi się udało – stwierdziłem.

Rozalia się roześmiała.

– Jeśli mówią prawdę.

– Czemu mieliby kłamać?

– A czemu nie? To pracownicy korpo, kłamanie już od dawna jest ich najlepszym przyjacielem. Wiedzą, że coś może być w tym nagraniu, ale nie chcieli marnować czasu na analizę.

– To po co mieliby mówić, że widzieli tutaj mordercę Präln, ale go nie znają, więc przekazują sprawę mnie.

Rozalia kolejny się roześmiała. Tym razem znacznie głośniej.

– Żeby cię zmotywować do challenge’u. Tak właśnie robią w korporacjach.

Nie wiedziałem, czy miała rację, bo Krollenowie raczej nie byli ludźmi, którym szczególnie ufałem. Abstrahując od tego, że praktycznie nie istnieli ludzie, których darzyłbym tym uczuciem.

– Dobra – oznajmiła Rozalia. – Właśnie skończyłam skrypt, który ustawił kamerę kilkanaście centymetrów od pocisku. Jak skończy się renderować, to zobaczymy, czy to coś da.

Cholera. Była dobra. Poruszała się w wirtualnej rzeczywistości zupełnie jak ja za najlepszych czasów. Niestety aktualnie czułem tylko nieprzyjemny ucisk na żołądku sugerujący, że za kilka lat pozostanie mi tylko bezpiecznie wyłączyć komputer. Kolejny raz podrywam kumatych na retro forach.

– Już. – Po tych słowach pole widzenia przeniosło się przed lecący nabój. Dopiero teraz mogłem mu się dokładnie przyjrzeć. Bez wątplenia był to pocisk z karabinu snajperskiego, Niestety przerabiany, co praktycznie uniemożliwiało namierzenie. Potwierdzało tylko, że mieliśmy do czynienia z zawodowcem.

Czas zaczął się cofać, a my mogliśmy śledzić tor lotu kuli w zwolnionym tempie. Starłem się zwracać uwagę na wszystkie szczegóły, ale tak naprawdę interesował mnie tylko jeden. Kto znajdował się na początku drogi pocisku.

Kiedy nasze pole widzenia znalazło się po drugiej stronie ulicy, byliśmy mniej więcej w połowie odległości od źródła strzału. Sprawdziłem bieżący dystans od miejsca śmierci Präln. 830 metrów. Czyli ktoś trafił ją w głowę z ponad półtora kilometra. Zawodowiec to mało powiedziane. Oczywiście wszyscy myślą, że z dzisiejszą technologią snajperka celuje sama, ale to znaczy tylko tyle, że dana osoba nigdy nie strzelała z karabinu wyborowego. Bez wątplenia nie jest to tak skomplikowanie jak kiedyś, ale nadal bez predyspozycji i wyczerpującego treningu można mieć co najwyżej celność na poziomie podwórkowej procy.

Z ciągłym przybliżaniem się do celu, pogarszała się też niestety jakość obrazu. Rozalia starała się ją sztucznie poprawiać, stosując graficzne algorytmy, jednak ciągle istniała szansa, że gdy znajdziemy się obok mordercy, będzie on jak postać wyjęta z Minecrafta. Głowa będzie jednym, wielkim pikselem.

Odetchnęliśmy z ulgą, kiedy w końcu go dostrzeżliśmy. Jakość nagrania wciąż była satysfakcjonująca. Strzelec leżał obok drzewa wiśniowego i nie użyłem słowa „leżał” przypadkowo. Praktycznie wpasował się w teren pokryty śniegiem, a zewnętrzna warstwa jego ubrania oraz snajperki składała się z materiału działającego podobnie do tego, który użyłem w dokach. Tysiące małych kamer pobierały dane z otoczenia, by później stworzyć coś w rodzaju niewidzialności. Oczywiście w dużym cudzysłowie, bo przy dokładniejszej analizie bez problemu można było go zlokalizować. Stawiam jednak kilka grubych banknotów, że obok zasypanego śniegiem drzewa nie wzbudził większego zainteresowania.

Zastanawiała mnie jednak jego twarz. Wyglądała zupełnie nijako, jakby ktoś wybrał domyślną postać w grze wideo. Wtedy mnie olśniło. Snajper oprócz sposobu na kamuflaż, pewnie też podmieniał swoją facjatę we wszystkich urządzeniach nagrywających. Jeśli był dobry, a na razie wszystko na to wskazywało, złamał także zabezpieczenia wszczepu Präl'n i tam również stał się Mr. Nobody.

– Mogę spróbować dokopać się do pierwotnych plików obrazu, zanim je zmodyfikował – oznajmiłem.

– Myślisz, że uda się w tym przypadku? To będzie wsteczna desynchronizacja. Rzadko działa.

– Spróbuję – odparłem, jednocześnie czując, jak zaczyna boleć mnie brzuch. Wiedziałem jednak, że mam sporą szansę. Snajper mógł nie zabezpieczyć wszystkich portów. Śpieszył się, a to bardzo pomaga w robieniu głupich błędów. W dodatku znałem tę technologię, tym samym sporo wiedziałem o jej słabych punktach.

Odkodowanie pierwotnego stosu informacji zajęło mi niecałe dziesięć minut, czyli o całe dziewięć za długo. Nie było teraz jednak czasu na narzekanie, więc ustawiłem render fragmentu z twarzą, czując narastające emocje. Byliśmy dosłownie kilkadziesiąt jednostek pamięci od domniemanego porywacza naszej córki. Od osoby, która zraniła Kampera i doprowadziła go na samą krawędź śmierci. Musiał za to zapłacić. Kimkolwiek był.

Kiedy twarz była już wyraźna, poczułem chwilowe odrętwienie całego ciała. Znałem tego mężczyznę. Zander Vass. Pierwszy człowiek, którego podrzucił mi Røbust. Od niego tak naprawdę zaczęła się moja działalność nawracania różnych psychopatów na „lepszą drogę życia”.

Kiedy krótki paraliż minął, było jeszcze gorzej. Chyba każda część ciała zaczęła mnie boleć.

– To nie przypadkiem jeden z bandytów, których próbujesz nawrócić, bawiąc się w pieprzonego Batmana? – wrzasnęła Rozalia, kiedy sama rozpoznała Zandera.

– Niestety – odparłem, głośno wypuszczając powietrze. – Ten był pierwszy. Myślę, że chyba ci nawet o nim opowiadałem. Byliśmy jeszcze wtedy razem.

– Jeśli masz na myśli okładanie po mordach tych mitycznych, złych ludzi, których podsuwa ci Røbust, to pamiętam ich tylko dlatego, że niedawno sprawdzałam listę twoich potencjalnych wrogów.

– Wiem, że nigdy tego nie pochwalałaś – westchnąłem.

– A co tu jest do pochwalania? Każdy domorośły psycholog ci powie, że w ten sposób próbujesz usprawiedliwić fakt, że sprzedajesz broń połowie miasta.

Tylko niewyraźnie mruknąłem, powstrzymując się od stwierdzenia, że gdybym sprzedawał uzbrojenie połowie Shadow Villens, już dawno nie musiałbym pracować.

– Znajdę go – oznajmiłem po dłuższej chwili.

– Już zaczęłam to robić. Drugi raz – warknęła Rozalia. – I nie będzie to takie proste, bo ten cały Zander jest pieprzonym profesjonalistą. Nie mogę go znaleźć w żadnej bazie, mając jego dane i trójwymiarowy model twarzy.

– Żadna niespodzianka. Nas też raczej nie znajdziesz w żadnej bazie.

– I to mnie martwi, bo nie mamy do czynienia z pierwszym, lepszym rzezimieszkiem, tylko z zawodowcem.

Rozalia miała rację, chociaż wiedziałem, że nie będzie łatwo, widząc z jakiej odległości ten człowiek trafił Prälń w sam środek głowy.

Przymknąłem oczy i na kilka sekund przeniosłem się 15 lat wstecz. Byłem chwilę przed pięćdziesiątką i właśnie zarobiłem milion waluty na jednej transakcji. Chciałbym to podkreślić. Na jednej transakcji. Tak, moje ego zahaczało prawie o księżyc. Właśnie wtedy poznałem Røbusta. Był młody, świeżo po szkole policyjnej i cierpiał na typową chorobę absolwentów – nadgorliwość. Zatrzymał mnie do kontroli drogowej, nie wiedząc, że ludziom z pieniędzmi i ego wystrzelonym w kosmos lepiej nie wciskać mandatu za przekroczenie prędkości. Tak, bez wątpienia byłem trochę wypity. Milion waluty rozrzucony na kilka kont w rajach podatkowych oblewa się więcej niż jednym piwkiem. Pewnie nawrzucałem mu coś w stylu „chyba nie wiesz, z kim rozmawiasz”. Nie wiedział. I specjalnie go to nie obchodziło. Wyciągnął mnie z samochodu i po chwili mogłem całować się z asfaltem, mając ręce skute za plecami. Wytrzeźwiałem natychmiast.

Widniałem już w bazie policyjnej, a jeszcze nie byłem taki dobry, żeby się do niej włamać i usunąć stamtąd swoje konto. Wiedziałem, że jeśli nie dogadam się z Røbustem, moja milionowa kariera może dostać niezłej zadyszki. Sprawdził mój bagażnik, a miałem tam kilkanaście sztuk broni z zeszlifowanymi numerami seryjnymi. Mała pamiątka po dobitym targu. Dlatego wszystko zmierzało w znacznie gorszym kierunku niż mandat za pół tysiąca i kilka punktów karnych.

Spytałem, czy na pewno nie mogę nic dla niego zrobić. W końcu w Shadow Villens nie istnieje osoba, która nie potrzebuje przysługi. Lub kilkunastu. Długo nie dawał się przekonać, ale ostatecznie poprosił o coś nietypowego. Może banalnie to zabrzmiało, ale ta przysługa zmieniła moje życie.

– Jest jeden koleś, który zasługuje na ostry wpiernicz, ale my jako policja nie możemy go ruszyć.

– Oficjel? – spytałem.

– Gorzej. Były wojskowy. Snajper. Z długim rzędem orderów i zbyt szerokim uśmiechem na pochodach.

Røbust zdjął mi kajdanki. Wiedział, że już nic mu nie grozi. Nie żebym był takim przyjemniaczkiem, po prostu gdyby coś się stało, dyspozytorzy na komisariacie otrzymaliby nagranie, na którym Gustav Drag i jego bagażnik wypełniony lewą bronią graliby główną rolę.

Wiem, że mogłem rozegrać to inaczej i nie przyjmować zlecenia od policyjnego żółtodzioba. Średnio wierzę w przeznaczenie, ale wtedy na chwilę zmieniłem zdanie. Pewnie chciałem odkupić poczucie winy spowodowane sprzedażą ciężkiego uzbrojenia niezbyt miłym gościom, których raczej nikt nie chciałby zaprosić do babci na niedzielny obiad.

– Żadnego zabijania – oznajmiłem Røbustowi.

Tylko się uśmiechnął.

– Oczywiście. Nie chcę, żebyś oddawał mu przysługę – zrobił krótką pauzę, jakby szukał odpowiednich słów. – Masz załatwić to tak, żeby Zander Vass oglądał się za siebie przy każdym wyjściu do warzywniaka. Ma się bać pieprzonej marchewki i rukoli.

– A jeśli odmówię?

Røbust wzruszył ramionami.

– Policja się dowie o twoim małym sklepiku z zabawkami dla dużych chłopców.

Był sprytny. Wiedział, że nie mogę go ruszyć, bo miałbym na głowie cały oddział policjantów z Shadow Villens. Już dawno skończyły się czasy, gdy ktoś pozbywał się funkcjonariusza bez żadnych konsekwencji. Jeśli jednak zaryzykował, ruszała na niego armia w czarnych mundurach. I jak to mówią: „nie brali jeńców”. Naprawdę. Do oddziału pościgowego wybierali największych policyjnych psychopatów, którzy tatuowali sobie na ramieniu nazwisko poszukiwanego i nie przestawali go tropić, póki nie znalazł się w za ciasnej trumnie.

– Co zrobił ten cały Zander? – spytałem, wiedząc, że czeka mnie długa noc.

– Przemoc domowa – odparł Røbust.

Uniosłem brwi, a on lekko się uśmiechnął.

– Pewnie spodziewałeś się czegoś bardziej spektakularnego. Niestety właśnie przemoc domowa to największy problem tego miasta. Ktoś żegna się ze swoimi marzeniami, a tutaj co sekundę robi to stanowczo za dużo osób. Wtedy często wyładowuje się na słabszych, którzy są pod ręką. Kiedy pracowałem w prewencji, wielokrotnie musiałem przecinać kajdanki przypięte do kaloryfera. Tak, zgadłeś. Po drugiej stronie zazwyczaj byli żona, dzieci, dziewczyna czy kochanka. W dowolnej kurwa konfiguracji. Pan domu siedział najczęściej w fotelu i dyszał, wpatrując się w swoją rodzinę podpiętą do instalacji ciepłowniczej.

Prawie się roześmiałem, chociaż wiem, że nie powinienem. Na szczęście zorientowałem się też, że mam zaciśnięte pięści.

Po krótkim namyśle i zobaczeniu drastycznych dowodów przyjąłem tę robotę. A z każdą kolejną minutą coraz bardziej mi się podobała. Znalezienie Zandera piętnaście lat temu nie było problemem. Natrafiłem na niego w rozklekotanym salonie gier, gdzie powiększał długi, grając w jednorękiego bandytę. W środku znajdowały się tylko trzy osoby, wliczając właściciela, więc nie musiałem aż tak bardzo przejmować się świadkami.

– Z tego co słyszałem, powinny wyskoczyć ci same kaloryfery – zagadnąłem w momencie gdy na każdym z pól pojawiły się trzy różne owoce – jabłko, winogrona i kiwi.

– Spierdalaj leszczu – warknął Zander, nawet na mnie nie patrząc, po czym kolejny raz pociągnął dźwignię. Znowu trafił trzy różne figury. Tym razem gruszkę, awokado i pomarańczę.

– Zaraz będziesz mógł otworzyć warzywniak. I to z szerokim asortymentem.

– Chyba coś ci mówiłem stary cwelu? – Zander w końcu na mnie spojrzał. W jego oczach zobaczyłem coś typowego dla bywalców takich miejsc. Mieszanie gniewu, taniego alkoholu i straconych szans. Tak. Mój numer, aby odebrać nagrodę literacką, podam trochę później.

Zander chciał splunąć mi pod nogi, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Wolał wrócić do hazardowej krainy owoców i nigdy nietrafiionych siódemek. Jak widać, naprawdę nie kłamałem z tą nagrodą literacką.

Kolejne pociągnięcie dźwigni i trzy bębny znowu zaczęły się obracać. Obserwowałem, jak kolorowe rysunki owoców zmieniają położenie. W momencie gdy pierwszy z nich się zatrzymał, zrobiłem niemal niezauważalny ruch i chwyciłem mężczyznę za potylicę. Ułamek sekundy później jego twarz z głośnym trzaskiem rozbiła się o automat.

– Zawsze mówiłem, że keczup słabo pasuje do owoców – oznajmiłem, patrząc jak z nosa Zandera trysnęła fontanna krwi. Był w szoku, ale był też wojskowym, więc wiedziałem, że dalej nie będzie tak łatwo. Element zaskoczenia już wykorzystałem, na szczęście na resztę też byłem przygotowany.

Zander nie tracił czasu na nastawianie złamanego nosa, tylko sięgnął do wszczepu zastępującego jego lewą nogę. Może była to bolesna pamiątka po minie przeciwpiechotnej lub innym wypadku w pracy. Nie wiem. Wyjął stamtąd niewielki nóż. Błąd. Próbował wyjąć. Pomimo swojego średniego stanu zdrowia był całkiem szybki, ale zanim chwycił rękojeść, moje dwa ciosy połamały mu żebra. Upadł na podłogę, nie wiedząc, którą część ciała powinien rozmasowywać. Chociaż wątpię, że mogłoby to mu pomóc. Na to było już znacznie za późno.

Kątem oka spojrzałem na resztę osób w lokalu. Dwóch innych graczy na automatach wypłacili dostępne saldo, po czym szybko uciekli. Uśmiechnąłem się. Szczury zawsze opuszczają tonący okręt, wcześniej zabierając dostępny dobytek. Pozostał jeszcze kapitan tego wraku. Właściciel stojący za szerokim, stalowym kontuarem nie marnował czasu. Gdy sięgał do skrytki, w której znajdował się karabin sporego kalibru, poczuł na plecach dotyk lufy równie dużej giwery. Tak jak podejrzewałem, znieruchomiał.

– Nigdy nie strzelałam ludziom w plecy – zacząłem. – Dlatego pozostały ci dwie opcje. Możesz grzecznie odwrócić się do mnie i przeprosić. Jestem nawet w nie najgorszym humorze, więc przyjmę przeprosiny i zapomnimy o sobie jak para nastolatków na koniec wakacji.

Nie jestem pewny, ale chyba już coś wspominałem o nagrodzie literackiej za wybitne metafory.

– Opcja druga – kontynuowałem. – Będziesz dalej chciał sięgnąć po broń, a wtedy zrobię coś, czego bardzo nie lubię. Zmienię swoje zasady i jednak sprawdzę, jakie to uczucie, strzelić komuś w plecy. Pewnie mi się nie spodoba, ale nie będzie to już miało dla ciebie większego znaczenia. Rozumiesz?

– Rozumiem – wychrypiał właściciel salonu gier, ale jego głos brzmiał jakby dochodził gdzieś z oddali. Nie wiem, czy było to spowodowane nagłym stresem czy codzienną pracą w zadymionym pomieszczeniu. Zapewne jedno i drugie.

Mężczyzna powoli się odwrócił i oparł obie dłonie na kontuarze. Miał nienaturalnie zmrużone oczy, a jego długa broda kończyła się dopiero poniżej lady. Na kilka sekund zatrzymałem jeszcze wzrok na tatuażach, które pokrywały niemal całe ręce. W przeciwieństwie do tego lokalu wyglądały dobrze, czyli miały jakikolwiek kontakt ze słowem „profesjonalizm”.

– Gdyby nie okoliczności na pewno zamówiłbym piwko i rozpieprzył pół wypłaty na maszynach – zażartowałem w słabym stylu. Tak jak podejrzewałem, nikt się nie zaśmiał.

– Czego chcesz? – wymamrotał Zander, wciąż zwijając się na podłodze. Powoli odwróciłem się w jego stronę. Na moje szczęście połamane żebra nie zrastają się w kilka minut.

– Mówiłem ci. – Przykucnąłem obok. – Nowy kolega powiedział mi, że podobno bardzo lubisz znęcać się nad słabszymi.

Zander otworzył szeroko usta, jakby chciał zebrać myśli i coś powiedzieć, ale nie pozwoliłem mu nawet zacząć. Kolejny szybki cios wylądował na jego szczęce, pozbawiając go dwóch jedynek. Jak to mówią: „randkowanie już nigdy nie będzie takie same”.

– Dziadek zawsze przypominał mi stare przysłowie – kontynuowałem. – „Nigdy nie wiesz, czy kulawa owca nie jest daleką kuzynką wilka”. – Tryb grillowy filozof mogłem uznać za włączony. – Przez najbliższy rok będę cię obserwować i jeśli nawet pomyślisz o podniesieniu na kogoś ręki, znowu cię odwiedzę i dopilnuję, żeby reszta twoich zębów miała już napisane listy pożegnalne. Zrozumiałeś?

Zander wolał chyba już nic nie mówić, więc tylko pokiwał głową, chroniąc dłońmi pozostałe uzębienie.

Wyprostowałem się i spojrzałem na właściciela lokalu. Nadal miał zmrużone oczy i mocno trzymał się kontuaru. W swojej głowie zapewne otwierał skrytkę z karabinem, którą miał za plecami. Albo go przeceniałem i czekał tylko na zimne piwo, aby w końcu ukoić zszargane nerwy.

Podszedłem bliżej.

– Mała rada od starszego kolegi – powiedziałem spokojnym głosem. – Zawsze weryfikuj tego, kto u ciebie kupuje. – Grillowy filozof część druga.

Mężczyzna nawet nie drgnął, wciąż wpatrując się we mnie małymi oczami. W tle dało się słyszeć zawodzącego z bólu Zandera.

– Cicho – warknąłem. – Albo zaraz zaczniemy nowy sezon grzewczy.

Zawodzenie jednak nie ustało.

Zrobiłem krótki rozbieg i precyzyjnym kopnięciem pozbawiłem go kolejnych dwóch zębów.

– Będzie się teraz łatwiej palić papieroski – zakpiłem.

– Czego kurwa chcesz? – wrzasnął Zander, odsłaniając zakrwawione dziąsła. Mogę wszystkich zapewnić, że nie był to uśmiech za milion waluty.

Wtedy nie wiedziałem, że zdanie „czego kurwa chcesz” stanie się najczęściej używanym zwrotem przez tego typu opryszków. Zabawne. Zawsze wiedzą albo chociaż podejrzewają, ale i tak pytają. Mimo że na początku staram się kulturalnie wyjaśnić, co mnie sprowadza. Dobrze. Prawie kulturalnie. Czasami ciężko być dżentelmenem.

Pobawiłem się jeszcze trochę w słabego dentystę, zostawiając Zanderowi jedynie trzy zęby.

– Tutaj chyba będzie potrzebna kanałówka. Te trzy zęby to do obserwacji, wolałbym ich nie ruszać – oznajmiłem, szczerząc swoje, ale mężczyzna w ogóle się nie uśmiechał. Tak, wiem. Słaby żart.

Przez następny rok obserwowałem Zandera. Nie było to trudne, mogąc włączyć się do systemów monitoringu oraz wbudowanych kamer w używanych przez niego sprzętach. Zgodnie z moim zaleceniem wyprowadził się od rodziny, a co miesiąc przelewał im 60 procent swoich dochodów. To również skrupulatnie sprawdzałem. Przez kilka następnych lat monitorowaniem Zandera zajmował się Creep, ale już dawno zwolniłem go z tej mało zaszczytnej funkcji. Według raportów mężczyzna zmienił się nie do poznania, zapisał się nawet do kilku fundacji, gdzie pomagał weteranom wojennym oraz ofiarom przemocy w rodzinie. Przeszedł na dobrą stronę, a ja miałem czystsze sumienie i brak nowego rekordu w policyjnej bazie danych.

Później kilkakrotnie pytałem Røbusta, dlaczego wybrał akurat mnie. Pewnie chciałem usłyszeć, że dostrzegł we mnie ukryte dobro solidnie ukryte pod maską handlarza broni. Odpowiedź była znacznie prostsza.

– Próbowałem tej zagrywki chyba z setką zbirów, ale nikt nie dał się namówić – odpowiedział. – Tylko ty.

Uśmiechnąłem się gorzko na to wspomnienie. Przez kolejne lata Røbust podrzucał mi kolejnych psychopatów, a ja robiłem z nimi porządek. Konsekwencje tamtej decyzji właśnie mnie dosięgnęły. W najgorszy możliwy sposób.

Wpatrywałem się w nieruchomą twarz Zandera na nagraniu VR. Uderzyło mnie, że przez te wszystkie lata udawał. Zgrywał pieprzonego dobrego duszka, bo wiedział, że go obserwuję, ale była to jedynie część większego planu, który skończył się porwaniem mojej córki.

Przełknąłem ślinę.

Jak to mówią: „Zemsta bywa cholernie cierpliwa. Zupełnie jak puste kalorie i odkładana wizyta u dentysty”. Można od nich uciekać, ale i tak cię w końcu dopadną.

– Musimy go znaleźć – powiedziałem, ale sam nie poznałem własnego głosu. Brzmiał na zmęczony i trochę przerażony. Chociaż może właśnie taki był.

– To nie będzie łatwe – oznajmiła Rozalia. – Sprawdziłam właśnie wszystkie dostępne bazy danych i on praktycznie nie istnieje.

Kurwa – zakląłem. – Creep przygotujesz mi wszystkie dostępne informacje, jakie mamy na temat Zandera Vassa?

– Oczywiście panie Gustavie – odpowiedział, po czym zamilkł na kilkanaście sekund. – Niestety ostatni raport na temat tego mężczyzny jest sprzed siedmiu lat. I tak jak mówi pani Rozalia, wszelkie dostępne bazy danych, wliczając oczywiście też te nielegalne, nie posiadają praktycznie żadnych informacji na jego temat.

– Kurwa świetnie – przekląłem znowu. – Czyli popatrzyliśmy sobie na seans 3D z porywaczem Leny i już nigdy więcej się nie spotkamy. Jeszcze tylko poproszę przy wyjściu o plakat, żeby powiesić go sobie na łóżkiem.

Byłem wściekły i już dawno straciłem kontrolę nad tą sytuacją, mimo że dowiedziałem się, kto wysyłał mi ukryte wiadomości. Zander Vass. Moja pierwsza ofiara najdziwniejszej próby zagłuszenia własnego sumienia. Koleś, który prał swoją rodzinę, mając ochronny parasol od wysoko postawionych pułkowników. Ukarłem go za to, żeby sam uniknąć odpowiedzialności za własne przestępstwa. A teraz wszystko wskazywało na to, że przez piętnaście lat stał się cholernie dobrym hakerem i postanowił się zemścić. Tym samym zagadka z ukrytymi wiadomościami była rozwiązana. To musiał być on. Co do roztrzaskanej głowy Präln, Zander był doskonałym snajperem, co tłumaczyło idealny strzał w sam środek czaszki.

Mimo że nadal znajdowaliśmy się w wirtualnej rzeczywistości, szukałem ciężkiego elementu, którym mogłem rozwalić kilka elementów krajobrazu. Rozalia to zauważyła i próbowała załagodzić sytuację.

– Spokojnie Gustav. Faktycznie ten cały Zander jest cholernie dobry, ale my też nie jesteśmy najgorsi.

– Może – westchnąłem zrezygnowany. – Ale jeśli nawet ty go nie potrafisz odszukać, to ja nawet nie powinienem zaczynać.

– Czasami zbyt nisko się cenisz. – Moja była żona lekko się uśmiechnęła. – Ale to przecież ty dostałeś od Krollenów to nagranie. Gdyby nie wierzyli, że jesteś w stanie odnaleźć zabójcę ich córki, nic by ci nie dali.

– Może po prostu wiedzieli, że nie mam nic do stracenia – mruknąłem.

– Może. Ale nie poszli na policję, tylko skontaktowali się z tobą.

– I zajeście im pomogłem. – Rozłożyłem szeroko ręce i w tym momencie moją głowę przeszył pewien pomysł. Przecież mogliśmy zabrać się do nagrania od drugiej strony.

– Cofniesz nagranie maksymalnie, ale żebyśmy nadal znajdowali się w aktualnym położeniu? – niemal krzyknąłem, mimo że Rozalia stała obok mnie.

Przygryzła wargi, więc wiedziałem, że przetwarza w głowie skomplikowane algorytmy. Robiła ten gest już wtedy, gdy byliśmy razem. Tak. Zwłaszcza podczas naszych kłótni zaawansowane obliczenia były nieocenione.

– Mogę się cofnąć maksymalnie o dwie minuty – oznajmiła. – Poźniej... To znaczy wcześniej... – poprawiła się. – Präln była zbyt daleko od tego miejsca, żeby wyrenderować jakąś sensowną jakość.

– Spróbujmy.

Obraz natychmiast się rozmazał i ruch na ulicy powoli zaczął biec w przeciwnym kierunku. Z powrotem niewyraźny Zander nawet nie drgnął, mimo że nawet budynki obok zdawały się lekko ruszać. Najwyraźniej wojskowe szkolenie zamienia cię w kamień ze snajperskimi super mocami. Wiem, słaby żart.

Gdy byliśmy już blisko granicy dwóch minut nagrania, Zander jakby nagle ożył i specyficznym ruchem jaki ma miejsce podczas cofania obrazu, zaczął przemieszczać się w górę ulicy. Zapewne zobaczył Kampera, który przechwycił Lenę, więc zaczął wprowadzać swój plan B. Nagle z bocznej wyjechała szara furgonetka. Praktycznie nie rzucała się w oczy, brakowało jej tylko naklejek z logiem firmy oczyszczającej miasto, aby jeszcze bardziej wtopić się w otoczenie.

Obraz co jakiś czas gubił ostrość, samochód znajdował się znacznie dalej niż pierwotna pozycja snajpera. W końcu Rozalii udało się ustabilizować jakość na tyle, że można było ją nazwać satysfakcjonującą. W przeciwieństwie do kamer monitoringu, urządzenia Präln Zander nie zhakował całkowicie. W końcu nie miał pojęcia o jego istnieniu, więc działały tylko automatyczne skrypty.

Zanim Zander wszedł do auta od strony pasażera, mogłem mu się całkiem dokładnie przyjrzeć. Postarzał się, ale nadal trzymał się zaskakująco dobrze. Był już po pięćdziesiątce, ale tylko metryka w dowodzie to potwierdzała. Ciało, mimo że skryte pod kombinezonem, zdradzało rygor codziennych treningów. Głowa zawierała tylko pojedyncze siwe włosy. Może to operacje plastyczne, chociaż szczerze w to wątpię. Takie zabiegi nie cieszą się szczególną popularnością wśród bywalców poligonów.

Nie mogłem przeskanować Zandera pod kątem ilości wszczepów, ale obstawiam, że przez ostatnie piętnaście lat trochę ich przybyło. Zapewne tych wspomagających motorykę oraz układ nerwowy. Poruszał się zbyt szybko, jeśli miałby być czysto biologicznym człowiekiem. Stawiam pokąsną sumę waluty, że sterowniki do wielu implantów musi aktualizować przynajmniej raz na dwa tygodnie. Wiem, słaby żart. Zwłaszcza dla użytkowników posiadających kilkanaście różnych kart graficznych w swoim komputerze.

Kiedy snajper znalazł się w furgonetce, przeniosłem wzrok na kierowcę. Przez moje ciało przeszedł mimowolny dreszcz. Samochodem kierował Valery Balakin.

Drugi bandyta, którego podrzucił mi Røbust, abym z nim „porozmawiał”. Kolejny element układanki spadł z dużej wysokości, idealnie trafiając w swoje miejsce.

Rozdział 8

„Przemyt to tak naprawdę szczęście minus podatki.”

– Cholera Gustav – krzyknęła Rozalia, po tym jak sama rozpoznała Valery’ego. Wątpię, że kojarzyła go z moich opowieści, kiedy byliśmy jeszcze razem. Jednak Valery Balakin, tak jak Zander Vass byli na liście moich potencjalnych wrogów. Niestety żaden z nich nie podświetlił się na czerwono, kiedy ich sprawdzaliśmy. Nawet Rozalia, która okazała się dużo lepszą hakerką ode mnie, nic na nich nie miała.

– Powiedz mi, czy oni założyli jakieś pieprzone związki zawodowe? – Rozalia kontynuowała równie wysokim i nieprzyjemnym tonem.

– Nie wiem – powiedziałem cicho, wiedząc już, dlaczego Lena została porwana. Była to tylko moja wina. Bandyci, na których dokonywałem samosądów, nie dość że poznali moje personalia, byli na tyle bezczelni, żeby zaatakować mnie w najbardziej czuły punkt.

– Skąd wiedzieli, że to ty? – spytała Rozalia. – Mówiłeś zawsze, że wiesz, jak ukryć swoją tożsamość i żebym o nic się nie martwiła.

Była wkurzona, żeby nie powiedzieć dosadniej. Rozumiałem to. Mogłem oczywiście odbić podkreśloną piłęczkę i zapytać, czy tak bardzo martwiła się o Lenę, że dziesięć lat temu postanowiła od nas odejść, zostawiając jedynie lakoniczną wiadomość.

Powstrzymałem się, bo wiedziałem, że kolejna kłótnia tylko nas opóźni. W dodatku sam nie wiedziałem, skąd znali moje personalia. Zawsze byłem zamaskowany i zacierałem wszelkie ślady. Równie ciekawe było, skąd dowiedzieli się o sobie. Jak połączyli te cholerne kropki. Zander Vass był wojskowym, a Valery Balakin prowadził podrzędny sklep z elektroniką i zaczepiał nieletnie dziewczyny. Ważna odpowiedź. Używając słowa „nieletnie”, dodałem im kilka lat.

Myśl, że Lena była w ich rękach przyprawiła mnie o kolejne dreszcze. Nadal nie mogłem sobie wyobrazić, jak tych dwóch bandytów dowiaduje się o sobie, a później postanawia się zemścić. To znaczy fragment z zemstą bardzo dobrze do nich pasował, ale jak do tego wmieszał się Kamper? Skąd do cholery wiedział, że oni tam będą. Niestety brak wiadomości od Sigmunda wskazywał, że niezbyt prędko się tego dowiem. Gdyby się wybudził, biomechanik skomunikowałby się ze mną natychmiast.

– Myślisz, że jechali za Kamperem aż do portu? – spytała Rozalia.

Wzruszyłem ramionami.

– Być może. Nie wykluczam też, że ktoś im pomagał.

– Na przykład kolejny ukarany bandyta? Tym razem numer trzy? – skwitowała z sarkazmem.

Prychnąłem.

– To nie jest śmieszne.

– Właśnie to staram się powiedzieć. To jest cholernie nieśmieszne.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie pojechali – zasugerowałem .

Rozalia skinęła głową i maksymalnie powiększyła obraz ciężarówki, po czym stworzyła zaawansowany model 3D, który oboje wgraliśmy do wewnętrznej pamięci.

– Ktoś ich ochraniał. Nie mogę ich znaleźć w żadnym monitoringu.

– Ja też – odparłem, czując, że mój żołądek bardzo o sobie przypomina. Cholera. Jeszcze kilka lat i jedyne co będę mógł robić w Sieci, to sprawdzać telegazetę.

– Chwila – powiedziała cicho Rozalia, ale wyraźnie było słychać, że na coś trafiła. – O której znalazłeś Kampera w dokach?

Zmarszczyłem brwi.

– Czekaj, muszę się zastanowić. – Zrobiłem dłuższą pauzę. – Chwilę przed 3:00 w nocy. Tak. To musiało być około 3:00.

– Długo tam leżał?

– Myślę, że wyłapał cios w wątrobę jakieś 30 minut wcześniej.

– Znalazłam ten samochód na jednym z monitoringów. W nocy kiedy porwano Lenę, spieprzyło się im połączenie z Siecią, dlatego nie mogli go zhakować. Na szczęście obraz cały czas się nagrywał. Zresetowali urządzenie niecałe dwie godziny temu.

Już chciałem powiedzieć jakiś słaby dowcip, że brak internetu często prowadzi do pozytywnych rzeczy, zwłaszcza w liceum, ale zauważyłem, że nie tym razem. Rozalia zamilkła na dłuższą chwilę, a jej twarz przybrała bezosobowy wyraz..

– Zgadnij, gdzie się kierowali.

Przełknąłem ślinę. Z tonu głosu bez problemu wywnioskowałem odpowiedź.

– Do Strefy Przemysłowej.

Rozalia niemal niewidocznie skinęła głową, a w jej oczach zobaczyłem łzy. Pierwszy raz, odkąd wróciła.

To na pewno nie był dobry znak.

Spędziliśmy wewnątrz nagrania jeszcze kilkanaście minut. Powinniśmy dłużej, żeby sprawdzić wszystkie możliwe ślady, ale aktualnie czas działał tylko na naszą niekorzyść. Strefa Przemysłowa to zamknięta dzielnica Shadow Villens, która działała według własnego prawa i zasad. W skrócie nie miała ich wcale. Byłem tam tylko raz lata temu i ledwo uszedłem z życiem.

– Masz jakiś pomysł? – spytała Rozalia, kiedy znowu znaleźliśmy się w rzeczywistości.

Skinąłem głową.

– Muszę do kogoś zadzwonić. – Przełknąłem gorzką ślinę, po czym wybrałem numer.

Rozmówca odebrał po pierwszym sygnale i nie musiałem rozpoznawać go po głosie, wystarczył sposób mówienia.

– Siema mordo, co tam? Rozumiem, że stęskniłeś się za swoim ulubionym pracownikiem – roześmiał się Bleesch.

– Musimy się spotkać – oznajmiłem poważnym głosem. Nie byłem w najlepszym humorze, ale musiałem też brać pod uwagę, że Bleesch nic nie wiedział o porwaniu Leny. Dla niego Nowy Rok trwał w najlepsze i pewnie jeszcze wspominał sylwestrowe głupoty i twarze dziewczyn, którym wciskał świąteczne kity.

– Mordo, jakieś zmiany z akcją w Lizbonie? Ja już prawie spakowany, wziąłem swoje najlepsze bikini – znowu zażartował, ale chyba wyczuł, że stało się coś poważnego.

– Lizbona bez zmian. – odparłem, żeby szybko uciąć ten temat. Praktycznie zapomniałem o tym przemyśle, od kilkunastu godzin moją głowę zaprzątała całkiem inna sprawa. – Ale mam nagły wypadek – kontynuowałem. – I potrzebuję twojej pomocy.

– Mordeczko, zawsze do usług. Powiedz tylko gdzie i kiedy.

To pytanie wybiło mnie z rytmu. Moją odruchową odpowiedzią był zawsze lokal Kampera – „Retro Dinosaur”, ale aktualnie nie byłem do tego przekonany. Chociaż z drugiej strony właściciel na pewno zabezpieczył swój interes i nawet w przypadku nagłej nieobecności, wszystko musiało się kręcić.

– Tam gdzie ostatnio może być?

– W Dinozaurze?

– Tak – potwierdziłem. – Za pół godziny?

– Stary, daj mi 45 minut. Jestem trochę poza miastem, jedna dziewczyna...

– Nie ma problemu – mimowolnie się roześmiałem. Bleesch zawsze mnie rozczulał i budził we mnie specyficzne ojcowskie instynkty. W dodatku był chyba jedyną osobą w Shadow Villens, która mówiła do mnie „stary” oraz „mordo”, nie obawiając się o swoje życie.

– Zabierz też uzbrojenie, które ciężko wykryć – dodałem.

– Zapowiada się milutko. Pożegnaj się tylko z towarzystwem i wskakuję do fury.

– Dzięki.

– Mordeczko, nie ma problemu. Do zobaczenia – odparł, a chwilę później się rozłączył.

Odwróciłem się do Rozalii, której nie musiałem tłumaczyć, co chcę zrobić. Patrzyła na mnie szklistymi oczami i przez chwilę poczułem, jakbyśmy nigdy się nie rozstali. Podeszła bliżej i mocno mnie przytuliła.

– Powodzenia – szepnęła, delikatnie całując mój policzek. Gdybym aktywował monitor funkcji życiowych, zapewne wykazałby znacznie podwyższone ciśnienie i lekki stan przedzawałowy.

Mimo to uśmiechnąłem się.

– Przyda się. W Strefie Przemysłowców szczęście zawsze się przydaje. – Drugie zdanie powiedziałem znacznie ściszonego głosem.

Zaparkowałem przed Retro Dinosaur, po czym sprawdziłem godzinę na desce rozdzielczej. Była 12:10. Do przyjazdu Bleescha pozostało jeszcze kilkanaście minut, więc poprosiłem Creepa, aby włączył nagrania z Konkursu Chopinowskiego z 2021 roku. Cholera, kocham technologię. Mogę słuchać koncertu, który odbył się prawie 130 lat temu. I to w całkiem niezłej jakości.

Podczas jednego z Nokturnów zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Røbusta, jednak stwierdziłem, że nie ma to większego sensu. Wątpiłem, że cokolwiek uda mu się wyciągnąć od stessera – to zapewne płotka. I to z małego stawu. Aktualnie miałem dużo większe zmartwienia. Wejście do Strefy Przemysłowców wiązało się z dużym ryzykiem, było tam sporo psychopatów, których nie chciałbym spotkać nawet we śnie podczas popołudniowej drzemki. Tam również mogliby być niebezpieczni.

Nagle po drugiej strony zatrzymał się tuningowany ścigacz. To musiał być Bleesch. Był chyba jedyną znaną mi osobą, która jeździła motorem, gdy warstwa śniegu przekraczała kilkanaście centymetrów. Tak jak wspominałem wcześniej, był też zaprzeczeniem stereotypu „jak powinien ubierać się przemysłowiec”. Świecił się jak pieprzona choinka. Skórzaną kurtkę z iluminującymi ćwiekami zmienił dzisiaj na jaskrawo żółty płaszcz, który także zawierał świecące elementy. Chcąc podtrzymać tradycję największego fana drużyny Shadow Villens Crabs, ubrał ich treningową bluzę. Chyba bramkarską. Dodał do tego dużą ilość biżuterii – złote pierścionki i kolczyki. Całość dopełniały żółto – czarne włosy zaczesane do tyłu, ale ich kolor pewnie zmieni się kilkukrotnie podczas tego roku. Albo miesiąca.

Bleesch od razu dojrzał mnie w samochodzie, więc przeciął ulicę, nie zważając na spory ruch i brak przejścia dla pieszych.

– Wyglądasz jak zakompleksiony syn barona narkotykowego – powiedziałem z szerokim uśmiechem, opuszczając szybę i mierząc go od góry do dołu.

– Stary, wszystkie piosenki z tekstem „Fashion Victim” są o mnie, więc muszę trzymać poziom. – Bleesch zarechotał, odsłaniając swoje neonowe implanty.

– Gadamy u ciebie w furze czy idziemy do Dinozaura? – spytał.

– Idziemy do Dinozaura – odparłem, zamykając szybę. Przed opuszczeniem samochodu poprosiłem Creepa, aby aktywował tryb czuwania połączony z bojowym. Zaczynałem być trochę przewrażliwiony. Zupełnie jak osiemnastolatek przed pierwszą rozmową o pracę. Z tą różnicą, że miałem 63 lata i to ja miałem zaoferować komuś najgorszą fuchę, jaką można sobie wyobrazić.

W „Retro Dinosaur” nie zmieniło się zbyt wiele od wczorajszej wizyty. Nadal w ciągu dnia nie znajdowało się tutaj zbyt dużo osób, co zapewne zmieni się wieczorem. Była środa, czyli nieoficjalny początek weekendu dla studentów, na

których firmy produkujące alkohol i elektroniczne papierosy zawsze mogły liczyć. Nie wspominając o dilerach rozprowadzających tanie narkotyki.

Za barem, tak jak wczoraj, stała Cara. Towarzyszył jej nowy barman, które nie znałem. Z tego powodu wywnioskowałem, że musi być nowy. W końcu kojarzyłem ich wszystkich. Wiem, zabrzmiałem jak faworyt na przewodniczącego lokalnej grupy AA.

– Witam panie Gustavie. Cześć Bleesch – powiedziała Cara, kiedy zbliżyliśmy się do kontuaru. – Szefa dzisiaj nie ma – dodała po chwili, jakby chciała się wytłumaczyć. – Odkąd wczoraj wyszedł w jakiejś pilnej sprawie, jeszcze się nie pojawił.

– My dzisiaj nie do szefa – oznajmiłem, opierając się łokciami o kamienny blat. Nawet nie skłamałem, w końcu nie przyszliśmy tutaj spotkać się z Kamperem. Oczywiście nie powiedziałem też całej prawdy. Częściowo wiedziałem, jaka była ta pilna sprawa, ale nadal brakowało mi kilku ważnych elementów układanki. Jednak póki Kamper nie wróci do świata świadomości, pozostanie nam kilka neonowych znaków zapytania.

Wróciłem jeszcze myślami do wczorajszej rozmowy z Kamperem. Tej w piwnicy „Retro Dinosaur”. Wiadomość od tajemniczego nadawcy, który podobno posiada urządzenie pozwalające na przenoszenie świadomości i spotkanie ustalone na piątkowy wieczór. Wciąż nie wiedziałem, czy się tam wybrać. Miałem godzinę wcześniej otrzymać współrzędne, skąd kurier ma mnie dostarczyć do bezpiecznego miejsca. Ciekawe tylko czy bezpiecznego dla obydwu stron. Z doświadczenia wiem, że w tym mieście raczej mało kto dba o bezpieczeństwo Gustava Draga.

– Coś pijesz? – spytał Bleesch, przeglądając menu na jednym z hologramów.

– Ja chyba zamówię jeszcze jakąś szamę. Gastro trzyma mnie chyba od Sylwestra.

– Wczoraj nie wyglądałeś na głodnego.

Bleesch głośno się zaśmiał.

– Mordo, wczoraj jak się widzieliśmy, to byłem już po trzech kac kebabach.

– KacKebab. Chyba właśnie wymyśliłeś nazwę lokalu wartego sporo waluty.

– Pomyślę nad tym na emeryturze – odparł, po czym jeszcze raz spytał, czy na pewno nie jestem głodny. Zaprzeczyłem, ale na lekki alkohol się zgodziłem, więc Bleesch zamówił burgera tygodnia (cokolwiek to znaczyło) i dwa pszeniczne piwa o smaku mango i porannej rosy (i cokolwiek to znaczyło).

– Piwa podać od razu czy z jedzeniem? – spytała Cara, rzucając Bleeschowi zalotny uśmiech.

– Od razu – wtrąciłem, bo byłem przekonany, że do naszej rozmowy przyda się alkohol. Nawet ten o smaku mango.

Po tym jak Cara przyniosła dwie oszronione butelki, zajęliśmy ten sam stolik co wczoraj. Głowę przeszyła mi niewygodna myśl, że około dwadzieścia cztery godziny temu nowy rok zapowiadał się całkiem przyjemnie. Wszystko jednak poskładało się jak domek z kart magnetycznych i zapewne minie jeszcze sporo czasu, zanim uda mi się z tego odgruzować.

– No to mów, o co chodzi – zaczął Bleesch, biorąc sporego łyka.

– Trochę to zajmie – westchnąłem, również przechylając butelkę. Wiem, że to dziwne, ale przez chwilę naprawdę poczułem zapach mango i porannej rosy. Chociaż mogę się założyć, że z tymi rzeczami nie miałem kontaktu przez ostatnie trzydzieści lat.

Następne kilkanaście minut opowiedziałem Bleeschowi wszystko, nie wycinając żadnych fragmentów ostatniej doby. Jeśli mieliśmy razem wejść do Strefy Przemysłowców, musiał znać ostatnie wydarzenia bez wyciętych fragmentów. Zacząłem od mojej pozazawodowej działalności, by później przejść do porwania Leny, śmierci jej przyjaciółki Präl i pojawienia się Rozalii po dziesięciu latach. Opowiedziałem o Kamperze, który najprawdopodobniej próbował uratować Lenę, przez co aktualnie leżał w śpiączce w laboratorium Sigmunda. Nie ominąłem też spotkania z Krollenami, by później przejść do Zandera Vassa i Valery’ego Balakina – dwóch głównych podejrzanych, którzy z dużym prawdopodobieństwem znajdowali się teraz w Strefie Przemysłowców.

Bleesch się nie odzywał, tylko z coraz bledszą twarzą próbował sączyć mocno wygazowane piwo. Burgera, którego przyniosła Cara w połowie mojej opowieści, nawet nie tknął.

– Ja pierdolę Gustav – wykrzesał z siebie po kilkunastu sekundach, odkąd skończyłem. Był wyraźnie wstrząśnięty, bardzo rzadko mówił do mnie po imieniu. – To brzmi jak najgorszy początek roku, o jakim słyszałem.

Skinąłem głową.

– Nie chwał dnia przed zachodem Słońca. Może być znacznie gorzej.

– Będzie dobrze, na bank – powiedział tonem, który bardziej zaprzeczał, że cokolwiek „będzie dobrze” i „na bank”. – Pójdę z tobą do Strefy – dodał po chwili ścisłym głosem. – I znajdziemy tych skurwieli.

– Odpowiedziałeś na pytanie, którego jeszcze ci nie zadałem. Jesteś pewny, że chcesz mi pomóc? Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wyjdziemy stamtąd w syntetycznych workach.

Bleesch się uśmiechnął.

– Plastikowe worki? Zawsze mam to z tyłu głowy, gdy randkuję z zaręczonymi dziewczynami. Ale jak sam widzisz, na razie daleko mi do kostnicy.

– Nie musisz prezentować. Wierzę na słowo – starałem się zażartować, żeby gładko przejść do głównego tematu. – Ile razy tam byłeś?

– W Strefie Przemysłowców? – Bleesch pewnie sam zadał pytanie, żeby powrócić do niewygodnych wspomnień. – Nie wiem mordo. Osiemnaście, maksymalnie dwadzieścia razy. Staram się tam pokazać przynajmniej dwa razy w roku, żeby nie wyjść z wprawy. Znam kilku ludzi w środku, więc optymistycznie zakładam, że nic mi nie grozi. Ale...

– Ale ze mną może być większy problem – dokończyłem.

– Nikt tam nie lubi takich szych jak ty. Dla nich jesteś starym dziadem, który wystarczająco się dorobił i już dawno powinien wycofać się z interesu. Masz kontakty, sprzedajesz hurtowo i ciężko mieć lepsze ceny.

– Niech zgłoszą się do Urzędu Ochrony Konkurencji – mruknąłem, jednocześnie szeroko rozkładając ręce.

– Wiesz, że nie o to mi chodzi – westchnął Bleesch. – Jak tam wejdziemy, może zrobić się bardzo nieprzyjemnie. Naprawdę. Powiedzieć, że cię tam nie lubią, to nic nie powiedzieć.

– Spodziewam się, że nie będzie łatwo.

– Dobra mordo. To kiedy chcesz tam wejść? Pewnie jak najszybciej? – Bleesch wyzerował piwo i jednak zabrał się za burgera. Rozpływający się ser i mocno smażone mięso zawsze cudownie smakują nawet po małej ilości alkoholu. W dodatku mimo że oba składniki były syntetyczne, to praktycznie ich smak nie różnił się od naturalnego.

– Powinienem tam być dwanaście godzin temu, więc tak jak mówisz. Jak najszybciej.

Bleesch na chwilę się zamyślił, a ja starałem się nie zwracać uwagi na keczup i musztardę ciekące mu po brodzie. Podobno właśnie tak prezentuje się dobry burger.

– Daj mi dwie godziny, muszę wykonać kilka telefonów – oznajmił w końcu.

– Coś przygotować?

– Tylko broń do której masz pewność, że nie wykryją jej przy wejściu. A uwierz mi, skanują cię tam dokładnie niż przyszła teściowa na pierwszym spotkaniu.

Żart Bleescha był nawet zabawny, ale wolałem nie marnować teraz czasu na śmianie.

– Dobrze. Myślę, że dwa pistolety uda mi się wnieść do środka – odparłem, mając na myśli dwie maskujące skrytki pod żebrami, które kilka lat temu zamontował mi Sigmund.

– Myślisz, że ona tam jest? To znaczy twoja córka – spytał Bleesch, kiedy wstawaliśmy od stolika.

– Nie wiem, ale to ostatni trop jaki mam. Muszę tam pojechać.

– Jasne. Też bym tak zrobił. – Bleesch zatrzymał się, jakby chciał jeszcze o coś spytać. – Naprawdę jesteś takim superbohaterem? Rozwalasz mordy złym ludziom po godzinach?

Przewróciłem oczami.

– Na pierwszy rzut oka może to tak wyglądać, ale bardziej zagłuszam swoje sumienie. Raczej nie kojarzę superbohatera, który sprzedawał tysiące sztuk broni innym bandytom.

Bleesch szeroko się uśmiechnął, eksponując swoje iluminujące implanty.

– Zawsze cię lubiłem mordo. I jak widać, nie myliłem się.

Pozostało mi tylko niewinnie wzruszyć ramionami.

Umówiliśmy się z Bleeschem, że wrócimy teraz do siebie, aby uzbroić się w sposób, który pozwoli nam wejść do Strefy Przemysłowców. Tak naprawdę polegało to na pozbyciu się większości broni. Kontrola przy każdym z trzech wejść była tak drobiazgowa, że nie mogłem być pewny nawet tych dwóch pistoletów, o których wspominałem w „Retro Dinosaur”.

– Creep, wyłącz autopilota – oznajmiłem, wsiadając do samochodu. – Muszę zająć czymś ręce, bo trochę się trzęsą.

Tak naprawdę się telepały. Stresowałem się. Czułem, że żołądek mam gdzieś w okolicach szyi, a do przekroczenia granicy brakowało niewiele. Jeśli brałbym udział w konkursie na metaforę o rzyganiu, mogłem dopisać sobie jeden punkt. Jeszcze dwa i może dostanę zniżkę na jakąś miskę. Byle tylko pojemną.

– Panie Gustavie, autopilot zdezaktywowany – odparł niemal natychmiast Creep, a ja poczułem, jak kierownica przemieszcza się bliżej moich dłoni.

Chwyciłem ją mocno i gdyby nie droga pokryta grubą warstwą śniegu, ruszyłbym z piskiem opon. Zamiast tego, koła przez dłuższą chwilę obracały się w miejscu, zanim złapały kontakt z podłożem. Na pewno nie mogłem tego nazwać „ruszaniem z dwójki”. Gorące pozdrowienia dla mojego instruktora z nauki jazdy.

Shadow Villens wciąż zaskakiwało mnie w ciągu zimowego dnia. Naturalne światło połączone ze śniegiem tworzyło niemal magiczny klimat, co nie miało żadnego związku z rzeczywistością. Magia kończyła się tutaj, gdy ktoś pokazywał banknoty z większym nominałem. Chociaż z drugiej strony może dopiero wtedy się zaczynała. Obie wersje brzmiały równie prawdopodobnie.

Szybko przejechałem przez Centrum, mijając niezliczone ilości samochodów, zaczynając od kilkudziesięcioletnich, ledwo toczących się blaszanych kartonów, a kończąc na najnowszych zdobyczach techniki, gdzie koła były już dawno niepotrzebne. Na drogach Shadow Villens panowała pełna demokracja, można tu było spotkać naprawdę każdego. Ja ze swoim przebudowanym retro Cadillakiem znajdowałem się w całkiem sporej niszy kolekcjonerów starych aut działających jak te nowe. Tak, wiem. Typowe motoryzacyjne rozterki bogaczy.

Gdy znalazłem się na trasie prowadzącej w stronę Suburbii, zadzwonił telefon. To był Røbust. Poprosiłem Creepa, aby na jakiś czas aktywował autopilota.

– Rozumiem, że dzwonisz pomiędzy kolejną partią jednej z sieciowych gier, a trzecią kawą – zacząłem.

Policjant głośno się roześmiał.

– O Boże Gustav, skąd ty tak dobrze znasz metodykę pracy policji?

– Za dużo mi opowiadasz po alkoholu.

– Mogło tak być, ale naprawdę średnio pamiętam – odpowiedział, po czym momentalnie spoważniał. – Mam wystawionego tego stessera dla ciebie, ale nie mamy zbyt wiele czasu. Oficjalnie już go zwolnili, ale dogadałem się ze strażnikami, żeby potrzyмали go jeszcze godzinę w izolatce. Tak, kosztowało to w huk waluty. I tak. Monitoring przez najbliższą godzinę napotka nieprzewidziane problemy techniczne.

Zakląłem w duchu. Nie był to najlepszy czas na to spotkanie. Chciałem porozmawiać z Öscarem Scoutem, ale wejście do Strefy Przemysłowców było aktualnie ważniejsze. I dużo bardziej niebezpieczne. Musiałem się przygotować, a i tak nie pozostało mi już wiele czasu. Z drugiej strony wiedziałem, że szansa porozmawiania ze stesserem może się już nie powtórzyć.

– Będę za dziesięć minut – oznajmiłem po dłuższej ciszy, jednocześnie zmieniając na holograficznym interfejsie punkt docelowy na główny komisariat policji. Nagle mocno szarpnęło i samochód gwałtownie zawrócił, bo jakby to powiedzieć, nie zaznaczyłem opcji „bezpieczna jazda”. Znowu spojrzałem na hologram. Nawigacja wskazywała siedem minut i dwanaście sekund do celu. Wziąłem to za dobry omen, bo jeśli mówię komuś, że będę za dziesięć minut, a prowadzę wtedy samochód w mieście, zazwyczaj trwa to odrobinę dłużej.

– Jesteś tam Gustav? – krzyknął Rørust zapewne zaniepokojony odgłosami wskazującymi na wypadek. Nie wiedział, że Gustav Drag właśnie w ten sposób wykonuje manewr zawracania. Naprawdę muszę kiedyś wykupić reklamę „instruktorzy nauki jazdy go nienawidzą”.

– Jestem, jestem – odpowiedziałem spokojnym głosem. Małe problemy drogowe, ale już jadę w dobrą stronę. Jeśli ostatnie zdanie miało być metaforyczne, to niestety nie byłem taki do końca przekonany. Stawiam walizkę waluty, że od niecałej doby tylko oddalałem się od słów „dobra” oraz „strona”.

– Pamiętaj, żeby podjechać pod tylne wejście. Będę tam czekać.

– Uwierz, że od dawna nie wchodziłem do komisariatu od frontu.

– Mam nadzieję, że w najbliższym czasie to się nie zmieni. – Rørust głośno się roześmiał. – Dobra, muszę jeszcze sprawdzić, czy wszystko w porządku z tym stesserem. Jakby mnie nie było, jak już dojedziesz, puść mi dwie zaszyfrowane strzałki.

– Jasne. Do zobaczenia – odpowiedziałem, po czym się rozłączyłem. Miałem ochotę docisnąć pedał gazu do samej podłogi, jednak wiedziałem, że autopilot jest ode mnie znacznie lepszy i dobiera najlepszą możliwość prędkości. Pewnie gdybym teraz przejął sterowanie, rozbiłbym się na najbliższym zakręcie. Może to była właśnie najtrafniejsza odpowiedź na aktualną sytuację? Chyba powinienem pozwolić pewnym rzeczom płynąć, zupełnie jak na autopilocie, żeby nie roztrzaskać się na najbliższej przeszkodzie.

Uśmiechnąłem się. Sentencje tak głębokie, jakbym je spisał ze Złotych Myśli znalezionych na boisku szkolnym.

Przymknąłem oczy i na chwilę pozwoliłem sobie zapomnieć o całym syfie z ostatniej doby. Starałem się nie myśleć o niczym konkretnym, oczyścić głowę, ale jak to bywa z takimi postanowieniami, ilość niewygodnych refleksji i koncepcji przechodzących przez moją głowę wydawała się być niemal nieskończona. Relaksująca drzemka. Nie ma co.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Creep chwilę przed zatrzymaniem się samochodu.

Zaparkowałem w odpowiedniej odległości, to znaczy poza zasięgiem policyjnego monitoringu. Røbust zapewne i tak wpuścił do wewnętrznej sieci wirusa, który dezaktywował nagrywanie przez jakiś czas. Wiedziałem jednak, że mój Cadillac zaparkowany zbyt blisko mógłby wzbudzić niepotrzebne podejrzenia.

Spojrzałem przez szybę w kierunku dużego, betonowego budynku. Komisariat policji Shadow Villens nawet od „zaplecza” robił niesamowite wrażenie. Oczywiście jeśli jest się fanem brutalistycznej architektury. Jeśli nie, ściany o grubości pół metra z niewielkimi oknami bardziej przerażały, ale patrząc na wysoki poziom przestępczości w mieście, chyba nie odstraszały wystarczająco. Jedynie delikatnie przypominały, że podczas tutejszego pobytu nie można liczyć na zbyt wiele wygód. „Krótkoterminowy hotel bezgwiazdkowy. Z możliwością przedłużenia pobytu w ośrodku zamiejscowym o romantycznej nazwie Zakład Karny” – Røbust tak często nazywał to miejsce.

Wyszedłem z samochodu i szybkim tempem przeszedłem 400 metrów dzielących mnie od budynku. Nigdzie nie mogłem dostrzec Røbusta, więc wysłałem do niego dwa krótkie sygnały. Nadal nie miałem żadnych wieści od Sigmunda, co oznaczało tylko jedno. Kamper nadal przedłużał swoją popołudniową drzemkę. Mimo wszystko wysłałem do niego krótką wiadomość z pytaniem, czy jest jakiś postęp z jego stanem zdrowia. Odpisał mi po kilkunastu sekundach. „Na razie bez większych zmian”. Starałem się sztucznie pocieszyć, że chociaż nie jest gorzej, ale była to tylko kolejna kosa wbita mi w plecy. Przez ostatnią dobę moja kolekcja mentalnych blizn sporo się powiększyła. Z takim porównaniami chyba naprawdę powinienem założyć te Złote Myśli. I zostawić je na boisku szkolnym. A co mi tam. Niech dzieciaki wiedzą, na czym polega życie seniora w dzisiejszych czasach.

Uśmiechnąłem się z własnego, nieśmiesznego dowcipu, po czym dostrzegłem, jak duże stalowe drzwi powoli się otwierają. Po chwili wyłoniła się zza nich głowa Røbusta. Następnie dłoń, która prostym gestem przywołała mnie do siebie.

Mój system obronny nie wykazywał w pobliżu żadnej osoby, która nazbyt mocno byłaby mną zainteresowana. Wziąłem to za dobry omen i przyspieszyłem kroku, szybko znajdując się w środku.

– No w końcu. – Røbust przywitał mnie wyraźnie zdenerwowanym głosem. Rozumiałem to. Ludzie w korporacjach pewnie byliby przerażeni, gdyby mieli wpuścić znajomego przez zaplecze firmy, żeby skserował sobie kilka kartek A4. Porównajmy to ze mną. Miałem nielegalnie przesłuchać zatrzymanego, który powinien zostać zwolniony godzinę temu. W dodatku metody przesłuchania mogły mieć dość szeroką rozpiętość. Być może pięści. Ten plan nawet przy idealnym ułożeniu planet nie zapowiadał się dobrze.

– Przecież jestem przed czasem – odpowiedziałem, rozglądając się po długim korytarzu. Na szczęście nikogo oprócz nas tu nie było.

– Tutaj nigdy nie jest się przed czasem – zaśmiał się sztucznie Røbust, a następnie szybko ruszyliśmy schodami w dół.

– Pamiętaj. – Røbust nagle się zatrzymał i wciąż mówił nienaturalnym dla siebie tonem. – Gdyby ktoś się pytał, odpowiadaj, że jesteś moim informatorem.

Naprawdę był zdenerwowany. Chyba muszę dodać kolejną pozycję w Złotych Myślach. „Miejsce pracy zmienia ludzi”. W sumie wiadomo to nie od dzisiaj.

– Przecież jestem twoją wtyką, która informuje cię o najlepszych imprezach w mieście – oznajmiłem z szerokim uśmiechem. Røbust tylko pokręcił głową, jednocześnie wzdychając, a później ruszył dalej.

Znaleźliśmy się w kolejnym korytarzu. Znacznie krótszym i gorzej oświetlonym. Betonowe ściany były całkowicie surowe i sprawiały wrażenie, jakby miały przynajmniej metr grubości. Osadzający się w wielu miejscach grzyb świadczył o dwóch rzeczach. Wysokiej wilgotności powietrza oraz niskiej chęci zadbania o wygodę użytkowników. Ta druga rzecz zapewne nawet nie istniała.

Przez chwilę uderzyła mnie myśl, że pomimo swojej profesji nigdy nie znalazłem się w policyjnym areszcie. Jasne. Kilka razy musiałem zjawić się na przesłuchaniu, bo nie poruszałem się w próżni. Paru ludzi z Shadow Villens chciało mnie widzieć opalonego w kratkę. Na szczęście zawsze kończyło się na mniej lub bardziej przyjemnych pogawędkach.

Zatrzymaliśmy się przy stalowych drzwiach wyposażonych w staroświecki wizjer. Røbust zapukał w nie, imitując specyficzny rytm okłasków dopingujący lokalną drużynę Shadow Villens Crabs.

– Nie wiedziałem, że patenty z wakacyjnych obozów przydają się w prawdziwym życiu – pomyślałem, jednocześnie powstrzymując się, żeby nie wypowiedzieć tego na głos.

Usłyszeliśmy ruch za drzwiami i te po chwili się otworzyły. Stał za nimi wysoki mężczyzna z aż za bardzo nierówno wymodelowanym wąsem. Chyba powinienem włamać się na jego konto i dowiedzieć się, do którego barbershopu chodzi. Później wejść w ich księgi i doprowadzić do bankructwa, żeby więcej nie krzywdzili ludzi.

Przez kilka sekund milczał, tylko mierzył mnie wzrokiem. Nie pozostałem dłużny i sam zdążyłem mu się przyjrzeć. Nie nosił typowego, policyjnego munduru. Gruby polar i sztruksy w kolorze khaki wskazywały, że minął się z modą o jakieś półtora stulecia. Jedynie małe logo Shadow Villens Police wszyte po lewej stronie bluzy potwierdzało, że nie zagubił się podczas noworocznego spotkania 150 – latków.

– To jest Gustav, o którym ci dzisiaj mówiłem – przerwał ciszę Røbust.

Westchnąłem wewnątrz. Nie lubię, gdy ktoś mnie przedstawia, kiedy wolałbym pozostać anonimowy. A zwłaszcza gdy mówi to policjant innemu policjantowi. Naprawdę słabe połączenie. Wiedziałem jednak, że czasami trzeba sprzedać trochę prawdy, zanim otrzyma się coś nielegalnego. Cholera. Moje Złote Myśli nadal się wypełniają.

Wąsacz nadal nie wypowiedział żadnego słowa. Znowu przez kilka sekund wpatrywał się we mnie, żeby na końcu skinąć głową i nas przepuścić. Ruszyliśmy kolejnym korytarzem, tym razem trochę lepiej wyposażonym, jeśli stare i zmurszałe płytki można uznać za bardziej luksusowe.

Minęliśmy kilka cel i zatrzymaliśmy się obok przedostatniej. Drzwi były pełne, więc nie można było zobaczyć, co jest w środku. Policjant dotknął otwartą dłońią

szklanego panelu na ścianie, a wiązka lasera przeskanowała jego linie papilarne. Rozległ się przytłumiony dźwięk zwalnianych zabezpieczeń, a następnie drzwi odskoczyły na około 5 centymetrów.

– Masz dwadzieścia minut – zwrócił się do mnie, zaskakując mnie swoim niskim głosem. Równie zadziwiający był fakt, że w końcu się odezwał. Spojrzałem na Røbusta, który wspominał, że będę mieć na przesłuchanie przynajmniej dwa razy więcej czasu. Ten przewrócił tylko oczami, a ja zrozumiałem, że nie z wszystkimi kolegami z pracy żyje się w świetnej komitywie. Zresztą Røbust zawsze był nazbyt optymistycznie nastawiony do życia, za to jego policyjny kompan sprawiał wrażenie, jakby miał cię ścigać do końca życia za kilka drobniaków długu. W sumie każdy zna takich ludzi.

Policjant sprawdził jeszcze coś na wszczepie wbudowanym w nadgarstek. Pewnie chciał potwierdzić, że monitoring nie działa, a następnie razem z Røbustem cofnęli się do wejścia. Wolnym ruchem ręki otworzyłem drzwi, zupełnie jakby to był niskobudżetowy teleturniej. Gorzko zaśmiałem się w duchu. Trochę jak specyficzna wersja „Randki w Ciemno”. Ja wiedziałem, kto jest za drzwiami, ale czy Öscar zdawał sobie sprawę, kim jestem. Czy dostał jedynie proste polecenie, aby sprawdzić zabezpieczenia w konkretnych budynkach, w tym w moim? I nie miał żadnego pojęcia, kim jest cholerny Gustav Drag. A może właśnie doskonale o tym wiedział.

– Dlatego muszę go przesłuchać – pomyślałem, głęboko wciągając powietrze.

Zanim wszedłem do środka, zażyłem kolejną dawkę leków, które tonowały mój układ nerwowy. Dzięki temu mogłem normalnie egzystować, inaczej pewnie mój stan nie pozwalałby na prowadzenie śledztwa dotyczącej porwania własnej córki. Dlatego nie oceniałem decyzji Krollenów. Dzięki zabiegowi mogli nadal żyć i pracować po śmierci Präln. Inaczej nie byłoby to takie proste, jeśli w ogóle możliwe.

Zamknąłem za sobą drzwi, które zaskrzypiały jeszcze bardziej niż przy otwieraniu. Nie była to wielka niespodzianka. Również architektura wnętrz specjalnie mnie nie zaskoczyła. Cella prezentowała się znacznie gorzej niż sam korytarz. Pleśń pokrywała ściany w wielu miejscach, a brak jakiegokolwiek okna tylko sprzyjał rozwojowi nowych cywilizacji jednokomórkowych. Do ściany naprzeciwko mnie przymocowano stalową ławkę, która zapewne pełniła też rolę prowizorycznego łóżka.

Aktualnie siedział na niej Öscar Scout, stesser z metra. Od naszego pierwszego spotkania nie minęło zbyt wiele czasu, a miałem wrażenie, że tamto życie jest już dawno za mną.

Mężczyzna miał lekko przymknięte oczy, nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Wciąż wpatrywał się w jakiś nieokreślony punkt. Jego ręce oraz nogi spięte były obręczami, które w znaczący sposób ograniczały ruchy. Podeszedłem bliżej i ostentacyjnie chrząknąłem. Nadal brak reakcji. Brakowało mi tylko kieliszka i łyżeczki, aby wznieść mały toast. Może to by go pobudziło. W końcu za niecałą godzinę Öscar miał wyjść na wolność.

– Wiesz kim jestem? – spytałem.

Wciąż nic.

– Nazywam się Gustav Drag. Ktoś cię wynajął, żebyś sprawdził zabezpieczenia w moim domu. – Tym razem ton mojego głosu był dużo bardziej stanowczy.

– Ładne imię – wychrypiał mężczyzna, ale ledwo można było dostrzec ruch jego warg. – Podoba mi się.

– Mi średnio, ale rodzice nie przyjęli reklamacji.

Machnąłem ręką.

– Chociaż nieważne. Po sześćdziesiątce można się przyzwyczaić – dodałem po chwili.

Zbliżyłem się i przykucnąłem. Mieliliśmy twarze na tej samej wysokości. Zapewne wyglądaliśmy na zmęczonych, obaj mieliśmy deficyt snu. Policjanci podobno nigdy nie patyczkują się na przesłuchaniach, więc nawet nie chciałem wiedzieć, przez co przeszedł ten stesser.

– Pomożesz mi? – spytałem. – Czy będę musiał ci grozić i torturować przez najbliższe... – Sprawdziłem godzinę. – ... 17 minut. Naprawdę wolałbym tego uniknąć. Przyznam ci się do czegoś, jestem już tym cholernie zmęczony. Naprawdę powinniśmy to skończyć.

Öscar uniósł wzrok i przez kilka sekund wpatrywał się we mnie. Jego oczy były całkowicie obojętne, jakby działały na uszkodzonym autopilocie.

Nagle całe pomieszczenie wypełniło się złowieszczym śmiechem. Miałem wrażenie, że ktoś go wcześniej nagrał, podkreślił w jakimś muzycznym oprogramowaniu, a na sam koniec zapętlił. Dźwięk nie pochodził jednak z korytarza, wydobywał się z gardła stessera.

– To dopiero początek, Gustav... To dopiero początek, Gustav... – powtarzał w kółko.

Mimo leków uspokajających, zareagowałem w najgorszy możliwy sposób.

– Jaki kurwa początek? – warknąłem, chwytając go za gardło. Wiedziałem, że to błąd. Każdy normalny człowiek natychmiast by to zauważył.

Öscara ktoś zhakował i całe to zamieszanie ze sprawdzaniem wszczepu to jedynie przykrywka. Od początku chodziło tylko o mnie.

Jak już wspomniałem, zrozumiałby to każdy, tylko nie Gustav Drag. Wciąż w równie powtarzalny sposób dopytywałem o rzekomy początek, dawno tracąc panowanie nad sobą. Kiedy byłem bliski zmiżdżenia gardła stessera, do celi wbiegli Røbust i Wąsacz. Chwycili mnie równie mocno, tyle że za ramiona, a następnie popchnęli w stronę drzwi. Straciłem równowagę i ze sporym impetem przerysowałem podłogę swoim czołem. Nie muszę chyba wspominać, że była ona równie czysta co ściany. Powoli mogłem planować gorącą kąpiel z płynem antyseptycznym.

– Zostawcie mnie – krzyknąłem, nadal znajdując się w pozycji przypominającej leżącą. Kątem oka dostrzegłem, jak policjant próbował udzielić pomocy duszącemu się Öscarowi. Nagle z ust stessera zaczęła się wydobywać biała piana i było jej tak dużo, że policjant aż odskoczył, wpadając na Røbusta.

– Coś ty mu kurwa zrobił? – krzyknął. – To gówno jest żrące – dodał, próbując strzepnąć kawałki białej mazi z ręki. Faktycznie. W wielu miejscach na jego skórze pojawiły się czerwone pęcherze.

– Co takiego? – wybełkotałem, starając się podnieść. – Nic mu nie zrobiłem... – przerwałem – To znaczy nic związanego z tą pianą.

Tym razem to Røbust doskoczył do stessera i uważając na toksyczną substancję, sprawdził mu puls.

– Nie żyje – oznajmił, patrząc na jego twarz, która z każdą sekundą wyglądała coraz gorzej. Czerwone pęcherze na rękach Wąsacza, w przypadku stessera zamieniły się już w głębokie rany. Umiejscowienie też nie było tutaj bez znaczenia. Tekst „morda nie szklanka” niestety działa tylko na podwórku.

– Świetnie, naprawdę kurwa świetnie – wrzasnął Wąsacz. – Røbust to jest ostatni raz, jak coś ci załatwiam. Wiesz ile teraz będzie roboty, żeby to wszystko posprzątać?

Sądząc po wzroku Røbusta miał już to dawno obliczone i nie były to małe cyfry.

– Przecież pomogę ci to jakoś ogarnąć – wymamrotał Røbust, wciąż trzymając w dłoniach bezwładną głowę Ösara.

– Wynoście się stąd. Natychmiast – nie wytrzymał Wąsacz, a ton jego głosu raczej nie dawał zbyt dużo miejsca na konsultacje społeczne.

Podszedłem do Røbusta i teraz to ja chwyciłem go za plecy i pociągnąłem w kierunku wyjścia. Kiedy opuszczaliśmy celę, spojrzałem jeszcze raz na strażnika. Gdyby miał moje zdjęcie, zapewne wylądowałoby na ścianie jako tarcza do rzutek. Zabawne. Przez ostatnią dobę właśnie tak się czułem.

– Rozumiesz coś z tego? – spytał Røbust, biorąc ode mnie papierosa. Nie mógł opanować drżenia dłoni i szczerze wątpiłem, że nikotyna w tym pomoże.

Siedzieliśmy w moim samochodzie i palenie tutaj było na szczycie rzeczy zakazanych. Tym razem musiałem odpuścić. Istniało spore prawdopodobieństwo, że śmierć wystawionego więźnia przy kontakcie z lokalnym handlarzem broni znajdowała się u Røbusta na pierwszym miejscu podobnej listy. Podsumowując. Zapalenie w aucie nawet nie zbliżyło nas do „bycia kwita”.

Oczywiście Røbust nie pierwszy raz widział trupa, coś takiego nie wzbudziłoby w nim większego stresu. Obawiał się konsekwencji, zwłaszcza wydalenia z policji. Może to zabrzmieć dziwnie w ustach człowieka, który sprzedaje broń jak cukierki na Święta, ale dla niektórych praca w policji jest sensem życia. Z drugiej strony mój dziadek zawsze mawiał: „Chcesz być w czymś dobry, to nie bój się, że się pobrudzisz”. Røbust przepłynął właśnie pięćdziesiąt basenów w gnojówce. Razem ze mną. Z tą różnicą, że ja od dawna byłem przyzwyczajony.

– Ktoś bardzo nie lubi wujka Gustava – westchnąłem, odpalając retro zapalniczkę. – Porwał moją córkę, a teraz rozkoszuje się powolnymi torturami, rozsyłając do mnie jakieś poukrywane wiadomości.

– Na pewno nie masz pojęcia, kto to może być? – Røbust bliżej przesunął głowę z papierosem w ustach, żeby dosięgnąć ognia. Końcówka szluga momentalnie rozbliżyła żarem i chorobami płuc.

Znowu westchnąłem.

– Mam pewien trop. Tylko nie wiem, czy na pewno chcesz znać moje ustalenia. – Zrobiłem krótką pauzę, podczas której Røbust chyba trzy razy zapełnił wnętrze wydychanym dymem.

Policjant uniósł brwi, a ja wiedziałem, że ta informacja go przybija. W końcu wszystko wskazywało, że jest to robota ludzi, którzy byli wytypowani przez niego.

Zdecydowałem się jednak opowiedzieć całą historię, nie omijając żadnych fragmentów. W końcu Røbust i tak był jedną z niewielu osób, którym mogłem zaufać. Kiedy byłem blisko końca i wspomniałem o planowanym wejściu do Strefy Przemysłowców razem z Bleeschem, policjant gwałtownie mi przerwał.

– Idę tam z wami Gustav. W końcu ja cię w to wciągnąłem.

Gorzko się roześmiałem.

– Jasne. Na pewno ludzie stamtąd prosili, żeby w Nowym Roku odwiedził ich jakiś policjant. Już przy samym wejściu zrobią z ciebie przysmak do lokalnego foodtrucka. To jak myślisz? Wylądujesz jako przystawka do drinka „Fuck the Police” czy może „Blue Red Lights”?

Røbust jednocześnie pokiwał głową i wzruszył ramionami.

– Gówno mnie to obchodzi.

– Mnie tak samo obchodzi, że chcesz iść z nami. Zostajesz na miejscu. Spróbuj ogarnąć syf na komisariacie i bądź pod telefonem. Jak sprawdzi się najgorszy scenariusz i będziemy potrzebować z Bleeschem ostatniego namaszczenia, wtedy się odezwę.

– Jak wolisz – rzekł ze zrezygnowaniem policjant.

– Tak wolę.

– Jedna rzecz mnie tylko zastanawia – zaczął Røbust. – Ten stesser. Mówiłeś wcześniej, że zwróciłeś na niego uwagę, bo miał jakiś nowy typ wszczepu tak?

– Tak. Później się jednak okazało, że nie był to jakiś szczególny wynalazek.

– No dobra. Ale nie uważasz tego za zbyt duży przypadek? Jaka była szansa, że akurat zwrócisz uwagę na tego gościa. Że wsiądziesz do tego wagonu? O tej konkretnej godzinie?

– Myślałem o tym niedawno.

– I?

– Znasz stare powiedzenie kłusowników? Na dziesięć pułapek, które podłożysz, na drugi dzień tylko jedna okaże się pełna.

– Czyli twierdzisz, że tych stesserów było więcej.

– Tak podejrzewam. Zander i Valery chcą się zemścić i robią z tego mało śmieszny sezon serialu. Oczywiście mało śmieszny dla mnie. Oni zapewne bawią się

najlepiej w życiu. Zakładam, że stesser był tylko przystawką i nic wielkiego by się nie stało, gdybym go ominął.

– Bez przystawki jedynie wódka słabo wchodzi – gorzko zaśmiał się Røbust. – Jeśli chcesz, mogę popytać w innych jednostkach, czy nie zgarnęli kogoś z podobnym wszczepem. – Policjant podrapał się po brodzie. – A myślałeś nad inną teorią?

– I to niejedną. Ale jaka by nie była, na razie i tak wszystko prowadzi do Strefy Przemysłowców i tych dwóch psychopatów Zandera i Valery’ego. Muszę tam wejść.

– Byłeś tam kiedykolwiek?

– Raz. I to dawno. Raczej nie spotkam starych znajomych.

Røbust znowu cierpko się uśmiechnął.

– Zawsze możesz ich odwiedzić na cmentarzu.

– Myślę, że mogły to być dla nich za wysokie progi.

Nagle wewnątrz samochodu wypełniło się dźwiękiem nadchodzącego połączenia. Był to utwór, którego nie lubiłem, więc tylko wymownie spojrzałem na mojego pasażera.

– To Wąsacz. Muszę spadać – wytłumaczył Røbust, robiąc niezadowoloną minę, po czym otworzył drzwi. – Uważaj na siebie. I jakby coś się działo, to wiesz. – Zrobił palcami gest słuchawki telefonicznej.

Skinąłem głową, a następnie ruszyłem w kierunku Suburbii. Nie byłem w domu ponad dobę, a miałem wrażenie, jakbym wracał z dwumiesięcznego urlopu. Nie wiedziałem, co brzmiało bardziej abstrakcyjnie. Wejście do Strefy Przemysłowców czy dwumiesięczny urlop. Według statystyki obie te rzeczy nie mają prawa się udać. Nie pozostało mi jednak teraz nic innego, jak wyrzucić teraz cztery szóstki na trzech kościach. I trzymać kciuki, żeby żaden z sędziów nie zobaczył, że oszukuję.

Gdzie ja podziałem te Złote Myśli?

Zaparkowałem w garażu i poprosiłem Creepa, aby dokładnie sprawdził rejestr systemu bezpieczeństwa. Jeśli porywacz, lub tak naprawdę porywacze, wiedzą o mnie tak dużo, mój dom też był zagrożony. Naprawdę wolałem uniknąć niespodzianki w toalecie, jakkolwiek źle by to brzmiało.

– Wszystkie testy w normie. Nie wykryłem żadnych nietypowych danych – oznajmił Creep po niecałej minucie.

– Świetnie. Przygotowałbyś mi inny samochód na dzisiaj?

– Jakies specjalne życzenia?

Uśmiechnąłem się.

– Coś mniej rzucającego się w oczy.

Padło na przerabianego dżipa, którego kupiłem kilka lat temu na wojskowej licytacji. Oczywiście później włożyłem w niego trzy razy tyle, ale opłaciło się. Był

niczym pancernik na czterech kołach, a minimalistyczne wzornictwo oparte na prostych krawędziach i ciemny kolor lakieru sprawiały, że nikt nie zwracał na niego uwagi. Jeśli będziemy musieli ratować się ucieczką, trudno o lepszego przyjaciela.

Z warsztatu przeszedłem do zbrojowni, gdzie na początku pozbyłem się z ciała wszystkich poukrywanych broni. Pistoletów, noży, paralizatorów. Cholera. Trochę tego miałem i przez chwilę poczułem się jak choinka rozbierana w marcu. Następnie zainstalowałem pod żebrami dwie skrytki stworzone przez Sigmunda, do których schowałem po jednym składanym pistolecie. Używałem tego zestawu podczas przekraczania granicy. Do tej pory mnie nie zawiódł, miałem nadzieję, że dzisiaj się to nie zmieni.

Po wejściu na parter skierowałem się do kuchni. Myślam wróciłem do wczorajszego poranka, kiedy razem z Leną zjedliśmy śniadanie. Niemal znowu poczułem smak urodzinowej pizzy i niesyntetycznej coli, czyli smak najlepszych urodzin z nienajlepszym budżetem.

Lekko się uśmiechnąłem i otworzyłem lodówkę, gdzie na górnej półce znalazłem jeszcze dwa kawałki i ostatnią szklaną butelkę gazowanego napoju. Zjadłem pizzę, nawet je nie podgrzewając, co nie było zbyt dobrym pomysłem, bo był to przecież ostatni posiłek zrobiony mi przez córkę. Na szczęście mimo niskiej temperatury smakował wybornie.

Wlewając w siebie colę, wybrałem numer do Sigmunda. Odebrał po drugim sygnale.

– Dobrze, że dzwonisz, bo zaraz ja miałem to zrobić. – Jego ton głosu zdradzał spore zdenerwowanie.

– Kamper się wybudził? – Butelka niemal wypadła mi z ręki.

Sigmund tylko powoli wypuścił powietrze.

– Niestety nie. – Zawiesił na chwilę głos. – Dzwonię w całkowicie innej sprawie. Natychmiast zrozumiałem.

– Rozalia ci powiedziała?

Tym razem mechanik głęboko wciągnął powietrze. Mogłem się teraz tylko przygotować na nieprzyjemne kazanie.

– Czy ty do reszty oszalałeś Gustav? Nie po to ja cię naprawiam, żebyś wchodził do pieprzonej Strefy Przemysłowców. Ile ty masz lat? Siedemnaście? Przecież odstrzelą cię tam w ciągu godziny. Musisz kogoś wynająć, kto się zna, ma kontakty, jest z tego środowiska. Przecież ta dzielnica działa na wewnętrznych prawach i przecież dobrze wiesz, że najbardziej nie lubią tam takich zarobionych dziadków jak ty.

– Zapamiętam, że nazwałeś mnie dziadem. I wypomnę to w najgorszym momencie – próbowałem zażartować. – Idę tam z Bleeschem, więc postaram się wyjść żywy.

– Z tym dzieciakiem, który ma lampki zamiast zębów? Naprawdę mnie uspokoiłeś. Bardzo pomoże Lenie, że jej ojciec popełni samobójstwo razem z neonowym kolegą. Jeszcze się kurwa trzymajcie za rączki.

– Ja i Kamper mu ufamy. Nigdy nas nie zawiódł.

– Jasne. Nie chcę ci mówić, komu teraz ufa Kamper. Jedynie rurkom i przewodom powtykanym w różne dziwne miejsca.

Odłożyłem butelkę i przeniosłem wzrok na sufit.

– Skończyły mi się wszystkie opcje Sigmund, rozumiesz? – Poczułem, jak łzy napływają mi do oczu.

– Dlatego wybrałeś samobójstwo?

– Nie wybrałem żadnego samobójstwa – warknąłem. – Jeśli istnieje cień szansy, że Lena gdzieś tam jest, pojadę to sprawdzić. Możesz bluzgać na mnie, ile chcesz, nie potrzebuję twojego błogosławieństwa. Jeśli to cię uspokoi, nekrologu też nie musisz zamawiać.

Zapadła kilkunastosekundowa cisza. Przerwał ją Sigmund.

– Po prostu się o ciebie martwię Gus.

– Nie mogliśmy zacząć tak od razu? – Lekko się roześmiałem. Mimo okoliczności brzmiało to nawet szczerze.

– Wiedz, że nadal tego nie pochwalam, ale potrzebujesz czegoś? Za dużo broni raczej tam nie wniesiesz, ale myślę, że mam jedną rzecz, która może się przydać.

– Co takiego?

– Opowiem ci na miejscu i od razu zrobię montaż.

Spojrzałem na holograficzny zegar. Miałem jeszcze trochę czasu.

– Będę za jakieś pół godziny. Długo potrwa instalacja tego wszczepu?

– Spokojnie. Niecały kwadrans. Będzie pan zadowolony – zażartował mechanik.

– Stary dobry Sigmund powrócił.

– Tylko nie stary.

Uśmiechnąłem się.

– Też zaczynam randki tym tekstem. Do zobaczenia – odparłem i szybko się rozłączyłem. Tak naprawdę nie miałem za dużo czasu. Wyjąłem z dolnej szuflady mikroelementy zapakowane w specjalne tworzywo. Przymocowałem je do prawego przedramienia, a następnie do stałego wenflonu. Całość powinna znaleźć się w moim układzie krwionośnym w kilka minut i dostarczyć mi sporą dawkę energii. Pizza i cola mimo niewątpliwych walorów smakowych mogły nie być wystarczające na samobójczą misję. Tak, wiem. Wiele osób się ze mną nie zgodzi.

Ruszyłem schodami na piętro i po chwili znalazłem się w łazience. Kilkoma ruchami zdjąłem z siebie przeпоcony garnitur i wrzuciłem wszystko do kosza na pranie. Wszedłem pod prysznic, ustawiając optymalną temperaturę wody, całkowicie ignorując tryb konserwacji wszczepów. Nie wiedziałem, czy po dzisiejszej nocy będzie jeszcze co naprawiać.

Kiedy gołymi stopami wyszedłem na posadzkę, w duchu podziękowałem za podgrzewane kafelki. Przejrzałem się w lustrze i zgodnie z przewidywaniami prezentowałem się fatalnie. Podkrążone oczy, blada cera i ogólny brak życia w moim przypadku brzmiałyby jak komplementy. Było znacznie gorzej.

Dlatego szybko osuszyłem ciało i przeszedłem do sypialni. Już wcześniej wspomniałem, że to pomieszczenie bardziej przypominało salkę prób, co w każdych innych okolicznościach byłoby dla mnie informacją dnia. Niestety nie mogłem sobie

teraz pozwolić na relaksujące jam session, spojrzałem tylko na wiszące gitary i przeniosłem się do garderoby.

Tym razem zamiast ciemno fioletowego garnituru, wybrałem dużo bardziej praktyczny strój. Jeden z wojskowych prototypów, na pierwszy rzut oka wyglądał jak czarny kombinezon. Wykonano go jednak ze specjalistycznych stopów, które mogły przez jakiś czas powstrzymać skutki działania większości pocisków, jak i bardziej konwencjonalnych broni typu nóż czy granat. Do dziś moje konto pamięta ten zakup.

Przez chwilę zastanawiałem się, dlaczego go sobie sprawiłem. Chyba musiało to być w czasach mojego najbardziej intensywnego randkowania. Nie były to dobre wspomnienia, zapewne przyznają mi rację wszyscy użytkownicy randkowych aplikacji. I to z obu stron boiska.

Odłączyłem opakowanie z mikroelementami i w nowym stroju zbiegłem do garażu. Zadzwoiłem jeszcze do Bleescha i po upewnieniu się, że jest już w drodze, wyjechałem z garażu. Na pytanie Creepa, czy nie wolałbym użyć strefy powietrznej, odpowiedziałem, że na latanie przyjdzie jeszcze czas. Wziąłem to za dobry omen, chociaż było to trochę nazbyt optymistyczne. Jednak inne opcje już dawno się wyczerpały.

Było ciemno i oświetlona katedra, w którym mieściło się laboratorium Sigmunda, wciąż robiła ogromne wrażenie. Zalegający wszędzie śnieg zwiększał jeszcze tę grę światła, więc zrezygnowałem z podziemnego parkingu i zatrzymałem dżipa w miejscu, skąd miałem doskonały widok na fasadę. Kiedy to wszystko się skończy, zrobię sobie tutaj kilkugodzinny, zimowy piknik, żeby tylko kontemplować ten widok.

„Marzenia to jedynie delikatne pojękiwania z nicości”, jak mawiał mój dziadek, więc potrząsnąłem głową, odganiając przyjemne myśli i szybkim krokiem przeciąłem plac, by po chwili być już obok recepcji. Niezawodny pracownik roku, czyli sztuczna inteligencja Rava tradycyjnie pozdrowiła mnie dystyngowanym skinieniem głowy. Odpowiedziałem tym samym, po czym rozejrzałem się po głównej nawie. Napotkałem sporo medytujących osób. Znacznie więcej niż ostatnio.

Po wejściu na pierwszy stopień schodów, te ruszyły, zabierając mnie na poziom minus pięć, gdzie mieściło się laboratorium Sigmunda. W ciągu ostatniej doby odwiedziłem to miejsce stanowczo zbyt wiele razy. Nawet strażnicy, którzy zawsze poddawali mnie szczegółowej kontroli, tym razem machnęli ręką i po prostu mnie przepuścili. Nie było czego świętować. Jeśli strażnik nie chce cię sprawdzić, oznacza to tylko jedną rzecz. Masz na twarzy wypisane słowo „problemy” i to tak grubym

flamastrem, że nikt nie chce cię dodatkowo pograżać. W moim przypadku potwierdzało się to całkowicie.

Sigmund siedział przy biurku i był zajęty pracą nad jakimś modulem, czyli nowy rok nie zmienił jego przyzwyczajęń. Jediną różnicą był Kamper leżący kilka metrów dalej, z którego wystawała ogromna ilość rurek, przyrządów i czujników. Dodatkowo w całym laboratorium dało się słyszeć miarowe pikanie oznaczające kolejne uderzenie serca właściciela „Retro Dinosaur”. Monitor wskazywał 47 uderzeń na minutę, co nawet dla osoby bez szczególnej medycznej wiedzy było raczej słabym wynikiem.

Przystanąłem obok pseudo szpitalnego łóżka i spojrzałem na nieprzytomnego przyjaciela. Rzadko kogoś tak nazywałem, ale Kamper chyba na to zasługiwał. Wiele razy wyciągnął mnie z kłopotów, teraz razem z Sigmundem próbowaliśmy uratować jego. Jednak patrząc na bladą twarz i zamknięte oczy, na razie nie wychodziło nam to zbyt dobrze. Miałem to dziwne przeczucie, że Kamper jest ważnym elementem potrzebnym do rozwiązania zagadki porwania mojej córki. Niestety na razie rzeczony fragment znajdował się na metaforycznym dnie jeziora, a nikt z nas nie umiał zanurkować tak głęboko. Tak, wiem. Za te quasi poetyckie porównania kiedyś mnie zamkną. Na pieprzone dożywocie.

– Coś się polepszyło? – spytałem.

– Trochę go ustabilizowałem – odpowiedział Sigmund, nie odrywając dłoni od przyrządów. – Dwa razy próbowałem wybudzania ze śpiączki, ale skutki były odwrotne od zamierzonych.

– Śmierć kliniczna?

– Pierwsza na dwadzieścia sekund, druga na siedem.

Wypuściłem głośno powietrze.

– Świetnie. Można powiedzieć, że się poprawia.

Sigmund tylko pokręcił głową, a ja zrozumiałem jego przygnębienie podczas ostatniej rozmowy. Nie chciał dostawiać tutaj kolejnego łóżka albo kupować jakiegoś tandetnego pucharu na moje prochy. Chyba nigdy się nie zastanawiałem, w czym chciałbym przechowywać swoje skremowane ciało po śmierci. Oczywiście miałbym mało do gadania, ale obstawiam, że najlepiej czułbym się w futerale od gitary. Całym obklejonym różnymi wlepkami i wypełnionym podpisami znajomych. Tak, bez wątpienia mógłbym się tam rozgościć.

– Mówiłeś, że masz coś dla mnie – powiedziałem, podchodząc bliżej biurka.

– Już prawie skończyłem, możesz się rozebrać od pasa w górę.

– Od kobiet zawsze słyszę na odwrót – odparłem, powoli ściągając część kombinezonu, który na szczęście można go było swobodnie rozłączyć.

Sigmund wysoko uniósł brwi.

– Uważaj, bo uwierzę.

– Naprawdę – skwitowałem. – Zawsze mówią mi na odwrót: „lepiej się ubierz Gustav”.

– Taką odpowiedź jestem w stanie zaakceptować.

Może się nie roześmialiśmy, ale u obu z nas zagościł mały uśmiech. Mimo że poziom żartu niebezpiecznie ocierał się o humor wstawionego wujka na rodzinnej imprezie.

Usiadłem na fotelu, a po chwili Sigmund obniżył oparcie, zmieniając moją pozycję na leżącą. Dostałem znieczulenie w lewą rękę, a miłe uczucie odrętwienia szybko rozlało się po ciele.

– I jak ten moduł ma mi pomóc? – spytałem, patrząc na wielokątny, metalowy przedmiot, który Sigmund wciąż trzymał w dłoniach.

– Kojarzysz jak wygląda niebo w Strefie?

– Rzadko tam randkuję.

Mechanik pokręcił głową.

– Nie mamy czasu Gustav – oznajmił, wskazując na zegarek. Miał rację.

– Jasne, przepraszam. Z tego co pamiętam, ta dzielnica jest zamknięta od góry specjalnym przekryciem.

– Właśnie. Tak naprawdę jest to tworzywo składające się z wielu warstw. Spełnia kilka funkcji. Zapobiega wejściu niepowołanych osób na przykład przy użyciu spadochronu, udaremnia wszelkie ataki powietrzne oraz zakłóca skrypty śledzące. Nikt z zewnątrz nie wie, co się dzieje w środku. Ale ta powłoka spełnia też inną, ważną rolę. Blokuje ucieczkę. Rozumiesz, co to znaczy?

Skinąłem głową.

– Jak coś się stanie, ja i Bleesch będziemy w pułapce bez wyjścia.

Sigmund obrócił się na krzesło i wystukał kilka komend na klawiaturze. Po chwili na monitorze pojawiło się kilka rysunków technicznych.

– Dostałem kilka miesięcy temu zlecenie, którego ostatecznie nie przyjąłem, tłumacząc to zbytnim skomplikowaniem. Dostarczono mi fragment powłoki ze Strefy. Wystarczająco duży, abym mógł ją dokładnie zbadać i znaleźć słabe punkty. Musiałem go w końcu oddać, ale miałem już w systemie dokładny, cyfrowy model. Pozwolił mi opracować ten wszczep. – Sigmund obrócił w dłoniach wielokątny przedmiot. – To nadal prototyp, ale powinien zadziałać.

– W jaki sposób?

– Jest połączony z kilkoma dronami, które cały czas będą krążyć w odpowiedniej odległości od Strefy. Jak wiesz, wszelkie zewnętrzne sygnały są zakłócanie przez powłokę, ale studiując jej konstrukcję, udało mi się znaleźć sposób, aby to obejść. Gdy znajdziecie się w potrzasku, pole siłowe wyniesie was w pobliże przekrycia, a drony zajmą się resztą. Zrobią otwór w powierzchni, przez który was wyciągną.

– Nie ma tam przypadkiem jakichś działek przeciwlotniczych?

– Są, dlatego do ewakuacji wybrałem drony, zamiast nawet małego samolotu. Mają nieduży rozmiar, a razem z systemami zakłócającymi będą praktycznie nie do namierzenia.

– Mam nadzieję, że dadzą radę nas unieść. My tacy mali już nie jesteśmy.

Mechanik głośno się roześmiał.

– Gdyby chodziło o Kampera, trochę bym się zastanawiał, ale w waszym przypadku nie powinno być żadnego problemu.

Spojrzałem w stronę łóżka, na którym znajdował się właściciel Retro Dinosaur.

– Mam nadzieję, że jeszcze polatamy z tym szefem fanklubu burgerów – powiedziałem, a przez kolejne pół godziny Sigmund nie odezwał się ani słowem, montując moduł pod moim lewym żebrem. Aby zbalansować ilość wszczepów, musiał usunąć dwa implanty, ale wybrał najrzadziej stosowane urządzenia. Poczułem się niemal jak osoba z filmów retro, która musiała wybrać najmniej używane programy, aby zwolnić trochę miejsca na dysku. Na szczęście sto pięćdziesiąt lat później też pomogło, dzięki czemu uniknąłem zbyt częstego oglądania zawartości zołądka. Oczywiście nie całkowicie, bo już od dawna byłem blisko przedawkowania.

– Do przyszłych Świąt powinno wytrzymać – oznajmił z zadowoleniem Sigmund, wbijając ostatnie piny zszywające. Zaczęły boleć po piętnastu minutach, kiedy przestało działać znieczulenie. Na szczęście byłem przyzwyczajony, a w dodatku często bywało znacznie gorzej.

– Nie wykryją tego modułu przy samym wejściu? – spytałem, starając się nie dotknąć zszytego miejsca. W końcu stary sposób znany od dzieciństwa „masuj, gdzie boli” nie był najlepszym pomysłem zaraz po zabiegu.

– Nie powinni. To dosyć nowatorska technologia, a w dodatku jako główne funkcję implantu ich system wskaże filtrację lewej nerki.

Zmarszczyłem czoło.

– Nawala mi lewa nerka?

– Czasem trzeba troszkę posymulować.

Uśmiechnąłem się.

– Wiem. Przecież chodziłem do liceum.

Zacisnąłem zęby i powoli zszedłem z fotela. Pokuśtykałem do Kampera i przypatrując się jego nieruchomej twarzy, wykonałem połączenie do Rozalii. Odebrała praktycznie natychmiast.

– Hej Gustav – zaczęła i zrobiła długą pauzę, zupełnie jakby nie chciała powiedzieć kolejnej części zdania. – Za ile wchodzisz do Strefy? – Jej głos był inny niż zazwyczaj. Milszy. I mniej metaliczny.

– Myślę, że za niecałą godzinę. Dostałem przed chwilą wiadomość od Bleescha. Jest już prawie gotowy.

Kolejna chwila ciszy, jakby Rozalia wciąż próbowała dobrać odpowiednie słowa.

– Gdybyś czegoś potrzebował, nie krępuj się poprosić.

Westchnąłem.

– Dzięki, ale chyba nie masz jak mi pomóc. Jak wejdziemy do środka, będziemy zdani tylko na siebie. Wszelkie połączenia będą zablokowane.

– To pozostało mi tylko trzymać kciuki? – spytała z wyraźnym rozczarowaniem.

– W tym mieście takie rzeczy nie pomagają. Powie ci to każdy, kto stracił cały dobytek w kasynie mimo kciuków rozgrzanych do czerwoności. Ale mogę obiecać ci jedno. Sprowadzę Lenę z powrotem albo zginę próbując. – Czy ja właśnie sparafrazowałem kultową rap płytę?

– Dziękuję Gustav. Jak to wszystko się skończy, porozmawiamy na spokojnie i spróbuję ci wyjaśnić moje wcześniejsze decyzje.

– To już wtedy nie będzie miało żadnego znaczenia.

– Przecież wiesz, że to nadal ma znaczenie.

– Uwierz mi. Po sześćdziesiątce inaczej patrzę na pewne sprawy. Wszystkie skrajne emocje już dawno wyblakły. To, że odeszłaś... Może tak miało być.

– Zawsze słabo wychodziło ci kłamanie.

– Mylisz się – zaprotestowałem. – Gdyby nie ta umiejętność, nie byłbym jednym z najlepszych handlarzy broni w tym mieście. Jestem mistrzem tworzenia dobrych historii, a na tym właśnie polega obrót towarem. Na sprzedawaniu legendy.

– Może masz trochę racji, ale równie mocno się mylisz. – Rozalia cicho się roześmiała, po czym znowu na chwilę zamilkła. – Mam nadzieję, że wszystko się ułoży – dodała cichym głosem po kilkunastu sekundach.

– Musi – potwierdziłem, dopowiadając w myślach kilka przekleństw. – Mam jeszcze pytanie. Sprawdzając ponownie Zandera i Valery’ego? I pozostałych psychopatów z mojej listy.

– Przejrzałam wszystkich i znalazłam to samo co wcześniej. Są podejrzenie czyści i według rejestru nie popełnili żadnego wykroczenia od kilku lat. To może oznaczać tylko jedno.

– Ktoś wyczyścił im całą historię przegładarki.

– Ktoś dobry.

– Albo zawzięty.

– Często to oznacza to samo.

– Być może – mruknąłem. – Można go jakoś namierzyć?

– Próbowałam, ale ciągle kończyłam na tajwańskich serwerach na samym końcu Sieci.

– Skąd ja to znam – westchnąłem. – Dobra, muszę kończyć – dodałem, widząc lekko zirytowaną minę Sigmunda. Oczywiście zanim Rozalia się rozłączyła, kazała mi obiecać, że będę na siebie uważał. Zgodziłem się, chociaż nie miało to zbytniego przełożenia w rzeczywistości. Planując wejście do Strefy i gwarantować, że zachowa się czujność, było porównywalne z przyrzeczeniem babci, że będzie się grzecznym na imprezie rave. Należało po prostu przeżyć niezależnie od obrażeń.

Pożegnałem się z Sigmundem, który również życzył mi wszystkiego dobrego. Poczulem się niemal jak senior obchodzący imieniny, tylko nikt nie proponował mi wódki z pieprzem i serniczka. Chamstwo.

Kiedy byłem przy wyjściu z laboratorium, wpadłem na Taryę – wróżbitkę, która miała swój gabinet kilka poziomów wyżej.

– Witaj Gustavie – powiedziała, chwytając mnie za prawą dłoń. – Ja przychodzę, ty akurat wychodzisz. Myślisz, że to przypadek?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam pojęcia. A co piszą o takich zdarzeniach w twoich książkach od magii i czarodziejstwa?

Tarya szelmowsko się uśmiechnęła. Miała swoje lata, ale była niemożliwie intrygująca. Mam nadzieję, że kobiety widzą mnie w podobny sposób.

– Moje książki twierdzą, że przypadki nie istnieją.

– Musiałaś być bezbłędną podrywaczką w liceum.

Wróżbitka znowu się uśmiechnęła.

– Nadal nie wierzysz, że istnieje coś więcej? Równoległy świat, ale taki który nie jest Siecią.

– Wierzę tylko w Świętego Mikołaja, ale chyba obraził się na mnie dawno temu. Wrzucałem z kolegami petardy do komina i nie chciałem ubierać choinki. Nic nie poradzisz, Rudolf Czerwononosy na mnie zakapował.

– Wiesz, że żartowanie z wszystkiego to typowa reakcja obronna? W ten sposób bronisz się przed prawdą Gustavie.

– A jaka jest prawda według ciebie?

Tarya na chwilę przymknęła oczy, jakby chciała odczytać coś z wewnętrznej strony powiek.

– Chcę ci pomóc, bo widzę, jak cierpisz. Mimo że starasz się to ukryć. Dlatego wielokrotnie medytowałam, szukając odpowiedzi na temat zaginięcia twojej córki. Odpowiedzi są niejednoznaczne, nie chciałam ci ich przekazywać. Chaos drugiej strony jest często mylący i należy mieć bardzo otwarty umysł, żeby go zrozumieć. Myślę jednak, że powinienes poznać, co ma ci do powiedzenia.

– Chaos ma mi zawsze dużo do powiedzenia – westchnąłem. – Ale może masz rację i to nie przypadek, że się spotkaliśmy – dodałem, mając już trochę dość historii o chaosie i drugiej stronie. Czuję się niemal, jakbym słuchał wróżki za 4 kredyty na minutę. Wystarczyło trochę poczekać i zaraz zacnie mi wciskać zestaw garnków i kołder, po których znikną moje problemy z gotowaniem oraz bóle pleców. Chciałem wyrwać rękę i ruszyć na spotkanie z Bleeschem, ale z drugiej strony miałem wrażenie, że Tarya mimo swojego specyficznego połączenia z zakładem psychiatrycznym, naprawdę coś wiedziała. Pamiętałem też, jak przemówiła głosem Kampera podczas swojej wizji, dlatego skinąłem głową, aby mówiła dalej.

– Co zrobiłbyś z informacją, że według mnie odzyskasz Lenę, ale wcześniej dowiesz się, że nie jesteś tym, kim myślisz i wtedy dopiero ją stracisz.

Tarya ścisnęła moją dłoń mocniej, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że nie miała nic złego na myśli. Musiałem jeszcze raz powtórzyć jej słowa w głowie: „odzyskam Lenę, nie jestem, tym kim myślę, wtedy dopiero ją stracę”. Brzmiało to jak z poradnika początkującej wróżbiarki, gdzie wszystkie możliwe opcje występowały w jednym zdaniu, aby później nie dało się złożyć reklamacji.

– Wszystko brzmi całkiem prawdopodobnie – odpowiedziałem, żeby już tylko skończyć sarkastycznymi docinkami. – Zapewne...

– Zrozumiesz sens tej przepowiedni, dopiero jak wszystko się wydarzy.

– Właśnie to chciałem powiedzieć. – Wyswobodziłem dłoń z magicznego uścisku, widząc kątem oka, jak przypatruje się nam Sigmund. Czy randkowali? Być może dopiero zaczynali. W końcu po co Tarya miałaby tu przychodzić. Raczej nie chciała sprawdzić, jak czuje się Kamper, ani nie chciała wpaść na mnie, wierząc

w jakieś bzdurne przypadki. A z jej gadką biedny mechanik był kupiony w ciągu kilku minut. Niemal słyszałem słowa: „Wiesz Sigmund, to że się spotkaliśmy, to nie może być przypadek”. Uśmiechnąłem się. To nie pierwszy romans w pracy między piętrami firmowego budynku. Korporacje widziały coś takiego niejednemu raz. Patrząc na statystyki „limes dążył do nieskończoności”. Matematyczny żart. Przepraszam.

Pożegnałem się z Taryą, po czym wróżbitka ruszyła w stronę Sigmunda. Zanim wyszedłem z laboratorium, odwróciłem się. Dostrzegłem w ich oczach szczere życzenia, aby mi się udało. Uśmiechnąłem się i wziąłem to za dobry znak chaosu i drugiej strony.

Gdy znalazłem się na ruchomych schodach, zadzwoniłem do Bleescha.

– Gdzie jesteś? – spytałem, słysząc, że odebrał. Zamiast jego głosu, rozpoznałem na razie tylko warkot motoru i świst wiatru.

– Dwadzieścia minut mordo. Maksymalnie dwadzieścia pięć. – Większości słów musiałem się domyślić. Bleesch pewnie rozpędził się na obwodnicy, a mikrofon w kasku nie posiadał zbyt dobrego wygłuszenia środowiskowego.

– W porządku. Będę podobnie. Do zobaczenia.

Nie dosłyszałem żadnej odpowiedzi, tylko dźwięk zerwanego połączenia. Jasne. Motor nie został stworzony po to, aby ucinąć sobie na nim długie pogawędki. Zwłaszcza w zimę i przed odwiedzinami miejsca, w którym prawdopodobieństwo śmierci niebezpiecznie wzrastało.

Samochody na parkingu zdążyły pokryć się śniegiem, więc poprosiłem Creepa, aby włączył specjalny program dostępny w moim dzipie. Karoseria podgrzewała się na kilkadziesiąt sekund do ponad 170 stopni Celcjusza, dzięki czemu z białego puchu została tylko spora kałuża.

– Creep, autopilot do Strefy – powiedziałem, rozsiadając się komfortowo w fotelu. Najprawdopodobniej były to ostatnie wygody, jakie miały mnie spotkać w najbliższym czasie.

– Powinniśmy być na miejscu za około 13 minut i 47 sekund. Może trochę szarpać, ale zdaję sobie sprawę z pańskiego pośpiechu. Dlatego bardzo proszę o zapięcie pasów.

– Robi się – odparłem, a następnie zamknąłem oczy.

Faktycznie trochę szarpało, więc Creep, a tym samym ja, zapewne załapałaliśmy kilka zdjęć rozwodowych na fotoradarach. Oczywiście rozwodowych z prawem

jazdy. Na szczęście umiałem włamać się do bazy ruchu drogowego i sprawić, że odpowiednie organy zapomną, jak nierozważnym kierowcą jest sztuczna inteligencja Gustava Draga.

Gdy znajdowaliśmy się dwie minuty od wejścia do Strefy, włączyłem tryb skanowania środowiskowego. Wyniki specjalnie mnie nie zaskoczyły. Ulice roiły się od członków lokalnych gangów, których w mieście były ogromne ilości. Istnieje nawet powiedzenie, że każdego dnia w Shadow Villens ginie jeden gatunek zwierząt, a w tym samym czasie powstają dwie nowe grupy przestępcze. Matematyka nigdy nie sprzyjała temu miastu.

Zatrzymałem samochód niecały kilometr od miejsca docelowego i nakazałem Creepowi włączenie najbardziej zaawansowanego trybu czuwania połączonego z bojowym. Dżip praktycznie zamienił się w stalową kostkę, która była w stanie wytrzymać całkiem silne trzęsienie ziemi. Niestety gorzej było z pozostawieniem go na jakiś czas w tej dzielnicy, ale miałem nadzieję, że nikt ze złodziei nie połasi się na moje radio z bezbłędnym subwooferem. Naprawdę. Ten bas łamał żebra i zdolności słuchowe.

Dalej ruszyłem piechotą, starając nie przyciągać nieprzychylnych spojrzeń. Było to o tyle skomplikowane, że rzadko można było tu spotkać osobę w moim wieku, w dodatku o naturalnych, siwych włosach. Średnia długość życia lokalnych mieszkańców oscylowała pewnie około trzydziestki, a przyczyny ich śmierci zawierały się bez wątpienia w karnych paragrafach.

Dlatego skupiałem wzrok na architekturze, która przez ostatnie kilkadziesiąt lat nie zrobiła zbytniego postępu. Wręcz odwrotnie. Wysokie bloki potrzebowały czegoś znacznie bardziej inwazyjnego niż rewitalizacja. Stolarka okienna w wielu miejscach praktycznie nie istniała, co mogło być dosyć problematyczne podczas zimowych miesięcy. Farba na elewacji nie była w lepszym stanie. Od dawna nie widziała słońca, będąc przekryta grubą warstwą graffiti. Nieliczne place zabaw, w czasie bardziej sprzyjających warunków pogodowych, były najprawdopodobniej okupowane przez miejscowych osiłków.

Nawet nie chciałem wiedzieć, jak wyglądają ulotki reklamowe u agentów nieruchomości. Pewnie pomiędzy wierszami są widoczne kropelki potu, powstałe podczas wymyślania coraz bardziej przewrotnych haseł marketingowych.

Po kilku minutach marszu dostrzegłem Bleescha. Stał obok swojego motoru i niespokojnie palił papierosa mimo padającego śniegu. Palacze to naprawdę dziwny rodzaj ludzi i wiem to także po sobie. Ściągną chmurę w najbardziej nieprzychylnych warunkach.

Gdy przemytnik mnie dostrzegł, wyrzucił niedopałek, który natychmiast zniknął w grubej warstwie śniegu.

– Cześć Gustav – rzekł, a ja od razu wyczułem nerwowy ton głosu. Nie doczekałem się przecież klasycznego „mordo” na powitanie. Gdyby nie aktualna sytuacja, uznałbym to za mocno podejrzaną.

– Hej Bleesch – odparłem, lekko dysząc. Musiałem złapać kilka większych haustów powietrza, bo moja forma połączona ze zmęczeniem była daleka od

ideału. Niestety wypad na siłownię na razie nie znajdował się nawet w pierwszej dziesiątce noworocznych postanowień.

– Lekki bezdech? – zaniepokoił się Bleesch.

– Zobaczysz po sześćdziesiątce.

– Gadasz jak moja matka.

– Bardziej jak starszy kolega z sanatorium – wychrypiałem, zastanawiając się, czy po tym wszystkim nie zamówić u Sigmunda wymiany płuc. Nawet nie chciałem liczyć, które by to już były.

Przemytnik wreszcie się uśmiechnął, szturchając mnie lekko w ramię.

– Mamy jakiś plan? – spytałem, patrząc w stronę wejścia do Strefy.

– Taki jak zawsze. Nie zginąć, a jeśli już, to nie oddać cyców za darmo.

– Brzmi nieźle – zauważyłem. – Cokolwiek to znaczy.

Bleesch znowu wrócił do poważnej miny.

– Mordo, wiem, że to zawsze ty rządzisz, ale w tym miejscu działamy inaczej. Jeśli powiem ci, że strzelamy, to strzelamy. Jeśli, że uciekamy, to uciekamy. Nie będzie tu czasu i pieniędzy na zbędne dyskusje. Ego schowaj głęboko w gaciach i to od tej strony, gdzie masz niedopieczone buły.

– Brzmi w porządku – potwierdziłem. – Cokolwiek znowu to znaczy.

– Masz to, o co cię prosiłem? – spytał przemytnik, obserwując teren dookoła. Blisko kręciło się sporo osób, ale nikt nie zwracał na nas większej uwagi. Zapewne chwilowo.

– Jasne. Już ci daję – odparłem, wyciągając kartę pamięci schowaną w lewym przedramieniu. – Masz tu dane biometryczne nie tylko Zandera i Valery’ego, ale też innych psychopatów, którym napsułem trochę krwi. – Musiałem podać je Bleeschowi starszkołnym sposobem, czyli na zewnętrznym nośniku danych. Każda próba przesłania tych informacji poprzez Sieć zostawiłaby ślad, a obaj wiedzieliśmy, że w Strefie poziom kontroli był niezwykle szczegółowy. I tak już cholernie ryzykowaliśmy, nie potrzebowaliśmy dodatkowych atrakcji.

– Świetnie – skwitował nietypowy prezent Bleesch, po czym włożył kartę do gniazda w szyi. Przez kilka sekund jego niebieskie oczy przybrały biały kolor, co było oznaką kopiowania plików na wewnętrzny system operacyjny. – Możemy iść – oznajmił po chwili, ruszając w stronę głównego wejścia do Strefy. Po kilku krokach się odwrócił i dziwnie spokojnym głosem powiedział:

– Jeśli twoja córka naprawdę tu jest, znajdziemy ją. Masz moje słowo Gustav.

Pozostało mi tylko lekko się uśmiechnąć i skinąć głową.

Rozdział 9

„Strefa”

Przeszliśmy szybkim krokiem niecałe czterysta metrów i stanęliśmy w kolejce, która składała się z około trzydziestu osób. Tak jak wspominałem, kontrola była tu naprawdę dokładna, więc czekało nas czterdzieści pięć minut na mrozie, w dodatku wśród mało przyjaznych gości.

Rozejrzałem się dookoła. Oprócz wspomnianych wcześniej przyjemniaczków, dostrzegłem kilkoro umundurowanych mężczyzn w kominiarkach. Pełnili oni w Strefie rolę służb porządkowych. Przynajmniej odkąd przestała przyjeżdżać tutaj policja. Mieli na wyposażeniu cały arsenał nowoczesnej broni, co skutecznie odstraszało głupie pomysły wśród uczestników kolejki. Do momentu przekroczenia wejścia każdy był tu grzeczny jak na urodzinowym obiedzie u babci. Niestety mało kto mógł liczyć na darmowe prezenty.

– Jakież rady podczas kontroli? – spytałem Bleescha, który wciąż był wyraźnie poddenerwowany. Dla postronnych osób mógł się wydawać odprężony i zrelaksowany, jednak znałem go doskonale. Po niemal niedostrzegalnych ruchach, mogłem wywnioskować, że kotłuje się w nim zbyt dużo myśli. Niestety ich nadmiar był największym wrogiem każdego przemytnika. Zupełnie jakby zasilalo to wirtualną, czerwoną żarówkę, która zwracała uwagę strażników. Jednak nie mogłem się dziwić. W końcu miał teraz do przemycenia najtrudniejszy towar w swojej karierze. Mnie.

– Kiedy ostatnio coś przemycałeś? – Głos Bleescha brzmiał trochę inaczej, bo chwilę wcześniej aktywowałem program szyfrujący naszą rozmowę, tworząc kolejny język, który rozumieliśmy tylko my dwaj.

– Kiedy ostatnio coś przemycałem? – Wzruszyłem ramionami. – Chyba Ptasie Mleczko do salonu, ukrywając się przed Leną. Aktualnie zlecam to innym.

– Wymownie spojrzałem na przemytnika.

– Bogacze – zaśmiał się Bleesch. – Szybko zapominacie, jaki kształt ma dno.

– Potraktuję to jako komplement.

– Żartowałem mordo. Wiem, że znasz się na temacie nie gorzej niż ja, ale pamiętaj, że jak będziemy już w środku, to nie zadziałają twoje super bohaterskie sztuczki. Od razu wykryją, że zrobiłeś wytrych w ich systemie. A tutaj bardzo tego nie lubią.

– Coś nam wtedy grozi?

– Ciężko powiedzieć, ale raczej żadne przyjemne masaże. Obstawiałbym, że będziemy prosić, żeby nas dobili.

– Milutko. Na starość kocham takie atrakcje.

Bleesch przewrócił oczami, spodziewając się, że nie będzie łatwo. Zapewne miał rację.

Przez kolejne dłużące się minuty kolejka przesuwała się całkiem sprawnie. Ilość umundurowanych najemników wzrastała, a ja miałem trochę czasu, żeby dokładniej przyjrzeć się otoczeniu Strefy. Żałowałem, że nie mogę użyć żadnych skanerów, ale wierząc plotkom, tutejszymi zabezpieczeniami zajmowali się najlepsi hakerzy w kraju, którym mogłem co najwyżej czyścić klawiatury. Wolałem teraz nie sprawdzać, czy to prawda.

Mur okalający ten przestępczy dystrykt miał około piętnaście metrów i co dziwne żaden fragment nie był pokryty graffiti. Była to spora ironia losu, że najprawdopodobniej tutaj przetrzymywano Lenę. Zawarłem w myślach naiwną umowę, że kiedy to wszystko się skończy, wrócę tu z moją córką i namalujemy na jego powierzchni duży szablon. Naturalnie w trochę mniej strzeżonym miejscu.

– Identyfikacja – rzekł zamaskowany strażnik, kiedy znaleźliśmy się przy bramie wejściowej. Był wysoki i napakowany, więc raczej nie dostał pracy po znajomości. Mierzył ponad dwa metry, a budowa jego ciała pozwalała przypuszczać, że nie dorobił się muskulatury na legalnych środkach. Posłusznie wyciągnęliśmy prawe dłonie, a strażnik zeskanował je w kilku miejscach.

– Przestępcy w tym mieście są gorsi niż policja – pomyślałem, zachowując uwagę dla siebie. Żartowanie z tym olbrzymem mogło skończyć się wizytą u chirurga szczękowego. W najlepszym wypadku.

– Wasza przepustka będzie obowiązywać 24 godziny. Później musicie opuścić Strefę. Jeśli oczywiście uda się wam przejść odprawę – rzekł umięśniony strażnik, a następnie podał nam dwie karty pamięci, które razem z Bleeschem włożyliśmy do gniazd poniżej nadgarstków. Blokowały działanie większości wszczepów na terenie Strefy. Jeśli spróbowalibyśmy je wyjąć, obok nas prawie natychmiast pojawiliby się strażnicy.

Następnie mężczyzna pobrał bezzwrotną opłatę w wysokości pół tysiąca jednostek kryptowaluty. Całkiem drogo. Nawet nie chciałem wiedzieć, ile ciekawych rzeczy kupiłbym za to na aukcjach w underNecie.

Ruszyliśmy dalej, jednak olbrzym najwidoczniej nie skończył. Chwycił mnie za ramię i przesunął z powrotem, zupełnie jakby przypomniał sobie o ważnym punkcie na liście zakupów. Niestety nie byłem chodzącą metaforą lodów waniliowych, bardziej suchym bakłazanem.

– Gustav Drag? – spytał, a ton głosu nie zwiastował nic dobrego.

Skinąłem głową.

– Nie oddalaj się zbyt od kolegi – oznajmił, wskazując wzrokiem Bleescha.

– Wchodzisz tylko dzięki niemu.

Chciałem odpowiedzieć, że czuję się jak student próbujący dostać się do popularnego klubu w szortach i sandałach. Oraz dwudniowych skarpetach. Na szczęście kolejny raz udało mi się powstrzymać głupią odzywkę i tylko skinąłem głową. Tym razem nas przepuścił, dając mi jeszcze charakterystyczny znak palcami, abym nie zapomniał wcześniejszej rady.

– O co mu chodziło? – spytałem Bleescha, kiedy szliśmy przez korytarz prowadzący do stanowisk rewizji osobistej.

– Pewnie wyświetliłeś się w systemie na pomarańczowo.

– Czyli mogę wejść, ale jedynie z kimś posiadającym wyższą rangę w tym popieprzonym miejscu?

Bleesch nagle się zatrzymał i chwycił mnie za ramię. W korytarzu panował półmrok, więc moją zbytnią uwagę przykuwały neonowe zęby przemytnika.

– Gustav, mówiłem ci, że nie będziesz tutaj żadnym superbohaterem. Jesteś w tym miejscu ponad sześćdziesięcioletnim emerytem, który nie może używać hakerskich zdolności, ani wnieść swojego okazałego arsenału broni. Wiem, że to trudne do zaakceptowania, ale z drugiej strony pomyśl, co by tu się działo, gdyby każdy mógł tu wejść ze swoimi zabawkami. To jakby dać więźniom na spacerunku po dwa karabiny i czekać na rozwój wydarzeń.

– Wtedy problem więziennictwa sam by się rozwiązał – skwitowałem, przyznając Bleeschowi rację. Byłem tutaj zdany na niego i musiałem to zaakceptować. Mimo wszystko bez swojego standardowego uzbrojenia i skanerów środowiskowych czułem się nieprzygotowany oraz zależny od innych. Od zawsze tego nienawidziłem.

Kolejni strażnicy stojący na końcu korytarza byli już zniecierpliwieni i przywołali nas nerwowym ruchem ręki, jednocześnie wykrzykując jakieś przekleństwa. Stawiam, że obsługa klienta prezentowała się tu znacznie gorzej niż na najgorszym lotnisku. Każdy miał gwarancję, że przetrzepią jego metaforyczną walizkę.

Podobnie jak przy wejściu obaj mężczyźni byli zamaskowani, a nadgorliwa ekspozycja uzbrojenia znowu miała wybić wszystkim z głowy nierozważne pomysły. Zanim podszedłem do strażnika po prawej, wprowadziłem do krwioobiegu dodatkową porcję środka uspokajającego. Był praktycznie nie do wykrycia, a znacząco obniżał ilość uderzeń serca na sekundę. Jeśli chciałem wnieść tutaj dwa pistolety ukryte w skrytce pod żebrami, musiałem być zrelaksowany jak podczas urlopu na Malediwach. Naprawdę przydałoby się jeszcze kilka drinków z palemką.

Dwie bramki przez które przeszedłem, zamigotały niczym świąteczna choinka. Nie zdziwiłem się. Moje ciało zawierało taką ilość różnorodnych stopów metali, że gdyby kontrola nic nie wykazała, mógłbym pisać reklamację do Sigmunda.

– Chcesz coś zgłosić? Jakąś broń? Teraz jestem jeszcze miły – zapytał strażnik, prowadząc mnie do trzeciej bramki kontrolnej. Była znacznie dłuższa niż dwie poprzednie, co wskazywało na większą szczegółowość. Niemal poczułem, jak skrytka zapiekła mnie pod lewym żebrem.

– Nie. Nic nie zgłaszam – odparłem najbardziej opanowanym głosem. – Mam syntetyczną wątrobę, płuca oraz zespoloną tarczę chroniącą organy wewnętrzne i kręgosłup. Plus sporo elektroniki potrzebnej do skanerów środowiskowych – wyjaśniłem, wciąż tym samym tonem à la „Pan spokój i harmonia”.

Tak naprawdę nie wymieniłem nawet jednej trzeciej swojego wesołego miasteczka, ale wiedziałem, że te implanty będą najbardziej widoczne. Musiałem dać

mu trochę prawdy, żeby nie chciał szukać kłamstwa. Cholera. Chyba już używałem tego tekstu.

Wchodząc do bramki, kątem oka spojrzałem na Bleescha. Przeszedł już kontrolę i natychmiast dostrzegłem, dlaczego jest takim dobrym przemytnikiem. Nie było po nim widać najmniejszego zdenerwowania i aktualnie prowadził luźną rozmowę ze strażnikiem. Zupełnie jakby znali się od lat. Ciekawe czy starał się tłumaczyć, że jedynie zabrał dziadka na dziewczyny.

Gdy znajdowałem się wewnątrz bramki, poczułem nieprzyjemne mrowienie. Skaner miał sporą siłę, ale wierzyłem, że moje oprogramowanie maskujące, które działało w tle, pozwoli mi na wniesienie do Strefy tych dwóch pistoletów.

– Pan bogaty mi się trafił – zarechotał strażnik, wprowadzając coś do interfejsu.
– Mało kto ma takie wyposażenie. Pierwszy raz w Strefie?

Był w dobrym humorze. To dobry znak. Chyba.

Z drugiej strony nazwanie mnie bogatym mogło trochę skomplikować sytuację.

– Byłem tu dawno temu – wyjaśniłem.

– Wielki powrót?

– Szczerze? Wątpię. Ale może uda kupić się parę przydatnych gadżetów.

– Wiadomo – przeciągnął to słowo niczym średnio rozgarnięty licealista. Tak naprawdę mógł być niewiele starszy. – Mamy tu sporo rzeczy. Ostatnio sam się nieźle szarpnąłem na trochę stafu. – Gdyby nie ścianki oraz maska, zapewne zobaczyłbym krzywy uśmiech i gestykulację palcami oznaczającą „trochę stafu”. U każdej osoby te słowa zawsze znaczą trochę coś innego. Złote Myśli, dodajcie proszę kolejny cytat do listy. Z fanfarami. I odrobiną stafu.

Westchnąłem i miałem dziwne przeczucie, dlaczego kolejka przesuwiała się tak powoli. Może wszystko nieprzypadkowo trwało tak długo. Strażnik mozolnie przeprowadzał procedury, w międzyczasie mnie zagadując, bo coś podejrzewał i zdążył wezwać wsparcie. Oczami wyobraźni zobaczyłem kilkunastu najemników, którzy nie zadają mi głupkowatych pytań o pierwszą wizytę, tylko kładą mnie i Bleescha na głębę, po czym sprawdzają naszą odporność na ołów. Dla jasności. Nie była zbyt wysoka.

– Proszę nabrać powietrza i przytrzymać je kilka sekund – poinstruował mnie strażnik. Wykonałem polecenie, niepokojąc się dziwnym zachowaniem. Naprawdę istniała spora szansa, że mężczyzna grał na zwłokę. Mimo zdenerwowania serce biło mi równomiernie, idealnie mieszcząc się w granicach normy.

– Dobra, wszystko w porządku. Może już pan do mnie podejść – rzekł mężczyzna, wciąż tym samym, denerwującym tonem. Coś tu niewątpliwie nie pasowało. Zupełnie jak barman, który zaczyna stawiać ci drinki. Jednak znowu pokornie wypełniłem polecenie, a kiedy stanąłem obok, poczułem tępy ból przy lewej skroni i momentalnie pociemniało mi przed oczami.

Ostatnie słowa, które przeszły mi przez głowę, stanowczo nie nadawały się do Złotych Myśli.

Spróbowałem otworzyć oczy, jednak ból po lewej stronie czaszki nadal był trudny do wytrzymania. Musiałem stracić przytomność przynajmniej na kilka sekund. W tym czasie upadłem, uderzając prawym łokciem o betonową posadzkę. Bolało jak diabli, więc mogłem się już pożegnać z tytułem osiedlowego mistrza tenisa.

Gdy obraz znowu stał się odrobinę bardziej wyraźny, zrozumiałem, co się stało. Kilkanaście centymetrów od mojej twarzy unosił się hologram z krótką wiadomością. Zostałem zhakowany i to jakąś zmodyfikowaną metodą brute force, która przeszła jedynie przez podstawowy poziom mojej zapory. Zakląłem w myślach. Prosty i niezbyt wyszukany atak, w dodatku mocno podrażnił połączenia nerwowe, bo pulsujący ból nie pozwalał o sobie zapomnieć. Później będę musiał to przeanalizować i znaleźć lukę. Niestety aktualnie miałem ważniejszą sprawę przed oczami.

Moje źrenice potrzebowały restartu i trochę czasu, aby złapać całkowitą ostrość. Na szczęście w końcu zaczęły pracować normalnie i byłem w stanie przeczytać komunikat hologramu. „5000 jednostek kryptowaluty albo zaraz będziemy mieli gości. PS. Fajne żeberka.”

Rozwiązanie zagadki było zgodne z moim podejrzeniami. Skaner wykrył skrytkę pod żebrami, a teraz otrzymałem ofertę nie do odrzucenia.

Spojrzałem na strażnika. Mimo maski, widziałem, jak na jej powierzchni odznacza się szeroki i głupkowaty uśmiech. Wątpiłem, że to on przeprowadził włamanie, wydawał się na to zbyt amatorski. Stawiam, że był w zмовie z jednym z hakerów monitorujących Strefę i razem próbowali sobie po prostu dorobić. W końcu czego mogłem się spodziewać po miejscu stworzonym przez przestępców. Sam byłem jednym z nich, tylko od dawna uprawiałem ten fach w białych rękawiczkach i z dużo większymi cyferkami.

Zakląłem w myślach. Próba dostania się do Strefy okazała się skokiem na główkę do basenu wypełnionego błotem. Naprawdę ciężko się tutaj pływało, ale musiałem coś zrobić. Zapłata strażnikowi nie była problemem, posiadałem wielokrotnie więcej jednostek kryptowaluty. Jednak nie miałem też żadnej gwarancji, że po wykonaniu transferu mężczyzna i tak nie wezwie wsparcia. Raczej nie było co liczyć na fakturę albo podpisany dowód wpłaty.

Nagle usłyszałem głośne krzyki na drugim końcu korytarza, od strony głównego wejścia, gdzie chwilę wcześniej zapłaciłem za wstęp pierwszemu strażnikowi. Z początku pomyślałem, że to wspomniane wsparcie, ale na szczęście tym razem się myliłem. To następne osoby z kolejki zaczęły się awanturować, dobitnie narzekając na czas oczekiwania.

– Najwidoczniej wszyscy bramkarze są tu w pieprzonej komitywie wyłudzenia pieniędzy – pomyślałem, przekręcając głowę w stronę, gdzie powinien znajdować się Bleesch. Stał tam z uniesionymi rękami. Strażnik numer trzy mierzył do niego z pistoletu, a neonowe zęby Bleescha jakby trochę wyblakły.

– Zaje – kurwa – biście – wycodziłem przez zęby, rozpoczynając transfer kryptowaluty na wskazany w hologramie cyfrowy portfel. Jednocześnie złamałem ustalone zasady, bo dodałem do transakcji dobrze ukryty skrypt śledzący. Wiedziałem, że istnieje spora szansa na wpadkę, jednak nie mogłem pozwolić, żeby się tak po prostu poddać. Póki nie odnalazłem Leny, byłem tu grzecznym dziadkiem i niekonfliktowym emerytem, ale to się później zmieni. Niemal poczułem krew w ustach. Czasami to całkiem miłe uczucie.

– Przelew poszedł – oznajmiłem, powoli wstając i rozmasowując zbity łokieć.

– Świetnie – ucieszył się strażnik. – Jak tylko dostanę potwierdzenie, wtedy puścimy was dalej.

– Także świetnie – syknąłem, przedrzeźniając go. Łokieć bolał jak diabli, zapewne kilka chrząstek zatańczyło nie w tym kierunku. Miałem tylko nadzieję, że moje ubezpieczenie zdrowotne nie skończyło się 31 grudnia.

– Dobra, jest okej – potwierdził mężczyzna. – Teraz spierdalajcie dalej. I to szybko.

Strażnik mierzący w Bleescha opuścił broń, a następnie szybko schował ją do kabury przypiętej do paska. Bleesch podszedł do mnie, niewątpliwie chcąc potwierdzić, że wszystko u mnie w porządku.

– Ruchy, ruchy dziewczęta. Kurwa, poplotkujecie sobie później – krzyknął „mój” strażnik. Najwidoczniej przestał być już taki miły po zaksięgowaniu przelewu. Z doświadczenia wiem, że na tę przypadłość cierpi naprawdę wielu kontrahentów.

Bleesch długo się nie zastanawiał, tylko chwycił mnie za ramię i ruszyliśmy w stronę ostatnich drzwi dzielących nas od Strefy. Usłyszałem jeszcze kroki z drugiej części korytarza, więc przez pierwszą kontrolę przeszły kolejne osoby.

Jednak wcale nie miałem zamiaru się odwracać.

– Mordo, wszystko w porządku? – spytał Bleesch, kiedy znaleźliśmy się już wewnątrz dzielnicy bandytów, łotrów i oprychów. Przemile towarzystwo. W dodatku bardzo możliwe, że gdzieś tutaj znajdowała się moja córka. Nie wiem, czy mogło być bardziej „nie w porządku”.

– Bywało lepiej – wychrypiałem, a później zaniósłem się suchym kaszlem.

– Te szmaty cię zhakowały?

– Wątpię, że to oni. Raczej ich znajomy, który nie wpieprza podwójnej porcji sterydów na podwieczorek. Ale to oni wykryli moje dwa pistolety w schowku pod żebrami, co raczej nie ucieszy Sigmunda. Ale włamałem się naprawdę sprytnie.

– I to kurwa jak – niepotrzebnie podekscytował się Bleesch. – Wyglądałeś, jakbyś dostał w głowę z porządnego bejsbola, tylko istniał mały problem. Nie było żadnego bejsbola. Po prostu nagle twoja głowa wrzuciła bieg wsteczny i docisnęła gaz do podłogi.

– Bywa. Wyliżę się. Wkurza mnie tylko, że później takie cwaniaki później balują za moje krypto.

– Ile chcieli?

– Pięć tysięcy.

– Cholera. Na grubo. Ale słyszałem o takich akcjach. Gdy widzą, że ktoś coś przemyca, a można od niego wyciągnąć trochę hajsu, to dają propozycję nie do odrzucenia. Szkoda, że trafiło na ciebie, ale te dwa pistolety mogą się nam przydać. Fakt, że trochę drogo.

– Spluczę się w tym miejscu bardziej niż na ustawionych zakładach, gdzie to nie ja znam wyniki – westchnąłem, sprawdzając saldo kryptowaluty. Nie było źle, ale i tak dokupiłem trochę jednostek. Na wszelki wypadek.

– Także pamiętaj – zaczął Bleesch. – Musisz na jakiś czas musisz zapomnieć o swojej pelerynie superbohatera.

– Wiem. Pozostał mi tutaj tylko szlafrok emeryta – odparłem. – Najgorsze, że bez ciebie nie wiedziałbym nawet, gdzie teraz zacząć – dodałem, rozglądając się po Strefie. Natychmiast przytłoczyła mnie ilość ludzi, którzy mieli powiązania ze światem przestępczym. Czyli wszyscy. Jakby brakowało na planszy normalnych obywateli, których największym wykroczeniem był mandat za nieopłacone parkowanie przy supermarkecie. Normalnie nikt nie zwraca na to uwagi, ale czułem się, jakby wszyscy bandyci w mieście dostali przepustkę, aby znaleźć tutaj zaginiony prezent na Gwiazdkę. W dodatku im bardziej nielegalny, tym bardziej Śnieżynka się ucieszy.

– Dlatego zabrałeś mnie – roześmiał się Bleesch. – Coś wymyślimy. Rozpytam parę osób i w końcu trafimy na Zandera i Valery’ego.

– Jeśli nadal tu są – wtrąciłem.

– Są.

– Skąd ta pewność?

– Wjechali samochodem, czyli są wysoko w hierarchii. Wiesz jaki to problem, dostać przepustkę na furę? Próbowałem nieraz. Takie osoby nie przyjeżdżają wtedy tylko na weekendy. Zresztą pomyśl. Jeśli twoja teoria jest prawdziwa i naprawdę Lena jest w Strefie, a ci degeneraci ją przetrzymują, to po co mieliby ją gdzieś przenieść? Nie ma chyba bezpieczniejszego miejsca dla zbójów w całym Shadow Villens.

– Brzmi sensownie.

– Bo jest całkowicie legitne – oznajmił z neonowym uśmiechem się Bleesch. – Dobra, muszę zadzwonić. Daj mi chwilę – dodał, a następnie wyjął z lewego przedramienia stary telefon komórkowy, który wyglądał jakby miał 150 lat. Przemytnik chyba zauważył mój zdziwiony wzrok, bo zabrał się za wyjaśnienia.

– Nie mówiłem ci? Tutaj można używać tylko starych telefonów z dwoma kolorami i prawdziwymi przyciskami. Żadnych dotykowych ekranów, żadnych aplikacji, tylko połączenia i wiadomości tekstowe. Serio. Jakikolwiek zdjęcie na tym ekranie wygląda jak rysunek przedszkolaka.

– Jestem fanem retro, więc kojarzę ten model. Ale myślałem, że używają go tylko dinozaury w muzeum.

– I najgorsze zakapiory ze Strefy – zaśmiał się Bleesch. – Dobra, cicho na chwilę. Dzwonię – dodał, a następnie przyłożył słuchawkę do ucha. Jak widać, w Strefie pracuje się w bardzo starszkołnym stylu.

– Cześć Vampir – zaczął przemytnik, a ja momentalnie uniosłem jedną brew. – Już jesteśmy. Masz teraz czas?

Dało się słyszeć szum i skrzeczące dźwięki w słuchawce, które pewnie przy uchu Bleescha układały się w konkretne słowa. Jednak to i tak duży cud, że głośnik tego telefonu w ogóle działał. Samo urządzenie było bardzo dalekie od stanu kolekcjonerskiego.

– Gdzie? W „Secie i Fecie”? – Kolejna seria trzasków z głośnika. – Tak, wiem gdzie to. Dobra, będziemy za jakieś piętnaście minut. Na razie mordo. – Jak widać nie tylko ja dorobiłem się tego przydomku.

Bleesch wcisnął wytarty przycisk, gdzie wcześniej pewnie znajdowała się czerwona słuchawka i schował telefon do skrytki w przedramieniu.

– Rozmawiałeś z tym Vampirem? – spytałem, robiąc nacisk na słowo „tym”.

– Może... To znaczy, nie wiem. – Bleesch zmarszczył czoło i szeroko rozłożył ręce. – Patrząc na dziwne upodobania ludzi z Shadow Villens, to może być całkiem popularna ksywa.

– Mi chodzi o barmana. Polewał mi nie dalej jak wczoraj na koncercie Røbusta. – Nie wspomniałem już, że był to jedynie sok „banan – porzeczką”.

– No to rozmawiałem z tym samym. Ale bycie barmanem to tylko przykrywką, tak naprawdę koleś goni dragi połowie miasta. Nie wiedziałeś?

– Nie wiedziałem.

– Może nie sprzedaje seniorom – zachichotał Bleesch.

– Może. Ale teraz rozumiem, dlaczego ma taką białą skórę – odparłem, przypominając sobie białe implanty zastępujące jego ręce i nogi.

Przemytnik znowu zarechotał.

– Dobry żart staruszku. Ogólnie to trochę dziwny koleś, ale na dłuższą metę jest w porządku. Jeszcze nigdy mnie wykiwał, a mało jest takich ludzi.

– Jakbym nie wiedział – potwierdziłem, tym razem przypominając sobie o połowie miasta. Zresztą nie było co się dziwić. Każdy ma swój zestaw oszustw w plecaku.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, ale w końcu musiałem zaczepić nazbyt widocznego słonia w pokoju.

– Myślisz, że Vampir wie, gdzie są Zander i Valery? – spytałem, a następnie zadałem jeszcze bardziej niewygodne pytanie. – Albo gdzie jest Lena?

Bleesch wolno wypuścił powietrze.

– Vampir ogólnie dużo wie... – przeciągnął. – W końcu jest barmanem i dilerem jednocześnie. Myślę, że widział wystarczająco sporo, żeby napisać pięciotomową sagę o tym mieście.

– Uznaję to za potwierdzenie.

– Lepiej się nie nastawiać – westchnął Bleesch. – Dobra. Czas goni, czas napierać. Żeby nie powiedzieć inaczej – zakomunikował, przyspieszając kroku. Znaleźliśmy się na głównej ulicy, na której zagęszczenie kryminalistów na metr kwadratowy znacznie się zwiększyło. Tak jak powiedział Bleesch, bez swoich zabawek monitorujących czułem się dosyć niekomfortowo. Zupełnie jak superbohater, który stracił wszystkie super moce, a dodatkowo był na emeryturze. Nie było to przyjemne połączenie. Na szczęście wśród tłumu dało się dostrzec wielu strażników. Tak, wiem. Nie jestem dumny, że to mnie uspokoiło.

Ulica była znacznie szersza niż standardowa i ciągnęła się przez ponad kilometr. Rozejrzałem się po zniszczonych budynkach. Brakowało tablic z nazwami, ale wcześniej wgrałem sobie mapy Strefy z pirackich serwerów, które nie zostały tutaj zablokowane. Były niekompletne, ale nie mogłem narzekać. Zawierały najpotrzebniejsze miejsca, a na nielegalnych dyskach trafiało się na dużo gorzej przygotowane pozycje. Nawet nie chciałem wspominać jakie.

Według mapy ulica nazywała się „Handlowa”, co raczej nie było przypadkowe. Na chodniku co chwilę można było natrafić na małe stragany, zupełnie jak na jesiennym jarmarku w małym miasteczku. Z tą różnicą, że zamiast dyni i marynowanych grzybków handlowano tutaj karabinami, obrzynami, samodzielnie skonstruowanymi granatami oraz całą gamą mniej lub bardziej profesjonalnej broni. Niektóre stoiska nie posiadały broni palnej, stawiały na środki chemiczne i materiały wybuchowe. Krótkimi słowy każdy fan nielegalnej zabawy mógł znaleźć tutaj coś dla siebie. Oczywiście każdy towar był rozbrojony i zabezpieczony, a po zakupie trafiał do depozytu. Zapobiegało to natychmiastowemu użyciu po transakcji, można go było odebrać dopiero przy wyjściu. Zapewniało to działanie tego miejsca. Nawet nie chciałem myśleć, co mogłoby się stać, gdyby kilka osób zechciało od razu wypróbować zakupione chwilę wcześniej zabawki.

Gdy byliśmy blisko muru okalającego całą Strefę, Bleesch jeszcze bardziej przyspieszył kroku, a następnie gwałtownie skręcił w boczną uliczkę.

– Śledzą nas – oznajmił spokojnym głosem, nawet nie patrząc w moją stronę.

Zakląłem w myślach. Przez ostatnie kilkanaście lat polegałem głównie na elektronice i całkowicie wyszedłem z wprawy. Nie miałem nawyków, które mogłyby wykryć ogon.

– Ilu? – spytałem, nie odwracając się.

– Chyba trzech.

– Mamy jakiś plan? Jakby co umiem się trochę bić – dodałem z lekką ironią.

– Chyba będzie trzeba staruszku, ale najpierw musimy się rozdzielić – Bleesch kontynuował swoim neutralnym tonem. – Za siedemdziesiąt metrów po obu stronach uliczki powinny być drzwi od nieużywanych magazynów. Ty wyważasz te z prawej, ja po lewej.

– Świetny plan.

Bleesch wyczuł sarkazm.

– Zastanów się mordo. Jest ich trzech, za którymś z nas pójdzie tylko jeden. Stawiam sporo waluty, że nawet bez swoich ulepszeń poradzisz sobie z jednym karkiem.

Chciałem zaprotestować, bo pomimo niewątpliwych zalet, ten plan miał kilka słabych punktów. Nie miałem czasu na obszernie wyjaśnienia, bo Blesch nagle krzyknął: „teraz”, a następnie uderzył barkiem w drzwi po lewej. Puściły od razu. Natychmiast usłyszałem ciężkie kroki za sobą, więc strefowy komitet powitalny rozpoczął pościg. I raczej nie po to, by nas wyściskać.

Nie odwracając się, z całej siły naparłem na drzwi po mojej stronie. Niestety lepiej spełniły swoją funkcję, oczywiście patrząc na to z punktu właściciela lokalu. Nawet nie drgnęły. Udało mi się je sforsować dopiero za trzecim razem, ale prawy bark na długo zapamięta to spotkanie.

Znalazłem się w niedużym i zagraconym pomieszczeniu. Rolety w oknach były zaciągnięte niemal do samego dołu, więc do środka nie dostawało się dużo światła. Uznałem ten półmrok za swoją przewagę. Niezbyt spektakularną, ale zawsze.

Instynktownie podbiegłem do drzwi, które dostrzegłem na przeciwległej ścianie. Miałem nadzieję, że uda mi się zgubić pościg wśród korytarzy budynku. Szarpnąłem za klamkę. Zamknięte. Zakląłem w myślach. Spróbowałem je wyważyć, ale były znacznie solidniejsze niż pierwsze albo mój bark już się zbuntował. Oba powody mogły być prawdziwe. Czas mi się kończył, a za kilkanaście sekund wpadnie tutaj jeden lub dwóch karków. Być może bez broni, ale tego nie mogłem być pewien. Przecież też mogli coś przemycić. Głowę przeszła mi myśl o dwóch pistoletach ukrytych pod lewym żebrem. Niestety równie szybko zrezygnowałem z tego pomysłu. Wyjęcie ich i złożenie zajmowało przynajmniej minutę, a nie miałem tyle czasu.

Jeszcze raz powiodłem wzrokiem po całym pomieszczeniu. Na zakurzonych szafkach znajdowało się sporo brudnych zbiorników ze szkła i metalu.

– To nieużywane laboratorium mety albo innego narkotyku – powiedziałem do siebie, zastanawiając, czy to może dać mi jakąkolwiek przewagę.

– Być może – pomyślałem i padłem na podłogę. Przeczolgałem się w stronę stalowego regału, a w momencie gdy całe moje ciało pod nim zniknęło, drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadło dwóch mężczyzn.

Dwóch, czyli tylko jeden pobił za Bleeschem. Chodziło im o mnie.

Ale tego akurat mogłem się spodziewać.

Wiedziałem, że muszę coś wymyślić, bo odnalezienie mnie pod tym regałem było tylko kwestią czasu. Przez chwilę poczułem się jakbym był bohaterem familijnego filmu w Święta na kanale piątym. Dramat połączony komedią. Nawet

wyobraziłem sobie potencjalny nekrolog. „Gustav Drag dokonał żywota pod stalowym regałem w nieużywanym laboratorium mety. Zginął, tak jak żył. Ukryty.”

Lekko się uśmiechnąłem z własnego, słabego żartu, a następnie zacisnąłem pięści. Nie mogłem do tego dopuścić.

Wychyliłem nieznacznie głowę, ale pole widzenia było nadal mocno ograniczone. Nie widziałem, czy mają broń. Tak naprawdę ledwo mogłem dostrzec ich kolana. Nosili profesjonalne wojskowe buty, co sugerowało, że nie są pierwszymi, lepszymi zbirami do wynajęcia. Taki sprzęt sporo kosztował.

Odruchowo moja dłoń znalazła się przy karcie pamięci wpiętej w lewy nadgarstek. Tej samej, którą dostałem od strażnika przy wejściu do Strefy. Sprawiała, że wszystkie moje implanty i ulepszenia znajdowały się w trybie uśpienia, więc moja siła i zwinność były jak u ponad sześćdziesięcioletniego seniora. Wyćwiczonego, ale wciąż seniora.

Szybko zrezygnowałem z wyjęcia karty, bo gdybym to zrobił, system obronny Strefy natychmiast by to wychwycił i w krótkim czasie znaleźliby się tutaj strażnicy. Być może nic by mi się nie stało, ale wyrzuciliby mnie stąd z platynowym wilczym biletem. W ten sposób straciłbym możliwość sprawdzenia ostatniego tropu Leny, a na to też nie mogłem pozwolić.

Mężczyźni włączyli latarki. Nie wiedziałem, czy trzymali je w dłoniach, mieli podpięte do broni, czy może przymocowane do kombinezonu. Taka informacja mogła być całkiem pomocna w planowaniu taktyki, a zamiast tego musiałem improwizować. Gdy nie ma się przewagi liczebnej i siłowej, bywa to cholernie ryzykowne.

Byłem właśnie w takiej sytuacji.

Najemnicy zupełnie jak ja podbiegli najpierw do drzwi i kilkukrotnie szarpnęli za klamkę.

– Nie zdążyłby ich zamknąć z drugiej strony – oznajmił jeden z nich. Miał niski, wręcz metaliczny głos. Nie wróżyło to niczego dobrego.

– Ciekawe skąd kurwa załatwił klucze – zauważył drugi prawie identycznym tonem. Na bank wcinali te same kaszki po treningu.

– To co robimy? – spytał pierwszy.

– Musi tu gdzieś być. Szukamy.

Przez chwilę w pomieszczeniu zapanowała niepokojąca cisza. Wstrzymałem oddech na kilka sekund. Okazało się to ciszą przed burzą, bo mężczyźni zaczęli wywracać kolejne szafki i regały. Słyszałem tylko odgłosy spadającego metalu i tłuczonego szkła. Zupełnie jak na dobrej imprezie.

Wciąż obserwowałem, jak jedna para wojskowych butów zbliża się w moją stronę. Wiedziałem, że to jedyna szansa. Jeśli przewróciłby regał nade mną, leżałbym tutaj niczym kurczak gotowy do grillowania. I to bez chrupiącej skórki.

Znowu wstrzymałem oddech, a gdy najemnik znalazł się w moim zasięgu, chwyciłem jego prawą nogę i mocno pociągnąłem do siebie. Stracił równowagę i po chwili nasze spojrzenia spotkały się kilka centymetrów nad posadzką. Nigdzie nie zauważyłem broni, zapewne liczyli na przewagę osobową. Punkt dla mnie, ale wciąż

było daleko do wygrania całego meczu. Mężczyzna rozdziawił usta w grymasie bólu, a następnie głośno krzyknął, tym samym drugi z nich również wiedział, gdzie jestem. Miałem teraz jedyną szansę, żeby wyjść z tego cało.

Przeturlałem się w przeciwnym kierunku, a następnie z całej siły kopnąłem w regał, pod którym znajdowałem się wcześniej. Ten runął na leżącego najemnika z całym dobrodziejstwem inwentarza, to znaczy razem ze stalowymi i szklanymi pojemnikami wykorzystywanymi wcześniej do produkcji narkotyków. Znowu usłyszałem brzęk metalu i tłuczonego szkła wzbogacony o rozpaczliwy wrzask. Kolejny punkt dla mnie, ale sędzia nawet nie myślał o zakończeniu meczu.

– Nie pozwól mu uciec – zawył leżący mężczyzna, trzymając się za ramię. Adresat polecenia nie zastanawiał się długo, natychmiast ruszył na mnie, wydając z siebie przeraźliwy okrzyk. Amator. Ważna zasada Gustava Draga w każdym pojedynku. Gdy atakujesz, rób to po cichu.

Najemnik numer dwa był znacznie wyższy, niż jego aktualnie odpoczywający kolega. Mimo znacznego wzrostu sprawnie ominął przewrócony regał i zamierzał mnie staranować na pełnej prędkości. Na szczęście byłem przygotowany. Odskoczyłem w ostatniej chwili, a siła pędu nie pozwoliła mu wyhamować. Szybko sprawdziłem, czy pierwszy napastnik nie doszedł do siebie. Nadal był daleki od pozycji pionowej, więc wróciłem do wciąż niebezpiecznego numeru dwa. Zanim zdążył się odwrócić, zrobiłem kilka kroków, dzięki czemu nabrałem prędkości. Silnym kopniakiem trafiłem go w sam środek kręgosłupa. Mężczyzna nie wydał z siebie żadnego dźwięku, jedynie lekko zgiął kolana. Szczerze? Spodziewałem się trochę większego efektu.

Od razu chciałem się poprawić i był to duży błąd. Wziąłem zbyt szeroki zamach i wyprowadziłem prawy sierpowy zmierzający w potylicę. Byłem jednak zbyt wolny i najemnik to przewidział. Uchylił się z niesamowitą szybkością, a ja uderzając powietrze, straciłem równowagę. Nagle poczułem silny ból pod lewym żebrem, a następnie z prawej strony szczęki. Zrobiło mi się białe przed oczami i wyczułem krew w ustach. Była słodka i gęsta. Przejechałem językiem po zębach. Te były jeszcze całe. Nawet nie chciałem się zastanawiać na jak długo.

Zatoczyłem się tyłu, stawiając kilka chaotycznych kroków, a mój przeciwnik nie marnował czasu. Wyprowadził kolejne ciosy, trafiając w brzuch i klatkę piersiową. Bolało jak cholera, a ilość wypływanej przeze mnie krwi niebezpiecznie wzrosła. Widziałem tylko kolejne, szkarłatne ślady na posadzce.

Wciąż się cofałem i nagle potknąłem się o przewrócony wcześniej regał. Tym razem całkowicie straciłem równowagę i runąłem na podłogę. Kątem oka dostrzegłem, jak pierwszy najemnik się podnosi. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że przegrałem i być może nigdy już nie zobaczę swojej córki. Nie miałem żadnych szans. Z pozycji leżącej nie mogłem pokonać dwóch przypakowanych najemników. Nie bez działających implantów.

Wbrew wcześniejszym postanowieniom spróbowałem dosięgnąć prawego nadgarstka, by wyciągnąć kartę blokującą działanie wszczepów, ale jeden

z mężczyzną kopnął mnie w dłoń. Zapewne wybił mi tylko palec, ale ból i tak przeszył całą rękę.

– Nie bądź taki sprytny dziadku – powiedział „wyższy”, kucając naprzeciwko mnie. Drugi z najemników stanął obok i bacznie mi się przyglądał. Niewątpliwie chciał się zemścić za kontuzjowane ramię. Musiał jednak poczekać na swoją kolejkę.

– Czego chcecie? – wychrypiałem, wypluwając sporo krwi i jednego zęba. Mój dentysta raczej nie będzie zachwycony z tego fortepianowego uśmiechu.

– Czego chcemy? – Obaj mężczyźni głośno się roześmiali. – Jedynie zabrać cię w ciekawe miejsce.

– Naprawdę? – Sztucznie się uśmiechnąłem. – A myślałem, że chcieliście pomóc mi przejść przez pasy.

Chyba nie zrozumieli żartu.

Nagle ten w słowiańskim przykucu wyjął ukryty w bucie pistolet, tym samym przypominając o nierównym rozkładzie sił. Zrobił to jednak dopiero teraz, więc najprawdopodobniej nie planował mnie zabijać. Chyba. Mógł przecież pomyśleć, że razem z kolegą poradzi sobie z seniorem z rozbrojonymi implantami.

– Słyszeliśmy trochę o tobie Gustavie – rzekł „wyższy” spokojnym głosem niepasującym do nalanej twarzy. – Wiemy, że lubisz sam wymierzać pseudo sprawiedliwość, a sam przecież nie jesteś chodzącym kryształkiem.

– Zander i Valery was nasłali? – spytałem, grając na czas.

Obaj unieśli brwi i wykrzywili usta.

– Nie obrażaj nas – odparli równocześnie jak bliźniacy, którzy dopiero co odstawili butelkę z kaszką sterydową. – Nie słuchalibyśmy rozkazów od takiego planktonu – kontynuował już tylko jeden z najemników. Od razu było widać, że jest bystrzejszy. Ale też bez przesady. Zapewne znał kilka literek więcej i może przeszedł internetowy kurs z przemówień publicznych.

– To kto was wynajął? Ta sama osoba, która porwała moją córkę?

– Może tak, może nie – roześmiał się „wyższy”. – Twoje pytania i tak nie mają już większego znaczenia, bo niedługo i tak dowiesz się wszystkiego. – Mężczyzna wyjął z kurtki paralizator i dwie pary elektronicznych kajdanek. Nie zapowiadało się to zbyt dobrze. Opcja „dowiedzenia się wszystkiego” może i była kusząca, ale chciałem to zrobić na własnych zasadach, a nie skuty i sparaliżowany.

Spróbowałem ostatniej szansy. Nie zdradzając tego nawet najmniejszym ruchem, przeniosłem ciężar ciała, a następnie odepchnąłem się w prawo. Najemnik trzymający pistolet strzelił, celując w moją nogę. Ważna informacja. Nie chciał mnie zabić, tylko unieruchomić.

Na szczęście nie trafił.

Gdy stanąłem już trochę pewniej, skoczyłem w kierunku wysokiej szafki, kucnąłem i przyglnąłem do niej plecami. Usłyszałem kilka wystrzałów, ale znów każdy z nich chybił. Albo nie przeszedł na wylot przez sfatygowany mebel. Obie wersje były pokrzepiające i przerażające jednocześnie.

Nagle zrobiło się dziwnie cicho, co mogło oznaczać tylko jedno. Plan. Mężczyźni mieli przewagę liczebną, więc z pewnością opracowywali jakąś taktykę.

Mimo że nie wydawali się być mistrzami kreatywności, i tak byłem w potrzasku. Zapewne zaraz się rozdzielią, jeden z nich wykręci mi rękę, drugi przestrzeli kolano, a na koniec już tylko masaż paralizatorem po plecach i śpiulkołot w kajdankach. Chyba powinienem zacząć prowadzić kursy wróżbiarstwa. Albo negatywnego myślenia.

Moim jedynym sprzymierzeńcem był półmrok. Tak, wiem, że zabrzmiałem jak tania wersja Batmana, ale naprawdę wydawało się to najlepszą opcją. W Strefie nie działały implanty, więc nikt nie miał cholernego noktowizora w gałce ocznej.

Naprzeciwko mnie znajdował się nieprzewrócony stalowy regał, pod który szybko się przeczołgałem. Tym razem nie zamierzałem tu zostawać, tylko ruszyłem dalej, trzymając się jak najbliżej podłogi.

Poruszałem się niezbyt szybko, ale bez zbędnego zatrzymywania się. Ciągłe obserwowałem wiązki światła na posadzce pochodzące z latarek najemników. Teraz byli ostrożniejsi, nie chcieli popełnić wcześniejszego błędu, kiedy udało mi się ich zaskoczyć. Musieli mnie mieć żywego, co bardzo mi pomagało. Gdyby potrzebowali dostarczyć jedynie moje zwiótczałe ciało, zapewne już bym nie żył.

Byłem już blisko drzwi wyjściowych, które wydawały się teraz jedyną opcją. Nie wiedziałem, czy na zewnątrz będzie bezpieczniej, ale chyba wszystko było lepsze niż to zaciemnione akwarium.

Przywarłem do drewnianej szafki kuchennej. Niestety pod spodem nie było wystarczająco miejsca, żebym mógł się przedostać. Rozejrzałem się, a po chwili tylko zakląłem w myślach. Cała alejka nie zawierała żadnego mebla, pod którym mógłbym się przecisnąć. Przejście górą raczej nie wchodziło w grę, bo miało dwie istotne wady. Po pierwsze, zdradziłbym swoją pozycję, a po drugie na szafkach znajdowało się sporo podejrzanych naczyń i pojemników. Istniała zbyt duża szansa, że mój skok trafiłby do programu z serii „Śmiechu warte”. Zaraz obok dzieciaków przewracających się na własnych urodzinach i emerytów, którym wypadają sztuczne szczęki przy próbie zdmuchnięcia świeczek na torcie.

– Kurwa – znowu zakląłem w myślach, bo podjąłem decyzję, która niekoniecznie miała duże szanse na powodzenie. Jednak nie miałem już czasu, aby się dłużej zastanawiać.

Przysłowie „jeśli nie możesz dostać się drzwiami, to wejdź oknem” brzmi dobrze tylko na tanich filmach i wykładach średnio rozgarniętych trenerów motywacyjnych. Z braku lepszych pomysłów postanowiłem skorzystać. Szklana witryna znajdowała się niecałe pięć metrów ode mnie. Starłem się ignorować fakt, że miała zaciągnięte rolety, co znacząco mogło utrudnić moją ucieczkę. Znowu wyobraziłem sobie potencjalny nekrolog. „Zginął, tak jak żył. Zaplątany w żaluzje.”

– Życie rzadko bywa spektakularne – powiedziałem cicho, po czym ostatni raz się rozejrzałem. Kiedy nie dostrzegłem nic podejznanego, ruszyłem w stronę witryny. W momencie gdy skończyłem rozbieg i skoczyłem, zorientowałem się, że to błąd. Kątem oka zobaczyłem niższego najemnika, który z równie dużą prędkością zbliżał się w moją stronę. Zderzenie było nieuniknione.

Nagle poczułem przeszywający ból w lewym boku, po czym z głośnym hukiem upadliśmy na podłogę. Mój kręgosłup właśnie dodał sobie kilka lat do odczuwalnego wieku. Wypadający dysk dostanę zapewne w gratisie.

Nie mogłem się ruszyć, bo najemnik siedział na mnie okrakiem i przytrzymywał mi obie ręce. Mimo wszystko spróbowałem wyprowadzić cios, jednak pięść drgnęła jedynie o kilka centymetrów.

– I co staruszkę? Zachciało się zabawy w chowanego? – spytał głos zza pleców mężczyzny. Zmrużyłem oczy. Był to wyższy najemnik i właśnie mierzył z pistoletu w moje lewe kolano.

– Mieliliśmy cię doprowadzić bez żadnych obrażeń – oznajmił. – Ale widzę, że bez kilku kontuzji się nie obędzie.

– Do kogo kurwa mieliście mnie doprowadzić? – syknąłem przez zaciśnięte zęby, cały czas próbując się oswobodzić.

– Co tam mlaskasz pod nosem dziadku? – dopytał z ironicznym uśmiechem, wciąż celując do mnie z pistoletu. Drugi z mężczyzn nie poluzował uchwytu. Wręcz przeciwnie. Czuję, jak krew zaczyna mieć problemy ze swobodnym przepływem, a w kilku miejscach wystąpiło już charakterystyczne mrowienie.

„Wyższy” wyjął paralizator, a kiedy go włączył, dało się słyszeć znajomy dźwięk. Kilka sekund później końcówka żarzyła się już niebieskim światłem. Cholera. Działanie tego przyrządu nie zmieniło się od jakichś dwustu lat, a wciąż idealnie spełniało swoją funkcję. To się nazywa niezawodne retro. Szkoda tylko, że za chwilę miało zwiotczyć moje mięśnie.

– Przytrzymaj go – rozkazał uzbrojony najemnik i zbliżył do mnie paralizator. Obserwowałem urządzenie i gdy znajdowało się zaledwie kilka centymetrów od mojej nogi, atmosfera w pomieszczeniu gwałtownie się zmieniła. Twarze obu mężczyzn wykrzywiły się w przerażającym grymasie, zupełnie jakby przed chwilą zjedli coś bardzo nieświeżego.

Najemnik trzymający paralizator zmrużył oczy i chciał coś krzyknąć, jednak nie zdążył wydobyć z siebie nawet krótkiego dźwięku. Jego głowa dosłownie eksplodowała, a ciało jak w taniej kreskówce, przez chwilę trwało bez ruchu, by następnie runąć na ziemię. Drugi mężczyzna, który przytrzymywał moje ręce, natychmiast zwolnił uścisk, lecz okazało się to ostatnią czynnością w jego życiu. To dobrze. Chociaż ktoś będzie mieć zabawniejszy nekrolog ode mnie. Oczywiście podzielił los wyższego kolegi. Kula pistoletu przeszła na wylot jego czaszkę, powodując identyczne efekty jak w pierwszym przypadku.

Odwróciłem się, dokładnie wiedząc, kogo zobaczę. To był Bleesch.

– Czas wprowadzić strefowy program wyrównywania szans – oznajmił z ironią, a następnie splunął na podłogę. Jeszcze przez chwilę stał z wyciągniętą dłonią, w której trzymał przemycony pistolet z zamontowanym tłumikiem. Miał poharataną twarz i spore ślady krwi na ubraniu. Jego najemnik zapewne już od kilku minut grzał miejsca swoim dwóm kompanom po drugiej stronie lustra. Mam nadzieję, że rozpoznają się po dziurawych głowach.

– Wstawaj mordo. Musimy spadać, bo zaraz będą tu strażnicy – rzekł Bleesch, a następnie podał mi rękę, pomagając wstać. Nie będzie to wielkie zaskoczenie, jeśli wyznam, że wszystko mnie bolało.

– Dzięki – odpowiedziałem, kiedy byliśmy już na zewnątrz. – Jeszcze chwila i podróżowałbym w niewygodnym bagażniku albo w czymś znacznie gorszym.

Bleesch nie odpowiedział, tylko przyśpieszył kroku, co kilka sekund dyskretnie sprawdzając, czy nie mamy ogona. Starłem się dotrzymać tempa, ale w moim aktualnym stanie nie było to takie proste.

– Czyli nie chcieli cię zabić? – spytał, kiedy znajdowaliśmy się wystarczająco daleko od nieużywanego laboratorium. Mimo wszystko nie zwolnił kroku.

– Chyba tylko trochę unieruchomić, a później zamierzali mnie gdzieś przewieźć. Twierdzili, że niedługo wszystkiego się dowiem.

– Cholera. Może niepotrzebnie ich odstrzeliłem. Wiesz, dla kogo mogli pracować? – spytał przemytnik.

– Myślę, że dla porywaczy Leny.

– Dla Zandera i Valery’ego?

Pokręciłem przecząco głową.

– Chyba nie. Czekał, jak oni to powiedzieli, gdy o nich spytałem. „Nie obrażaj nas. Nie słuchalibyśmy rozkazów od takiego planktonu”.

– Kurwa – westchnął Bleesch. – Widzę, że w tę sprawę jest zamieszanych sporo osób. – Zrobił krótką pauzę, jakby chciał zebrać myśli. – Nie podoba mi się to. Naprawdę zajełście mi się to nie podoba.

– Witam w klubie – zażartowałem. – Kartę członkowską prześlemy mailem do samodzielnego wydruku.

Przemytnik gorzko się roześmiał.

– Mordo, jak to przeżyjemy, a Kamper się wybudzi, robimy w Dinozaurze wielkie hulanki. Na koszt klubu i Gustava Draga.

– Dobrze powiedziane – westchnąłem. – Jak to przeżyjemy, a Kamper się wybudzi.

– Widać, że od dawna sam już nie robisz przerzutów. Coś mało w tobie optymizmu – odparł przemytnik, a ja spojrzałem na jego ubranie. Krew zdążyła już zaschnąć i zmienić barwę na ciemniejszą, a Bleesch był przecież daleki od ubierania się na czarno. Przez to charakterystyczne plamy aż nazbyt rzucały się w oczy. Wyglądał trochę jak uczestnik Halloween z bardzo okrojonym budżetem, zupełnie jakby swoje imprezowe ubranie pochłapał ciemno brunatną farbą i był gotowy zbierać nielegalne cukierki.

– Nie myślisz, że ta krew na ubraniu nie zwraca na nas zbytnej uwagi? – zasugerowałem delikatnie.

– Zwraca. Ale na spokojnie – uśmiechnął się Bleesch. – Pomyślałem o tym.

Nagle skręcił w prawo i znaleźliśmy się w wąskiej uliczce pomiędzy budynkami. Stało tutaj kilka stalowych kontenerów na śmieci, które zdawały się nie widzieć śmieciarki kilka dni za długo. Przemytnik kucnął przy ostatnim pojemniku,

a następnie wyjął spod niego sfatygowaną walizkę. Raczej nikt by nie pomyślał, że znajduje się w niej coś wartościowego. Bardzo by się pomylił.

Bleesch otworzył bagaż i wyjął z niej nową kurtkę. Tym razem w dużo bardziej stonowanych kolorach.

– Mam jeszcze jeden zestaw dla ciebie, jeśli chcesz – powiedział, przebierając się w ekspresowym tempie.

Spojrzałem po swojej kurtce. Jeśli znajdowały się na niej ślady krwi, były praktycznie niewidoczne. Ubieranie się na czarno ma wiele zalet, gdy idziesz do najniebezpieczniejszej dzielnicy w mieście. Zabawne. Metalowcy ze szkoły od zawsze wiedzieli co najlepsze.

– Dzięki. Moje ubranie daje jeszcze radę – wyjaśniłem.

– Jasne. Jak wolisz. – Bleesch wyrzucił swoją zakrwawioną kurtkę do kontenera, a następnie znowu kucnął i wyjął spod niego kolejną walizkę. Ta była znacznie mniejsza i nie wyglądała na tak zniszczoną. Gdy ją otworzył, zobaczyłem cztery pistolety o sporym kalibrze. Nie kojarzyłem modelu, więc pewnie były to samoróbki, jednak ten kto jest zbudował, znał się na rzeczy. Prezentowały się naprawdę profesjonalnie, a jakość wykonania była bez zarzutu.

– I ja się narażałem, żeby przemycić tutaj dwie sztuki broni, a ty chowasz pod śmietnikiem mały arsenał – skomentowałem gorzkim głosem.

– Po pierwsze, im więcej broni, tym lepiej – zauważył Bleesch. – A po drugie, mój kontakt mógł nie dać rady jej tu zostawić lub ktoś mógł je ukraść.

Nie chciałem się kłócić, że szukanie ubrań i broni pod kontenerami na śmieci to na pewno hobby wielu osób, więc tylko ze zrezygnowaniem pokręciłem głową. Pamiętałem również, że wszedłem do Strefy dzięki Bleeschowi i mogłem polegać tylko na nim. Ewentualna sprzeczka jedynie by nas opóźniła.

– Zapomniałem spytać – zacząłem nieśmiało. – Jak poszło z najemnikiem? I od razu przepraszam, w końcu ja cię w to wpakowałem.

– Przeprosiny przyjęte. Zamiast kwiatów, chcę jakąś fajną giwerę, jak stąd wyjdziemy. – Bleesch szeroko się uśmiechnął. – Chociaż tak naprawdę było całkiem miło. Zanim mózg tego kolesia rozbryzgał się na ścianie, zrobiliśmy sobie małe zawody z masażu pięściami.

Zwróciłem uwagę na knykcie przemytnika. Faktycznie wyglądały na mocno poharatane.

– Nie próbował wezwać pomocy jakimś umówionym znakiem? W końcu miał wsparcie po drugiej stronie alejki.

– Które było zajęte dziadkiem. – Bleesch znowu wyszczerzył neonowe zęby. – Przekonałem go, żeby potwierdził koleżkom, że już mnie dopadł i wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Zgodził się?

– A jak myślisz mordo? – roześmiał się. – Jak ktoś ma lufę pięć centów od głowy, to w dupie ma pieprzone zlecenie. Chce po prostu przeżyć i jestem wtedy jego najlepszą przyjaciółką. Uwierz we wszystko.

Skinąłem głową i stwierdziłem, że muszę to zapamiętać.

– Szkoda tylko, że nie udało się żadnego przesłuchać – mruknąłem, szukając miejsca w kurtce na dwa pistolety, które podał mi Bleesch. – Moglibyśmy coś od nich wyciągnąć. I to nawet sporo. Wydaje mi się, że wiedzieli, kto porwał Lenę.

Przemytnik głośno wypuścił powietrze.

– Stary, musiałem ich odstrzelić – wytłumaczył lekko poirytowanym głosem. – Zanim powiedzieliby coś sensownego, mielibyśmy na głowie strażników lub ich kolegów. Albo wszystkich naraz. W dodatku nie wiedziałem, że chcą cię tylko gdzieś przetransportować. Naprawdę. Jak tam wpadłem, scenka rodzajowa wyglądała całkiem inaczej. Sprawiali wrażenie, jakby mieli zaraz odstrzelić ci wszystkie kończyny i zrobić sobie pieprzonego grilla. Paralizator, pistolet, ty na ziemi. To naprawdę nie prezentowało się zbyt dobrze.

– Jasne, rozumiem – odparłem, ale i tak dało się wyczuć mój zawiedziony ton.

– W dodatku przeceniasz prawdopodobność takich najemników Gustav.

– Sam przed chwilą powiedziałeś, że byłbyś ich najlepszą przyjaciółką.

Bleesch nic nie odpowiedział, tylko pokręcił głową, a ja nie chciałem już kontynuować tematu. Być może miał rację. Najemnicy chcieliby coś ugrać i zapewne przeciągaliby naszą rozmowę, a po chwili mielibyśmy tam dużo więcej uzbrojonych karków. Nie mogliśmy ryzykować w ten sposób, a tak przynajmniej wciąż żyliśmy.

– Cholera – pomyślałem. – Kiedy nie mam przewagi wynikającej z mojego oprogramowania i wszczepów, nie byłem w stanie poradzić z dwoma podrzędnymi najemnikami. Na domiar tego jeszcze wczoraj myślałem, że jestem dobrym hakerem, ale ostatnie kilkadziesiąt godzin brutalnie pokazały moje miejsce w szeregu. Nie tylko Rozalia przewyższała mnie o kilka poziomów, robili to też hakerzy ze Strefy. Nie chcę narzekać, ale chyba powinienem spodziewać się listu z zaproszeniem na szkolne zajęcia z informatyki.

– Dobra, idziemy – wyrwał mnie z zamyślenia Bleesch. – Czas w końcu spotkać się z Vampirem, a później odnaleźć Lenę.

Dobrze, że w tej kwestii mieliśmy podobne zdanie.

Przeszliśmy jeszcze kilka przecznic, zanim stanęliśmy przed wyblakłym neonem układającym się w napis „Moonshine” oznaczającym bimber.

– Piękna nazwa na lokal – oznajmiłem, ale Bleesch całkowicie zignorował ten żart. Cały czas starał się obserwować otoczenie, aby wykryć potencjalny ogon. Niestety nie mogłem mu pomóc. Już wspominałem, jak czułem się bez działających systemów skanujących. Gdybym też próbował robić rozpoznanie, zapewne wyglądałbym jak dziadek z manią prześladowczą albo dziwnym urazem szyi.

Karta pamięci w lewym nadgarstku coraz bardziej mnie uwierała, a ja naprawdę tęskniłem za utraconymi umiejętnościami. Miałem jedynie nadzieję, że nie potrwa to długo.

Spojrzałem na budynek, w którym mieścił się „Moonshine”. Podobnie do bimbru, prezentował się dosyć chałupniczo. W elewacji można było dostrzec wiele śladów po kulach, które były wszechobecne na dwóch pierwszych poziomach elewacji. Zapewne pochodziły z czasów, kiedy w Strefie nie roilo się jeszcze od tyłu strażników i kłótnie z pistoletem po paru głębszych były stałym elementem krajobrazu. Teraz przed lokalem nie dostrzeżliśmy nikogo, ale było to niewątpliwie rezultatem zimowej aury. Mało kto lubi pić drinka, gdy powietrze ma kilka stopni poniżej zera. To znaczy, oczywiście kojarzę takich ludzi, ale raczej nie przychodzą oni na wieczorne piwko w samowystarczalnej, przestępczej dzielnicy. Wybierają wtedy łatwiej dostępne lokale.

Bleesch pchnął stalowe drzwi, które filmowo zaskrzypiały, a my znaleźliśmy się w niedługim korytarzu, który kończył się dwoma ochroniarzami. Byli tak muskularnie objętościowi, że zasłaniali niemal cały widok za sobą.

– Wspaniale. Kolejne przeszukanie to coś, za czym naprawdę tęskniłem – pomyślałem, powoli zbliżając się w ich stronę. Ku mojemu zaskoczeniu mężczyźni nagle szeroko się uśmiechnęli i rozłożyli ramiona w serdecznym geście. Spojrzałem na Bleescha, który również wyszczerzył swoje neonowe zęby, a następnie padli sobie w objęcia jak znajomi ze szkoły po powrocie z wakacji. Bleesch musiał być tu częstym gościem, bo przez chwilę cała trójka poklepywała się po plecach, gadając bzdury typu: „świetnie wyglądasz”, „dawno cię tu nie było” i „kiedy kolejny melanż kocie”. Uniosłem wysoko brwi i tylko czekałem, aż zrobią sobie selfie z dzióbkami i napiętymi klatami. Jedyną zaletą był fakt, że niewygodne klucze pistoletów w kurtce i pod żebrami natychmiast odpuściło.

– A twój znajomy to kto? Może nam go przedstawisz? – zasugerował starszy z ochroniarzy. Podobnie do mnie miał siwe włosy, których nie farbował. Niepodobnie do mnie jego całą twarz pokrywały tatuaże. Nie była to jednak więzienna robota za pomocą taniego cyrkla i tuszu z długopisów, a kunsztownie wykonane wzory, gdzie każda kropla tuszu miała znaczenie. To nieczęsty widok. Zwłaszcza w Strefie.

– Poznajcie Gustava. To mój dobry znajomy – oznajmił Bleesch, robiąc teatralny ruch ręką. – Pomagam mu w jednym zleceniu.

– Witaj. Jestem Ulf – powiedział starszy, podając mi wytatuowaną dłoń. Jego uścisk był silny i szorstki. Gdyby chciał, pewnie mógłby zgnieść mi palce, zamieniając je w jedną, bezkształtną masę. – A to jest Steinar. Mój syn. – Wskazał na ochroniarza obok. Mężczyzna faktycznie był znacznie młodszy, ale wciąż dało się dostrzec spore podobieństwo. Nie licząc muskulatury, posiadał podobne rysy twarzy oraz oczy. Oczywiście nie miał jeszcze siwych włosów. Co dziwne, nie posiadał też ani jednej widocznej dziary. Ciekawe. Może nie dostał jeszcze pozwolenia od ojca na pierwszy tatuaż lub w tej rodzinie robi się dziary dopiero po pięćdziesiątce. Mogłem zasugerować żelazko plus prasowanki albo zmywalne wersje z gumy balonowej. Na szczęście się powstrzymałem. Lubię swoje dłonie i ich układ kostny.

– Kogoś szukasz? – spytał Ulf, świdrując mnie swoim dociekliwym spojrzeniem.

– Niestety – odpowiedziałem lakonicznie. Nie chciałem zdradzać nic więcej. Ulf i Steinar wydawali się być w porządku, w dodatku znali Bleescha, jednak nie wiedziałem, czy na pewno mogę im zaufać.

– Przyszliśmy do Vampira – wtrącił się Bleesch.

– To dobrze – oznajmił Ulf. – On zawsze wie dużo więcej, niż się innym wydaje.

– Jak przystało na dobrego dilerą – roześmiał się Steinar, ale natychmiast spoważniał, po tym jak ojciec skarcił go wzrokiem.

– Ty robisz całkowicie na odwrót synu. Mówisz znacznie więcej, niż powinien.

– Spoko mordo, nic się nie dzieje – zainteresował się Bleesch. – Gustav i tak już wie, czym zajmuje się Vampir. Zresztą się znają. Serio luz – wciąż próbował bagatelizować całą sytuację.

– Widzisz ojciec? – znowu zarechotał Steinar.

Ulf głośno westchnął, pokręcił głową, a na koniec skrzyżował ręce na piersi. Zdałem sobie sprawę, że praca razem z własnymi dziećmi nigdy nie jest prosta. Przyszłe noworoczne postanowienie: Lena może co najwyżej pomarzyć o praktykach w mojej firmie. Jeśli oczywiście uda mi się ją odnaleźć, dodałem gorzko w myślach.

– Gdybyście mieli jakiś problem – Ulf zwrócił się bardziej w stronę Bleescha.

– Wiesz, jak się ze mną skontaktować. Powodzenia.

Po tych słowach ochroniarze rozsunęli się, zupełnie jakby mieli to przećwiczone. Skinąłem głową w geście podziękowania, a następnie ruszyliśmy w głąb sali. I tutaj spotkała mnie duża niespodzianka. Bazując na wyglądzie elewacji, spodziewałem się rozpadających stolików i krzeseł, posadzki lepiałej się od piwa oraz baru, który mógł występować jak eksponat muzealny na garażowych wyprzedażach. Nic się nie sprawdziło. Wszystko prezentowało się nad wyraz dobrze. Minimalistyczne, stalowe meble dobrze opierały się drinkującej klienteli, betonowe płytki na podłodze były czyste i zadbane, a spory, drewniany bar z wyszukanym oświetleniem i mniejszą wersją neonu „Moonshine” wręcz zachęcał, aby zamówić tam coś mokrego i oprocentowanego.

W środku było sporo osób, ale od razu dostrzegłem Vampira. Tak naprawdę nie było to trudne, bo mocno rzucił się w oczy. Jego śnieżnobiałe wszczepy zastępujące ręce i nogi jak zawsze przykuwały uwagę, zwłaszcza że założył bezrękawnik koszykarskiej drużyny z Shadow Villens oraz krótkie spodenki. Zupełnie jak osoba z wieloma tatuażami ubierająca się w myśl przysłowia: „masz wszczepy, eksponuj je”.

Vampir przyrządzał właśnie drinki dla dwóch dziewczyn, które bacznie obserwowały jego ruchy, szeroko się uśmiechając. Nie powiem, mógł liczyć na napiwek. Butelki latały we wszystkie strony, co jakiś czas buchał ogień i pojawiała się sztuczna mgła. Najlepsze sztuczki barmanów w jednym miejscu. Poczulem niemal ukłucie oszustwa, przypominając sobie, jak przygotował dla mnie sok banan – porzeczką na koncercie Røbusta. Po prostu przelał zawartość dwóch naczyń do jednego. Tak, wiem. Jestem mężczyzną po sześćdziesiątce, a nie dwiema, ładnymi kobietami. Znajduję się na samym dnie barmańskiej listy.

Podeszliśmy bliżej i usiedliśmy na skórzanych hokerach. Były wygodne i z obicia nie sączyło się wsiąknięte wcześniej piwo. To już dwie zalety, które ciężko znaleźć w konkurencyjnych miejscach.

Bar był duży i obsługiwało go czterech barmanów, ale usiedliśmy obok tego prawidłowego. Vampir od razu nas zauważył, lecz nie dał tego po sobie poznać. Mimo wszystko dostrzegłem, jak jego ruchy zrobiły się odrobinę bardziej spięte i kwadratowe. Zapewne chciał spławić dziewczyny, ale wciąż musiał utrzymywać pozory, by dostać napiwek. Być może wierzył w maksymę „biznes ponad wszystko”. Rozumiałem to.

– A co to za przystojniak? – powiedziała nagle jedna z dziewczyn, odwracając się w stronę Bleescha. Oczywiście rozlała sporą część przyrządzonego wcześniej drinka. Była bardzo ładna i całkiem mocno wstawiona. Bez działających skanerów mogłem tylko zgadywać, ale strzelałem w jakieś półtora promila. Nie zdziwiłbym się, gdyby miała też w krwiobiegu jakieś słabe dragi.

– Lalka, nie dzisiaj – warknął chamsko Bleesch, chcąc jak najszybciej pozbyć się niechcianego towarzystwa. W innych okolicznościach pewnie rozświetliłby pół lokalu swoim neonowym uśmiechem, jednak tak jak powiedział kilka sekund wcześniej, nie dzisiaj.

Dziewczyna zrobiła zmieszaną minę i dużo nie brakowało, by pozostała część drinka wylądowała na kurtce Bleescha. Cholera, naprawdę ma dzisiaj dziwne szczęście do cieczy na ubraniu. I do krwi, i do alkoholu. Zresztą to się często łączy podczas klubowych bójek.

– Mógłbyś być kurwa trochę miłszy – warknęła druga z kobiet, stając się oskarżycielem posiłkowym działającym w imieniu koleżanki.

– A ty trochę ładniejsza – odburknął Bleesch, czym jednak zapracował sobie na oblanie swojej kurtki pozostałością drinka. Odzywka przemytnika zdziwiła mnie o tyle, że obie kobiety były obiektywnie bardzo ładne i mimo że wiedziałem, po co Bleesch to robił, czułem się trochę jak dziadek obserwujący wnuczka podczas okrutnie nieudanego podrywu.

– Chodź. Z głównym nie będziemy siedzieć – zakomunikowała jedna z dziewczyn. Następnie obie wstały i ruszyły w kierunku wolnego stolika po drugiej stronie sali. Odchodząc, odwróciły się jeszcze w połowie drogi i obdarzyły nas pozdrowieniami składających się ze środkowych palców i całkiem wyszukanych przekleństw. Nie trzeba posiadać dyplomu z czytania z ruchu warg, by dokładnie zrozumieć, co chciały zakomunikować.

Spojrzałem na Bleescha i miałem już coś powiedzieć, ale natychmiast mi przerwał.

– Gustav, mordo, sam wiesz, ile mnie kosztowało spławienie dwóch ładnych dziewczyn w ten sposób. Część mojej duszy właśnie umarła, więc proszę cię, nie komentuj.

Nie musiałem. Nagle obok mnie pojawił się Vampir. Trzymał w swojej sztucznej dłoni duży kufel i nie miał zadowolonej miny.

– Co tu robisz? – spytał, wpatrując się we mnie mętными oczami. Z tego co go znałem, był to dla niego szczyt emocjonalności. Być może brał coś na wyrównanie nastroju. Teraz, gdy wiedziałem, że oprócz bycia barmanem, rozprawdza też mało legalne środki, istniała spora szansa, że sam coś podbiera ze swojego magicznego słoiczka.

– To długa historia – westchnąłem, wpatrując się w rząd kolorowych butelek za plecami barmana. Musiały jednak poczekać na lepsze dni, bo jak na razie nie miałem czego świętować.

– Nie pierdol, tylko mów, o co chodzi – naciskał Vampir. Nie znałem go od tej strony. Zawsze wydawał się miłym gościem z koncesją na alkohol w rękach, a teraz był wyraźnie wzburzony i zmieszany. Tak, wiem. Słaby barmański żart.

– Vamp, to ty nie pierdol – wtrącił się Bleesch. – Wiesz, że nie przyszedłbym do ciebie z jakimś gównem. Ktoś porwał córkę Gustava i próbujemy ją odnaleźć.

– Co takiego? Kiedy? – Kufel, który trzymał, niemal wypadł mu z ręki. – I dlaczego szukacie jej w Strefie?

– Mówiłem ci. To długa historia – oznajmiłem spokojnym głosem. Byłem już zmęczony streszczaniem tej opowieści, z każdym kolejnym razem czułem, jak dosypuję kilo soli do świeżej rany. I ciągle używam coraz większej solniczki.

Vampir nic nie odpowiedział, tylko wolno wypuścił powietrze. Następnie krzyknął jakieś dziwnie brzmiące imię, na co zareagował jeden z trzech pozostałych barmanów. Ten przeprosił właśnie obsługiwanych klientów i podszedł do nas. Miał farbowane, platynowe włosy oraz dużo implantów. Może nie tyle co Vampir, ale i tak wyrabiał normę za dwie osoby. To jakaś nowa moda? Nie da się nalać pięćdziesiątki wódki bez rąk z tytanu?

– Co jest Vam? – spytał barman. – Tylko szybko.

– Zastąpisz mnie na dziesięć minut?

Mężczyzna wykrzywił usta.

– Aj... Wiem, że ci wiszę pełno przysług, ale teraz mamy taki ruch, że obsługiwać dwa rewiry to barowe samobójstwo.

– Dasz radę – zakomunikował Vampir, nawet nie patrząc na swojego współpracownika. Następnie ruchem głowy wskazał nam drogę na zaplecze.

– Dzięki kurwa – odparł do siebie wyraźnie urażony barman. Przez brak odpowiedzi machnął tylko ręką, mówiąc pod nosem kilka kolejnych przekleństw, a później wrócił do dwóch mężczyzn, którzy wyglądali na mało zadowolonych, że ich piwo złapało opóźnienie.

Ja i Bleesch ruszyliśmy za Vampirem, by po chwili znaleźć się na zapleczu będącym płataniną korytarzy i mniejszych pomieszczeń. Wszędzie śmierdziało trzydniowym olejem, środkami czystości i rozlanym alkoholem. W myśl powiedzenia, że nie chcesz wiedzieć, co się dzieje na za kulisami twojej ulubionej restauracji.

Weszliśmy do małego pomieszczenia bez okien i słabym dostępem do tlenu. Było tu wszystko i nic, więc przez chwilę poczułem się jak w kantorku przy sali gimnastycznej. Brakowało tylko piłki lekarskiej.

– Nie mam dużo czasu, więc mówcie szybko, o co chodzi – oznajmił Vampir, krzyżując wszczepty na piersi. – Przez wzgląd na znajomość z Bleeschem, postaram się pomóc. – Zrobił krótką pauzę. – Jeśli oczywiście będę mógł albo nie będzie mnie to kosztować głowy.

Bleesch szeroko się uśmiechnął i już miał coś powiedzieć, kiedy się wtrąciłem.

– To ja może zacznę – zasugerowałem, a następnie w kilka minut streściłem historię porwania Leny. Mówiłem szybko, starając się nie pominąć ważnych szczegółów. Nie było to proste. Przyjąłem wcześniej używaną taktykę, żeby nie kłamać, ale też nie mówić wszystkiego. Zresztą nie miałem też czasu, by rozwodzić się nad szczegółami. Gdy dotarłem do momentu, w którym Zander i Valery wjechali ciężarówką do Strefy, najprawdopodobniej z moją córką, Vampir spytał.

– To wasz ostatni trop?

Skinąłem głową.

– Jesteś całkiem odważnym człowiekiem Gustav – powiedział spokojnym tonem, nieznacznie zbaczając z tematu. – Tutaj nie lubią takich jak ty.

– Dzięki. Już to słyszałem – uśmiechnąłem się gorzko.

Vampir zignorował moją odpowiedź i przez kilkanaście sekund sprawdzał coś na dotykowym panelu wbudowanym w implant lewej ręki.

– Możecie dać mi chwilę? Muszę wykonać kilka połączeń.

Bleesch pokazał mi drzwi sugestywnym ruchem głowy, ale zanim wyszliśmy z kantorka i tak nie wytrzymał z typowym dla siebie okazywaniem wdzięczności.

– Stary, naprawdę dzięki – powtórzył chyba ze trzy razy.

– Jeszcze nie pomogłem – odparł bezosobowo Vampir, również utrzymując swój styl komunikacji.

Na korytarzu poczułem ulgę, bo w końcu mogłem spokojnie nabrać powietrza. Nie było świeże, ale chociaż nie przeszkadzało w oddychaniu.

Przez jakiś czas staliśmy nieruchomo, wpatrując się w podłogę i przestępując z nogi na nogę. Zupełnie jak dwóch uczniów, którzy czekają na wyniki ważnego egzaminu.

– Mordo, myślę, że będzie dobrze – rzekł Bleesch, wyjmując pozginaną paczkę papierosów. Były tytoniowe, nie syntetyczne, ale i tak odmówiłem. Może przyszedł czas na spóźnione, noworoczne postanowienie? Jednak rzucenie palenia po sześćdziesiątce brzmi równie prawdopodobnie jak hasło, że życie zaczyna się po czterdziestce.

Już wyciągałem dłoń w kierunku opakowania z nikotynowymi przyjaciółmi, kiedy otworzyły się drzwi od pseudo kantorka. Vampir wciąż miał swoją posępną minę, ale teraz dostrzegłem w niej coś pozytywnego. Minimalny uśmiech.

– Trzymaj – rzekł, podając mi kartę pamięci. – Jest tam zapisana pozycja na mapie, do której najkrótsza droga zajmie wam około trzydzieści minut. Nie śpieszcie się, a najlepiej idźcie określoną trasą, żeby zgubić potencjalny ogon. Zresztą nie muszę was uczyć, sami wiecie, że macie tu trochę przypakowanych wielbicieli. – Wziąłem kartę i wpiąłem ją do wolnego gniazda. Zrobiłem to tak delikatnie, jakby od jej zawartości zależało moje dalsze życie. I może tak właśnie było. – Za pięćdziesiąt

minut od teraz, znacznik zmieni swoją pozycję o niecały kilometr – kontynuował Vampir. – Wtedy już musicie dokręcić tempo. Będziecie mieć wtedy tylko dziesięć minut, żeby znaleźć się we wskazanym miejscu, a informator zostanie w podanym miejscu jedynie przez sześćdziesiąt sekund. Jeśli się spóźnicie, drugiej szansy już nie będzie. To jedyna osoba, która ma wystarczające umiejętności i zgodziła się pomóc, ale ceni swoje bezpieczeństwo. Jeśli Zander i Valery wjechali do Strefy samochodem, to znaczy, że nie są tu przypadkowymi łotrzykami z pistoletami na wodę. Muszą mieć spore kontakty, więc informator naprawdę dużo ryzykuje. I pamiętajcie. Gdyby spotkanie nie doszło do skutku lub pojawiłyby się jakieś inne problemy, nie kontaktujcie się ze mną przez najbliższy miesiąc. – Vampir przetarł dłonią czoło, było widać, że jest zmęczony. – Zrozumieliście wszystko? – spytał po chwili zachrypniętym głosem.

Obaj skinęliśmy głowami.

– To dobrze. Ale teraz musicie już iść. Robota goni.

Wolałem nie pytać, czy chodzi mu o polewane drinków, czy może o sprzedawanie mety pod ladą.

– Dziękuję – odpowiedziałem, a następnie uściśnąłem mu dłoń. Była zimna, ale nie spodziewałem się niczego innego po stali malowanej na białą.

– Jeszcze nie ma za co – zauważył Vampir. – Jeśli Lena się znajdzie, a wierzę, że tak będzie, to zapraszam na darmowe drinki w „Credits to Doughnuts”.

– Co ty – uśmiechnąłem się. – Przez dwa lata nie będzie mogła wychodzić z domu. A ktoś będzie musiał jej pilnować.

Nikt się nie roześmiał, nawet moja potencjalna nagroda na „Ojca Roku”.

Po chwilowej ciszy Bleesch również się pożegnał, okraszając to klasycznym słowotokiem i nadużywaniem zwrotów „mordo” oraz „stary”. Następnie szybkim krokiem ruszyliśmy w stronę wyjścia.

– Ej Bleesch – krzyknął Vampir, kiedy wciąż znajdowaliśmy się w jego polu widzenia. – Teraz jesteśmy już kwita – dodał.

Bleesch powoli się odwrócił, wzruszył ramionami, i dodał do tego swój neonowy uśmiech.

– Żartujesz. My nigdy nie będziemy kwita.

Chyba pierwszy widziałem, żeby Vampir zrobił sympatyczną minę. Później jego obie dłonie ułożyły się w międzynarodowy znak pozdrowienia. Oczywiście tego ze środkowym palcem.

Bleesch tylko pokręcił głową i się roześmiał. Nie chciałem zapeszać, ale chyba naprawdę byli kwita.

Wesoła i przypakowana rodzinka w postaci ochroniarza Ulfa i jego syna Steinara rozsunęła się, kiedy się zbliżyliśmy.

– I udało się coś załatwić? – spytał Ulf, krzyżując ręce na piersi. Przez moment miałem wrażenie, że rękawy jego garnituru na wysokości bicepsów zaraz eksplodują.

– Zobaczymy – westchnął Bleesch. – Wiesz jak to jest z informacjami.

– Wiem – potwierdził ochroniarz. – Nigdy nie dowiesz się, jak pachną, póki nie wetkniesz nosa po sam czubek.

– Właśnie. A wtedy są czymś innym, niż się spodziewałeś.

– Klasycznym gównem, nazywajmy rzeczy po imieniu – zaśmiał się Ulf. – No nic. Mam nadzieję, że tym razem tak nie będzie. Nie chcę was zatrzymywać, także życzę powodzenia i wpadnijcie jeszcze kiedyś – dodał, a ja zdałem sobie sprawę, że w innych okolicznościach moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

Syn Ulfa, Steinar, tym razem nic nie powiedział, tylko nieznacznie skinął głową. Zapewne odebrał sowitą reprimendę za rozprowadzanie informacji o dodatkowych zainteresowaniach Vampira.

Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, skompilowałem program znajdujący się na karcie pamięci. Był niesamowicie prosty, jego interfejs składał się jedynie z mapy z zaznaczoną pozycją oraz odliczanego czasu. Licznik aktualnie wskazywał 54 minuty i 20 sekund. Z tego co mówił Vampir, gdy pozostanie dziesięć minut, znacznik na mapie zmieni położenie, a po tym jak odliczanie dobiegnie końca, informator pojawi się tam tylko na 60 sekund. Nie mogliśmy się spóźnić. Odnalezienie Zandera i Valery'ego na własną rękę wydawało się w tym miejscu wręcz niemożliwe. Zakląłem w duchu. Oprócz niedziałających zdolności bojowych wszczepów, nie posiadałem tutaj równie ważnej super mocy. Znajomości. Jedna z bardziej przydatnych rzeczy w Shadow Villens, w Strefie praktycznie dla mnie nie istniała.

– Jaka trasa będzie najlepsza? – spytałem Bleescha, wrzucając widok programu na rzutnik holograficzny. Na szczęście niechciany prezent od ochroniarza Strefy nie blokował tej funkcjonalności.

Bleesch przez kilkanaście sekund przypatrywał się mapie, układając w głowie potencjalną trasę. Nie mogliśmy użyć nawigacji, bo zapewne najkrótsza droga prowadziła przez niezbyt przyjazne miejsca. Zwłaszcza dla seniora po sześćdziesiątce i jego kolegi ze świecącymi zębami.

– Dobra, wiem – zdecydował przemytnik, po czym zaczął iść w stronę wąskiej, bocznej uliczki.

Westchnąłem, bo już wiedziałem, że nie będziemy się nudzić. Jednak zanim ruszyłem za nim, obejrzałem się za siebie. Neon „Moonshine” świecił jakby trochę mocniej. Albo przynajmniej chciałem, żeby tak było.

Spojrzałem na interfejs aplikacji od Vampira. Zegar wskazywał 15 minut i 12 sekund. Przez ostatnie czterdzieści minut zobaczyliśmy chyba wszystkie odcienie Strefy, wliczając w to niszowy gang kanibali handlujący ludzkim mięsem. To miejsce było wręcz personifikacją sieci underNet dziejącą się wprost przed moimi oczami. Chyba nie istniała nielegalna rzecz, która nie czułaby się tutaj jak w domu. I to w wyjątkowo wygodnym oraz przytulnym.

– Obstawiam, że zaraz znacznik powinien zaktualizować swoje położenie – zaczął Bleesch, wyrywając mnie z obserwacji grupki mężczyzn, którzy sprzedawali ludzkie organy. Naprawdę. Mieli sztucznie serca, płuca i nerki w pojemnikach utrzymujących je w odpowiedniej temperaturze. Nie chciałem nawet wiedzieć, w jaki sposób zdobyli ten towar. Chociaż dobrze, że stoisko kanibali mijaliśmy jakieś dwa kilometry wcześniej. Nie chciałbym złorzeczyć, ale mogliby się połakomić na swoisty rosół z serduszkami i wątróbką.

– Znacznik się zmieni. – Zrobiłem krótką pauzę. – Jeśli Vampir mówił prawdę.

– Spokojnie Gustav. Na pewno nas nie oszukał. – Bleesch zaprotestował.

– Uwierz mi – dodał dobitnym głosem. – On naprawdę nie chciałby mnie wystawić.

Uniosłem brwi.

– Co dla niego zrobiłeś?

Bleesch uśmiechnął się szeroko.

– Gdyby nie ja, pewnie siedziałby teraz w więzieniu i masowałby plecki jakiemuś gangusowi na górnym piętrze swojej pryczy. I na pleckach raczej by się nie skończyło.

Skinąłem tylko głową. Nie chciałem znać więcej szczegółów.

– Dobra, jest – niemal krzyknąłem, patrząc jak migająca kropka zmieniała położenie na mapie. Przeniosłem na chwilę wzrok na zegar. Wskazywał 9 minut i 59 sekund. Tym razem nie prosiłem Bleescha o wytyczenie najlepszej trasy, potrzebowałem po prostu najszybszej. Estymacja stworzona przez program zmroziła mi krew w żyłach. 19 minut i 44 sekundy. Niemal o połowę za długo. Nie wiedziałem, czy to błąd, czy może informator tak bał się o siebie, że nie chciał się z nami zbyt często spotkać. Jednak teraz było to bez znaczenia.

– Biegniemy – krzyknąłem i rzuciłem się w kierunku wskazywanym przez mrugający punkcik, który aktualnie wydawał się być jedyną rzeczą, dzięki której mogłem odnaleźć swoją córkę.

Spojrzałem na mapę, starając się powstrzymać wymioty. Do celu brakowało około 250 metrów, ale poruszałem nogami już tylko siłą woli. Zakaszałem, a następnie wypłułem sporą ilość gęstej flegmy. Płuca piekły mnie tak mocno, jakbym rozpałił w nich majowego grilla i nie oszczędzał na dosypywaniu węgla. Niestety karta od ochroniarza Strefy skutecznie blokowała wspomaganie wydolności

syntetycznych płuc. Nie mogłem jednak teraz jej wyciągnąć i aktywować działania implantów. W krótkim czasie zaroiłoby się tu od strażników, a na to nie mogłem pozwolić. Byłem zbyt blisko, żeby teraz odpuścić.

Przeniosłem wzrok na Bleescha, który trzymał się zdecydowanie lepiej, ale również nie wyglądał zbyt dobrze. Średniej prędkości trucht był aktualnie maksymalnym wysiłkiem, na jaki było nas stać.

Zakląłem w duchu. Zegar wskazywał 116 sekund, czyli w niecałe dwie minuty musieliśmy zameldować się w miejscu spotkania z informatorem. Bazując na optymistycznej wersji, ten miał na nas czekać przez sześćdziesiąt sekund, więc musieliśmy pokonać ćwierć kilometra w niecałe trzy minuty. W normalnych warunkach nie byłby to jakiś szczególny wyczyn, jednak w aktualnym stanie wydawało się to poza naszym zasięgiem.

Rozejrzałem się dookoła. Znajdowaliśmy się pofabrycznych terenach, nie było tu dużo ludzi. Tym samym nie dostrzegłem też żadnego środka lokomocji, nawet głupiej hulajnogi elektrycznej. Zabawne. W Shadow Villens zawsze poniewierają się na chodniku w ogromnych ilościach, a gdy są naprawdę potrzebne, znikają w magiczny sposób. Pokręciłem głową. Ze zmęczenia bredziłem od rzeczy. Gdyby ktoś wprowadziłby w Strefie hulajnogi, pewnie tej samej nocy zostałyby skradzione i rozłożone części do ostatniej śrubki.

– Mamy niecałe trzy minuty – krzyknąłem do Bleescha, czując nadmiar flegmy w ustach. Była kwaśna i gorzka jednocześnie. Zupełnie jak zupa na wakacyjnym obozie w górach, który najlepiej się wspomina, jeśli zapomnimy o kulinarnych przygodach.

– Dajesz dziadku – wrzasnął Bleesch, próbując mnie jednocześnie wkurzyć i zmotywować.

Nie wiem, czy to jego słowa mi pomogły, ale jakimś cudem przyśpieszyłem, po czym zrównałem się z przemytnikiem, równocześnie kontrolując czas oraz naszą pozycję na mapie.

Nagle musieliśmy gwałtownie skrócić, a później skierować się w stronę dużej hali. Była mocno zniszczona, w elewacji znajdowało się sporo dziur po kulach, a niektóre fragmenty zostały uszkodzone przez granat lub ładunek wybuchowy. Zapewne były to pozostałości po starciu lokalnych gangów. Obok wejścia widniała sfatygowana tabliczka z napisem „Do wynajęcia” i numerem telefonu. Raczej nie byłem zainteresowany.

Znowu sprawdziłem czas i pozostałą odległość. 87 sekund i 140 metrów, wliczając w to minutę, podczas której informator miał na nas poczekać. Nie był to dobry wynik, ale wciąż mieliśmy szansę.

Bleesch nawet nie zastanawiał się, czy klamka działa, od razu potraktował drzwi mocnym kopniakiem. Te nie opierały się zbyttnio, wypadły z zawiasów i głośno uderzyły o posadzkę.

Nie zatrzymując się, wbiegliśmy do środka. Tak jak się spodziewałem, panował tu półmrok i niewiarygodny odór odczynników chemicznych. Stawiam kilka grubych

banknotów, że kiedyś też znajdowało się tutaj laboratorium narkotyków. Zapewne duża część gospodarki Strefy właśnie na tym się opiera.

Kontrolując docelowy punkt w nawigacji, przecięliśmy główny hol i pobiegliśmy w stronę dużych, przeszklonych drzwi. Wychodziły na dziedziniec i tym razem nie było potrzeby traktować ich kopniakiem, ponieważ przeszklone były jedynie w teorii. Przezroczyste panele już dawno zostały roztrzaskane i tylko chrzęściły pod butami.

Kolejny raz sprawdziłem czas i odległość. 60 metrów. Oraz 46 sekund do bezpowrotnego zniknięcia informatora.

Cały czas biegłem, ale z boku musiałem wyglądać jak maratończyk amator na końcowym etapie wyścigu, w dodatku w zaawansowanym stanie przedzawałowym. Mimo wszystko nie poddawałem się. Byliśmy zbyt blisko.

I wtedy kogoś zobaczyłem. Czarna postać stała przy jednym z dźwigarów znajdujących się na końcu dziedzińca. Widziałem jedynie niewyraźny zarys, w dodatku nie mogłem też stwierdzić, czy to kobieta, czy mężczyzna. Postać też nas dostrzegła i uniosła rękę, potwierdzając tym samym, że właśnie jej szukamy. Dzielilo nas tylko niecałe 30 metrów, więc zrozumiałem, że zdążyliśmy. Wyraźnie zwolniłem, ale nie zatrzymałem się.

– Udało się – powiedziałem cicho do siebie, a kilkanaście sekund później staliśmy obok informatora. Okazał się naprawdę sędziwym mężczyzną, wydawał się jeszcze starszy ode mnie. Czapka i kominiarka zasłaniały mu dużą część twarzy, ale w okolicach oczu dostrzegłem wiele wytatuowanych wzorów wskazujących na więzienną przeszłość. Jak na informatora działającego w Strefie uznałem to za dobry znak.

– Jesteście od Vampira? – zapytał, kiedy z Bleeschem próbowaliśmy opanować zbyt szybki oddech oraz chęć wymiotowania. Na szczęście nie miałem pełnego żołądka.

Skinąłem głową.

– Nazywam się Gustav Drag – powiedziałem, łapiąc hausty powietrza pomiędzy kolejnymi sylabami. Płuca wciąż mnie bolały, ale nie zwracałem na to uwagi.

– Wiem, jak się nazywasz – odparł spokojnym głosem informator. – Gdyby tak nie było, nigdy bym się tu nie pojawił. Ale żeby to potwierdzić, potrzebuję kartę pamięci, którą dał ci barman. – Po chwili wyciągnął prawą dłoń i podwinął rękaw. Zauważyłem wiele gniazd w okolicach nadgarstka. Powoli wyjąłem kartę i podałem ją mężczyźnie. Podczas gdy montował ją do swojego systemu, trochę rozbawiło mnie, że nazwał Vampira barmanem. Po tym czego dowiedziałem się o jego działalności, było to ostatnie określenie, którego bym użył. Ale na przykrywkowy pseudonim pasowało znakomicie.

Informator na kilka sekund zamknął oczy, sprawdzając dane na nośniku, a następnie spytał.

– Rozumiem, że szukacie Zandera Vassa i Valery’ego Balakina?

Kolejny raz skinąłem głową.

– Są zamieszani w porwanie mojej córki – dodałem.

Mężczyzna wyciągnął rękę w geście sprzeciwu.

– Nie odbierz tego jako afront, ale nie obchodzi mnie twoja historia. Każdy jakąś ma, a w tym miejscu zazwyczaj mało szczęśliwą. Moim zadaniem jest tylko przekazać ci informację.

– Jasne, rozumiem – skwitowałem bezosobowym tonem.

Mimo że usta informatora zasłaniała kominiarka, wydawało mi się, że lekko się uśmiechnął.

– Ale tym razem mam dla ciebie dobre wieści. Zander i Valery nadal znajdują się w Strefie. Przebywają tu od kilku godzin i na razie nie zanosi się, żeby miało się to zmienić.

Trochę mnie to uspokoiło, ale nie mogłem odetchnąć z ulgą. Pokonanie ich bez działających wszczepów i moich systemów obronnych nie zapowiadało się na proste zadanie. Miałem tylko nadzieję, że uda się gdzieś nielegalnie dozbroić, bo te kilka sztuk broni, które mieliśmy, również nie zwiastowało sukcesu.

– Zaraz wgram na kartę dane z lokalizacją i rozejdziemy się w przeciwnych kierunkach – kontynuował mężczyzna. – A teraz najważniejsze. Więcej mnie nie szukajcie, bo nigdy się już nie spotkamy. Jeśli jednak będziecie próbować mnie znaleźć, miejcie świadomość, że nie będziecie bezpieczni. I to ja będę waszym największym zagrożeniem.

– Piękna przemowa – pomyślałem sarkastycznie, ale nie miałem zamiaru jej komentować.

– Dziękuję – powiedziałem jedynie, a kilka sekund później poczułem, jak ciśnienie mojej krwi drastycznie wzrasta, a adrenalina z kortyzolem przygotowują w krwiobiegu mocnego drinka.

Na czole informatora pojawiła się czerwona kropka. Pochodząca zapewne z karabinu snajperskiego.

Nie zdążyłem wydobyć z siebie nawet słowa, kiedy usłyszałem strzał, a głowa mężczyzny dorobiła się dwóch niemal symetrycznych ran. Wlotowej i wylotowej. Ciało po chwili bezwładnie osunęło się na ziemię.

Kątem oka spojrzałem na Bleescha, a on dobrze wiedział, co aktualnie znajduje się na jego głowie.

Cholerna czerwona kropka.

Moją głowę przeszła niewygodna myśl, że bardzo bym nie chciał, aby tak nazywała się moja autobiografia. W dodatku wydana pośmiertnie.

Rozdział 10

„Po drugiej stronie rozbitego lustra.”

Znowu nie wydobyłem z siebie żadnego dźwięku, tylko skoczyłem w stronę Bleescha i obaj ciężko upadliśmy na ziemię. Jednak zanim zaliczyliśmy twarde lądowanie, usłyszałem odgłos strzału i świst kuli, która przeszła dosłownie kilka centymetrów od nas. Po krótkotrwałym szoku, nie musieliśmy sobie wyjaśniać dalszego działania. Przeturlaliśmy się w przeciwnych kierunkach, wiedząc, że jeśli chcemy przeżyć, powinniśmy się natychmiast rozdzielić.

Kolejny odgłos wystrzału i następna kula przeszła powietrze. Na szczęście chybiła. Jednak znowu uderzyła bliżej Bleescha, więc to on był kolejnym celem. Przypomniała mi się sytuacja z Prältn, kiedy ona zginęła, a Lena została porwana. Czy ktoś chciał to teraz powtórzyć? I może nie powinienem używać słowa „ktoś”, a Zander Vass.

Pochylony przebiegłem kilka metrów i przywarłem plecami do stalowego dźwigaru. Spojrzałem na Bleescha, on również ukrył się za słupem.

– Skąd strzelają? – krzyknąłem, jednocześnie próbując lekko wychylić głowę, by zorientować się w sytuacji. Tak jak podejrzewałem, nie mogłem nikogo dostrzec.

– Gówno widać – wrzasnął przemytnik, potwierdzając moją obserwację.

– Stawiam, że z dachu na końcu dziedzińca.

– Może tak kurwa być. – Głos przemytnika był mocno zachrypiały. Mój pewnie też.

Kolejny raz usłyszałem świst lecącej kuli. Ta uderzyła w dźwigar, za którym ukrywał się Bleesch. Cała konstrukcja lekko się zatrzęsała, a z góry spadło kilka stalowych elementów. Nie muszę chyba dodawać, że budynek swoje najlepsze lata miał już dawno za sobą. Nie mogliśmy tu zostać.

– Musimy iść bokami – zarządziłem, jednocześnie wyjmując pistolety ze skrytki pod żebrę. – Czas też użyć kontrabandy. Snajper może nie być sam i zaraz pewnie trafimy na jego mało przyjaznych kolegów.

– Na przykład na Valery’ego Balakina – dodałem w myślach.

Nie musiałem tego tłumaczyć dwa razy. Bleesch natychmiast wyjął broń i po wzrokovym porozumieniu ruszyliśmy przeciwnymi stronami dziedzińca.

Nasza wytrzymałość zdążyła się trochę zregenerować, więc teraz poruszaliśmy się znacznie szybciej. Cały czas słyszałem kolejne strzały, ale wszystkie były niecelne, w dodatku uderzały po stronie Bleescha. Ktoś naprawdę chciał się pozbyć wszystkich postronnych osób. Najgorsze, że nie miałem pojęcia kto.

Gdy znaleźliśmy się przy rozbitych, szklanych drzwiach, przykucnęliśmy po obu stronach, opierając się plecami o ścianę. Przez kilka sekund nie słyszeliśmy żadnego wystrzału, więc założenie, że snajper znajduje się na dachu przy początku dziedzińca,

było poprawne. Oczywiście zaraz mogło się to zmienić, więc nie zamierzałem zagrzewać tu miejsca.

– Spieprzamy czy idziemy na dach? – spytał Bleesch, zupełnie jakby czytał mi w myślach.

– Ja wchodzę na górę – odparłem, mimo że opcja ucieczki była równie kusząca. Wiedziałem, że bez działającego trybu bojowego implantów i systemu skanerów była to misja bliska samobójczej, ale tak naprawdę wejście do Strefy już takie było. Nie mogłem teraz stchórzyć.

– Idę z tobą – zdecydował przemytnik.

– Nie musisz.

– Nie pierdol.

Uśmiechnąłem się.

– Zapewne snajper nie jest sam. Zakładam, że musi mieć jakąś obstawę.

– Dlatego idę z tobą. I z przyjaciółmi – powiedział Bleesch, unosząc w górę dwa pistolety.

– Zaprosiłem też swoich. – Zrobiłem dokładnie taki sam gest własną bronią. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy, że wchodzimy do holu budynku znajdującego się za naszymi plecami, a następnie kierujemy się ku górze, wzajemnie się osłaniając.

– Teorię znamy, czas na praktykę – powiedziałem do siebie, po czym ostrożnie przeszliśmy przez rozbite drzwi. Staraliśmy się nie hałasować, jednak szkło, a później wszelkiego rodzaju śmieci głośno chrzęściły nam pod stopami. Na szczęście obaj mieliśmy stare okulary noktowizyjne, w dzisiejszych czasach zapewne uznawane za muzealne. Jednak teraz były dla nas zbawienne. Gdyby nie one, musielibyśmy użyć zewnętrznego źródła światła, co by tylko zdradziło naszą pozycję.

– Czysto – oznajmiłem, po zrobieniu krótkiego rozpoznania przy żelbetowych schodach. – Idę pierwszy – dodałem, podejrzewając, że to nie ja jestem głównym adresatem kulki w głowę. Ktoś nie narobiłby sobie tyle trudu, żeby mnie teraz zabijać. Chcieli mnie żywego, a nie mogłem powiedzieć tego samego na temat Bleescha. Dla snajpera na górze mógł być tylko zbędną dekoracją, której jak najszybciej trzeba się pozbyć.

Schody były zniszczone albo niedokończone, czułem pod nogami jedynie zakurzony beton. Stawiałem kroki bez pośpiechu, ale robiłem to systematycznie, więc relatywnie szybko znalazłem się na półpiętrze. Przykucnąłem i po upewnieniu się, że nikt nam nie zagraża, ruszyłem dalej.

Korytarz na piętrze był czysty, jeśli chodzi o wrogów, ale brudny odnośnie wszystkiego innego. Wszędzie znajdował się ciężki pył, niektóre fragmenty ścian były zniszczone, okna nie posiadały szklenia, a czasem nawet samej stolarki.

Przytulnie, pomyślałem, obserwując zbliżającego się Bleescha.

– Idziemy wyżej – szepnąłem do niego, kiedy znalazł się tuż za mną. – Tam jest już wejście na dach, więc uważaj. Pełne skupienie i bez szarżowania.

– Może ja pójde pierwszy? – zasugerował przemytnik.

– To przeze mnie tu jesteś, więc pozwól zacząć sztafetę seniorowi.

Bleesch tylko pokręcił głową, co pewnie oznaczało niechętną, ale jednak zgodę.

Kiedy znaleźliśmy się blisko poziomu drugiego piętra, powoli wychyliłem głowę. Na początku nie zauważyłem nic niepokojącego. Tutaj również cały korytarz był zniszczony i naprawdę potrzebna była spora ekipa, żeby doprowadzić to miejsce do stanu używalności. Niestety producenci narkotyków nie są mistrzami remontów i dekoracji wnętrz.

– Idę – zarządziłem, uprzednio odwracając się do Bleescha.

Gdy kolejny raz się wychyliłem, a później zrobiłem kilka kroków, dostrzegłem minimalny ruch po drugiej stronie korytarza. W normalnych okolicznościach zapewne bym to zignorował, ale nie w momencie, kiedy zamierzaliśmy zlokalizować snajpera. Wtedy nawet najmniejsze drżenie powietrza może być podejrzane.

Nie pomyliłem się. W ostatniej chwili gwałtownie skręciłem w lewo, a zaraz potem usłyszałem strzał. Momentalnie poczułem ból w prawej nodze. Na szczęście było to tylko draśnięcie. Chyba.

Siłą pędu wyważyłem najbliższe drzwi, po czym upadłem na posadzkę w małym pomieszczeniu. Zgodnie ze standardami pozostałej części budynku, tutaj również panował wszechobecny bałagan.

Przekręciłem się na plecy i odruchowo wycelowałem pistolety w stronę drzwi, jednak nagle zapanowała niepokojąca cisza.

– Bleesch, w porządku? – krzyknąłem, decydując się na ten błąd. Zdradziłem przeciwnikowi zbyt wiele informacji, ale musiałem się upewnić, że nikt z nas nie oberwał.

– W porządku. Nie dostałem. – odpowiedział mi głos przemytnika. – A ty jak?

Szybko sprawdziłem ranę. Trochę krwawiła, ale nie był to teraz największy problem.

– Tylko draśnięcie – skwitowałem.

I wtedy się zaczęło. Z końca korytarza rozległa się kanonada wystrzałów, przeciwnicy przestali się bawić w pojedyncze serie. Udało mi się rozróżnić dźwięk przynajmniej dwóch różnych karabinów, ale strzelców mogło być zdecydowanie więcej. Miałem nadzieję, że Bleesch zdążył się wycofać, bo nie miał szans w bezpośredniej walce. Przez otwarte drzwi widziałem fruwające elementy ścian oraz masę unoszącego się pyłu. Totalny chaos, w którym nawet widzenie noktowizyjne słabo sobie radziło.

Gdy znowu zrobiło się cicho, postanowiłem nie powtarzać tego samego błędu. Nie odzywać się.

Na korytarzu nadal unosił się kurz, więc mogła to być ostatnia szansa, żeby się przegrupować. Musiałem wrócić na piętro niżej i spróbować podejść do nich z innej strony. Jedynie w ten sposób mieliśmy jakieś szanse.

Zaryzykowałem i ominąłem część z wychyleniem głowy, zamiast tego wybiegłem na pełnej prędkości, kierując się w stronę schodów. Tym razem nikt nie strzelał, a ja po kilku sekundach znalazłem się na kondygnacji niżej. To znowu potwierdziło teorię, że akurat mnie chcieli żywego. Albo bardzo chciałem w to wierzyć.

Widoczność na pierwszym piętrze była znacznie lepsza i niemal natychmiast dostrzegłem Bleescha. Nie wyglądał zbyt dobrze. Siedział za stalową skrzynią, trzymał się za lewe ramię i nieregularnie oddychał. Na jego twarzy pojawiło się wiele drobinek potu, co raczej nie zwiastowało niczego dobrego.

– Dostałeś? – spytałem, kucając obok leżących na ziemi pistoletów.

– Szmaciarze – wychrypiał przemytnik, potwierdzając moje złe przeczucia.

– Pokaż. – Odchyliłem dłoń, odsłaniając miejsce, które uciskał. Niestety było tu za dużo krwi jak na draśnięcie. – Niedobrze – westchnąłem. – Chyba masz kulę w ramieniu.

– Zajeście – warknął Bleesch, z powrotem chwytając trafione miejsce.

– Musisz szybko stąd zawijać, bo jedną ręką za dużo tu nie zdasz – zasugerowałem, jednocześnie robiąc prowizoryczną opaskę uciskową z kawałka materiału pozostawionego na podłodze.

– Pieprzona Strefa. Co to za nienormalne miejsce – pomyślałem, zawiązując ostatni supeł na ramieniu przemytnika. – Wszyscy mają tu karabiny, a strażnicy na wejściu robią problem, jak chce się wnieść dwa małe pistolety.

– Zostaję z tobą Gustav – wycedził przez zęby Bleesch.

– I tak już dużo mi pomogłeś. Nie chcę, żebyś tu zginął.

– Przecież sam nie dasz im rady.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale tylko ciebie chcą tu odstrzelić. We mnie albo w ogóle nie celują, albo mierzą tylko po nogach. Chcą mnie żywego. Ciebie wręcz przeciwnie.

Bleesch znowu pokręcił głową, ale wiedział, że mam rację.

– To co robimy?

Nie chciałem jeszcze używać modułu od Sigmunda. Ale nie było też czasu na genialne pomysły i wyszukaną taktykę. Został najprostszy sposób.

– Ty uciekasz, a ja się dowiem, po co mnie tu ściągnęli.

– Niech ci będzie stary skurczysynu – zgodził się w końcu przemytnik, a w tym samym momencie usłyszeliśmy kroki dobiegające z kondygnacji powyżej.

– Zaraz będą na schodach – powiedziałem, patrząc na okno znajdujące się kilka metrów od nas. Tak jak większość w tym budynku nie posiadało szklenia, a stolarka praktycznie nie istniała.

Pociągnąłem Bleescha za zdrowe ramię, pomagając mu wstać. Wykrzywił usta w grymasie bólu, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Kiedy znaleźliśmy się obok okna, przemytnik odepchnął moją rękę, chcąc samemu dokończyć ucieczkę. Ewakuował się nie raz, więc nie musiałem tłumaczyć mu prostego planu. Szybko przełożył nogi przez parapet i skoczył. Wylądował na dziedzińcu, dobrze się amortyzując, a po kilka sekundach zniknął. Wiele można było mu zarzucić, ale naprawdę umiał się rozpląwać w powietrzu. Między innymi dlatego z nim pracowałem.

– Ucieczka przez okno. Zupełnie jak w cholernym XIX wieku – pomyślałem ironicznie, kiedy usłyszałem niski głos dopływający ze schodów.

– Znajdźcie i zabijcie tego, który teraz uciekł. Nie może być daleko. – Dwóch najemników zasalutowało, a następnie pobiegło schodami na dół. Miałem nadzieję, że Bleesch już dawno znajdował się poza ich zasięgiem.

Właściciel niskiego głosu podszedł bliżej, a następnie zwrócił się do mnie sztucznie radosnym tonem.

– Gustav Drag. Co za spotkanie.

Od razu go rozpoznałem. Cholerny Zander Vass. Były wojskowy i pierwsza ofiara mojej quasi bohaterskiej działalności prowadzonej z Røbustem. Trzymał wycelowany we mnie karabin snajperski, a ja zdałem sobie sprawę, że powyżej mojego lewego kolana znajduje się czerwona kropka. Znowu chciał mnie jedynie unieruchomić. Nie zabić.

Towarzyszyło mu kolejnych dwóch mężczyzn, wszyscy byli uzbrojeni lepiej od strażników Strefy, więc obliczając w pamięci moje potencjalne szanse, nieustannie wychodziło zero. Albo nawet liczba ujemna.

Jednak najgorsze było to, że wiedział kim jestem.

– Rzuć broń – rozkazał, a dwóch najemników również wycelowało we mnie swoje karabiny.

Powoli położyłem pistolety na podłodze. I tak nie zamierzałem ich użyć, bo w aktualnej sytuacji byłoby to samobójstwo.

– Pięknie wyglądasz Zander – odpowiedziałem, robiąc aluzję do blizn na twarzy, które zostały po naszym pierwszym i ostatnim spotkaniu. – Te długie włosy też ci służą. Nie myślałeś, że z koczkim byłbyś jeszcze piękniejszy?

– Ostatnio też rzucałeś żarcikami – zakpił Vass, ciągle mierząc w moją nogę. – Pamiętasz, co ci wtedy obiecałem?

Wzruszyłem ramionami.

– Bardziej krzyczałeś, niż coś mówiłeś.

– Powiedziałem ci, że kiedyś wrócę. I jak widzisz, historia zatoczyła koło.

– Zander, co ty pieprzysz. – Pokręciłem z niedowierzaniem głową. – Porwałeś moją córkę, a jej przyjaciółkę zabiłeś. – Specjalnie nie wspomniałem już o informatorze, bo zapewne sam nie był pomnikiem szlachetności. – Gdyby historia naprawdę zatoczyła koło – kontynuowałem. – To przyszedłbyś do mnie, a nie zaczął na dwie nastolatki jak najgorszy szczur.

Vass wyraźnie się zdenerwował, kiedy wspomniałem o Präln. Przestał we mnie celować, podszedł bliżej, a następnie uderzył mnie w twarz z kolby karabinu. Był nienaturalnie szybki, więc nie miał karty pamięci blokującej działania wszczepów. Nie powinno mnie to dziwić. W końcu mógł wjechać do Strefy samochodem, a to spory przywilej i zapewne niejedyny.

Siła uderzenia była tak silna, że potrzebowałem chwili, aby dojść do siebie. Na szczęście w końcu się wyprostowałem i przetarłem ręką rozbita wargę. Spora ilość krwi na dłoni nie zapowiadała niczego dobrego.

– Jestem żołnierzem i czasami muszę wykonywać rozkazy – próbował tłumaczyć się Zander.

– Świetna wymówka – zakpiłem, czując krew w ustach. – Ale nieaktualna. Chyba muszę ci przypomnieć, że od dawna jesteś tylko byłym żołnierzem.

Kolejne silne uderzenie, tym razem w brzuch. Momentalnie zgąłem się w pół i upadłem na kolana.

– To ty zapamiętaj Gustav – niemal wyszeptał mi do ucha. – Nigdy nie przestaje się być żołnierzem.

Chciałem odpowiedzieć coś o świetnym cytacie, który na pewno zanotuję w Żółtych Myślach, ale nie mogłem nawet złapać tchu. Zamiast tego wypłułem dużą ilość krwi na posadzkę.

Zander chwycił mnie za twarz, a sam kucnął obok.

– Chyba się starzejemy, co dziadku? Na szczęście czekają cię dzisiaj znacznie gorsze rzeczy.

Wciąż nie miałem siły odpowiedzieć. Z mojego gardła wydobył się jedynie niewyraźny bulgot. Zander powiedział coś do jednego z najemników, a ten podał mu czarne, metaliczne pudełko. Ostrożnie je otworzył i wyjął jedną z trzech równo ustawionych strzykawek. Następnie delikatnie wcisnął tłoczek, a z końca igły pociekło odrobinę zawartości.

– Chętnie bym cię teraz wykończył, ale ktoś ma co do ciebie trochę odmienne plany – oznajmił Zander, po czym rozkazał mężczyznom, aby mnie przytrzymali. Nie trzeba było ich prosić dwa razy, bo po chwili poczułem się, jakbym znalazł się w ludzkim imadle. Nie miałem żadnych szans, aby się uwolnić.

Zander zdecydowanym ruchem wbił igłę w moją szyję i wstrzyknął całą zawartość fiolki.

Momentalnie zdałem sobie sprawę, że odpływam. Miałem zawroty głowy i zaczynałem widzieć podwójnie.

– Kolorowych snów – zakpił Zander, a następnie wymierzył mi mocny prawy sierpowy.

Trafił idealnie.

Światło zgasło.

Wydawało mi się, że świadomość wróciła mi kilkukrotnie. Pierwszy raz, gdy ładowali mnie na tył furgonetki. Drugi, gdy dwóch najemników, którzy mieli znaleźć Bleescha, dostawali ochrzan, że tego nie zrobili. Kolejny, kiedy samochodem zarzuciło na ostrym zakręcie, a ja uderzyłem barkiem o stalowy element. Nie mogłem tego zamortyzować, ponieważ dłonie oraz nogi miałem unieruchomione kajdankami.

W dodatku chyba zacząłem majaczyć, a Zanderowi najwyraźniej się to nie spodobało. Znowu wbił mi igłę w szyję.

– Jeszcze nie czas, żeby się budzić – oznajmił radosnym głosem i tym razem nie wyłączył mi światła.

Wyrwał całą rozdzielnię ze wszystkimi kablami.

– Pobudka Gustav – usłyszałem, czując, jak ktoś wyjmuję mi igłę z ramienia. Miłe urozmaicenie, pomyślałem.

– Ile mamy czekać na naszą śpiącą królową? – spytał głos.

Rozpoznałem Zandera.

Otworzyłem oczy, ale obraz był jeszcze zbyt rozmazany, by dostrzec coś więcej niż niewyraźne kształty i jasne plamy światła. Bolała mnie głowa i chciało mi się wymiotować. Podany środek nasenny, a następnie antidotum były zapewne całkiem mocne i nie wracało się po nich łatwo do życia. Noworoczny kac wydawał się przy tym jedynie przyjemnym zmęczeniem.

Po chwili zorientowałem się, że jestem przytwierdzony do czegoś w rodzaju niewygodnego łóżka, tylko ustawionego pionowo. W kluczowych miejscach takich jak nadgarstki, kostki czy kolana trzymały mnie stalowe obręcze. Westchnąłem w myślach. Nie mogłem się ruszyć i byłem całkowicie bezbronny oraz zneutralizowany.

Ktoś podstawił mi pod usta naczynie z wodą.

– Pij – zarządził Zander.

Nie lubiłem spełniać jego rozkazów, ale w tym wypadku nie zamierzałem się kłócić. Chyba woda jeszcze nigdy nie miała tak dobrego smaku.

Mój wzrok zdążył się już przyzwyczaić do mocnego oświetlenia panującego w tym miejscu. Znajdowaliśmy się w niewielkiej hali, ale nigdzie nie dopatrzyłem się żadnych regałów ani aparatury chemicznej. Zabawne. Może w końcu odwiedziłem inne miejsce niż laboratorium mety.

Naprzeciwko mnie znajdował się ten sam skład osobowy co ostatnio. Zander oraz dwóch najemników, którzy pomogli przy pakowaniu mnie do furgonetki. Byli wyraźnie poddenerwowani, jakby na coś czekali. Albo na kogoś.

Nagle usłyszałem skrzypienie drzwi znajdujących się po prawej stronie. Wszyscy odwróciliśmy się w tym kierunku. Do pomieszczenia wszedł siwy mężczyzna. Wydawał się być znacznie starszy ode mnie, miał pólługie włosy zaczesane do tyłu oraz bardzo pomarszczoną twarz. Nosił czarny, wojskowy kombinezon, a ze sposobu jego poruszania dało się wywnioskować, że posiada dużo wszczepów.

Nie spieszył się. Zbliżał się powolnym, wręcz sennym krokiem. Zatrzymał się dopiero kilkanaście centymetrów ode mnie i przez dłuższą chwilę mi się przypatrywał. Zander, ani dwóch najemników nawet nie drgnęli. Ewidentnie się go bali.

– Sporo czasu minęło – przemówił w końcu. Głos pasował do jego wyglądu. Był ciężki i chropowaty, trochę przypominał zardzewiały syntezator.

Nic nie odpowiedziałem. Mężczyzna wydawał mi się dziwnie znajomy, chociaż nie mogłem go nigdzie umiejscowić. Nietypowe uczucie. Jakbym go widywał wielokrotnie, ale teraz nic konkretnego nie przychodziło mi głowy.

– Sporo czasu minęło – powtórzył, ale dodał jedno słowo, które sprawiło, że moje ciało pokryło się gęsią skórą.

– Synu.

Natychmiast przez moją głowę przeleciało wiele myśli, zupełnie jakbym dostał element układanki, który pasował w zbyt wiele miejsc.

To poniekąd tłumaczyło ostatnie słowa Kampera, zanim zapadł w śpiączkę. Powiedział wtedy: „To jest ojciec”. Wtedy nie znaczyło to nic konkretnego, bo zawężyło poszukiwania do wszystkich ojców świata. Jednak teraz stary mężczyzna, który najprawdopodobniej zorganizował to wszystko, nazwał mnie swoim synem.

Zrobiło mi się niedobrze. Mój prawdziwy ojciec, czyli Egil Drag nie był w ogóle podobny do osoby stojącej przede mną. Coś tu ewidentnie się nie zgadzało albo ja nie rozumiałem wszystkiego. Zakląłem w duchu. Po mojej stronie równania miałem stanowczo zbyt wiele niewiadomych.

– Nie rozumiem – odpowiedziałem spokojnym głosem, co nie było żadną grą z porywaczem. Naprawdę nie pojmowałem, co tu się dzieje.

– Nie mówiłem do ciebie Gustavie – warknął mężczyzna. – Ty jesteś zwykłym złodziejem, na którego czekałem czterdzieści lat.

Uniosłem wysoko brwi.

– Naprawdę nie rozumiem, o co ci chodzi. Kim w ogóle jesteś, bo jakoś nie słyszałem, żebyś się przedstawił.

– Teraz nie ma znaczenia, kim jestem. Dlatego proszę cię, nie okłamuj mnie Gustav – ryknął porywacz.

– Gdzie moja córka? – spytałem równie głośno.

– Nie martw się. Lena jest bezpieczna – odpowiedział nagle spokojnym głosem. Także zmieniłem ton.

– Mogę ją zobaczyć?

– Nie teraz.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem. Powoli traciłem panowanie nad sobą, bo nie mogłem już dłużej znieść tej niedorzecznej sytuacji.

– Naprawdę nie mam pojęcia, co sobie ubzdurałeś, ale nie jestem twoim synem, więc skończmy tę dziecinadę. Powiedz mi, czego chcesz i na pewno się jakoś dogadamy. – Oczywiście grałem na czas, ale w aktualnej sytuacji nie miałem zbyt wielu opcji.

Mężczyzna powoli wypuścił powietrze, a następnie się roześmiał.

– Dogadamy się Gustavie, dogadamy. Ale na pewno nie na twoich warunkach. Wciąż mnie okłamujesz – oznajmił, a następnie zamilkł na kilka sekund, jakby musiał się zastanowić, co powiedzieć dalej. – Obstawiam, że ciężko cię przekonać do zmiany nastawienia, dlatego przejdę do sedna. Gdzie jest urządzenie do przenoszenia świadomości?

Zmarszczyłem czoło. Czy to całe zamieszanie było o urządzenie, co do którego nawet nie było pewności, że istnieje? Odkąd zniknęła Lena, zapomniałem nawet o spotkaniu, które miało się odbyć pojutrze z rzekomym sprzedawcą. Ale słowa porywacza nie mogły być przypadkowe. Przecież moja ostatnia rozmowa z Kamperem dotyczyła właśnie tego tematu. Ktoś wysłał mi wiadomość ze zdjęciem rzekomo dawno zniszczonej aparatury, która pozwalała przenieść świadomość do innego ciała.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Znowu grałem na czas. Nie wiedziałem tylko, ile pozostało do końca meczu i kto aktualnie posiadał piłkę.

Porywacz chwycił mnie za szczękę i mocno ścisnął.

– Gustav, naprawdę nie lubię, jak ktoś mnie okłamuje. Gdzie jest to urządzenie?

– Gdzie jest moja córka? Muszę ją najpierw zobaczyć, zanim cokolwiek ci powiem. – Gra na czas weszła właśnie w ostatnią fazę.

Mężczyzna splunął na ziemię.

– Jeśli to ma cię namówić do współpracy, niech ci będzie. – Odwrócił się do dwóch najemników stojących obok Zandera. Nikt z całej trójki nadal nie odezwał się ani słowem. – Przyprawdźcie ją – rozkazał.

Dwóch najemników ruszyło w stronę drzwi, tylko Zander pozostał na swoim miejscu. Po niecałej minucie wrócili z Leną. Gdyby nie środki na uspokojenie, które brałem od dwóch dni, zapewne rozpadłbym się na kawałki. Zamiast tego poczułem jedynie wszechogarniającą pustkę.

Moja córka była całkowicie przerażona, trzęsła się jej broda, a gdy dostrzegła mnie – zakutego w stalowe obręcze, straciła panowanie nad sobą. Krzyczała i zaczęła się szarpać z najemnikami, mimo że sama miała założone kajdanki. Mimowolnie moje myśli wróciły do wspólnego, noworocznego śniadania, kiedy Lena zastanawiała się, jaki smak płatków śniadaniowych wybrać. Życie naprawdę potrafi się zmienić podczas 48 godzin.

Siwy mężczyzna odwołał najemników sugestywnym ruchem ręki i po chwili zniknęli oni za drzwiami.

– Ty skurwysynu – zasyczałem.

– Spokojnie Gustav. Jeśli powiesz mi, gdzie jest to urządzenie, może wszystko się jeszcze ułoży.

Szczerze w to wątpiłem.

– Lenę też zabijesz, tak jak Prältn?

– Kogo?

– Przyjaciółkę mojej córki.

– To był wypadek przy pracy – wyraźnie zdenerwował się porywacz.

– Naprawdę? Wypadkiem przy pracy nazywasz strzał snajpera z kilkuset metrów? – Po tych słowach wskazałem ruchem głowy na Zandera.

– Nie oceniaj mnie Gustav, jeśli nie znasz wszystkich faktów – odpowiedział mężczyzna, podczas gdy Zander wciąż milczał. Już chciałem coś odpowiedzieć, kiedy porywacz sięgnął do kabury przy spodniach, a następnie strzelił w sam środek głowy zaskoczonego Zandera.

Miał rację. Nie znałem wszystkich faktów, bo naprawdę niczego tu nie rozumiałem. Jego zachowanie nie miało najmniejszego sensu.

– Teraz już w ogóle nie wiem, o co ci chodzi.

Mężczyzna szeroko się uśmiechnął, nawet nie patrząc na zwłoki, obok których zaczęła się pojawiać kałuża krwi.

– Nie musisz. Potrzebuję od ciebie tylko jednej rzeczy. Urządzenia do przenoszenia świadomości.

– Rozumiem, że Valery Balakin też już nie żyje? – Zmieniłem temat.

– To nie byli dobrzy ludzie, ale mieli cechę, której potrzebowałem.

– To znaczy?

– Nienawidzili cię, dlatego łatwo można było ich zwerbować.

– Widzę, że dużo o mnie wiesz, dlatego może jednak się przedstawisz? Będzie łatwiej się porozumieć – zasugerowałem, czując jak coraz bardziej drętwieją mi wszystkie kończyny.

– Mówiłem ci już. To nieważne. Nie chcę się powtarzać, ale potrzebuję od ciebie tylko jednej, pieprzonej rzeczy. Naprawdę nie testuj mojej cierpliwości – mówił coraz cięższym głosem.

– A skąd mam mieć pewność, że pozwolisz mi po prostu odejść, kiedy już dostaniesz, to co chcesz.

Mężczyzna szeroko rozłożył ręce.

– Nie masz żadnych gwarancji, ale też nie masz zbyt wielu argumentów w negocjacjach. To jak? Kończymy tę nieśmieszną zabawę w ukrywanie sekretów?

Już miałem coś odpowiedzieć, że to nie ja tutaj jestem „panem tajemniczym”, kiedy nagle zauważyłem swój argument. Czerwoną kropkę, która pojawiła się po prawej stronie głowy mężczyzny. Powstrzymałem się i nie spojrzałem w górę, ale porywacz dostrzegł moje zawahanie. Nie zdążył jednak zareagować.

Usłyszałem strzał i jego głowa dosłownie eksplodowała. Na kilka długich sekund w hali zapanowała całkowita cisza, a później zaczęło się na dobre. Odgłosy strzałów zlewały się w ogromną kakofonię dźwięków, ktoś coś krzyczał, używając wielu przekleństw, a później zmieniało się to przedśmiertne wrzaski.

Na chwilę znowu zrobiło się spokojnie, po czym usłyszałem odgłos rzuconego granatu. Drzwi, za którymi wcześniej zniknęli najemnicy wraz z Leną, praktycznie wypadły z futryny i przeleciały kilka metrów. Nagle wybiegły stamtąd dwie osoby. Nie mogłem ich rozpoznać przez gęsty i gryzący dym. Gdy podeszli bliżej, mimowolnie się uśmiechnąłem. To był Bleesch wraz z Ulfem – ochroniarzem z „Moonshine”.

– Sorki, że trochę nam zajęło, ale widzę, że całkiem nieźle sobie radzisz – zażartował Bleesch. Spojrzałem na jego postrzelone ramię, które ktoś profesjonalnie opatrzył.

– Gdzie jest Lena? – wychrypiałem.

– Spokojnie. Jest bezpieczna – odparł Ulf. – Steinar się tym zajął. I nie oszczędzał amunicji.

Przeniosłem wzrok na ochroniarza „Moonshine”. Miał na sobie tyle broni, że wyglądał jak bogato ubrana choinka, którą ktoś przywiózł z bazy wojskowej.

– To co teraz? – spytałem, wskazując wzrokiem obręcze, przez które praktycznie nie mogłem się ruszyć.

– Tym akurat ja się zajmę – oznajmił Ulf i podciągnął rękaw. Oprócz wielu tatuaży dostrzegłem kilka wbudowanych implantów w górnej części przedramienia. Jeden z nich powoli się wysunął i okazał się miniaturowym działkiem laserowym zdolnym przeciąć praktycznie każdy materiał. Uśmiechnąłem się. Ulf jako pracownik Strefy, w dodatku pracujący jako ochroniarz, nie miał założonej blokady wszczepów.

– Dziękuję – wyrzuciłem z siebie, bo zdałem sobie sprawę, że te słowa jeszcze nie padły.

Bleesch się roześmiał.

– Nie martw się Gustav. I nie dziękuj. Wisisz im tylko sporo kryptowaluty – oznajmił, eksponując swoje neonowe zęby. Dwóch brakowało albo straciły zasilanie. Gdy ta cała sytuacja się skończy, podrywanie dziewczyn będzie odrobinę trudniejsze.

Ulf również szeroko się uśmiechnął.

– Spokojnie. Potrzebujemy jedynie na koszty operacyjne. Zabijanie najemników to przyjemność, a nie praca.

Skinąłem głową w geście uznania.

– Czysta kurwa przyjemność, a nie praca – powtórzył Ulf, przecinając kolejne stalowe obręcze.

Gdy w końcu stanąłem na ziemi i mogłem się normalnie przemieszczać, dopiero poczułem, jak wszystko mnie boli. Bez większych zaskoczeń. Witamy w ciele sześćdziesięciolatka.

Ulf wyjął stare urządzenie UKF służące standardowo do komunikacji na morzu. Działało analogowo, więc żeby ktoś go podsłuchał, również musiał posiadać ten prastary sprzęt. Jako zapalony retro kolekcjoner doskonale wiedziałem, jak ciężko dostać coś takiego.

– Wielki Wóz do Małego Wozu. Odbiór – powiedział Ulf, wciskając boczny przycisk na radioodbiorniku.

Z głośnika dobiegły trzaski, a po chwili usłyszałem głos Steinara.

– Mały Wóz się melduje. Jak u was? Odbiór.

– Nie naj – kurwa – gorzej – roześmiał się ochroniarz z „Moonshine”. A u ciebie? Odbiór.

– Na razie spokojnie. Nie widzę, żeby ktoś chciał pomścić ten plankton, który ubiliśmy. Jakby co nigdzie się nie ruszałem, jestem w tym samym pomieszczeniu, w którym mnie zostawiliście. Z dziewczyną też wszystko w porządku, jest tylko

w sporym szoku, ale dałem jej trochę magicznych cukierków na skołatane nerwy. Odbiór.

Poczułem, jak moje serce zgniata się z kilku stron. Lena była w końcu bezpieczna i zaraz mieliśmy się zobaczyć. Jeszcze kilka godzin temu wydawało się to surrealistyczne.

W myślach podziękowałem Steinarowi, że podał Lenie środki uspokajające, jednocześnie zdając sobie sprawę, że byliśmy naprawdę zgraną drużyną. Córka i ojciec, oboje na lekach rozmywających obraz serwowany nam przez to miasto. Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobię po powrocie do domu, będzie rezerwacja długich i dalekich wakacji. Najlepiej na innym kontynencie. Może nawet Rozalia będzie chciała do nas dołączyć, ale wolałem być ostrożny przy składaniu naszej trójki w radosny, rodzinny obrazek.

Z zamyślenia wyrwał mnie stanowczy głos Ulfa, który odpowiedział Steinarowi.

– Dobra, idziemy do ciebie. Bez odbioru – zdecydował, po czym ruszyliśmy w stronę drzwi.

Zanim wyszliśmy, spojrzałem na bezwładne ciało siwego mężczyzny. Porywacza, który najprawdopodobniej chciał zniszczyć mi życie. Najgorsze, że wciąż nie wiedziałem, jakie były jego motywacje i nie umiałem do końca poukładać tego wszystkiego w głowie. Miałem pewne podejrzenia, ale wciąż kilka elementów do siebie nie pasowało. Dręczyło mnie nieprzyjemne wrażenie, że jego śmierć wcale nie zakończyła spraw między nami.

Kątem oka dostrzegłem również zwłoki Zandera, ale nimi nawet nie chciałem zajmować sobie głowy.

To dziwne uczucie. Gdy ktoś, kogo kochasz, wraca z dalekiej podróży i wpada ci w ramiona. Zwłaszcza jeśli ta „podróż” była wbrew jej woli i w nieznanym kierunku.

– Dziękuję tato – powiedziała Lena, przytulając się do mnie i używając do tego chyba całej swojej siły. Po jej policzkach ciekły łzy, zostawiając po sobie wilgotne ślady. Nic nie odpowiedziałem, wiedziałem, że czas na rozmowę będzie później.

Spojrzałem na Steinara. Stał oparty o ścianę i starał się na nas nie patrzeć. Zapewne chciał zająć czymś głowę, więc po kolei sprawdzał każdą broń ze swojego arsenału. Nie jestem pewny, ale chyba liczył naboje, jakie mu pozostały. Również Bleesch i Ulf stali w milczeniu i wpatrywali się na zmianę: to w swoje buty, to w podłogę.

Po chwili podszedł do mnie Ulf i położył dłoń na moim ramieniu.

– Musimy iść. Za dużo ludzi zginęło, więc to tylko kwestia czasu, zanim zjawia się tutaj strażnicy Strefy.

– Jasne – odparłem, puszczając Lenę. Miała czerwone oczy, ale poza tym oraz ogólnym szokiem wyglądało na to, że nie odniosła żadnych obrażeń.

– Dasz radę biec? – spytałem. Skinęła głową, więc szybko ruszyliśmy za Ulfem i Steinarem. Bleesch zabezpieczał tyły. Ochroniarze „Moonshine” narzucili naprawdę szybkie tempo, na szczęście co jakiś czas zatrzymywali się, aby zrobić rozeznanie terenu. Hala nie była duża, mimo to podzielono ją na mniejsze sekcje. W wielu z nich znajdowały się palety oraz regały do składowania uzbrojenia. Wszystkie były puste. Porywacz zapewne wynajął to miejsce pod legendą miejsca do składowania nielegalnych towarów.

Zanim wyszliśmy z budynku, zdjąłem swoją kurtkę i poprosiłem Lenę, aby ją założyła. W normalnych okolicznościach zaprotestowałaby, tłumacząc, że nie będzie ubierać rzeczy swojego staruszka, nawet gdyby miała zamarznąć. Tym razem zrobiła to z nieskrywaną przyjemnością.

– Po wyjściu, kierujemy się do czarnego vana – wyjaśnił Ulf, stojąc przed ostatnimi drzwiami. – Gustav, ty i Lena siadacie z tyłu w ostatnim rzędzie. Jeśli ktoś nas zatrzyma, nie odzywacie się, ani nie robicie żadnych gwałtownych ruchów. Po prostu siedzicie. Rozumiecie?

Oboje skinęliśmy głowami. Jednocześnie zdałem sobie sprawę, że moduł ewakuacyjny od Sigmunda dzisiaj mi się nie przyda. Wolałem zaufać ochroniarzom z „Moonshine”.

– Dobrze – kontynuował Ulf. – Bleesch, na pewno dasz radę kierować?

Przemytnik zrobił szybki ruch postrzelonym ramieniem, a następnie ułożył palce w znak oznaczający „ok”.

– Świetnie, w takim razie ty prowadzisz, ja siedzę obok. Steinar osłania tyły w pseudo bagażniku. – Ulf zamilkł na chwilę i zbliżył się do drzwi. Oparł się plecami o ścianę blisko futryny, a po drugiej stronie ustawił się Steinar. – Na mój znak, wychodzimy i biegniemy prosto do vana. Żadnego patrzenia na boki i zatrzymywania się. Bleesch, Gustav, broni używacie tylko, jak robi się naprawdę gorąco. W pierwszej kolejności zostawcie to nam.

Spojrzałem na pistolet, który kilka minut wcześniej wręczył mi Steinar. Niezbyt wyszukany, ale skuteczny Carousel 9mm. Kiedyś nawet sprzedawałem sporą partię tego modelu jakiemuś gangowi motocyklowemu z Południa.

Nie miałem jednak czasu na dłuższy powrót do przeszłości, ponieważ po kilku sekundach Ulf potraktował drzwi mocnym kopniakiem, co pewnie było personifikacją słów „na mój znak”. Ochroniarze „Moonshine” wybiegli pierwsi, cały czas trzymając broń w pogotowiu. Wolną ręką złapałem Lenę za ramię i po chwili również byliśmy na zewnątrz. Poczułem na twarzy lodowate powietrze oraz opadające płatki śniegu, ale muszę przyznać, że było to całkiem przyjemne. Wbrew zaleceniom Ulfa rozejrzałem się dookoła, próbując wykryć potencjalne zagrożenie. Nie było to proste. Panował półmrok, jedynie kilka źródeł światła tworzyło słabą poświatę. Szybko zatęskniłem za swoim retro noktowizorem.

Nagle usłyszałem kilka strzałów z lewej strony, na co natychmiast odpowiedzieli Ulf ze Steinarem. Od razu padłem na ziemię, starając się osłonić Lenę. Nie krzyczała, ale trzęsła się chyba każdą częścią swojego ciała. Na szczęście nie była to długa seria

i już po chwili Ulf odwrócił się i zapytał, czy nikt nie dostał. Lena potwierdziła, że nic jej nie jest, ja oraz Bleesch również nie odnieśliśmy żadnych obrażeń.

Powoli uniosłem głowę, sprawdzając, jaka odległość dzieli nas od samochodu. Zarys vana znajdował się około 80 metrów od nas. Już niedaleko, pomyślałem.

– Idziemy – krzyknął ochroniarz „Moonshine”, a wcześniejszy odgłos przeładowywanych magazynków miło zadźwięczał mi w uszach.

Reszta drogi do auta przebiegła bez większych problemów. Ulf i Steinar oddali może jeszcze trzy krótkie serie z karabinów, które sądząc po odgłosach, skutecznie zneutralizowały oponentów. Byli cholernie dobrzy w swoim fachu. Rozumieli się bez słów, zupełnie jakby urządzili sobie strzelanie do puszek w lesie, kiedy pierwszy raz spotkali się na porodówce. Nawet nie chcę wiedzieć, jaki przedmiot wyciągnął Steinar podczas zabawy na pierwsze urodziny mającej przewidzieć jego późniejsze zainteresowania.

Gdy dotarliśmy do vana, Ulf mocnym ruchem ręki przesunął boczne drzwi. Lena pierwsza weszła do środka, a ochroniarz „Moonshine” poinstruował ją, żeby usiadła na środku w ostatnim rzędzie.

– Prawie jak w kinie – pomyślałem, a tak naprawdę chodziło o jak największą odległość od okien, by zminimalizować ryzyko ucierpienia podczas ostrzału. Sala kinowa raczej nie zapewniała takich atrakcji.

– Wydostaniemy się ze Strefy wjazdem dla personelu – oznajmił Ulf, kiedy wszyscy byliśmy już w środku. Bleesch siedział już za kierownicą, a Steinar osłaniał nas, stojąc pomiędzy ostatnim rzędem siedzeń i tylnymi drzwiami, niczym w pionowej trumnie. Tylko ja pozostałem bez żadnej odpowiedzialnej funkcji. Nie był to jeszcze czas na wypytywanie Leny, więc poleciłem jej schować głowę w kolanach, podobnie jak podczas awaryjnego lądowania samolotu.

Nagle samochodem mocno szarpnęło, co znaczyło, że ruszyliśmy.

– Czy kontrola osobista będzie równie szczegółowa, jak przy wejściu? – spytałem, pamiętając niemiłe chwile ze strażnikiem i wymuszoną łapówką.

– To zależy – mruknął Ulf, ale po chwili się uśmiechnął. – Bleesch mówił, że jesteś dzianym gościem, także w razie problemów mały transfer kryptowaluty pomoże nam spełnić marzenia.

Bleesch głośno się roześmiał.

– Mordo, Gustav jest pieprzonym krezusem, także spokojnie. Krypto to u niego dostatek.

Ulf przyłożył palec do ust.

– Ciii... Nigdy nie mów na głos takich informacji w Shadow Villens, a zwłaszcza w Strefie. Tu nawet tynk w ścianach ma dodatkowe uszy.

– W porządku, to nie problem – odpowiedziałem, zdając sobie sprawę, że w tym roku mało co może mnie już zaskoczyć. – Jeśli będzie potrzebna kasa na łapówkę, to wiedz, że ją mam.

– I tylko tyle potrzebowałem wiedzieć – skwitował Ulf, mierząc lodowatym spojrzeniem Bleescha, który od razu mocniej ścisnął kierownicę i udawał, że jego

jedyną umiejętnością społeczną jest prowadzenie samochodu. Osobiście dodałbym do tego nadużywanie słów „mordo” oraz „stary”.

Ochroniarz „Moonshine” podał mi kartkę z zapisanym numerem wirtualnego portfela, na który przelałem 2000 jednostek kryptowaluty. Zawsze mnie śmieszy, że w cyfrowym świecie czasem najlepszym zabezpieczeniem bywa informacja zapisana na papierze.

– Jeśli uda się nam przejechać bez łapówki, przeleję ci krypto z powrotem – oznajmił.

– Daj spokój – prychnąłem. – Jestem ci winny tyle pieniędzy, ile nie zarobię przez całe życie. Także jeśli będzie trzeba ich przekupić, wyślę na ten portfel jeszcze raz tyle.

– Nie potrzebuję aż takiej kwoty od ciebie – zaprotestował Ulf.

– Każdy jest taki kurtuazyjny, gdy babcia zamiast czekolady z nadzieniem próbuje mu wcisnąć własne mieszkanie w spadku. A wszyscy wiemy, jak jest.

Nie wiem, czy ochroniarz „Moonshine” zrozumiał ten nieśmieszny żart, ale wydawało mi się, że na ułamek sekundy się uśmiechnął.

Po kilkunastu minutach atmosfera w środku znacznie zgęstniała i nawet zazwyczaj nie dający nic po sobie poznać Ulf, wydawał się być spięty. Bez wątpienia byliśmy bardzo blisko wyjazdu, zwłaszcza że nawet Steinar przeniósł się z tyłu samochodu i usiadł naprzeciwko mnie. Nic się nie odzywał i w dodatku nie zdejmował palca ze spustu broni.

Próbowałem dostrzec, co się dzieje na zewnątrz, starając się nie wyglądać jak turysta w parku rozrywki. Z twarzą przyklejoną do szyby. Tak jak się spodziewałem, nasycenie strażników na metr kwadratowy znacznie wzrosło, co nie nastrajało zbyt optymistycznie.

Nagle zatrzymaliśmy się, a w drzwi od strony pasażera zapukał mężczyzna z przewieszonym karabinem.

– Cholera, już tak niewiele brakuje – pomyślałem, patrząc, jak Ulf powoli opuszcza szybę.

– Więcej was matka nie miała – spytał strażnik, rozglądając się po wnętrzu auta. Najdłużej zatrzymał wzrok na Lenie, która już od jakiegoś czasu nie trzymała głowy w kolanach. Teraz siedziała wyprostowana, a jej czerwona i zapłakana twarz wydawała się jedynie niemiłym wspomnieniem.

– Tylko ja i syn tutaj pracujemy – odpowiedział Ulf. – Teraz po prostu odwozimy znajomych.

Strażnik pokiwał głową, nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy, a następnie wyciągnął skaner.

– To najpierw karty pracownicze – zarządził.

Ulf i Steinar wyjęli z nadgarstków nośniki pamięci i podali je strażnikowi. Ich sprawdzenie nie trwało długo, po kilkunastu sekundach wróciły do właścicieli.

– Teraz goście.

Bleesch pierwszy podał kartę i tym razem weryfikacja trwała znacznie dłużej. W międzyczasie spojrzałem na Lenę, która jakby nie zdawała sobie sprawy, że jej

nośnik również musi zostać sprawdzony. Wtedy przeszedł mnie mimowolny, i niepokojący dreszcz. Chwyciłem jej prawą dłoń i podciągnąłem rękaw. Wszystkie gniazda były puste. Natychmiast sprawdziłem drugą rękę. To samo.

Możemy mieć spory problem – pomyślałem. Teraz już wiedziałem, że bez łapówki się nie obejdzie, jednak nie miałem pewności, że w tym przypadku to wystarczy. Brak karty w Strefie wydawał się jednym z największych wykroczeń, który w tym przypadku oznaczał, że Lena dostała się tu nielegalnie. Oczywiście mając na uwadze panujący tutaj zniekształcony kodeks prawny.

– Masz do odebrania jakiś zakup? – wyrwał mnie z zamyślenia głos strażnika. Na szczęście mężczyzna zwracał się do Bleescha i chodziło mu o pozyskany towar, który trafiał do kwarantanny, aby nikt nie zrobił z niego natychmiastowego użytku. Oczywiście jednocześnie rozwinął się tutaj też nielegalny obrót, co było dosyć zabawne. Czarny rynek wewnątrz czarnego rynku.

– Nie. Nic nie kupowałem – odpowiedział Bleesch spokojnym i rzeczowym tonem.

– Dobrze – mruknął strażnik, zapisując coś na ekranie wbudowanym w rękaw munduru. – A jak tam wy z tyłu? Długo mam czekać na wasze karty?

Widziałem, jak twarz Leny znowu przybiera przerażoną minę i już miałem coś odpowiedzieć, aby zyskać trochę czasu, gdy usłyszałem zdecydowany głos Ulfa.

– Czasami życie wydaje się lepsze, gdy zrelaksujesz się po robocie – powiedział, podając mu inną, mniejszą kartę. Zapewne zawierała informację na temat wysokości kryptowaluty, którą byliśmy w stanie przekazać. Oczywiście w zamian za mniejszą nadgorliwość podczas kontroli.

Mężczyzna powoli rozejrzał się na boki, stosując ważną zasadę sprawdzającą się w przypadku podejrzanych sytuacji. Brak gwałtownych ruchów. Po chwili włożył kartę do gniazda w nadgarstku, zamiast do urządzenia skanującego. Zamknął na moment oczy i tylko ruch pod powiekami zdradzał, że sprawdza naszą ofertę. Gdy je otworzył jego twarz przybrała delikatny uśmiech.

– Spokojnej podróży panowie – powiedział, oddając Ulfowi kartę. Transfer krypto właśnie się odbył.

Gdy wyjechaliśmy za bramę Strefy, przytuliłem Lenę, a po policzkach pociekły mi łzy.

Rozdział 11

„Pochylona równia pochyła”

– Skąd wiedziałeś, że Lena nie ma karty? – spytałem Ulfa, jednocześnie sam znajdując odpowiedź na to pytanie. Steinar. W końcu siedział naprzeciwko nas i mimo że nic się nie odzywał, zapewne zdążył wysłać szybką wiadomość do ojca.

Ulf tylko się uśmiechnął, eksponując swoje nieskazitelnie białe zęby. Stawiam kilka stów, że żaden nie był prawdziwy i zrobił je pomiędzy kolejnymi wizytami w studiu tatuażu.

– No nic. Rozstania nadszedł czas – oznajmił Bleesch oparty plecami o vana, paląc papierosa. Znajdowaliśmy się w parku blisko Centrum, ale z powodu późnej godziny, czyli tak naprawdę środka nocy, nie było tu dużo ludzi. Nieszczerólnie mnie to dziwiło. Raczej mało osób wybiera się o 3:00 rano na jogging wśród śniegu, zasp i zacinającego mrozu.

– To trzymajcie się chłopaki. – Ulf oraz Steinar mocno uścisnęli nam dłonie. Co ciekawe, podczas powrotu nie zadawali żadnych pytań na temat porywacza oraz jego pomocników takich jak Zander. Nie chcieli znać szczegółów, cała akcja ratunkowa wydawała się być tylko kolejną robotą do wykonania. – Ty też się trzymaj młoda. – Ulf zwrócił się do Leny również palącej papierosa. Dostała go chwilę wcześniej od... wujka Bleescha. Oczywiście moja córka stwierdziła, że normalnie nie jara, a ja jako łatwowierny ojciec starałem się w to wierzyć. Naiwni rodzice, czyli skarb naszej ziemi.

Bleesch nagle się wyprostował, wcześniej wyrzucając niedopałek, który szybko zniknął pod grubą warstwą śniegu.

– Za dwa dni was odwiedzę. Muszę się tylko trochę zregenerować – oznajmił, uśmiechając się szeroko. Jego neonowe zęby naprawdę straciły blask.

– Ja już tam znam tę twoją regenerację – roześmiał się starszy z ochroniarzy. – Ale jak dobrze wiesz, my zawsze zapraszamy. A tak przy okazji... – zawiesił na chwilę głos. – Gustav, masz jeszcze zamontowaną kartę blokującą?

– Cholera. Z tego wszystkiego całkiem o niej zapomniałem. Chcecie ją? – spytałem, wyjmując nośnik z nadgarstka, a następnie podałem go Ulfowi. Przy okazji od razu uruchomiłem reboot systemu operacyjnego i nie mogłem się doczekać, aż skanery obronne zaczną normalnie funkcjonować. Naprawdę się stęskniłem.

– Przyda się – roześmiał się Ulf. – Jest sporo warty na czarnym rynku. Można z niego wyciągnąć dużo informacji na temat zabezpieczeń Strefy, które na bieżąco aktualizują. A zazwyczaj nikt nie zachowuje jej przy wyjeździe.

– Za 1000 krypto to i tak mało opłacalny zakup, ale niech się na coś przyda. – Tym razem to ja się głośno roześmiałem.

Po tym jak Ulf schował nośnik do plastikowego woreczka, wziąłem go na bok.

– Naprawdę chciałbym jeszcze dodatkowo zapłacić za waszą pomoc. Jestem wam winny nie tylko swoje życie. – Wymownie spojrzałem na Lenę, która właśnie odpalała kolejnego papierosa. Przemiły wujaszek Bleesch. Niech go szlag.

Mężczyzna westchnął.

– Gustav, spokojnie. Wolę, żebyś był moim dłużnikiem. Kiedyś każdy potrzebuje pomocy i z tego co słyszałem, lepiej mieć cię po swojej stronie.

– Dziadka zawsze lepiej mieć po swojej stronie – odparłem, cytując stary tekst mojej babci z dawnych czasów, gdy wszystko wydawało się prostsze.

– Sam widzisz – roześmiał się ochroniarz. – Oczywiście ciebie też zapraszamy do „Moonshine”, jakbyś jeszcze kiedyś pojawił się w Strefie.

Pokręciłem przecząco głową.

– To nie na moją sztuczną wątrobę.

Ulf szeroko rozłożył ręce.

– Jak wolisz. Próbowalem jakby co.

Później z powrotem podeszliśmy do reszty grupy i przez kilka minut wszyscy się żegnaliśmy, zapewniając, że na pewno jeszcze się zobaczymy. Nie wiedziałem, na ile to była prawda, a na ile czysta kurtuazja. Na szczęście nie był to problem, który spędzałby mi sen z powiek.

Po tym jak Ulf i Steinar odjechali, spytałem Bleescha, czy nie potrzebuje podwózki. W końcu chwilę wcześniej poprosiłem Creepa, aby jak najszybciej sprowadził tu mojego dżipa. Gdy sztuczna inteligencja próbowała się dowiedzieć, gdzie znajdowałem się przez ostatnie kilka godzin, odparłem, że to długa historia, a Creep w swoim stylu zaproponował mi pełny skan wszystkich systemów. Zażartowałem, że część jego kodu musiała być przepisana z klasycznego antywirusa.

– Przejdę się – odparł Bleesch, odrzucając moją propozycję. – Muszę się przewietrzyć.

Szeroko się uśmiechnąłem.

– Czy „przewietrzenie się” znaczy zjaranie kilkunastu papierosów?

– Tylu już nie mam. – Bleesch wymownie spojrzał na Lenę. – Młoda mnie oskubała. Płuca po tatusiu.

Przewróciłem oczami.

– Niech ma dzisiaj dzień dziecka – odparłem, ignorując fakt, że od niedawna moja córka była już dorosła. Dla rodziców nie ma to chyba zbytniego znaczenia. Dla nich dzieci zawsze pozostają dziećmi.

– Zdzwonimy się – rzucił przemytnik, kiedy obaj dostrzegliśmy mój samochód zmierzający w naszym kierunku. Następnie Bleesch odwrócił się i ruszył w stronę najjaśniejszych neonów. Naprawdę nie chciałem wiedzieć, co znaczy „przewietrzenie się” i jak potoczy się reszta jego nocy.

– Dziękuję za wszystko – niemal krzyknąłem, ale Bleesch chyba tego nie usłyszał. Nie chciałem naciskać. Na prawdziwe podziękowania przyjdzie jeszcze czas. Chyba.

Zanim weszliśmy do samochodu, wysłałem wiadomość Sigmunda z informacją, że Lena jest już bezpieczna. Nie chciałem dzwonić, bo musiałbym pytać o Kampera, a niestety z góry znałem odpowiedź. Jeśli nie miałem piętnastu nieodebranych połączeń od Sigmunda, znaczyło to jedno. Stan właściciela „Retro Dinosaur” pozostawał bez zmian.

Następnie osobą, którą poinformowałem o odnalezieniu Leny była Rozalia. Tym razem również zrezygnowałem z połączenia wideo. Lubię odkładać w czasie trudne rozmowy. Napisałem, że będziemy w domu za około dwadzieścia minut. Natychmiast oddzwoniła, ale odrzuciłem połączenie. Po chwili odpisała, że będzie czekać na nas w kuchni. Nie chciałem nawet pytać, jak dostanie się do środka. W końcu z jej umiejętnościami obchodzenia zabezpieczeń, mój dom sprawiał wrażenie, jakbym zostawił klucze pod wycieraczką albo obok doniczki w ogrodzie.

Bardziej martwiło mnie, jak mam powiedzieć o wszystkim Lenie. O jej mamie, która zniknęła dziesięć lat temu, a teraz będzie tak po prostu czekać na nią w kuchni. Sam tego nie rozumiałem, więc nie mam pojęcia, jak miała zrozumieć to nasza córka. Wybrałem chyba najprostsze i najgorsze wyjście. Wołałem zostawić ten bałagan Rozalii, doskonale wiedząc, że nie będzie to łatwa, ani przyjemna rozmowa.

Mimo wszystko spróbowałem jeszcze jednego zagrania na czas. Napisałem wiadomość z zapytaniem, czy mogłaby przełożyć spotkanie z Leną na późniejszy termin, kiedy wszystko się uspokoi. Odpisała po kilku sekundach, że przeprasza, ale nie może już więcej czekać. Dodała jakieś frazesy o niepopelnianiu poprzednich błędów.

– Dziesięć lat za późno – pomyślałem, ale i tak spasowałem. Akurat sam powinienem znajdować się na końcu kolejki w kwestii oceniania innych.

– Witam panienkę Lenę, dobrze widzieć panią z powrotem – przywitał nas Creep, nadużywając swoich staroświeckich manier. Nie mam pojęcia, czemu jeszcze nie zaktualizowałem mu słownika.

– Cześć Creep. Trochę się działo. Ale bardzo miło cię słyszeć – odpowiedziała moja córka, lekko się uśmiechając. Zrobiła to chyba pierwszy raz od momentu powrotu ze Strefy. Ironiczny znak naszych czasów. Dopiero sztuczna inteligencja potrafi cię rozśmieszyć.

– Creep, też tu jestem – oznajmiłem, jednocześnie gładząc kierownicę. Idealnie leżała w dłoniach. Naprawdę zdążyłem się stęsknić.

– Panie Gustavie, bez obrazy, ale to panienska Lena jest dzisiaj ważniejsza.

– Dzięki za informację – roześmiałem się, po czym uruchomiłem silnik.

– Rozumiem, że nie ustawiać autopilota?

– Nie ma szans – odpowiedziałem, a następnie pozwoliłem, aby przez kilka sekund koła obracały się w miejscu.

– Wszystko w porządku? – spytałem, przerywając kilkuminutową ciszę. Spojrzałem na Lenę, która wpatrywała się w zasypywane śniegiem Shadow Villens. Jej twarz odbijała wyraźnie się w szybie, a na pierwszy plan wysuwały się zaczerwienione i spuchnięte oczy.

– Nie. Nic nie jest w porządku – odpowiedziała, nawet się nie odwracając. – Präln zginęła przeze mnie.

– Tego nie wiesz.

– To przez kogo? – Tym razem przekręciła głowę i patrzyła wprost na mnie, świdrując mnie oskarżycielskim spojrzeniem. – Żaden z moich systemów obronnych nie zadziałał, ale i tak powinnam coś zrobić.

– Nic nie mogłaś zrobić – skwitowałem.

– Skąd wiesz?

– To długa historia – odpowiedziałem stanowczym tonem, nie chcąc tłumaczyć, że widziałem nagranie ze śmierci Präln w wirtualnej rzeczywistości. W dodatku z mamą Leny, która aktualnie miała czekać na nas w domu – Po prostu mi zaufaj. To naprawdę nie twoja wina – dodałem po chwili. – Twój system nie mógł zadziałać, ponieważ ktoś złamał jego zabezpieczenia. Ponadto nawet przy działającej konfiguracji uniknięcie strzału wytrawnego snajpera nie jest takie proste. Dla pocieszenia mogę jedynie powiedzieć, że osoba odpowiedzialna za śmierć Präln zginęła w budynku, z którego cię odbiliśmy.

– Dziękuję tato – wyszeptała Lena po chwili, a następnie wybuchnęła płaczem. Albo nawet czymś gorszym. Skomleniem, jakby paliła się jej cała dusza, a jedynym sposobem na ugaszenie pożaru było zalanie tego wszystkiego łzami.

Czy już kiedyś wspominałem, że jestem mistrzem tanich metafor? Na pewno.

Resztę drogi już nic nie mówiłem, pocieszenie nie miało teraz najmniejszego sensu. Zapewnianie, że wszystko będzie dobrze, byłoby jedynie kłamstwem. Cytując niemal wszystkie książki psychologiczne, Lena teraz sama musiała to przepracować.

Znajdowaliśmy się już w Suburbii, niecałe pół kilometra od domu, kiedy stwierdziłem, że nie możemy się teraz zobaczyć z Rozalią. Byłoby to stanowczo za dużo emocji jak na ostatnie 24 godziny.

Już miałem pisać do niej wiadomość, gdy decyzję ułatwiło mi nadchodzące połączenie od Sigmunda.

Odebrałem, ale w taki sposób, że tylko ja go słyszałem. Gdy skończył mówić, poprosiłem Lenę, żeby mocno chwyciła się fotela. Następnie zawróciłem, wchodząc w kontrolowany poślizg, obierając drogę w kierunku laboratorium znajdującego się w podziemiach katedry.

W głowie ciągle brzmiały mi słowa biomechanika: „Kamper przed chwilą się obudził i chce rozmawiać tylko z tobą”.

Puzzle, które trzymałem w wirtualnych dłoniach były coraz bliżej ułożenia.

Nie wiem, czy tylko mi się wydawało, ale za każdym razem, gdy podjeżdżałem w pobliże tego miejsca, znajdowało się tu coraz więcej śniegu. Katedra w nocy robiła niesamowite wrażenie. Wiele małych źródeł światła prowadziło promienie po nierównej fakturze elewacji, co tylko potęgowało efekt niepokoju i niezwykłości. Mimo że w Shadow Villens znajdowało się wiele wyższych budynków, to ona zdawała się górować nad tym miastem.

Oczywiście mogłem mieć tylko takie wrażenie.

Tym razem zrezygnowałem z parkingu podziemnego i zaparkowałem na zewnątrz. Lenie odrobinę poprawił się humor na wieść spotkania z Sigmundem. Traktowała go jak wujka, co nie było bezpodstawne. Na każde urodziny kupował jej najlepsze prezenty i pewnie to on poczęstował ją pierwszym piwem w tajemnicy przed staruszką. Rada dla początkujących rodziców. To nie dziadkowie najbardziej rozpieszczają wasze dzieci. To armia złożona z bliskich znajomych określających się tytułami „wujek” oraz „ciocia”. Doradztwo gratis. Nie dziękujcie.

Zanim wyszliśmy z samochodu, odpisałem Rozalii, dlaczego nie dotarliśmy do domu. Nie musiałem tłumaczyć, gdzie się znajduję, bo z jej umiejętnościami hakerskimi doskonale to wiedziała. Spytała, czy też przyjechać do laboratorium, ale poprosiłem, aby na razie tego nie robiła. Nie byłem pewny, czy posłucha, ale Kamper za nią nie przepadał. I to delikatnie mówiąc, więc wolałem oszczędzić mu niemiłych wspomnień. Po wybudzeniu ze śpiączki raczej nie ma się ochoty oglądać byłej żony przyjaciela, na którą narzekało się przez ostatnie dziesięć lat podczas wspólnych posiedzeń przy piwku. „Narzekać” było w tym przypadku sporym niedopowiedzeniem.

Razem z Leną szybko przeszliśmy przez hol katedry, nie zapominając o przywitaniu się z holograficzną recepcjonistką – Ravą. Kiedyś muszę umówić się z nią na kawę i sprawdzić, jak to jest randkować ze sztuczną inteligencją. Było tylko zbyt mało, żeby się nie polubili z Creepem.

Kilka minut później i kilka kondygnacji niżej znaleźliśmy się w sławnym laboratorium Sigmunda. Gdy Lena go zobaczyła, od razu wpadła mu w ramiona. Stali tak przez dłuższą chwilę, a biomechanik gładził ją po głowie, ciągle powtarzając: „wszystko będzie dobrze młoda, wszystko będzie dobrze”. Nazywał ją tak, odkąd pamiętam i mogę się założyć, że raczej nigdy się to nie zmieni. Nawet gdy Lena będzie w moim wieku.

W milczeniu wpatrywałem się w Sigmunda, a kiedy nasze spojrzenia się spotkały, ruchem głowy wskazał mi drzwi, za którymi zapewne znajdował się Kamper. Zanim je otworzyłem, usłyszałem podekscytowany głos biomechanika.

– Miałas to dostać dopiero na następne urodziny, ale kto by się tym przejmował.
– Krótka pauza, zupełnie jak w oczekiwaniu na fajerwerki. – Mam dla ciebie konsolę Magnavox Odyssey w świetnym stanie. – Sigmund wiedział o miłości Leny do starych konsol, a urządzenie Magnavox było ogromnym rarytasem na kolekcjonerskim rynku.

Przyłożyłem dłoń do dotykowego panelu, jednocześnie słysząc czystą radość mojej córki i wydało mi się to tak surrealistyczne, że musiałem się aż odwrócić

i spojrzeć w ich stronę. Wiedziałem, że najbliższa rozmowa może całkowicie zmienić perspektywę na wiele spraw i na niektóre rzeczy nigdy już nie spojrzę tak samo. Nie było jednak odwrotu. Musiałem przejść przez te drzwi i skonfrontować swoje przypuszczenia z prawdą.

Jaka by nie była.

Dodam tylko, że nie zapowiadała się zbyt dobrze.

Kamper leżał na szpitalnym łóżku, chociaż jego pozycję można było uznać za „serialową”. Użył wbudowanego podnośnika, by wygodnie siedzieć i oglądać nowy odcinek jakiejś telenoweli poprzez holograficzny rzutnik wbudowany w gałkę oczną.

– Cholera, ale nudy – powiedział, kiedy mnie zobaczył, jednocześnie wyłączając projektor. Zapewne czuł poczucie winy, że ogląda takie bzdety lub chciał ukryć zdenerwowanie. Jednak patrząc na to z drugiej strony, kto z nas tak nie robi.

– Świetne wdzianko – oznajmiłem, lustrując niezbyt stylową piżamkę w blado niebieskim kolorze. Koszula i spodnie zawierały sporo rozcięć, aby umożliwić podłączenie rurek i przewodów. Było ich osiem albo przy tylu przestałem liczyć.

Po moich słowach na kilkanaście długich sekund zapadła niezręczna cisza, którą przerwał właściciel „Retro Dinosaur”.

– Ja pierdolę Gustav, porobiło się, co?

– Trochę – odparłem, sztucznie się uśmiechając. Mimo że miałem masę pytań, nie wiedziałem, jak je zadać.

– Znasz już prawdę? – spytał.

– Domyślam się – potwierdziłem. – Ale nadal brakuje mi sporo elementów.

– To może zaczniemy od najważniejszego?

– Możemy. – Znowu zapadła nienaturalnie długa cisza. Tym razem to ja ją przerwałem. – Nie nazywam się Gustav Drag?

– Zależy jak na to spojrzysz – kluczył Kamper.

– Proszę, Kamper – westchnąłem. – Takie pierdolenie można kupić w każdym sklepie z pierdoleniem. Naprawdę omińmy ten fragment.

Kamper spróbował jeszcze bardziej się wyprostować, podpierając się na łokciach, jednak przez jego aktualny stan i znaczną nadwagę na niewiele się to zdało.

– Źle stawiasz pytanie Gustav. Próbujesz się dowiedzieć, czy nazywasz się Gustav Drag, ale jakby na to nie patrzeć, właśnie tak się nazywasz. Nie spytałeś jednak, jak nazywałeś się wcześniej.

Przygryzłem wargi.

– To jak nazywałem się wcześniej?

– Nie mogę ci tego powiedzieć.

– Dlaczego?

– Twój umysł może tego nie wytrzymać. Zaczyniesz szukać informacji na temat swojego poprzedniego życia, co nigdy nie kończy się dobrze.

– Jasne – mruknąłem. – A porywacz? To był mój ojciec, prawda?

Kamper głęboko westchnął i pokręcił głową.

– Znowu źle na to patrzysz. Ten mężczyzna nie był twoim ojcem, tylko...

– ... tylko ojcem ciała, w którym aktualnie się znajduję – dokończyłem.

– Widzisz. Już wiesz prawie wszystko – wychrypiał Kamper, po czym gorzko się zaśmiał. – Ale chyba i tak muszę opowiedzieć ci resztę. – Zrobił krótką pauzę.

– Sprawy zaszły zbyt daleko – dodał cicho do siebie.

Z nerwów zacisnąłem pięści, a czas w laboratorium Sigmunda bezskutecznie próbował się zatrzymać.

Kamper wziął kilka głębokich wdechów, po których jego płuca strasznie zarzęziły.

– Gdyby nie zakaz doktorka, nawet ja poprosiłbym cię teraz o przynajmniej trzy papierosy.

– Nie wątpię.

Właściciel „Retro Dinosaur” prawdopodobnie grał na czas, starając się odwlec całą historię, która miała być dla mnie niczym czołowe zderzenie z ciężarówką.

– Na pewno chcesz znać prawdę Gustav? Wiem, że tego nie pamiętasz, ale kiedyś zakazałeś mi, żebym kiedykolwiek ci ją powiedział.

– To nie problem. Nie pamiętam, jak było kiedyś.

– Bardzo sprytnie – skwitował szyderczym uśmiechem Kamper.

Przez chwilę złapałem się na tym, że w końcu można było dokładnie odczytać jego mimikę. Sigmund znacznie skrócił mu wcześniejszą, długą brodę. Zapewne zrobił to ze względów medycznych, ale odjęło to Kamperowi kilka lat oraz vibe zmęczonego życiem Świętego Mikołaja. Zapewne nie mógł przeboleć tego drugiego.

– Tak jak wspominałem, nie powiem ci, jak nazywałeś się wcześniej – zaczął w końcu, powoli i uważnie dobierając słowa. – Nie powiem ci też, kiedy dokładnie się urodziłeś. Oczywiście dodając do siebie niektóre elementy z tej historii, będziesz w stanie znaleźć prawidłowe nazwisko. Liczba osób z taką przeszłością jest przecież mocno ograniczona. Ale naprawdę nie polecam ci tego robić. Ciekawość w tym przypadku nie doprowadzi do niczego dobrego.

– Nie będę szukać – oznajmiłem, nie będąc do końca pewnym, czy właśnie nie skłamałem.

– Zobaczmy – mruknął Kamper. – Dobra. Nieważne. Walić ostrzeżenia, znając ciebie i tak zrobisz, jak zechcesz. Wróćmy do tematu. Gustav, byłeś bardzo bogatym człowiekiem. I powiedzieć „bardzo bogatym”, to nic nie powiedzieć. Miałeś dużą firmę i porównując to do twojej aktualnej działalności, to zupełnie jakby postawić

korporację informatyczną obok jakiegoś nastolatka prowadzącego interesy z piwnicy rodziców.

– Dzięki – powiedziałem, ironicznie się uśmiechając. – Zawsze wiedziałem, że szanujesz mój biznes.

Kamper również lekko się zaśmiał.

– Wiem, że nie jesteś obrażalski, więc nie owijam w bawełnę. Naprawdę tak było. Zatrudniałeś prawie trzy tysiące ludzi, wszystko szło bardzo dobrze przez kilka dekad, ale w końcu i tak zaczęła ci doskwierać najpopularniejsza choroba ludzkości.

– Widmo śmierci – wtrąciłem.

– Właśnie – Kamper niemal pstryknął palcami. – Zacząłeś dosyć wcześnie rozmyślać, jak sobie poradzić z tym problemem. Chyba nie miałeś nawet pięćdziesiątki. Zawsze taki byłeś. Kiedy inni bogacze jeździli na wakacje i zaciągali się mniej lub bardziej legalnymi rzeczami, ty ciągle się zastanawiałeś, jak powiększyć firmę. Nie miałeś rodziny i dzieci, także miałeś na to stanowczo za dużo czasu. Zaraz po skończeniu pięćdziesiątki stworzyłeś tajny, prawie dwuosobowy zespół bioinżynierów, którzy zaczęli pracę nad urządzeniem...

– ... mogącym przenosić świadomość pomiędzy ciałami – dokończyłem.

Kamper skinął głową.

– Właśnie. Konstrukcja urządzenia zajęła, jeśli dobrze pamiętam, jakieś dwadzieścia pięć lat. Byłeś już wiekowym seniorem przed osiemdziesiątką, więc był to ostatni moment, zanim dopadnie cię demencja albo inne gówno. Pamiętaj, że było to kilka dekad temu, medycyna nie była tak rozwinięta jak teraz. Ludzie nie dożywali 130 lat w względnym zdrowiu. A przenoszenie nie do końca sprawnego umysłu nie dość, że było cholernie ryzykowne i drogie, to miało się z celem. Zegar tykał i wciąż przyspieszał.

– Coś musiało pójść nie tak.

– A i owszem – westchnął Kamper. – Co jest najgorsze w każdej nowej technologii, która ma być używana na ludziach?

– Ludzie.

– A dokładniej króliki doświadczalne, które nie mogą być królikami. Miałeś jednak zasoby i dogadałeś się z kilkoma ważniakami ze służb więziennych. Mało to ludzi znajdowało się w celach śmierci? Dla większości społeczeństwa nie było różnicy, czy skazaniec zanim otrzyma śmiertelny zastrzyk, najpierw odpracuje swoje winy w testowaniu nowej technologii. Ludzi statystycznie mało obchodzi, że wielokrotny morderca trochę pomęczy się przed śmiercią.

– Wyczuwam jednak kolejny problem.

– Testy nie szły zbyt dobrze. Umysły były odrzucane. Czasem po kilku godzinach, czasem po kilkunastu dniach. Jednak przełom w końcu nastąpił. Pewnie nie kojarzysz sprawy dwóch „Morderczych Kuzynów z Południa”, jak to ochrzciły ich media. Niezbyt miłe chłopaki i raczej nie z sąsiedztwa. Wielokrotne morderstwa, gwałty i napady.

– Imponujące CV – skwitowałem gorzko.

– Ale ich przeniesione umysły utrzymały się ponad rok i nie zapowiadało się, żeby miało się to zmienić. To było nawet zabawne. Po jakimś czasie odesłaliśmy ich do więzienia, gdzie wykonano zaplanowaną karę śmierci. Mieli ją nawet tego samego dnia. W zespole długo krążył słaby dowcip, że jeden oddał życie za drugiego.

– Brzmi jak całkiem niezły dowcip.

Kamper zarechotał.

– Wiem, wiem. Był zajebisty. Tak tylko mówię, bo aż mi głupio, że mnie to nadal śmieszy. – Zrobił krótką przerwę, żeby poprawić pozycję na łóżku, a jednocześnie zaniósł się charkotliwym kaszlem. – Przypadek kuzynów pokazał, że w kwestii przeniesienia umysłu ważne też jest podobieństwo genetyczne, zupełnie jak przy przeszczepie nerki, serca i tak dalej. Dlatego pojawiły się kolejne problemy. Nie miałeś rodzeństwa, ani bliskiego kuzynostwa. A nawet gdyby tacy ludzie istnieli, byłoby to dużo bardziej problematyczne ze względów etycznych. Po jednej stronie mieliśmy więźniów skazanych na karę śmierci, a po drugiej kogoś z twojej rodziny.

– Ciężko siadałoby się przy stole na Święta – mruknąłem.

Kamper znowu zaniósł się śmiechem zmieszonym z kaszlem.

– W dodatku kto powiedział, że byliby znacznie młodszy ode ciebie – zauważył, wtrącając nieprzyjemne charczenie co drugie słowo. – Jak to mawia trener Shadow Villens Crabs: „potrzebowaliśmy młodzieży”.

– Rozumiem, że udało się kogoś znaleźć.

Kamper skinął głową.

– Po kilku tygodniach przemyśleń, dałeś w końcu zielone światło, aby odszukać tak zwanego genetycznego bliźniaka. Oprócz zgodności DNA, musiał też mieć określony zakres wieku, jak i szereg mniejszych i większych wymagań. Odnalezienie takiej osoby nie było aż tak trudne, jakby się mogło wydawać. Oczywiście pomogły pieniądze oraz technologia. Kupiliśmy nielegalny dostęp do bazy dawców szpiku, bo od kilkudziesięciu lat rejestracja w tym systemie jest obligatoryjna. Wystarczył dobrze stworzony algorytm i kandydat już na nas czekał.

– Rozumiem, że to w tym miejscu zaczął się ciąg zdarzeń, który doprowadził do porwania Leny?

– Chyba tak – westchnął Kamper. – I chyba ja to spieprzyłem.

Uniosłem wysoko brwi.

– Już tłumaczę. Wytypowany mężczyzna był niemal idealnym kandydatem. Młody, wysportowany, urodziwy na tyle, żeby nie przeszkadzało mu to w życiu.

– Dzięki – prawie się zaśmiałem, zdając sobie sprawę, że każde odbicie w lustrze było fałszywe. Ech. Słabe metafory to nadal moja największa specjalność.

– Miał jednak sporą wadę.

– Ojca – odparłem.

Kamper skinął głową.

– Wiedzieliśmy, że raczej ciężko będzie się dogadać. Ty jednak zawsze lubiłeś mieć czyste ręczki, więc na twoją wyraźną prośbę złożyliśmy propozycję.

– Która została odrzucona.

– Ciężko sprzedaje się jedyne go syna. Nawet za wizję niewyobrażalnego bogactwa.

Poczułem niewygodne ukłucie w żebrach.

– Co dalej? – spytałem.

Kamper gorzko się uśmiechnął.

– Jedyne możliwe rozwiązanie, oczywiście z twojej perspektywy. Kazałeś pozbyć się ojca. Na pocieszenie powiem, że nie była to dla ciebie łatwa decyzja, ale miałeś świadomość, że nie zostało ci dużo życia. Jako pierwszy chciałeś spełnić największe marzenie obrzydliwie bogatych ludzi.

– Dokupić czas, żeby spróbować wydać wszystkie pieniądze?

Kamper głośno się zaśmiał, co kolejny raz zamieniło się w rżący charkot.

– Bardziej przeżyć życie na nowo. Coś na wzór gry wideo, gdzie jeszcze raz kreujesz swoją postać i zapominasz, jak to było wcześniej. Nikt do tej pory nie miał takiej szansy. Jeszcze raz zmierzyć się ze światem. Zupełnie jakby dostać bonusowe życie. Zobaczyć magię egzystencji od początku.

– Rozumiem, że usunięcie ojca mojego przyszłego ciała niezbyt się powiodło?

– Już ci mówiłem. Ja to spieprzyłem, byłem pewny, że facet nie żyje. Upozorowałem wypadek, później sprawdziłem puls i zostawiłem go przysypanego stertą gruzu. Nie miał prawa tego przeżyć.

– Jednak przeżył – mruknąłem. – Co było dalej?

– Szukałem go po wszystkich szpitalach, nielegalnych klinikach i najgorszych spelunach, jakie można sobie wyobrazić. Jednak koleś dosłownie wyparował. Oczywiście nic ci nie powiedziałem i transfer twojego umysłu odbywał się zgodnie z planem.

– Dlaczego to ukryłeś?

Kamper głośno wypuścił powietrze, ironicznie się uśmiechając.

– Mówią, że ludzie się nie zmieniają. Jednak ty byłeś kiedyś znacznie bardziej bezwzględny. Gdybym ci powiedział, że zawałem coś takiego, mógłbym tego nie przeżyć. A tak wszystko szło według harmonogramu. Łapówka wręczona policji i twojego przyszłego hosta odwiedziła rano grupa antyterrorystyczna. Wymyślone zarzuty i szybkie umieszczenie w celi śmierci, skąd nastąpił równie szybki transfer do twojego laboratorium. Nie było czasu, aby to dłużej przeciągać, więc po kilku dniach twój umysł zmienił adres zamieszkania. Reszta jest historią.

Przełknąłem ślinę, która tak naprawdę była gęstą i gorzką flegmą. Kamper kontynuował.

– Gustav, wydaje ci się, że żyjesz 63 lata, ale tak naprawdę 21 lat twoich wspomnień to symulacja, którą sam wymyśliłeś.

– Czyli moi rodzice też są fałszywi?

Kamper szeroko rozłożył ręce.

– Trochę tak, trochę nie. To było miłe małżeństwo po pięćdziesiątce, które za spłatę długów, tak aby te nie przeszły na ich prawdziwe dzieci, zgodzili się... – Kamper zrobił ruch dłońmi oznaczający cudzysłów – ...zostać twoim rodzicami. Im naprawdę wydaje się, że nimi są, bo ich prawdziwe wspomnienia zastąpiono

falszywymi. Ale z tego co pamiętam, to chyba źle im się nie wiedzie. Mieszkają w jakimś miłym ośrodku nad oceanem i co dwa dni chadzają na potańcówki dla seniorów.

– Potańcówki mają codziennie – odparłem, znowu czując gorzko – kwaśny smak w ustach. Miałem wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Jeśli Kamper nie kłamał, a nic na to nie wskazywało, wszystkie moje wspomnienia były spełnieniem marzeń jakiegoś chorego bogacza, który za wszelką cenę chciał jeszcze raz doświadczyć życia. Przy okazji unicestwiając niewinnych ludzi.

– Dlaczego ojciec hosta wrócił teraz? Po ponad czterdziestu latach? – spytałem.

Kamper wzruszył ramionami.

– Istnieje wiele możliwości. Osobiście obstawiam, że dopiero teraz poczuł się wystarczająco silny.

Nagle nieprzyjemny dreszcz przeszył mi głowę.

– A porwał Lenę, bo to jego wnuczka – powiedziałem niemal szeptem, tak naprawdę dopiero teraz zdając sobie z tego sprawę.

– To oczywiste.

– Ale skąd ty wiedziałeś, że ten mężczyzna właśnie pojawił się w mieście.

– Dostałem informację z jednego z postawionych przeze mnie botów. – Kamper mimowolnie się uśmiechnął, a następnie szeroko rozłożył ręce. – Ciągłe zapominam, że ty nic nie pamiętasz. Zastanawiałeś się kiedyś, jak się poznaliśmy?

Gdy spróbowałem przywołać wspomnienie pierwszego spotkania z Kamperem, momentalnie zaczęła boleć mnie głowa.

– Poznaliśmy się twoim pierwszym barze – wydukałem. – Coś świętowałem albo wręcz odwrotnie i...

– I reszty nie pamiętasz – roześmiał się Kamper. – Rozumiesz, dlaczego tak jest? Zanim rozpocząłeś transfer świadomości, stworzyłeś wiele zabezpieczeń. Jednym z nich zostałem ja. Byłem młody, oczywiście teraz jestem starszy od ciebie, ale gdy ty miałeś osiemdziesiąt lat, a ja trzydzieści, byłem cholernym okazem młodości. Moim zadaniem było doglądanie cię, w końcu to był gruby eksperyment. Nikt nie robił tego wcześniej i wiele rzeczy mogło się spieprzyć po drodze.

– Czekaj. Czy to oznacza...

– Tak, nasza znajomość jest zmienną wgraną do twojej głowy. Cyfrowym wspomnieniem – oznajmił Kamper, a po chwili lekko się zaśmiał. – Gdybym był kobietą, mógłbyś to nazwać cyfrowym przeznaczeniem. A tak jestem tylko starym kumplem, którego nie możesz się pozbyć. Nigdy nie zastanawiałeś się, jak się poznaliśmy, bo masz to wgrane na swój wewnętrzny BIOS.

– Basic Input Output System – powiedziałem cicho pod nosem, rozwijając skrót.

– Co? – zirytował się Kamper, zapewne nie mogąc dosłyszeć ani jednego słowa.

– Nieważne. Wróćmy do momentu, kiedy przechwyciłeś Lenę. Dlaczego nie dałeś mi znać?

– Próbowałem. Nie miałeś zasięgu.

– Albo ktoś mnie odłączył. Na przykład ojciec hosta.

– Możliwe. Był naprawdę dobry.

– To on cię tak urządził? – Zrobiłem sugestywny ruch głową, wskazując na miejsce, gdzie znajdowała się zoperowana rana.

– Niestety – Kamper westchnął. – Sigmund powiedział, że przy okazji wykasował mi system. Na szczęście nasz uroczy biomechanik jakimś cudem odszukał dobrze ukrytą kopię zapasową i mnie zresetował.

– Backup ostatniej szansy – prawie się roześmiałem.

– Można tak powiedzieć.

– Dobra, ale teraz najważniejsze. Rozumiem, dlaczego ojciec hosta mnie nie zabił, ale dlaczego... – urwałem i nagle przeszedł mnie mimowolny dreszcz, po czym kolejna część brakujących elementów powpadała w odpowiednie miejsca.

– ...on musiał odnaleźć to urządzenie, bo chciał przenieść swoją świadomość do ciała swojego syna – niemal wyrecytowałem niczym zaginiony, szkolny wierszyk.

– Pierdolona „Moda na Sukces” co? – Kamper głośno zarechotał.

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała całkowita cisza, którą w końcu przerwałem.

– Rozumiem, że mógł podejrzewać, że mam dostęp do tych maszyn, ale szczerze mówiąc, nie mam żadnego pojęcia, gdzie się znajdują.

Kamper poprawił się na łóżku, jakby zaraz miał powiedzieć coś ważnego.

– Pamiętasz, jak przyszedłeś do mnie w Nowy Rok, żeby powiedzieć o wiadomości, którą dostałeś. Tej dotyczącej urządzenia do przenoszenia świadomości.

Skinąłem głową.

– Pamiętam. Powiedziałeś, że podobno kiedyś coś takiego istniało, ale ta informacja może być pułapką. Trochę zbyłeś temat, teraz nie do końca rozumiem dlaczego.

– Mówiłem prawdę. Nie mam pojęcia, gdzie są te urządzenia. Miałem tylko być twoim drogowskazem, kiedy już dostaniesz wiadomość.

Zmarszczyłem brwi.

– Kim?

– Drogowskazem. – Kamper rubasznie się roześmiał. – Wiem, że to śmiesznie brzmi. To ostatnia rola, o którą ktoś by mnie podejrzewał. Po prostu miałem ci nie przeszkadzać i lekko nakierować, że faktycznie coś takiego istniało.

– Po co?

– Gustav, nie osłabiaj mnie. Po to... – zaczął z naciskiem. – ...żeby w twojej głowie znowu zaczęła kiełkować myśl, że przydałoby ci się nowe ciało. Nie znam dokładnych szczegółów, ale na pewno tak wszystko poustawiałeś, że zespół biomechaników tylko czuwa, aż się do nich zgłosisz. Być może host też już na ciebie czeka, zmrożony niczym noworoczna wódeczka.

– Czyli tę wiadomość, ...

Kamper skinął głową.

– Tak. Sam ją sobie wysłałeś. Zrobiłeś to jednak jakieś 42 lata temu.

Poczułem, jak moje nogi robią się znacznie za ciężkie, a pomieszczenie zaczyna wirować w kierunku, który niezbyt mi się podoba.

– Wszystko w porządku? – spytał Sigmund, który chwilę wcześniej gwałtownie otworzył drzwi. – Wyniki Kampera od kilku minut ciągle się pogarszają – dodał.

– Wszystko spoko doktorku – zaprotestował sam zainteresowany. – Mieliliśmy tutaj mały powrót do przeszłości, a na starość zrobiłem się trochę sentymentalny. Wiesz, jak jest.

– Nie wiem – bąknął biomechanik i raczej nie uwierzył Kamperowi na słowo. Pokręcił z politowaniem głową, a następnie podszedł do łóżka i sprawdził kilka parametrów, wielokrotnie klikając coś na dotykowym ekranie. Już miał nas skarcić, gdy pomieszczenie nagle wypełniło się dźwiękiem jego komunikatora.

– Tak jak ci pisałem, nie wpuszczaj jej – zarządził Sigmund po wysłuchaniu informacji od dzwoniącego, którą najprawdopodobniej była recepcjonistka Rava. Doskonale też wiedziałem, kogo miała na myśli. Rozalię.

Zapewne przyjechała tutaj zaraz po tym, jak przestałem jej odpisywać na wiadomości i odbierać połączenia. Wiedziałem jednak, że była to dobra decyzja. Lena przez ostatnie kilkanaście godzin przeżyła zbyt dużo, aby teraz widzieć się z matką, która odeszła przeszło 10 lat temu.

– Dziękuję – powiedziałem, gdy Sigmund się rozłączył.

– Nie ma za co. To twoja decyzja, nie mogę jej kwestionować. Nawet gdybym miał inne zdanie.

– A masz inne?

Sigmund tylko się uśmiechnął.

Gdy zacząłem się zastanawiać, czy Rozalia ze swoimi umiejętnościami i tak zaraz nie zapuka do drzwi laboratorium, zdałem sobie sprawę, że poziom ochrony w katedrze stał na bardzo wysokim poziomie. Nie licząc cyfrowych zabezpieczeń, z którymi moja była żona zapewne by sobie poradziła, na terenie całego kompleksu znajdowało się wielu strażników. Nawet ze jej umiejętnościami hakerskimi nie mogła pokonać tyle osób. Przypomniałem sobie nawet bardzo stare powiedzenie z tabliczki kupionej na pchlim targu: „życie nie polega tylko na klikaniu”. Oczywiście odnosiło się to do ludzi próbujących załatwić wszystko jedynie za pomocą Sieci.

Nagle przeszedł mnie zimny dreszcz i układanka, która wydawała się być już zamknięta, otworzyła przede mną ukryty poziom.

– Sigmund – zwróciłem się do biomechanika. – Wiem, że się wkurzysz ale muszę na jakiś czas zabrać Kampera w jedno miejsce.

– Co takiego? – odpowiedzieli jednocześnie Sigmund i Kamper.

– Naprawdę. To bardzo ważne – wytłumaczyłem. – Muszę coś koniecznie sprawdzić.

– Chyba żartujesz – tym razem zaprotestować jedynie bio – mechanik. – Czy ty widzisz w jakim on jest stanie? I niby co takiego chcesz teraz sprawdzać, czego nie możemy zweryfikować tutaj?

Już miałem zażartować, że takich rzeczy jest naprawdę sporo, ale Sigmund zdecydowanie nie miał teraz nastroju na moje nieśmieszne odzywki. Na szczęście ubiegł mnie Kamper.

– Spokojnie Sigmund – zaczął. – Znam Gustava naprawdę długo i wiele rzeczy można o nim powiedzieć, ale na pewno nie chciałby mnie narażać, jeśli nie byłoby to potrzebne.

– Chyba nikt tutaj nie zna mnie zbyt dobrze – pomyślałem, powstrzymując się od wypowiedzenia tego głośno. Atmosfera była już wystarczająco gęsta.

Sigmund wyraźnie zniechęcony pokręcił głową, a następnie głośno wypuścił powietrze.

– Jak chcecie. Decyzja należy do Kampera. – Zrobił krótką pauzę, jednocześnie świdrując mnie wzrokiem. – Ale naprawdę nie powinienś go narażać.

Zrobiłem zdecydowany krok naprzód, czując, jak bolą mnie praktycznie wszystkie mięśnie. Nieprzyjemny znak, że leki przestawały działać. Zresztą mój organizm od dłuższego czasu dawał o sobie znać i to raczej z niezbyt pozytywnymi wiadomościami.

– Sig, nie mogę ci teraz powiedzieć, co chcę zrobić, ale musisz mi zaufać. Kamperowi nic nie grozi. Muszę po prostu potwierdzić jedną teorię.

Nastąpiła kilkusekundowa cisza, która dłużyła się niemiłosiernie.

– Dobrze – odpowiedział w końcu biomechanik – Ale musisz sprowadzić go z powrotem w ciągu dwóch godzin i zostawię na jego ciele kilka czujników. Jeśli do ciebie zadzwonię z prośbą, żebyście wracali, nie traktuj tego jako prośbę.

– Tylko jak rozkaz – uśmiechnąłem się. – Zrozumiałem doktorku.

– I nie mów na mnie „doktorku”. – Sigmund wysilił się nawet na sztuczny uśmiech, a po chwili podszedł do Kampera i przymocował do niego kilka małych sensorów. – Ciuchy masz w szafie za łóżkiem – oznajmił zaraz po zamontowaniu wszystkich czujników. – Chyba najlepiej będzie, jeśli wybierzesz kombinezon. Jest dosyć luźny.

– Kombinezon to moje przeznaczenie – zażartował Kamper, przestawiając w słowie kilka liter. – Majtki na gumkę też mnie lubią – dodał.

– Moda nie wybiera – westchnął Sigmund i ruszył w kierunku drzwi. Podążyłem za nim, dając Kamperowi trochę czasu na przebranie się.

Gdy znaleźliśmy się w głównej części laboratorium, dostrzegłem Lenę siedzącą przy dużym stole operacyjnym. Miała na sobie duży i gruby koc z naturalnego materiału wartego fortunę. Powoli sączyła gorące kakao, a naprzeciwko niej siedziała Tarya. Wiedząca lub jeśli ktoś woli – wiedźma, która miała swój gabinet kilka pięter wyżej.

Kiedy podszedłem bliżej, wstała i szeroko się uśmiechnęła.

– Dobrze cię widzieć Gustavie – zaczęła. – Naprawdę się cieszę, że udało ci się odnaleźć córkę.

Skinąłem w podziękowaniu głową.

– Jestem twoim dłużnikiem. Bardzo nam pomogłaś.

– Takie było moje przeznaczenie. Nic mniej i nic więcej. Musiało być tak, chociaż mogło być nieskończenie inaczej.

Już chciałem to skomentować w żartobliwy sposób, kiedy przypomniałem sobie jej słowa, gdy dotknęła mojej dłoni pierwszy raz.

„Nie jesteś tym, za kogo się podajesz Gustavie. Tak naprawdę nawet ty siebie nie znasz. Niedługo zderzysz się z prawdą. Czarna chmura pędzi w twoją stronę. Widzę to bardzo wyraźnie.”

Cholera. Wszystko się sprawdziło. Jestem kimś innym i to dosłownie. Zderzyłem się też czołowo z prawdą, jakże bolesną i niewygodną, a czarna chmura na pewno się pojawi, gdy będę musiał to wszystko wytłumaczyć Lenie. W dodatku gdzieś na zewnątrz katedry znajdowała się wkurzona Rozalia, która na moim komunikatorze zostawiła jakiś zyliard nieodebranych połączeń. Ostatnie 48 godzin naprawdę nie było dla mnie łaskawe.

– Przepraszam, że nie wierzyłem w twoje przepowiednie – odpowiedziałem wróżbitce.

Tarya znowu się uśmiechnęła.

– Nadal w nie nie wierzysz Gustavie. Ale ktoś musi nie wierzyć, by ktoś inny to zrobił. Tak to już działa.

Tym razem nic nie odpowiedziałem, tylko mocno ją przytuliłem. Wiedziałem, że gdyby nie jej pomoc, być może nie odnalazłbym Leny. Czy wierzyłem w jej moce, nie miało to teraz żadnego znaczenia.

– Muszę na chwilę gdzieś pojechać z wujkiem Kamperem – zwróciłem się do Leny. – Ale nie powinno to zająć zbyt długo.

– Kiedy będę mogła się z nim zobaczyć? – spytała moja córka, biorąc kolejnego, dużego łyka kakao. – Muszę mu podziękować.

– Jak wrócimy – wyjaśniłem. – Przeżyjesz jeszcze jakieś dwie godziny u wujka Sigmunda?

– Jasne. Lodówka i ekspres do kawy są tutaj znacznie powyżej przeciętnej, a mam kilka zaległych odcinków ulubionych seriali.

Skinąłem głową, zastanawiając się, czy Lena właśnie nie użyła tony sarkazmu.

Tak to już jest z rodzicami. Myślą, że znają swoje dzieci, a tylko pływają na roztopiającej się krze wokół wierzchołka góry lodowej.

– Gdyby coś się działo, dzwoń – powiedziałem, a następnie odwróciłem się do Sigmunda. – Będziesz mieć na nią oko? – spytałem, chociaż zabrzmiało to bardziej jak polecenie. Zabawne. Chyba wychodziły moje stare nawyki szefa korporacji.

Biomechanik nic nie odpowiedział, tylko skinął głową. Przez moją głowę przeleciała niewygodna myśl, czy Sigmund też nie jest podstawioną osobą, ale równie szybko ją przegoniłem. Tak jak w przypadku wiary w zdolności Taryi, nie miało to aktualnie żadnego znaczenia. Musiałem teraz wyjaśnić jeszcze jedną sprawę, a dopiero później robić wycieczki do przeszłości.

Rzuciłem kilka słów na pożegnanie, a następnie szybko wróciłem do pomieszczenia, gdzie znajdował się Kamper. Tym razem nie leżał już bezwładnie na łóżku. Stał wyprostowany, jakby chciał udowodnić, że nic mu nie jest. Miał na sobie ciemnoszary kombinezon i grubą kurtkę w podobnym kolorze. Bez brody i sporej palety kolorów swoich ubrań wyglądał jak inny człowiek, tylko wydatny brzuch potwierdzał, że mam do czynienia z właścicielem „Retro Dinosaur”.

– Panie Gustavie – odezwał się nagle Creep. – Pani Rozalia próbuje włamać się do mojego systemu i zapewne zaraz się jej uda. Postawiłem do gotowości wszelkie możliwe zapory, ale nie to raczej doraźne działanie.

– Cholera – pomyślałem. – Zapomniałem, że zostawiłem samochód naprzeciwko katedry, a nie w parkingu podziemnym. Moje auto było prostym celem.

– Creep – zacząłem. – Przejdź na chwilę na tryb analogowy, to znaczy fale radiowe. Ustaw moc zasięgu powyżej skali, a w międzyczasie zaszyfruj sygnał, żeby Rozalia nie mogła nas śledzić.

– Nie wiem, czy to możliwe panie Gustavie. Pani Rozalia dysponuje zdolnościami, które znacznie przewyższają moje umiejętności.

– Pojedź na grubo. Wrzuć w mój sygnał takie ilości danych, żeby przebicie się przez ten burdel informacji zajmowało stanowczo za dużo czasu.

– Coś na wzór ataku DDoS?

– Dokładnie. I naprawdę nie oszczędzaj żadnych terabajtów. Możesz nawet wielokrotnie zduplikować film z naszego wesela. Rozalia na pewno będzie wniebowzięta.

– Robi się – odparła sztuczna inteligencja.

– I jeszcze jedno.

– Tak?

– Musisz, jak najszybciej znaleźć się w parkingu podziemnym, bo potrzebuję pojechać z Kamperem w jedno miejsce. – Zapomniałem dodać, że najpierw powinienem zadzwonić i się umówić, ale zamierzałem to nadrobić podczas jazdy. Tak, wiem. Jak zawsze świetna kolejność.

Uniosłem wzrok i spojrzałem na Kampera.

– Gotowy?

– Nigdy nie jestem gotowy, ale mogę iść.

Uśmiechnąłem się i ruszyliśmy w stronę tylnego wyjścia prowadzącego na parking. Mimowolnie zacisnąłem pięści i czułem, że koniec tej historii jest już naprawdę blisko.

Creep czekał na nas tak, jak przystało na sztuczną inteligencję zarządzającą flotą samochodów. To znaczy z włączonym silnikiem i zapalonymi światłami. Zanim

wsiedliśmy do środka, rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu Rozalii, ale zgodnie z przewidywaniami nie była jeszcze samobójczynią.

– Na pewno wszystko w porządku? – krzyknąłem do Kampera, który kuśtykając, powoli zbliżał się do samochodu.

– Nigdy nie było lepiej – odpowiedział, nawet się nie zatrzymując. W jego stanie można było to uznać niemal za akrobacje. W dodatku niedaleko trzeba było szukać reszty obsady cyrku. Klaunem byłem ja.

Gdy Kamper w końcu usiadł na miejscu pasażera, uaktywniłem elektromagnetyczne pasy, po czym ruszyłem z piskiem opon. Wbiło nas w fotel, jednak mogę się założyć, że dla nas obu było to przyjemne uczucie. Jedynie plecy Kampera mogły mieć odmienne zdanie.

Zacisnąłem dłonie na kierownicy i po kilku gwałtownych zakrętach wyjechaliśmy na zaśnieżone ulice Shadow Villens. Promienie neonów odbijały się od białego puchu, tworząc niemal imprezowy klimat, gdzie za muzykę zdawał się odpowiadać jakiś pomocnik Świętego Mikołaja. Zapewne Rudolf Czerwononosy, który miał sporo śniegu nawet w łazience. Jeśli oczywiście wiece, co mam na myśli.

Poprosiłem Creepa o włączenie autopilota, a następnie wybrałem imię i nazwisko w komunikatorze. Odczekałem jedynie dwa sygnały, po których usłyszałem niski, męski głos. Co dziwne, mimo środka nocy nie było w nim słyhać nawet nuty ziryutowania.

– Rozumiem, że sytuacja jest poważna, skoro do mnie dzwonisz – obwieścił Tremont Krollen – ojciec Präln, pomijając wszelkie zwroty grzecznościowe. Czyli może jednak trochę się wkurzył.

– Cześć Tremont – rzuciłem najbardziej wyluzowanym tonem, jaki umiałem z siebie wydobyć. – Muszę zaraz przejść do sedna, więc będę się streszczał. Zabójca twojej córki nie żyje. Człowiek, który za tym stał, również. Kiedyś ci opowiem wszystko ze szczegółami, ale aktualnie potrzebuję twojej pomocy.

– Spokojnie. Nie potrzebuję całej historii. Te informacje mi wystarczą. Dziękuję ci, że zabójca mojej córki poniósł konsekwencje. W czym mogę ci pomóc? – Tremont jak zawsze był aż nadto spokojny i rzeczowy, ale w aktualnej sytuacji było to sporym atutem.

Gdy wytłumaczyłem mu, o co chodzi, zgodził się bez dłuższego wahania. Poprosił, żebyśmy spotkali się za godzinę w jego domu.

– Muszę przygotować sprzęt i zaktualizować system – oznajmił. – Nie chcę popełnić żadnego błędu.

– Taka obsługa to rozumiem – pomyślałem, ale wydobyłem z siebie jedynie zdawkowe „dziękuję” i „do zobaczenia”, po czym się rozłączyłem. Spojrzałem na mapę autopilota. Do domu Krollenów mieliśmy dotrzeć za niecałe 12 minut. Stanowczo za szybko.

– Creep, zrób nam małą wycieczkę po Shadow Villens połączoną ze skanowaniem broni.

Uśmiechnąłem się. Stare przyzwyczajenia handlarza broni dawały o sobie znać. Jednocześnie taka nadwyżka drogi dawała to większe pole do popisu w przypadku konieczności zgubienia potencjalnego ogona.

– Na pewno wszystko w porządku? – spytałem Kampera, który kurczowo trzymał się za miejsce, które operował Sigmund.

Właściciel „Retro Dinosaur” szeroko się uśmiechnął.

– Nigdy nie czułem się lepiej – powiedział z ironią, a następnie odczekał dłuższą chwilę, zanim wyrzucił z siebie niepokojące myśli. – Tak naprawdę mam wrażenie, że odkąd się obudziłem, powoli się rozpadam. Jakby mój organizm chciał się pozbyć tego całego żelastwa i elektroniki, którą w sobie władowałem.

Momentalnie poczułem gorzki smak w ustach i zebrało mi się na wymioty. Sam miałem podobny problem. Sigmund ciągle mnie ostrzegał, że balansuję na granicy przedawkowania wszczepów. Niestety nie było prostej drogi powrotnej. Moje ciało nie umiało sobie poradzić bez implantów albo ja nie chciałem przed sobą przyznać, że może być inaczej.

Potrząsałem głową, żeby odgonić nieprzyjemne myśli, po czym przełączyłem się na ręczny tryb prowadzenia samochodu.

– Czas trochę pozwiedzać miasto – powiedziałem do siebie, zmieniając pas ruchu na lewy. Żartuję. Zjechałem na prawy, jak przystało na 63 – letniego dziadka. W końcu znajomy z kółka seniorów znajdujący się na siedzeniu pasażera mógłby nie wytrzymać tempa na skrajnym odcinku drogi.

Gdy zatrzymałem samochód na tyłach posesji Krollenów, odruchowo sprawdziłem godzinę. Brakowało dwóch minut do umówionego czasu spotkania. Wiedziałem jednak, że Tremont przyzwyczajony do korporacyjnego kieratu czekał na nas przynajmniej od kwadransa.

Nie pomyliłem się. Jedne z drzwi nagle się otworzyły, a w środku dostrzegłem sylwetkę ojca Präln. Był ubrany w ciemny kombinezon, który nawet z daleka wyglądał na drogi i trudno dostępny.

– Na pewno wszystko w porządku? – spytałem Kampera.

Ten głośno zacharczał, a następnie po opuszczeniu szyby przez Creepa, wypłuł gęstą flegmę przez okno.

– Kurwa Gustav, ty naprawdę nie pamiętasz swojego poprzedniego życia. Wtedy nikogo nie pytałeś, czy tak wszystko u nich w porządku.

– Ludzie się zmieniają – zażartowałem.

– Ludzie tak. Skurczysyny nigdy – skwitował Kamper, po czym otworzył drzwi. – Nie ma co przeciągać tej bajeczki. Sprawdźmy, co trzeba i spieprzajmy stąd – dodał, powoli opuszczając samochód.

Wzruszyłem ramionami i także wyszedłem na zewnątrz.

– Dziękuję, że jesteście na czas – powitał nas Tremont, a po krótkim i kurtuazyjnym uścisku dłoni zeszliśmy do podziemnej części domu. Specjalnie nie nazwałem go piwnicą, ponieważ nie miało to nic wspólnego z klasyczną, najniższą kondygnacją. Wyglądało to bardziej jak komputerowy pokój zarozumiałego arystokraty, który dodatkowo spełniał funkcję laboratorium. Wszędzie roło się od najlepszej jakości sprzętu, a sam wystrój także nie odstawał od poziomu zarezerwowanego jedynie dla bogaczy. Dobrze to znałem. W końcu sam byłem jednym z nich.

– Usiądźcie tutaj. – Tremont wskazał nam dwa niemal identyczne fotele. Były nowe albo rzadko używane. Obie wersje były równie prawdopodobne.

– Podciągnijcie rękawy przy prawej ręce – zarządził po chwili, gdy już się rozgościliśmy. Spełniliśmy polecenie, po czym ojciec Präln podłączył się do naszych gniazd wbudowanych poniżej nadgarstka. Dodatkowo Kamper zgodnie ze swoim zwyczajem i gabarytami dokładnie przetestował oparcie.

– Trochę to potrwa i nie będzie przyjemne – oznajmił. – Spróbujcie się zrelaksować.

Wiedziałem, o czym mówi. Sprawdzenie wszystkich plików we własnym systemie operacyjnym nigdy nie było miłe. To niemal jak cyfrowe grzebanie w przeszłości, która często woli pozostać ukrytym plikiem. Chyba już wspominałem, że jestem mistrzem tanich metafor.

Podczas najbliższej godziny zawartość żołądka kilkakrotnie podchodziła mi do gardła, a Kamper nawet raz przegrał tę nierówną walkę i zwymiotował na posadzkę. Tremont nawet się nie skrzywił, jedynie powiedział, że później jeden z jego robotów się tym zajmie.

– To ciekawe – powiedział nagle do siebie Krollen, chwilę przed zakończeniem skanowania. – Gustav, możesz do mnie podejść? – dodał, jednocześnie wymontowując wtyczkę z mojego nadgarstka.

Skinąłem głową, po czym zbliżyłem się do holograficznego monitora.

– Spójrz na to – powiedział Tremont, wskazując mi linie kodu.

Zmrużyłem oczy, próbując jak najszybciej przyswoić ich znaczenie.

– Cholera – powiedziałem równie cicho do siebie, patrząc właśnie na ostatni element układanki.

– Kamper, masz jeszcze siłę podjechać do swojego lokalu? – zapytałem po chwili niezręcznej ciszy.

Właściciel „Retro Dinosaur” poprawił się na fotelu i głośno chrząknął.

– Nie jestem w nastroju na sprawdzanie zaległych faktur, ale niech ci będzie.

Gorzko się uśmiechnąłem, bo wiedziałem, że nikt nie będzie zadowolony z zakończenia tej historii.

Rozdział 12

„Analog zawsze wygra z cyfrą”

3 godziny później.

Kuchnia w domu Gustava, dzielnica Suburbia w Shadow Villens.

Wystukiwałem na blacie od stołu nierówny rytm perkusyjny. Żadne zaskoczenie. W końcu w mojej głowie panował całkowity chaos. Ciągle nie wiedziałem, jak się zachować i kim tak naprawdę jestem.

Rozejrzałem się po kuchni. Była minimalistyczna i pięknie zaprojektowana, ale czy na pewno była moja? Przecież już dawno powinienem nie żyć. Zagarnąłem ciało obcego człowieka i wgrałem do niego wymyśloną tożsamość. Zastanawiałem się, czy ta niewygodna myśl i poczucie winy pozostaną ze mną do końca, czy za miesiąc nie przejdę z tym do porządku dziennego. Chciałbym móc powiedzieć, że cały czas będę mieć wyrzuty sumienia, ale właśnie... Nie mogłem. Pamiętam, jak kiedyś na imprezie widziałem kolesia ubranego w koszulkę z napisem „Nikomui nie ufam, a najmniej sobie”. Zabawne. Chyba codziennie powinienem w takiej chodzić.

Ciągle miałem powracające myśli, kim jestem dla Leny albo może inaczej. Kim ona jest dla mnie. Czy jestem jej prawdziwym ojcem? Przecież jej DNA w żaden sposób nie było związane z moim. To znaczy z tym, które umarło lata temu. Stworzyłem makietę, która po jakimś czasie zaczęła żyć własnym życiem, a ja rozgościłem się w środku i nawet zapuściłem korzenie. „Pieprzona Moda na Sukces”. Kamper naprawdę dobrze to podsumował.

Z drugiej strony znalazłem odpowiedź, dlaczego wydaję tyle pieniędzy na kolekcjonerskie starocie. Mój umysł był znacznie starszy, niż wszyscy przypuszczali, a te wszystkie retro rzeczy po prostu kojarzyły mi się z młodością.

Uśmiechnąłem się, a następnie spojrzałem za okno. Wiatr mიაł płatkami śniegu w każdą stronę, co też było trafną metaforą mojej aktualnej sytuacji. Nagle przed moim domem zatrzymał się czarny SUV, a kilka sekund później wyskoczyła z niego wściekła Rozalia. Na razie wszystko odbywało się tak, jak zakładałem, jednak zdawałem sobie sprawę, że w jakimś momencie przyjdzie czas na improwizację. Warto wtedy znać odpowiednie dźwięki.

Na kilkanaście sekund wróciłem do wystukiwania połamanego rytmu, po czym drzwi od kuchni gwałtownie się otworzyły.

– Dziękuję, że przyjechałaś – powiedziałem, nawet nie odwracając głowy w jej stronę.

– Co ty odpierdalasz Gustav? Gdzie jest Lena? Dlaczego nie mogę się z nią zobaczyć?

– Ciągłe mnie to zastanawiało, wiesz? – Mój głos w przeciwieństwie do Rozalii był spokojny i rzeczowy.

– Co cię niby zastanawiało?

– Dlaczego nagle zniknęłaś 10 lat temu.

Rozalia wzięła głęboki wdech, próbując się opanować.

– Złożyło się na to wiele rzeczy. Już ci mówiłam.

Tym razem odwróciłem głowę w stronę mojej byłej żony. Mimo wzburzenia i tak wyglądała pięknie. Naprawdę nie chciałem teraz zrzucić bomby, którą miałem w zanadrzu. Niestety świat nie wygląda tak, jakbyśmy chcieli.

– Wiem, że to ty wystawiłaś mnie ojcu hosta. I wiem, że musi się to jakoś łączyć z twoim zniknięciem przed dziesięcioma laty.

– Co ty pieprzysz? – warknęła Rozalia, ale z ruchu jej ciała łatwo można było wyczytać, że miałem rację. Po chwili niezręcznej ciszy wyjąłem z nadgarstka kartę pamięci i rzuciłem ją na środek stołu.

– Co to jest?

– Wirus, który mi wgrałaś. Żeby być bardziej dokładnym, najpierw Kamperowi, który nieświadomie przekazał go mi, kiedy odwiedziłem go w „Retro Dinosaur”. Wiedziałaś, że będzie przekazywać mi pliki z aktualną ofertą przedmiotów retro i właśnie do nich zamontował się wirus. Naprawdę sprytnie napisany, mój antywir go nie wykrył. Dopiero jeden znajomy mający dostęp do najnowocześniejszego oprogramowania pomógł mi go namierzyć.

Nie wyjawilem nazwiska Tremonta Krollena. Obiecałem mu to, chociaż Rozalia i tak pewnie się domyśli, o kogo chodzi.

– Co ty... – nadal starała się zaprzeczać.

– Daj mi dokończyć – wtrąciłem stanowczym głosem. – Ciągłe nie dawało mi spokoju, jak udało ci się zdobyć takie umiejętności, że mój system obronny dawał mi jedynie 2 procent szans w konfrontacji z tobą. Teraz już wiem. Wirus tak modyfikował twoje statystyki, dzięki czemu łatwo uwierzyłem, że skorzystałaś z życiowej szansy i szkoliłaś się w kilku korporacjach. A warunkiem koniecznym było całkowite zerwanie z poprzednim życiem.

Zrobiłem krótką pauzę.

– Powiesz mi w końcu prawdę? – zapytałem, nie spuszczać wzroku z mojej byłej żony.

Rozalia głośno wypuściła powietrze, a następnie bezwładnie usiadła na krześle.

– Zniknęłam, żeby chronić Lenę.

– Nie rozumiem.

W oczach Rozalii pojawiły się łzy. Chyba tym razem nie zamierzała już kłamać.

– Ojciec hosta... – zaczęła. – Zjawił się dziesięć lat temu i opowiedział mi całą historię. Jak ukradłeś ciało jego syna i wprowadziłeś do niego swoją nową tożsamość. Jak ledwo przeżył zamach przygotowany przez Kampera. Jak poprzysiągł, że odzyska to ciało.

– Uwierzyłaś mu? – Zirytowałem się.

– Na początku oczywiście, że nie.

– To czym cię przekonał?

Rozalia znowu głośno wypuściła powietrze. Jej dolna warga cały czas drżała, a łzy ciekły po policzkach, tworząc krzyżujące się smugi.

– Miał sporo dokumentów, które to potwierdzały. Zdjęcia i filmy, których nie udało się wam usunąć. Większość na nośnikach nigdy niepodłączonych do Sieci. Przejrzałam też wszystkie informacje na twój temat, do jakich zdołałam się dokopać. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku, ale gdy przyglądałam się im bliżej, wychodziło coraz więcej nieścisłości. Ojciec hosta zasugerował, żebym pobrała od niego próbkę DNA, a później to samo potajemnie zrobiła od twoich rodziców. Zapewne domyślasz się, jaki był wynik, kiedy porównałam wszystko z twoim kodem genetycznym.

– Nadal nie rozumiem, czym cię przekonał. I niby jak dzięki temu uratowałaś Lenę?

– Zagroził, że ją porwie i nigdy jej nie zobaczę.

– Uwierzyłaś mu? – krzyknęłam, jednocześnie gwałtownie wstając. – Przecież mogłam was chronić.

Rozalia szyderczo się roześmiała.

– Chyba nie pamiętasz, jak zachowywałeś się dziesięć lat temu. Praktycznie nie było cię w domu. Ciągłe robiłeś te swoje biznesy i przetargi, a w nocy bawiłeś się w superbohatera z Røbustem.

– Mogłaś mi powiedzieć – naciskałam. – Kurwa. Na pewno bym to załatwił.

Rozalia prychnęła.

– Nic nie rozumiesz Gustav. Ten mężczyzna nie miał nic do stracenia. Poświęcił resztę swojego życia, żeby się na tobie zemścić i odzyskać ciało syna. Zresztą już raz porwał Lenę. Miała osiem lat i wracała sama ze szkoły. Dezaktywował jej system obronny, a chwilę wcześniej podał środek nasenny. Zadzwoił do mnie i powiedział, że to ostatnie ostrzeżenie. Przywiózł ją dopiero po kilku godzinach. Wtedy podjęłam decyzję. Postanowiłam mu pomóc, żeby nie stracić córki.

– No tak... – westchnęłam. – W końcu ty jesteś jej matką, a on dziadkiem. – Zrobiłem dłuższą pauzę, po czym zaniósłem się ironicznym śmiechem. – A ja? Jestem kimś pomiędzy ojcem, a złodziejem.

Rozalia uśmiechnęła się i zrobiła to chyba pierwszy raz na dzisiejszym spotkaniu. Odsunęła krzesło, powoli usiadła, a następnie chwyciła mnie za rękę. Jej oczy były całe czerwone od łez.

– Jesteś dobrym ojcem. Po prostu ta sytuacja... To mnie przerosło.

– Co było dalej? – spytałem stanowczo, odtrącając jej dłoń.

Wciągnęła głośno powietrze.

– Ojciec hosta mnie szkolił. Był dobry. Zrobiłam ogromny progres w tworzeniu wirusów. Zresztą sam się o tym przekonałeś. Jednocześnie szukaliśmy twoich słabych punktów. Byłam blisko przez tyle lat, więc okazałam się bardziej niż pomocna. Mogłam odkryć nawet te najbardziej skrywane tajemnice.

– Stąd wiedziałaś o Zanderze Vaasie i Valerym Balakinie.

– Wiedziałam o wszystkich – skwitowała Rozalia. – Wielokrotnie włamałam się do twoich komputerów.

– Ale po co była ta cała szopka? Ze stesserem z metra? Z Balakinem i Vaasem? – Pomiąłem jedynie pytanie o Prälń. Chyba w tym szczególnym przypadku nie chciałem znać odpowiedzi i wołałem założyć, że współpraca z ludźmi pokroju Zandera Vaasa niesie ze sobą nieprzewidziane konsekwencje.

– To miało kilka funkcji – odpowiedziała Rozalia. Miałeś czuć się osaczony. Wymyślił to ojciec hosta. Gdy nagle z łowcy stajesz się zwierzyną, popełniasz błędy. Ale patrząc na to z lotu ptaka, nasz plan nie był zbyt skomplikowany.

– Chcieliście zwabić mnie do Strefy.

Rozalia skinęła głową.

– Tak. Nie mogłeś tam korzystać ze swoich wszczepów i systemów obronnych.

– Podałaś mnie na talerzu.

– Bez pokrywki. – Rozalia gorzko się roześmiała.

– Zrobiliście tylko jeden błąd. Byliście pewni, że wiem, gdzie jest urządzenie do przenoszenia świadomości.

– A naprawdę tego nie wiesz?

– Nie mam pojęcia. Dostałem wiadomość, ale to zapewne zagadka, którą poprzedni ja przygotował dla tego aktualnego. I nie chcę jej rozwiązywać. – Zamilkłem na chwilę. – Chyba nie chcę... Tym razem zestarzeję się, jak przystało na poczciwego seniora.

Rozalia przez kilkanaście sekund wpatrywała się we mnie szklistymi oczami.

– To co teraz? Zabijesz mnie? – spytała. – W końcu teraz wiesz, że masz dużo większe szanse w bezpośredniej walce.

Uśmiechnąłem się.

Dokładnie 78 procent do 22 – oznajmiłem, po czym w kuchni zapanowała niemal całkowita cisza. Wyraźnie słyszałem swoje myśli. Miałem już dość kolejnych śmierci. Przez moje decyzje zginęło zdecydowanie za dużo ludzi. Jedyne co mogłem teraz zrobić, to przywrócić naszej córce matkę. I chyba dlatego moja decyzja nie mogła być inna.

– Mam inny plan. Zniknij na trzy miesiące, a ja przygotuję Lenę na twój powrót. Jakoś to poukładamy. Jeszcze nie wiem jak, ale coś wymyślę.

Rozalia gwałtownie wstała, jakby zaskoczyła ją moja odpowiedź.

– Przepraszam – wyszeptała, po czym ruszyła w stronę wyjścia. Zanim zniknęła za drzwiami, odwróciła się ostatni raz w moją stronę.

– Chcesz znać jego imię? – spytała.

– Kogo? Ojca hosta?

Pokręciła głową.

– Nie. Wcześniejszego nosiciela ciała.

Tym razem ja pokręciłem głową.

– Kamper powiedział, że mogłoby się to źle skończyć. Zacząłbym szukać wszelkich informacji na jego temat.

– Nie ma ich dużo, praktycznie wszystko zniszczyłeś. To znaczy twoi ludzie. Ale rozumiem. Nigdy już nie wrócę do tematu.

– Dziękuję – odparłem, po czym Rozalia zniknęła za drzwiami. W międzyczasie zimne powietrze dostało się do środka. W aktualnej sytuacji było to jednak bardzo przyjemne.

Przez następne kilka minut siedziałem bez ruchu, jedynie obracając w palcach kartę pamięci z wirusem, który prawie doprowadził do mojej śmierci.

Ostateczne potwierdzenie, że Rozalia pojawiła się w „Retro Dinosaur” i wprowadziła wirusa do Kampera, zdobyliśmy dzięki retro kamerze nagrywającej obraz na kasetę wideo. Kamper trzymał ją jako eksponat. Zabawne. Nikt nie wiedział, że nagrywa, a następnie wszystko ripuje z taśmy na zewnętrzny dysk niepodłączony do Sieci. Dlatego Rozalii nie udało się usunąć dowodu, że tam była.

– Analog zawsze wygra z cyfrą – powiedziałem cicho do siebie. Było to ulubione powiedzenie lutnika zajmującego się naprawą moich gitar i wzmacniaczy.

Nie wiem czemu, ale te słowa zdawały się idealnie pasować do aktualnej sytuacji.

Pół roku później, czerwiec 2143, godzina 22:23.

Okolice klubu „Credits to Doughnuts”, centrum Shadow Villens.

Spojrzałem na neonowy napis układający się w nazwę klubu – „Credits to Doughnuts”. Zabawne. Nadal wszystkie litery świeciły z różną intensywnością, ale chyba nikomu to nie przeszkadzało. Przed wejściem tłoczyło się sporo ludzi, w końcu letni sezon koncertowy właśnie się rozpoczął. Niemal każda osoba trzymała w dłoni gazowany napój, co oznaczało piwo o różnym smaku i jeszcze bardziej różnej zawartości alkoholu.

Nagle w tłumie wypatrzyłem Bleescha, niósł dwie kolorowe butelki z piwem rzemieślniczym.

– Cholera – zaśmiał się, kiedy znalazł się obok mnie. – Od czerwca kolejki przy barze robią się trzy razy dłuższe. Wszyscy wybierają drinki, jakby od tego zależała dalsza część nocy.

Uśmiechnąłem się.

– Czasami zależy.

Bleesch pokręcił głową i podał mi butelkę, a następnie wziął sporego łyka. Nie pozostałem mu dłużny.

– Za ile gra Røbust?

Wskazałem wzrokiem holograficzny plakat oddalony od nas o kilka metrów. Interaktywna twarz Røbusta zapraszała na „niesamowity koncert” rozpoczynający się

również o 22:45. Oprócz niego miał zagrać jeszcze lokalny zespół „Party In A Dorm Room”.

– Mamy jeszcze trochę czasu – mruknął Bleesch. – Mogę zadać personalne pytanie?

– Tylko takie mnie interesują – zaśmiałem się.

– Kiedy wracasz do biznesu?

Ostentacyjnie wziąłem dużego łyka.

– Niedługo.

– Powoli denerwuje mnie, że płacisz mi za nicnierobienie.

– Spokojnie. Ciesz się wakacjami, wrócimy do tematu we wrześniu. Musimy z Sigmundem dopracować nowe produkty.

Bleesch westchnął, powoli wypuszczając powietrze.

– Jak wolisz. Jakbyś jednak potrzebował mnie na jakąś nagłą fuchę, to jestem gotowy.

Znowu się uśmiechnąłem.

– Nie potrzebuję, ale dzięki.

Na chwilę powróciłem myślami do wydarzeń z początku roku. Nie chciałem używać podniosłych deklaracji, że porwanie Leny wszystko zmieniło. Ale zmieniło. Może też nie wszystko, lecz wystarczająco dużo, abym zastanowił się nad swoją podstawową działalnością. Handlem bronią. Zawiesiłem wszystkie ustalone transporty i razem z Sigmundem zaczęliśmy pracować jedynie nad sprzętem będącym czymś przeciwnym do broni. Kamizelkami kuloodpornymi, wszczepami emitującymi małe pole siłowe oraz wszelkiego rodzaju pancerzami. Przed nami jeszcze długa droga, ale po wakacjach powinniśmy mieć już pierwsze zamówienia.

Na szczęście oszczędności mam tyle, że mogę sobie pozwolić na płacenie Bleeschowi sporej miesięcznej pensji, aby nie odszedł do konkurencji. Najwidoczniej jednak siedzenie w domu znudziło mu się szybciej, niż przypuszczałem.

Sytuacja z Rozalią też się wyklarowała. Każde z nas zrobiło niewybaczalne rzeczy i chyba nie ma co szukać pozytywnego bohatera w tej historii. Raczej zastanawiałbym się, kto był gorszy. Oczywiście pierwsze spotkanie Leny z matką nie należało do łatwych i było dość emocjonujące. Delikatnie mówiąc. Jednak z każdym tygodniem sytuacja się poprawiała, czego potwierdzeniem był weekendowy wyjazd Leny do Rozalii. Moja była żona mieszkała w jeszcze cieplejszym miejscu oddalonym od Shadow Villens o prawie 300 kilometrów, więc nie wchodziliśmy sobie w drogę. Wspólne Święta też raczej nie wchodziły w grę.

– Może chodźmy do środka, bo nie znajdziemy wolnego stolika? – głos Bleescha wyrwał mnie z zamyślenia. – Nie chce mi się stać z browcem w rękę i słuchać rzewnych piosenek Røbusta. Wolę to robić na siedząco.

– That’s what she said – powiedziałem cicho.

Przemytnik zmarszczył brwi.

– Co?

– Nieważne. Masz rację, chodźmy do środka.

Sala była nabita do ostatniego miejsca, ale jakimś cudem udało nam się znaleźć jeden wolny stolik. W powietrzu unosił się znów ten specyficzny zapach będący połączeniem piwa, potu, dymu papierosowego i feromonów.

– Zapach wakacyjnej imprezy – pomyślałem. – Muszę to kiedyś opatentować.

Nagle ludzie zaczęli krzyczeć i gwizdać, co oznaczało, że pierwsza gwiazda wieczoru pojawiła się na scenie. Naprawdę podziwiałem Røbusta. Grał praktycznie co tydzień i ciągle pracował nad nowymi utworami. Łatka przystojnego policjanta, który śpiewa oraz gra na gitarze, również działała na jego korzyść. Jeśli w ciągu pół roku nie zainteresuje się nim jakaś wytwórnia, to chyba sam go wydam. Żartuję. Były handlarz broni nie może oficjalnie współpracować z policją. Nasza nieoficjalna działalność to już jednak całkiem inna historia.

– Dobry wieczór Shadow Villens. Jak się dzisiaj bawicie? – przywitał się Røbust.

Tłum krzyknął, a kiedy po kilku sekundach umilkł, ktoś z pierwszego rzędu ryknął, że „chujowo”.

Røbust tylko szeroko się uśmiechnął.

– Od teraz będzie tylko gorzej – zażartował, a następnie zagrał pierwszy riff. Publiczność oszalała.

Podczas koncertu, którego setlista była połączeniem coverów i własnych utworów zastanawiałem, kogo dane poda mi dzisiaj. Jak na razie najgrubszą rybą był Kanto, ale nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa. W końcu od początku roku dwunastu osobom pokazaliśmy, że nie są bezkarni mimo swoich układów i statusu. Cholera. Naprawdę byłem ciekawy, o kim porozmawiamy dzisiejszego wieczoru.

Wyzerowałem butelkę piwa, po czym odłożyłem ją na klejący się stolik.

Dziś prawdziwych superbohaterów już nie ma – pomyślałem. – Zostały tylko szkielety. Jestem jednym z nich. Jestem Skeleton.

Gdy słyszę to zdanie w myślach, brzmi to tak patetycznie, że nadaje się tylko do jednego miejsca. Złoty Myśli Gustava Draga.

Teraz czas na jakiś dobry utwór i napisy końcowe.

Wybór kawałka należy do ciebie.

Napisów nie czytaj.

Bo kiedyś jeszcze wrócę.

KONIEC